

Evelyn Anthony

Kryjówka

A Place to Hide

Tłumaczenie

Mirosław P. Jabłoński



Prolog

Świtało, kiedy samochody zjeżdżały z promu przy North Wall. Niebo było posępne, poprzecinane czerwonymi smugami, ze zwałami groźnych chmur gromadzących się nad horyzontem. Po całonocnym stęchłym zaduchu malutkiej kabiny wciągnęła głęboko do płuc świeże morskie powietrze, wpadające przez nisko opuszczoną szybę drzwiczek samochodu. Auto było wypożyczone. Gdyby się jej spodziewano, nie oczekiwano by, że przyplynie nocnym promem z Liverpoolu podczas sztormu, gdy niemiłosierne kołysanie statku linii B&I sprawiało, że pijani i chorzy na morską chorobę pasażerowie wymiotowali w cuchnących pokładowych świetlicach.

Mimo to, w obawie przed rozpoznaniem, ukrywała się w wywołującej uczucie klaustrofobii kabinie. Z powodu wzrostu, uderzająco jasnych włosów i twarzy, która często pojawiała się w gazetach i magazynach ilustrowanych, bardzo trudno byłoby jej zachować anonimowość. Czarująca żona najmłodszego członka rządu. Artykuły o jej życiu rodzinnym, o ładnym domu w georgiańskim stylu w hrabstwie Gloucestershire w kolorowym dodatku do „Homes and Gardens”, jej sylwetka w „Vogue’u” zawierały prefabrykowane nonsensy na temat plastikowej osoby, jak to kiedyś powiedziała. Rozzłościła tym stwierdzeniem męża. „Jeśli tak bardzo tego nie znosisz, dlaczego nie wrócisz na swoje irlandzkie moczary?” - odparował. To z powodu bagien lekceważył Irlandię. Powiedział to o jeden raz za dużo, a ona potraktowała jego słowa poważnie. Sznur samochodów zmierzał powoli, cal po calu, w stronę posterunku celnego. Wybrała zielony sektor, ponieważ nie miała nic do oclenia. Młody funkcjonariusz o ostrym spojrzeniu, szczycący się tym, że wyczuwał szmugiel z odległości pięćdziesięciu jardów, popędził ją machnięciem dłoni. Dopiero gdy znalazła się na wyboistej drodze z dala od doków, dotarło do niej, że trzęsie się jak osika. Nie miała czasu na wypicie filiżanki kawy, a poprzedniego wieczoru zamknęła się od razu w kabinie bez posiłku. Czowała się osłabiona i bolała ją głowa. Nie miała też papierosów. Gdy przejeżdżała przez Dublin, widziała otwarte trafiki, ale oparła się pokusie. Irlandczycy to najbardziej ciekawsza rasa na świecie. Gdyby kobieta weszła do któregoś z tych przeznaczonych dla mężczyzn lokalików, zwróciłyby się ku niej wszystkie oczy. Nie mogła ryzykować.

Przejeżdżała przez skrzyżowania, utrzymując dobre tempo, ponieważ spowite szarym światłem dnia ulice były jeszcze puste. Kiedy skręciła na autostradę, kończącą się zaledwie

kilka mil za Naas, krople deszczu zabębniły o przednią szybę. Szperała niezdarnie, szukając w nieznanym jej samochodzie przycisku włączającego wycieraczki. Małe ich pióra poruszały się w tę i z powrotem po szkle, walcząc z bijącym w szybę deszczem.

- To Jasna Panienska płacze nad naszymi grzechami, panno Claire - mawiał ich kucharz, kiedy otwierały się niebiosy.

„Tak wiele łez - pomyślała - i tak wiele grzechów, które powinno się zmyć”. I tyle krwi. Stulecia przelewania krwi. Czasem rzekami Irlandii płynęła tak skażona nią woda, że było nie chciało jej pić. Mimo że był dzień, zrobiło się ciemno, więc włączyła reflektory.

- Boże - mówił mąż, ilekroć przywoziła go do domu rodziców jeszcze przed śmiercią jej ojca - cóż za cholernie wstrętny klimat...

Nigdy nie zauważał cudownych, słonecznych dni, ciepłych jak nad Morzem Śródziemnym, kiedy niebo było jaskrawoniebieskie, a powietrze upajało jak wino. Zobaczyła znak drogowy, białe litery na zielonym tle, wskazujący zjazd do Kill. Ile to już razy na widok tego drogowskazu, wiedząc, że do Riverstown pozostało zaledwie dziesięć minut jazdy, czuła gwałtowny przypływ ekscytacji? Kiedy wracała ze szkoły w Anglii, odbierano ją na lotnisku i zawsze wtedy miała nadzieję, że spotka Franka czekającego w holu głównego budynku. Biegając, by go uściskać, nie czuła wcale zażenowania. Był jej bratem i bardziej od niego kochała tylko rodziców. Gdy przywożono ją z lotniska, za oknem pojawiał się wspaniały, piękny, choć odrapany dom, w którym dorastała razem z Francisem. Stał niecałą milę od miejsca, w którym się teraz znajdowała, na końcu krętej drogi za Straffan.

Burza minęła i zza chmur nieśmiało wyjrzało słońce. Wyłączyła poruszające się z furkotem wycieraczki, opuściła szybę i zachłannie wciągnęła zapach trawy i przerośniętych żywopłotów, których strzyżeniem nikt tutaj nie zawracał sobie głowy. Na końcu drogi znajdował się skręt do bramy ich posiadłości. Stał tam drogowskaz, którego ramiona zdobiły spłowiałe litery jedno wskazywało drogę do Clane, drugie do Naas. Miejscowa dzieciarnia uwielbiała go obracać. Przez ostatnie trzy lata nic się tutaj nie zmieniło. Przybyszom nadal mogło się zdarzyć, że wiele mil przejadą w złym kierunku. Z tej bramy wyjechała na swój ślub, który odbył się w parafii Kościoła irlandzkiego w Naas. Panna Claire Arbuthnot, spowita w koronki przekazane przez angielską rodzinę jej matki i w perłach, które lśniły na jej szyi niczym krople świeżego mleka. Claire słyszała, jak irlandzkie pokojówki rozmawiały o tym w kuchni.

- Perły to łzy... Dobry Boże, nie powinna ich zakładać w dniu ślubu.

- Dlaczego włożyłaś te pieprzone perły?... - spytał jej przyrodni brat.

- Bo to mój prezent ślubny, a ja nie jestem taką przesadną idiotką jak ty.

A potem, ponieważ nie mogła znieść, że sprzeczą się w noc poprzedzającą początek jej nowego życia, dodała:

- Mam też broszkę twojej matki, Frank. Na szczęście.

Zawstydził się i wymamrotał jakieś przeprosiny. Rano widziała go w tłumie wypełniających kościół ludzi. Frank był śniady jak Cygan. Niewielką broszkę z szafirowym sercem przypięła do satynowej kokardy sukni. Gdy prowadzona pod rękę przez ojca przechodziła obok brata, obdarzyła go specjalnym uśmiechem. Jednak w szeptach służących kryła się prawda. Nadal miała tamte perły, ale od chwili, kiedy założyła je po raz pierwszy, wylała mnóstwo łez.

Nie skręciła w bramę, chociaż była otwarta. Matka zawsze wstawiała wcześniej i wychodziła przed śniadaniem z psami. Claire przejechała obok, trzymając się wąskiego bocznego traktu po lewej stronie, który biegł wzdłuż ogradzającego posiadłość Riverstown muru z szarego kamienia. Domek Billy'ego Cavanagha stał z dala od drogi, za starannie utrzymanym niskim żywopłotem. Kiedy ona i Frank byli dziećmi, Billy trzymał lurchery, mieszańce chartów z owczarkami szkockimi. Zabierał Franka i psy na polowanie na króliki. Wściekała się, że nie pozwalał jej chodzić z nimi. To nie jest odpowiednie zajęcie dla małej dziewczynki, powiedział jej Billy z twardym irlandzkim akcentem, a przyrodni brat przedrzeźniał ją i wykrzywił się zza jego pleców. Billy nadal hodował potomstwo tamtych psów. Teraz jednak reumatyzm utrudniał mu przedzieranie się przez porastające pola chaszczce, kiedy polował na króliki, oślepiając je mocną latarką.

Gdy zbliżyła się do drzwi wejściowych, psy zaczęły warczeć. Nie było dzwonka. Zapukała. Widziała, że koronkowe firanki są odsunięte, i zastanawiała się, czy jest z nim jego kobieta. Wszyscy o niej wiedzieli, a nawet przypuszczali, że są małżeństwem, ale on trzymał to w tajemnicy. Drzwi się otworzyły i na progu stanął Cavanagh - przysadkowaty, niski, stary mężczyzna w samej koszuli, spodniach na szelkach i w kapeluszu na głowie, bez którego nikt nigdy go nie widział, wyjąwszy niedzielne msze. Nie lubił pokazywać swej łysej głowy. Przez chwilę patrzył na Claire uważnie, a potem jego twarz rozpromieniła się w szerokim uśmiechu.

- Jezu, to ty! Zajdziesz do środka?

Siedząc w kuchni z wyproszonym papierosem nad filiżanką parującej herbaty, nie starała się nawet niczego udawać, kiedy zapytał:

- Co się stało, Claire?

Był przy niej, kiedy pierwszy raz spadła ze swego kucyka, nauczył ją wędkowania i tego, jak poznać się na psach. Bez względu na to, ile ona i Francis napsocili, nigdy się na nich

nie poskarżył. Jej matka powtarzała przez dwadzieścia lat, że był to najbardziej leniwy partacz, w jakiego Bóg kiedykolwiek tchnął ducha, ale Claire uwielbiała go, on zaś kochał ją, jakby była jego własną córką. Popatrzyła mu w oczy i zobaczyła, że odwraca twarz, mrugając. „Płynie w nim krew krętacza” - mawiał jej ojciec. A krętacz zawsze ucieknie wzrokiem.

- Przyjechałam, żeby pomóc Frankiemu - powiedziała.

Na jego twarzy pojawił się strach. Teraz nie patrzył już nawet w kierunku Claire.

- Pewnie, że tu nie ma nikogo, kto by mu pomógł - wymamrotał.

Podszedł do pieca i podniósł wieczko imbryka, by się czymś zająć.

- Nie myśl o nim - mruknął znowu. - Nikt, poza Bogiem, nie może mu pomóc.

- Billy - odezwała się cicho. - Frank jest moim bratem.

- Tylko w połowie - odparł.

Dolał jej trochę herbaty, zakrzętnął się nieudolnie wokół butelki z mlekiem i upuścił aluminiowy kapsel.

- Śmierć ciąży na tej jego drugiej połowie!

- Śmierć?! - wykrzyknęła Claire z bólem. - Chcesz powiedzieć, że go znaleźli?

- Nie, nie... Jeszcze nie. Ale szukają. Nie pozostało mu wiele czasu. Byłaś już w domu?

- Nie. I nie mów mamie, że tutaj jestem.

- Nawet nie mogę, przecież wyjechała.

- Dokąd? - spytała Claire.

Zmarszczył brwi i ssał dolną wargę.

- Do starej panny Keys w Cork. Kazała mi zamknąć i zaryglować dom. On się nie ukryje w Riverstown.

Mówiąc to, obrzucił Claire chytrym spojrzeniem. Nigdy nie lubił pani Arbuthnot. Potarł swój potężny nos.

- Kiedy wyjechała, zamknąłem bramę na kłódkę - wymamrotał.

- Była otwarta. Przejeżdżałam tamtędy i widziałam. Dlatego pomyślałam, że mama jest w domu.

- Lepiej tam pójść i się rozejrzeć - mruknął, ale nie ruszył się.

Wiedziała, że policja przysłaby po klucz do Billy'ego. Mimo to po długiej przerwie spytała:

- Czy mogli ją otworzyć gliniarze?

Wcześniej był wystraszony, ale teraz jej pytanie zirytowało go.

- Jezu, jeśli to tamci czekają na niego...

Claire dotknęła jego ramienia. Billy był stary. Widziała, że pusta filiżanka drży w jego ręku.

- To nie oni - powiedziała. - Wiedzą, że Frankie nie przyszedłby do domu. Możliwe, że to ktoś ze służby bezpieczeństwa, kto czeka na mnie.

Westchnął głęboko.

- Na ciebie? Matko Boska! A co ty masz z tym wszystkim wspólnego?

- Mówiłam ci. Przyjechałam tutaj, żeby spróbować go znaleźć - odparła. - Nikomu o tym nie powiedziałam, nawet mężowi. Po prostu wsiadłam na prom. Ale mąż się domyśli. Zrozumie, że tu wróciłam, domyśli się, po co i powiadomi władze w Dublinie.

- Ten facet nigdy mi się nie podobał - prychnął Billy. - Nie trzeba było za niego wychodzić.

- Ja też za nim nie przepadam - przyznała Claire. Zmusiła się do uśmiechu. - Pomożesz mi, Billy, prawda?

Potrząsnął energicznie głową, a kapelusz trzymał się na niej jak przyklejony.

- Nie. Diabła tam będzie z całej mojej pomocy, a ty wpakujesz się w tarapaty. Wracaj do Anglii, do męża, wszystko jedno, lubisz go, czy nie. I do dzieci. Co z nimi?

Claire poczuła się nagle bardzo zmęczona i zła na Billy'ego za to, że próbuje wykręcić się tanim kosztem.

- Nie musisz mi pomagać - powiedziała. - Sama dam sobie radę.

Wymamrotał jakieś przekleństwo. Znał celtycki i mówił nim ze swoimi. Przed pracodawcami udawał jednak zawsze, że tego nie robi.

- Zostań tutaj.

Podniósł się z kuchennego stołka i sięgnął po wiszący na drzwiach płaszcz. - Pójdę z psami na spacer w stronę rzeki i zobaczę, co się dzieje. Jeśli będą tam ludzie z policji, to z nimi pogadam. Nic nie wiedziałem o bramie... W spiżarni jest chleb i szynka. Niedługo wrócę.

Claire odsunęła koronkowe firanki i obserwowała przez okno, jak odchodził. Szedł wolno w stronę psiarni, w której zamknięte były jego mieszańce uwiązane na postronkach. Krzyczał na nie, kiedy podniecone skakały na niego. Claire pomyślała, że jest stary i przerażony brygadami śmierci, w których działali jego ziomkowie, chociaż wierność wobec nich miał we krwi. Było to oddanie głębsze niż miłość do dzieci anglo-irlandzkich właścicieli majątku, dla których pracował od czasu, gdy jako bezdomny chłopak zapukał do kuchennych drzwi, by poprosić o kubek herbaty i jakkolwiek dorywczą robotę. Bez względu na to, czy

Frank i Claire wyrastali przy nim, czy nie, dlaczego Billy miał się narażać na niebezpieczeństwo ze strony jej dziedzicznych wrogów? Przypomniała sobie rozmowy przyjaciół rodziców przy stole, kiedy drinki rozwiły im nieco języki i mówili rzeczy, które drażniły umysł jak piasek oko. „Problem w tym, że im po prostu nie można ufać. Wszyscy uśmiechają się do ciebie, ale jak tylko odwrócisz się plecami, okradną cię bez mrugnięcia okiem albo opuszczą w nagłej potrzebie”. Mówili, oczywiście, o służbie, ale zepsucie widzieli wszędzie. Toczyło wszystkich rodowitych Irlandczyków. Nie można im ufać. Nigdy nie należy wchodzić z nimi w związki małżeńskie. To była nie tylko inna klasa, jak mawiał Francis, kiedy wściekał się na panujący system. To rasa. I póki będzie trwała ta dyskryminacja, nigdy nie zapanuje pokój.

Claire odwróciła się od okna. Usiadła na jedynym wygodnym krześle, które pochodziło z pokoju ich gospodyni i jakoś znalazło drogę do kuchni Billy’ego, tak jak i turecki dywan w dziurą pośrodku.

W kominku płonął torf. W ciepłe Claire poczuła się śpiąca. Kiedy przyjeżdżali do Riverstown na wakacje, mieli zwyczaj przychodzić z Francisem do domku Billy’ego i pić herbatę w kuchni. Uczył jej brata robić skręty i przypomniała sobie, jak Billy pokładał się ze śmiechu, kiedy chłopiec kasłał i parskał po pierwszym sztachu. „Pomożesz mi, Billy, prawda?” Zdecydowanie odmówił. A potem widziała go, kiedy szedł, powłócząc nogami, długą ścieżką wzdłuż rzeki, w stronę domu. Nie znajdzie tam Francis’a. Ani ludzi z Dublina o groźnych spojrzeniach, jeżeli jej mąż ich zaalarmował. Ani też, dzięki Bogu, bezlitosnych oprawców z IRA.

Połowano na niego, a ona była jedyną osobą na świecie, która wiedziała, gdzie Frank się ukrył.

1.

Billy Cavanagh dreptał mozolnie długą ścieżką do kuchennego ogródka na tyłach domu. Minął po drodze główny podjazd. Na jego końcu widział otwartą bramę. Zaklął bezgłośnie nad własną głupotą, która kazała mu się zbliżyć do domu.

Teraz nie mógł już jednak zawrócić. Ktokolwiek był wewnątrz, widział go prawdopodobnie przez któreś z okien. Nogi trzęsły mu się ze strachu. Wyjął z kieszeni taniego papierosa, przystanął i zapalił go od zapalki, którą trzymał w stulonej dłoni. To nie mogli być oni. Nie mieli zwyczaju zjawiać się tak otwarcie. Uderzali w ciemności. Wyważone drzwi, strzał karabinowy, po czym zakapturzeni mordercy znikali w mrokach nocy jak duchy. Przypomniawszy sobie, że jednak nie zawsze. Tego biednego idiotę z Sallins zabili w biały dzień. Zaciągnął się dymem i rozkasnął. Za późno, żeby się teraz zatrzymać. „Lepiej, żeby to jego spotkali niż Claire” - pomyślał, nabierając odwagi.

Tylne drzwi domu stały otworem. Dostrzegł jakiś cień przesuwający się za kuchennym oknem i zaczął się odwracać, szykując się niezdarnie do ucieczki.

- Billy! Szedłem właśnie, żeby się z tobą zobaczyć.

Na progu stał młody Joe Burns, który w niebieskim policyjnym mundurze wydawał się Cavanaghowi aniołem stróżem. Billy odetchnął z ulgą.

- Jezuniu, myślałem, że to jakiś złodziej. Uwięzę psy.

W kuchni było zimno, ponieważ kiedy pani Arbuthnot wyjeżdżała, wyłączano piec. Przez moment Billy czuł taką ulgę, że nawet nie zapytał, co Joe tu robi, ani jak się dostał do domu, skoro był zamknięty. Nie zdążył się tym zainteresować, bo młody policjant powiedział przyjaźnie:

- To duża beztroska z twojej strony, Billy, zostawiać tak bramę i tylne drzwi otwarte.

Joe niedawno został przyjęty do pracy w miejscowym komisariacie policji, w Clane. Był miłym chłopakiem. Urodził się tutaj, a Burnsowie od pokoleń stanowili część społeczności miasteczka.

Billy zerknął na niego i na moment serce stanęło mu w piersi ze strachu.

- Wszystko pozamykałem.

Joe Burns potrząsnął z wyrzutem głową.

- Tak ci się tylko zdawało - powiedział. - Wiedzieliśmy na posterunku, że pani

Arbuthnot wyjechała. Ostatnio zawsze nas informowała. Przejedźdzałem właśnie obok i zobaczyłem, że brama jest otwarta, pomyślałem więc, że najlepiej będzie, jeśli zajdę i rozejrzę się, czy wszystko jest w porządku.

Billy potarł nos i pokręcił głową.

- Przysięgam, że wszystko zamknąłem - mruknął, ale policjant nie wydawał się przekonany.

- Zapalisz, Billy? - zaproponował.

- Nie, to szkodzi na płuca. Staram się ograniczyć palenie. Zeszłej zimy strasznie kaszlałem.

Mówił tak, myśląc jednocześnie - „Zamknąłem bramę, pozamykałem wszystkie drzwi. Robię to od dwudziestu pięciu lat, od kiedy umarł stary Doyle. Nie zapomniałem”.

Spojrzał wesoło, niebieskie oczy policjanta. Na spodeczku stojącym na kuchennym stole leżały trzy niedopałki papierosów, więc Burns był tutaj już od dłuższego czasu.

- No, dobra - powiedział Joe. - To mi tylko zaoszczędzi kłopotu. Kiedy tu przyszedłeś, właśnie się do ciebie wybierałem.

„Ale nie śpieszyłeś się - pomyślał Billy na swój użytek. - Siedziałeś w niemiłosiernie zimnej kuchni i paliłeś, czekając nie wiadomo na co”.

- Kiedy wraca pani Arbuthnot?

- Nie wiem - odparł Billy. - Zatelefonuje do mnie dzień wcześniej.

- To musi być dla niej okropne - ciągnął Joe. - Przepadł jej syn, a do tego cała ta wrzawa w radiu i telewizji.

- Pasierb - wymamrotał Billy. - To nie to samo.

- Tak, masz rację - skinął głową Burns. - Ona ma córkę... Tę, która wyszła za Anglika. Nie jest on przypadkiem w brytyjskim rządzie, czy coś takiego?

Cavanagh nie odpowiedział. Chrząknął.

- Znasz ich wszystkich, Billy - ciągnął Joe spokojnie. - To prawda, co o nich mówią?

- O jakich „nich”?

- O bracie i siostrze. Mówią, że byli ze sobą tak zżyci, że kiedy Frank zniknął, zamierzała tutaj przyjechać. Chociaż nie wydaje mi się, żeby podjęła takie ryzyko.

- Jakie ryzyko? - Billy wlepił w niego niewinny wzrok.

Wyczuwał niebezpieczeństwo równie łatwo, jak jego ukochane psy zapach zająca z odległości mili. Niebieski mundur nie gwarantował już bezpieczeństwa. Billy nie wiedział, co jest nie w porządku, był jednak święcie przekonany, że coś jest nie tak. Wieki poddaństwa nauczyły pokornych Irlandczyków nie odpowiadać na żadne pytanie, które mogłoby ich

wpakować w kłopoty.

Burns zniżył głos, jakby obawiał się, że mogą być podsłuchiwani.

- Jest żoną angielskiego ważniaka. IRA może chcieć ją skrzywdzić. Posłuchaj, Billy, jeśli dowiesz się, że ona jest tutaj, w domu, zadzwoń do mnie na posterunek. Poproś mnie do telefonu, gdybyś miał o niej jakieś wieści. Chcę, żeby dotarły tylko do mnie - skrzywił się lekko - może mógłbym wtedy zrobić coś dobrego.

- Jasne - zgodził się Billy. - Ale nie powiem, żeby to było prawdopodobne. Jezuniu, nie mogę uwierzyć, że zapomniałem zamknąć bramę i tylne drzwi domu! Może powinniśmy przejść się po całej chałupie i sprawdzić, czy kogoś nie ma?

- Już to zrobiłem - odparł Joe. - Teraz muszę iść. Nie martw się, nie powiem nikomu ani słowa. I nie zapomnij - cokolwiek usłyszysz, daj mi znać.

Billy skinął głową, ponownie obiecał Burnswi, że go zawiadomi, i razem wyszli z domu. Zamknął drzwi, zabrał psy i pożegnał się z policjantem na końcu podjazdu. Burns pomachał mu wesoło na pożegnanie i ruszył do głównej bramy.

- Do zobaczenia! - zawołał.

Póki pozostawał w zasięgu wzroku policjanta, Billy nie śpieszył się. Joe Burns kłamał, że tylne drzwi domu zastał otwarte. Kłamał, że sprawdził cały dom. Drzwi z kuchni do głównego budynku zawsze zamykano na cztery spusty, a klucz miał w kieszeni Billy. Cała opowieść policjanta była jedną wielką błagą. Burns sam otworzył bramę i tylne drzwi domu i wślizgnął się do środka. Wcale nie zamierzał iść do Cavanagha. Billy po prostu go zaskoczył.

Joe chciał znać pierwszy wszelkie wieści o Claire Fraser. Billy znów zszedł nad rzekę, a potem wspiął się na pagórek. Wracając do domu, wiedział przynajmniej, że niebezpieczeństwo, które czaiło się w kuchni Riverstown, ma swoje imię. Ogarnął go strach.

Billy zobaczył samochód Claire z angielskimi tablicami rejestracyjnymi, widoczny z drogi jak na dłoni. Nie tracił czasu - kluczyki zostawiła w środku. Kiedy już się na coś zdecydował, działał bardzo sprawnie. Wyprowadził z szopy starego gruchota, którego kupił dzięki zapisowi Philipa Arbuthnota, a na jego miejsce wstawił wóz Claire. Wyszedł i zamknął za sobą drzwi budy, by nie było go widać. Wskutek wysiłku Billy zasapał się i brakowało mu tchu. Zapomniał zamknąć psy, które czekały na niego cierpliwie przed wejściem.

Nie wszedł do środka od razu, lecz usiadł na progu i zastanawiał się, co właściwie powinien zrobić. Sześć dni temu Frank Arbuthnot zniknął sprzed dublińskiego banku, którym zarządzał. Dzienniki telewizyjne pełne były wiadomości na ten temat. „Zniknięcie czołowego bankiera handlowego. Istnieje obawa o jego życie” - informował nagłówek w „Irish Independent”. Pojawiały się wyraźne sugestie, że zaginiony sympatyzował z IRA, choć

wszyscy od dawna wiedzieli, że jeszcze za młodu sam ogłosił się członkiem Sinn Fein¹. Teraz krążyły plotki, że został porwany albo zamordowany w ramach porachunków towarzyszących rozłamowi w IRA na Provisionals i starych republikańskich idealistów². A Billy słuchał „mędrców” z telewizji, czytał gazety, więc teraz powiedział sobie: „Jasne, w końcu musiało się tak stać. Frank zadawał się z ciemnymi typami i żadna siła nie mogła go spośród nich wyciągnąć. Po tym, co zaledwie dwie mile stąd stało się z Donnym, biednym idiotą z Sallins, dla sumienia tamtych Arbuthnot nie byłby żadnym obciążeniem. A teraz wraca to dziecko, narażając się dla takiego brata na niebezpieczeństwo!”. Myślał o Claire jak o dziecku, chociaż była już żoną i matką. Huśtał ją na kolanach, kiedy jeszcze prawie nie umiała chodzić. Billy westchnął głęboko i rozpaczliwie. Ona musi wrócić do Anglii. Osobiście zawiezie ją do Dublina. Jeżeli ma rację co do Burnsa, Claire nie może zostać w Irlandii. Teraz, jeżeli jeszcze nie zastrzelili Franka i nie pogrzebali w jakimś trzęsawisku, nie tylko jego szukają.

Kiedy Billy wszedł do kuchni, Claire wstała.

- Coś tam znalazłeś - powiedziała, widząc wyraz jego twarzy.

Odchrząknął. Lepiej nie mówić jej prawdy, lepiej skłonić ją, by wróciła do świata, do którego należy. - Tylko Joego Burnsa - odparł. - Jest teraz w policji. Zostawiłem otwartą tę pierońską bramę, więc zaszedł, żeby to sprawdzić.

Claire usiadła.

- Nie kłam, Billy. Sam mi powiedziałeś, że zamknąłeś ją na kłódkę. Nigdy w życiu nie zapomniałeś tego zrobić. Nie wierzę, że to był Joe Burns.

- To on! - upierał się Billy. - Pytał o ciebie. Powiedział, że mam do niego zadzwonić, jak tylko cię zobaczę. Mało nie dostałem ataku serca, bo przecież siedzisz tutaj, pod jego nosem!

- Nie mam powodu bać się miejscowych glin, Billy. Znam ich od urodzenia. Ojciec Joego pracował u nas jako pastuch. Przecież wiesz.

- Nie możesz zostać - mruknął. - Na litość boską, Claire! Połowa irlandzkiej policji szuka Franka! Jeśli oni nie mogą go znaleźć, to jak ty dasz radę... A co, jeśli został zamordowany?

- Już drugi raz to mówisz - powiedziała wolno. - Dlaczego uważasz, że nie żyje?

- Bo zaczął się wtrącać w sprawę zamordowania starego Donny'ego. Ten biedak stał

¹ Sinn Fein - irlandzka organizacja niepodległościowa, traktowana jako polityczne skrzydło IRA (przyp. tłum.).

² W 1969 roku nastąpił w IRA rozłam na dwie frakcje: umiarkowaną (IRA-Officials, IRA-Oficjalna), opowiadającą się za ograniczeniem akcji terrorystycznych i pokojowym rozwiązaniem problemu ulsterskiego, i skrajnie radykalną (IRA-Provisionals, IRA-Tymczasowa), zdecydowaną kontynuować walkę zbrojną (przyp.

na moście kolejowym w Sallins, gapiąc się na pociągi. Robił to od czterdziestu lat. Wszyscy wiedzieli, że Donny jest zwariowany na punkcie pociągów. Był zupełnie nieszkodliwy, tylko trochę świrnięty. W Dublinie dokonano napadu, skradziono z banku sto tysięcy funtów i zastrzelono kierownika - Billy zapalił sobie papierosa i przesunął paczkę w jej stronę. Drżał mu głos. - Kiedy pod mostem w Sallins pociąg zwolnił, napastnicy wyskoczyli i zobaczyli, że stary Donny stoi i na nich patrzy. I, Jezusie, wbiegli na most i zasztyletowali tego biedaka. Według policji sprawcy myśleli, że Donny mógłby ich rozpoznać. Więc go zarznęli. A wszyscy mogli powiedzieć, że był jak dziecko, wystarczyło tylko spojrzeć na niego.

- Pamiętam Donny'ego - odezwała się cicho Claire. - W niedzielę dawaliśmy mu cukierki. Zawsze stał na moście, bo miał nadzieję, że dołem przejedzie pociąg. Wiem, co Frank musiał czuć z powodu tego zabójstwa.

- Było na ten temat sporo gadania - ciągnął Billy. - Niektórzy z miejscowych chłopaków wymyślali Frankowi. Przyzwoici ludzie trzymali język za zębami. Nie pomogliby Donny'emu, gdyby z jego powodu wpakowali się w kłopoty.

- To przyczyna wszelkiego zła w tym kraju. Przyzwoici ludzie milczą, bo nie chcą mieć problemów - stwierdziła Claire. - Pozwalają mordercom chodzić wolno. Ale nie mój brat. Jeśli widział coś złego, mówił o tym. Ujął się za biednym, bezsilnym, starym człowiekiem tak samo zdecydowanie jak wtedy, kiedy występował w sprawie Irlandii.

- Taaa. I dużo mu z tego przyszło. Schowałem twój samochód w szopie. Zrobię teraz coś do jedzenia, a potem zawiozę cię na lotnisko, żebyś złapała samolot do domu - zaproponował Cavanagh. - Bądź rozsądna.

- Jestem w domu. I nie ruszę się stąd, jeśli nie znajdę Franka - oznajmiła Claire po prostu. - Nie martw się, Billy, nie zostanę tutaj dłużej niż kilka godzin, a do tego czasu będę wiedziała - wóz albo przewóz. Nie wpadniesz w tarapaty, obiecuję.

Podeszła do niego i pocałowała. Zaczerwienił się po sam kapelusze.

- Zjemy coś? - spytał. - Skręca mnie z głodu.

*

- Billy - odezwała się Claire, kiedy skończyli jeść. - Muszę pożyczyć twój samochód.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie mogę kręcić się tutaj autem z angielską rejestracją - wyjaśniła. - Opowiedziałeś mi o Burnsie. Mój samochód to pierwsza rzecz, która każdemu rzuci się w oczy.

- Pierwsze, co zauważą - odparł Billy - to elegancka kobieta w rozlatującym się gruchocie. Straciłaś rozum? I dokąd w ogóle miałabyś pojechać?

- Tego nie mogę ci zdradzić. Nie powinieneś wiedzieć, Billy. Lepiej nie. Wezmę to angielskie auto i jakoś dam sobie radę.

Z rozdrażnieniem uderzył pięścią w kolano. Wiedział, że miała go w garści. Nawet wtedy, gdy była dzieckiem, zwykle potrafiła namówić go, by pozwolił jej zrobić to, na co miała ochotę, i nie słuchała jego rozsądnych rad. Zamamrotał coś i westchnął.

- Przełożę tablice rejestracyjne ze swojego samochodu do twojego - zaproponował. - Jak długo cię nie będzie?

- Nie wiem. Powinnam wrócić przed zmierzchem.

Na jego twarzy dostrzegła niepokój, więc dodała łagodnie:

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Zmienisz tablice?

- Tak - westchnął. - Im wcześniej wyjedziesz, tym szybciej wrócisz. A potem zawiozę cię do Dublina i wsadzę do samolotu - powiedział z nadzieją. - Obiecałaś mi to.

- Niczego nie przyrzekałam - odparła Claire. - Ale będę ostrożna.

Poszła za nim do drzwi. Wziął jakieś narzędzia z szopy i kucnął, by odkręcić tablicę ze swego starego renaulta. Zajął się tym, zrzedzając na odporne śruby. Przedsięwzięcie było diabelską dywersją. Nie mógł powstrzymać Claire przed działaniem, mógł się jedynie skoncentrować na odkręcaniu tych pieprzonych starych śrub. Jeśli Bóg będzie im sprzyjał, nie znajdzie ani kryjówki, ani nawet włosa z głowy Franka.

- Długo to potrwa? - spytała Claire. - Chciałabym pójść na chwilę do domu. Daj mi klucze, Billy. Dobrze? Rzuć mi je.

- Masz.

Zręcznie chwyciła pęk kluczy. Frank nauczył ją łapać różne przedmioty, a także strzelać z karabinka do gawronów gniezdzących się wysoko na drzewach. „Szkodniki - mówił, kiedy protestowała przeciwko zabijaniu ich. - Mordują świeżo opierzone pisklęta innych ptaków, żeby zagrabić dla siebie ich przestrzeń życiową. Zupełnie tak samo postępowali w Irlandii Anglicy”.

- Za chwilę wracam - powiedziała Claire.

Billy zaklął pod nosem, bo ręka mu się ześlizgnęła. Nie podniósł wzroku.

- Radź sobie sama - mruknął.

- Jasne - odparła.

Zamknęła drzwi i odczekała chwilę, a potem zawróciła do jego domku i weszła do małej sypialni. Była porządna i czysta - wyraźny dowód, że kobieta Billy'ego dbała o dom.

Wysoko, na framudze ponad oknem znalazła klucze do pokoju z bronią w Riverstown. Wiedziała, że Billy Cavanagh nigdy by jej ich nie dał. Wsunęła je do kieszeni i wyszła. Billy był wciąż schylony przy samochodzie. Odwróciła się i ruszyła ścieżką, wiodącą w stronę rzeki i domu.

*

Sekretarka ministra nacisnęła brzęczyk interkomu. Jej szef spóźnił się dzisiaj, co mu się nie zdarzało. Wyglądał na zdenerwowanego i rozdrażnionego. Bardzo nietypowe, pomyślała.

- Pan Brownlow czeka, sir.

- Dzięki, Jean, wprowadź go, proszę. I nie łącz żadnych telefonów, dopóki nie odwołam.

Brownlow wszedł do gabinetu, zdjął rękawiczki i przywitał się z ministrem przemysłu i handlu, szlachetnie urodzonym Neilem Fraserem, kiedy ten wyszedł mu na spotkanie z za biurka. „To powszechnie znana twarz - pomyślał Brownlow - polityk gładki jak zdjęty z linii produkcyjnej. Ma wszelkie właściwe powiązania i wszystkie dane, niezbędne do osiągnięcia sukcesu”. Jedna tylko rzecz burzyła ten obraz - ministrowie nie mają zwykle szarych twarzy i nie zdradzają oznak wyczerpania, jakby nie przespali nocy.

- Dzień dobry, sir - powiedział Brownlow, kiedy uścisnęli sobie dłonie. - Jak sądzę, nie ma pan żadnych wiadomości o żonie?

- Nic - potwierdził Fraser. - A pan? Proszę, niech pan siada.

Brownlow nie wyglądał na policjanta, raczej na wyższego urzędnika państwowego.

- Znaleźliśmy taksówkę, którą jechała pani Fraser, i firmę, w której wynajęła samochód. Wykupiła bilet na nocny prom z Liverpoolu, nie ma więc wątpliwości, że opuściła kraj.

Neil oparł się wygodniej w fotelu.

- Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że może zrobić coś podobnego.

- Ale podejrzewał pan, że mogła pojechać do Irlandii, prawda? To wielka szkoda, że nie skontaktował się pan z nami natychmiast po powrocie do domu, kiedy zorientował się pan, że żona wyjechała. Moglibyśmy zatrzymać ją na promie.

Brownlow nie zamierzał tego odpuścić panu ministrowi. Według niego Neil zwlekał, ponieważ nie chciał stawić czoła prawdzie, i ta zwłoka spowodowała, że pani Fraser dotarła do Irlandii. A szybka akcja mogłaby zapobiec całemu zamieszaniu.

- Sądziłem, że pojechała do jakichś przyjaciół albo po prostu do Londynu - bronił się Fraser. - Nie chciałem siać paniki, zanim się o tym nie przekonałem.

- Oczywiście. Rozumiem pana. Ale wolelibyśmy raczej fałszywy alarm niż ryzyko, że stanie się coś poważnego, a my zaczniemy działać zbyt późno.

- Wybiera się pan do Dublina?

- Nie. Są pewne rzeczy, które trzeba wcześniej wyjaśnić. Chciałbym zadać panu kilka pytań. Mogą się okazać nieco zbyt osobiste, ale mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza?

I na wypadek gdyby Fraser zamierzał zasłonić się stanowiskiem, Brownlow dodał:

- Jestem pewien, że zdaje pan sobie sprawę z poważnego niebezpieczeństwa, jakie grozi pańskiej żonie. Najważniejsze to wydostać ją z Irlandii. Dlatego musimy poznać wszystkie fakty.

- Wiem o tym - odparł Neil Fraser. - Poproszę, żeby nam podano kawę. Ma pan ochotę, inspektorze?

- Bardzo dziękuję. I proszę zwracać się do mnie per Brownlow, sir. Nie posługujemy się stopniami.

- Oczywiście, ma pan rację. Nie czuję się dzisiaj najlepiej.

Brownlow zdobył się na powściągliwy uśmiech.

- To rozumiałe. Mogę zapalić?

Fraser skinął głową. Jego gość miał rację. Zwlekał, ponieważ chciał ze wszystkich sił wierzyć, że Claire nie zerwała ostatniej łączącej ich nici i nie pojechała szukać tego bękarta... Zwlekał, kiedy poszukując żony, telefonował do nocnego portiera w domu, w którym znajdowało się ich londyńskie mieszkanie, i obdzwaniał przyjaciół, bo w głębi serca wiedział, że dokonała wyboru. Czy ten nieustępliwy oficer służb specjalnych spodziewa się, że będzie to z nim omawiał? Jak wiele z tego, co stało się przed odejściem Claire, musi teraz odkryć?

Jakby czytając w jego myślach, Brownlow przerwał ciszę, mówiąc:

- W grę wchodzi jej życie. Jeżeli wpadnie w ich ręce, zabiją ją. Niech pan ma to na względzie.

Fraser pochylił się wolno do przodu i na chwilę ukrył twarz w dłoniach. Brownlow zaczekał, aż minister weźmie się w garść.

- Proszę pytać o wszystko, co pan uważa za niezbędne - powiedział i Brownlow zrozumiał, że pozna prawdę.

- Jakiś kryzys spowodował tę decyzję? Pokłócili się państwo?

Neil skinął głową.

- Tak. W niedzielę wieczorem mieliśmy poważną sprzeczkę. W poniedziałek rano wyjechałem do Londynu i sprawy nie załatwiliśmy. To dlatego wróciłem zeszłej nocy do domu w Gloucestershire. Zwykle jestem cały tydzień w Londynie, a żona spędza ze mną parę

dni w naszym mieszkaniu.

- Szczerście, że pan tam pojechał - zauważył Brownlow. - O co poszło?

Inspektor słyszał w głosie Frasera cień goryczy. „Kryje się pod nią wiele stłumionych emocji - pomyślał. - Najwyraźniej nie była to pierwsza awantura”.

- O Irlandię. I o jej przyrodniego brata, Franka Arbuthnota.

- Tego, który też zniknął, z Dublina. Jaki jest pogląd pańskiej żony na całą tę sytuację? Czy jest sympatyczką?

- IRA? O mój Boże, nie! Jej rodzina to ludzie, których oni atakują przede wszystkim. Nie, Claire w najmniejszym stopniu nie obchodzi polityka. Nigdy jej nie interesowała.

„Nie najlepsza rekomendacja dla żony członka rządu” - zauważył w myślach Brownlow. Za kulisami upatrywano we Fraserze przyszłego premiera Wielkiej Brytanii.

- Martwiła się o brata? - spytał.

- Jest mu niezwykle oddana - powiedział Neil bezbarwnym głosem. - Bez względu na to, co robi, nie chce słyszeć na jego temat złego słowa.

- To dlatego pojechała do Irlandii?

- Tak - odparł Fraser. - O to się właśnie pokłóciliśmy. Staralem się ją przekonać, że niczego tam nie wskóra. Niestety, straciłem panowanie nad sobą i powiedziałem, że jeśli załatwiła go IRA, to kurewsko dobrze mu się odplacili za to, że ich popierał.

- Nie spodobało jej się to?

- Nie bardzo. Nie powinienem był mówić tego tak ostro, ale przez myśl mi nie przeszło, że mogłaby... Podkreślałem, jak taka eskapada może być dla niej niebezpieczna i... No dobrze... i jak bardzo zaszkodziłoby mojej pozycji, gdyby pojechała w takiej chwili do Irlandii.

- Rzeczywiście - przyznał Brownlow. - Bycie jego szwagrem musi być dla pana niekiedy kłopotliwe.

- Właśnie to jej powiedziałem. Przez wiele lat prasa zachowywała się wobec mnie przyzwoicie. Nawet opozycja nie posuwała się tak daleko, by sugerować, że powiązania Arbuthnota rzucają cień na wiarygodność moją albo mojej żony. Ale jej wyjazd do Irlandii mógłby... - przerwał, a potem dokończył ze złością - może mnie zniszczyć.

Inspektor odczekał chwilę, robiąc kolejną notatkę.

- Telefonował pan do domu w Irlandii i żadnego skutku?

Fraser potwierdził skinieniem głowy.

- To wszystko, co mogłem zrobić, nie alarmując całej okolicy. Dzwoniłem regularnie przez cały wieczór, a potem od rana. Nikogo tam nie ma. Wybiera się pan do Dublina? -

spytał ponownie.

- Nie, nie zamierzam jechać - odparł Brownlow. - Ich ludzie są bardzo dobrzy i blisko z nimi współpracujemy. Dużo bliżej niż sądzi opinia publiczna. Ale tym razem nie wolno nam ryzykować, sir. Jedno nieostrożne słowo mogłoby naprowadzić tych drani na ślad pańskiej żony. Nie możemy prosić o pomoc irlandzkich służb specjalnych. Sami musimy to załatwić.

- W jaki sposób? - spytał Fraser. - Co pan może zrobić?

- Wysłać agenta. Specjalistę, który już wielokrotnie tam pracował. Zakamuflowanego. Znajdzie pańską żonę i sprowadzi ją tutaj.

- Ma pan na myśli SAS³?

- Sądzę, że szczegóły powinniśmy pominąć, sir.

Minister zaskoczył go, wstając. Fraser zaczął sprawiać na inspektorze wrażenie człowieka pewnego siebie.

- Jeśli to właśnie pan proponuje, mam odpowiedniego człowieka - powiedział Neil. - To nasz przyjaciel i moja żona go lubi. Oboje nas zna bardzo dobrze. Podam panu jego nazwisko.

Napisał je na kawałku papieru i wręczył go Brownlowowi.

- Wiem także, że w tej chwili jest w Anglii. Nie chcę pana uczyć pańskiego zawodu, Brownlow, ale jeżeli ktokolwiek może przekonać moją żonę o konieczności powrotu do domu i jest jednocześnie odpowiednim człowiekiem na wypadek kłopotów, to właśnie on. Chciałbym, żeby pan się z nim skontaktował od razu.

Inspektor przeczytał nazwisko i stopień, po czym schował świstek do portfela. Gdyby cokolwiek poszło nie tak, będzie mógł to złożyć na karb interwencji ministra. Poza tym nie miał zastrzeżeń co do kwalifikacji oficera, skoro należał do tajnych służb. Brownlow wstał.

- Zabiorę się do tego natychmiast. Proszę z nikim nie rozmawiać na temat żony, a służącym powiedzieć, że wyjechała do przyjaciół. Cokolwiek przekonującego. Proszę zachowywać się zupełnie normalnie. Przy odrobinie szczęścia pańska żona znajdzie się w domu wcześniej, niż wiadomość o tym dotrze do pana.

Ponownie uścisnęli sobie dłonie.

- Dziękuję panu za przybycie - Fraser osobiście otworzył przed gościem drzwi do sekretariatu.

Brownlow zjechał na dół windą, wyszedł z budynku, odszukał stojący w bocznej

³ SAS - elitarna brytyjska jednostka antyterrorystyczna (przyp. tłum.).

ulicze samochód i wsiadł do niego. Poleciał kierowcy, by zawiózł go do biura.

- Jeżeli tacy cholerni durnie kierują tym krajem - mruknął do siebie inspektor - to miej nas, Panie, w opiece.

Frank Arbuthnot od lat był skarbnikiem IRA. Nagle zniknął, czemu towarzyszył niezwykle rozgłos. Czy dla tego durnia, jej męża, nie jest jasne, że cała ta sprawa mogła zostać ukartowana po to, by ściągnąć jego żonę do Irlandii? Coś takiego zrujnowałoby mu karierę. Cóż to by było za mistrzowskie posunięcie ze strony tych sukinsynów, gdyby porwali czy zamordowali żonę urzędującego ministra Wielkiej Brytanii! Nie potrzebował Frasera, by mu przedstawił historię przyrodniego rodzeństwa Arbuthnotów. Służby specjalne wiedziały wszystko na temat Claire Fraser, ponieważ ich praca polegała na tym, by niuchać wokół polityków i ich rodzin - szczególnie mających irlandzkie powiązania, jak ona. Brat i siostra byli sobie bliscy jak pieprzone syjamskie bliźnięta. Gdyby Arbuthnotowi coś się stało, żona Frasera pojechałaby oczywiście do domu. A czyż dla przyjaciół Franka z IRA zwabić w pułapkę Claire Fraser, używając go jako przynęty, nie byłoby zgrabnym posunięciem? Brownlow wszedł do budynku, w którym pracował, wjechał windą na piąte piętro i zwołał na konferencję swoich starszych rangą współpracowników. Godzinę później zatelefonował do majora Michaela Harveya, który stacjonował w koszarach wojskowych, w odległej części południowej Walii.

*

Ścieżka prowadząca z domku Billy'ego wiła się, opadając ku brzegowi rzeki. Poranny deszcz zostawił w zagłębieniach drogi niewielkie kałuże. Kiedy Claire i Frank byli dziećmi, mieli zwyczaj przeskakiwać przez kałuże, a czasem lądować w ich środku, ochlapując się wzajemnie i krzycząc z radości. Powietrze było rześkie i przyjemne, a rzeka szeptała cicho, płynąc przed siebie, i wzbierała od wirów, które tworzyły się dzięki pobliskiemu niewielkiemu wodospadowi. Co roku, przez ostatnich piętnaście lat życia, jej ojciec słał petycje do Ministerstwa Gospodarki Wodnej, żeby coś z tym zrobić, ponieważ te cholerne wiry podmywają brzegi. Nikt w Dublinie się tym nie przejmował, ale urzędowe odpowiedzi zawsze były sformułowane bardzo uprzejmie.

Pod drzewami, w cieniu, anemony tworzyły biało-niebieski dywan. Jakież problem miała Claire w dzieciństwie z wymówieniem tego słowa. Czasami i później jej się to nie udawało. Dalej, w równych rzędach, niczym armia lśniły żółte główki zonkili. Rosły na całej długości klombu, który podchodził do samych schodów prowadzących do frontowych drzwi starego domu. Z każdym pokonywanym stopniem przypominało się Claire wiele szczęśliwych zdarzeń. Dzieciństwo pełne zabaw i niewinnych przygód, zmieniający się

korowód psów należących do rodziny i kucyków pod wierzch, wspomnienia polowań, podczas których Frank grał pierwsze skrzypce. Rodzice zawsze byli otwarci na zabawy dzieci, ale jej brat wolał wracać wcześniej do domu i ciągnął ją za sobą na grubym kucyku. Szkoły nie traktowano zbyt poważnie. Claire chodziła do protestanckiej podstawówki w pobliskim Kilcock, gdzie uczyła się czytać i pisać razem z córkami przyjaciół państwa Arbuthnotów.

Ileż to razy spędzała razem z Frankiem całe dni nad rzeką na łowieniu ruchliwych pstrągów albo na leniuchowaniu w wilgotnej trawie i gadaniu. Dzieliło ich tylko pięć lat, ale zawsze miała wrażenie, że ta różnica wieku jest większa. Jej pierwsze związane z nim wspomnienie pochodziło z czasów, gdy była zaledwie pędrakiem, a on trzymał ją mocno za rączkę, by nie zbłądziła w pobliże rwącej rzeki. Miała, oczywiście, bonę, byli i rodzice, ale w porównaniu z Francisem jawili się jako zamazane, niewyraźne postaci. Brat był silny, wysoki i dbał o jej bezpieczeństwo. Dzielił się z nią swymi tajemnicami i od dzieciństwa Claire wychodziła ze skóry, by mu się podobać. Ich pokoje sąsiadowały ze sobą, więc kiedy dręczyły ją nocne koszmary, Frank pocieszał ją pierwszy i śmiechem odganiał strachy. Opowiadał jej o wrózkach mieszkających w zagłębieniach brzegu rzeki i o tym, że Billy jest krasnalem. Potem, za dnia, parskali śmiechem na widok starego mężczyzny, wyobrażając go sobie, jak siedzi w świetle księżyca na muchomorze. Dzięki Frankowi Claire poznała historię swych przodków, którzy przybyli do Irlandii i zbudowali Riverstown. Przez długi czas przechodziła ze strachem obok wiszącego na schodach portretu mężczyzny, zwanego Sędzią Strykiem.

Cofając się po stopniach swych dziecięcych i młodzieńczych wspomnień, Claire poczuła się tak blisko związana z bratem, że na moment ogarnął ją ból. Usiadła na wyciosanej ze zwalonego pnia drzewa, sfatygowanej i zniszczonej przez czas ławce. Siadywali tu wielokrotnie razem i teraz minione lata zniknęły, jakby się nigdy nie rozstawali, a ona nie wyszła za mąż.

- Jestem inny niż ty, Claire.

Miał czternaście lat, był chudy, śniady, ciemnowłosy i napędzała go energia wieku dojrzwania.

- Jak to „inny”? Jesteś chłopcem, to cała różnica.

Czuła się dotknięta tym twierdzeniem, ponieważ wznosiło ono między nimi jakąś barierę. Miała dziewięć lat, wielkie niebieskie oczy, włosy jasne jak płatki stokrotki i nie była świadoma swej urody. Raczej chłopczyca, która wspina się ciągle po drzewach, drze ubrania i stara się we wszystkim prześcignąć innych, by dorównać Francisowi.

- Wiem, głupia - odparł. - Chodzi mi o to, że naprawdę się różnimy. Jestem na wpół Irlandczykiem.

Claire wlepiała w niego oczy.

- A co to za różnica? Wszyscy jesteśmy Irlandczykami.

- Nie - upierał się jej brat. - Ty jesteś Angol. Tak jak tata. Moja mama - zniżył głos - była Ajryszką⁴. Ryanowie są prawdziwymi Irlandczykami, jestem więc w połowie jednym z nich.

- Wszyscy o tym wiedzą - powiedziała pojednawczo, nadal zmartwiona. - Nie różnisz się ode mnie, Frankie. Moja mama jest Angielką, ale...

Spojrzał na nią.

- Wiem - odparł.

Jej matka nie była matką Francisa, która zmarła podczas jego porodu. W rodzinie nie było z tego powodu żadnego konfliktu. Ludzie miewają macochy i ojczymów, ale Claudia Arbuthnot nie darła z Frankiem kotów, ani go nie karała. Tym zajmował się ojciec. Był jego prawdziwym ojcem, więc miał do tego prawo. Claire pociągnęła Francisa za rękaw.

- Nie bądź inny niż ja, Frankie. Nie chcę, żebyś się różnił.

Jej błękitne oczy wypełniły się łzami. Frank miał oczy bardzo ciemne, a włosy czarne. Podobieństwo do ojca wprost zdumiewało. Nagle brat objął ją, a potem równie gwałtownie odepchnął i odskoczył od niej.

- Nie bądź głupią płaksą. Pierwszy przy starej ławce! - zawołał i ruszył pędem.

Kiedy go dogoniła, siedział już i śmiał się z niej.

- Ty wstrętna świnię - wydyszała, nie mogąc złapać tchu, a jej twarz zrobiła się czerwona. - To nie fair. Nie potrafisz biegać tak szybko jak ty!

- To dlatego, że jesteś Angolem - szydził Frank i uciekał przed nią z łatwością, wiedząc, że Claire go nie dogoni.

Ogarniała ją wściekłość, a on skręcał się ze śmiechu, gdy z zaciśniętymi pięściami przeklinała go. Kiedy pozwalał się jej w końcu złapać, nie pamiętała już, co powiedział, a on na chwilę zapominał, dlaczego to zrobił. Przypomniała to sobie dopiero dużo później - tego wieczoru, kiedy ojciec wyrzucił go z Riverstown. To było w dniu, w którym znaleźli lisa.

Spadło na nią kilka kropel deszczu - na dzisiejszą Claire Fraser, dwadzieścia pięć lat starszą, siedzącą ze łzami w oczach na długiej ławce. Słońce przesuwalo się za zwałami deszczowych chmur. Wstała i ruszyła śpiesznie w stronę domu. Klucz od tylnych drzwi miała

⁴ Ajrysz - pogardliwe określenie Irlandczyka, pochodzące od wymowy słowa „irish” (przyp. tłum.).

w kieszeni. Te drugie klucze, wykradzione, wrzynały jej się w dłoń. Po wielkiej miłości przyszło tyle nieszczęść. Po takiej bliskości - rozłam. Czy to prawda, co powiedział, żegnając się w ten okropny wieczór?

- Nikt nie jest temu winien, Claire. Ani tata, ani Claudia, ani nawet ja. Jeśli chcesz wiedzieć, dlaczego tak się stało, musisz się cofnąć do samego początku.

Weszła do kuchni, w której niedawno Joe Burns wypytywał o nią Billy'ego. Te pytania tak przeraziły Cavanagha, że stary jej nakłamał. Ojciec Joego pracował u jej ojca, a i sam Joe zarabiał kilka szylingów, kiedy był kościstym, wiecznie zasmarkanym chłopakiem. Mimo to Billy nie ufał mu, a znał swoich ziomków lepiej niż którykolwiek z Arbuthnotów. Otworzyła drzwi do głównej części budynku. Ponieważ żaluzje były zamknięte, w holu panowała ciemność. Claire oświetliła go rzęsiście. W powietrzu trochę czuło się wilgoć. Nie da się zamknąć irlandzkiego domu tak, by tkaniny nią nie nasiąkły. Ze ścian obserwowali ją przodkowie - niemal dwieście lat nieprzerwanej obecności w Riverstown. Narodziny, śluby i śmierci. Świadczyły o niej płyty nagrobne w kościele w Naas, a najświeższa - jej ojca. Ale jego pierwsza żona, Eileen Arbuthnot, nie została tam pochowana. Rozłam zaczął się od niej.

Claire stanęła przy podeście schodów i spojrzała w górę. Wisiał tam portret, obok którego tak bardzo bała się przechodzić, kiedy była małą dziewczynką. Źle namalowany obraz srogiego mężczyzny w ciemnym płaszczu i staromodnym krawacie, o surowo zaciśniętych ustach i pozbawionych życia oczach. Sędzia Stryk. Wieszał Irlandczyków jak jabłka. Claire odwróciła się. „Cofnij się do początku”. Ktokolwiek to powiedział, mówił o losie Irlandii.

2.

Pierwszy Arbuthnot przybył do Irlandii w 1798 roku, by sądzić rebeliantów, którzy żywcem spalili żołnierzy angielskiego garnizonu wojskowego w koszarach w Prosperous⁵ (co za dziwna nazwa dla zubożałej irlandzkiej wioski w Kildare). Mieszkających tu mężczyzn sędzia Arbuthnot skazywał na zesłanie do kolonii karnych w Indiach Wschodnich lub na śmierć przez powieszenie. Niektórzy z później sądzonych trzymali w feralną noc płonące pochodnie i żywcem palili ludzi, a inni tylko się temu przyglądali. Zapłacili za to jednakowo. Poza swoimi obowiązkami Hugh Arbuthnot miał czas, by podróżować po kraju i doszedł do wniosku, że - pomijając jego mieszkańców - było to jedno z najpiękniejszych miejsc na ziemi. Pola rodziły zieloną i soczystą trawę, a rzeka Liffey toczyła wody przez kraj tak bogaty, jak szkocka farma, z której sędzia pochodził, była ponura i biedna. Jego rodzinie dochód z niej z trudem wystarczał na skromne utrzymanie, w Irlandii zaś natura nadzwyczaj szczerze obdarzała ludzi. Bydło wyrastało dorodne, a rzeki obfitowały w ryby. Klimat panował łagodny, a deszcze nie obrzydzały tej ziemi komuś, kto był Szkotem. Hugh Arbuthnot złożył podanie o przydział gruntu, który mu sprzedano za symboliczną cenę. Ani nie wiedział, ani nie dbał o to, kogo z niego usunięto, pozbawiając w ten sposób środków do życia. Miejsce, które wybrał na postawienie domu, znajdowało się na wzniesieniu, skąd rozciągał się widok na rzekę. Dorodne lipy tworzyły naturalną aleję dojazdową, a czerwone buki i wielkie wiązy dawały osłonę przed wschodnim wiatrem. Pomimo wylewów rzeki dom na wzniesieniu powinien być bezpieczny, co nowy właściciel zauważył po ulewnym deszczu. Sędzia Arbuthnot sprowadził żonę i dzieci i wszyscy osiedli w solidnej siedzibie, którą nazwał Riverstown.

Jego syn zbudował mur okalający posiadłość, ze wspaniałymi wrotami z kutego żelaza, wystarczająco wysoki, by powstrzymać kłusowników. Kamienne grona na dwóch filarach bramy świadczyły, że właściciel nieruchomości wywodzi się ze stanu prawniczego. Był człowiekiem bystrym, nie nazbyt dobrotliwym, ale ludzie umierający z głodu ciągnęli pod jego drzwi. Arbuthnotom wiodło się dobrze. Wchodzili w związki małżeńskie, które dawały widoki na spadek i należeli do miejscowego kościoła protestanckiego, w którego budowie mieli niepośledni udział. Ich dzieci wyjeżdżały do szkół w Anglii, a potem do

⁵ Prosperous - w języku angielskim: cieszący się powodzeniem, kwitnący (przyp. tłum.).

Trinity College w Dublinie, gdzie nie przyjmowano katolików, albo na angielskie uniwersytety. Młodszy synowie służyli w angielskim wojsku, a jeden z nich został wybitnym admirałem Królewskiej Marynarki Wojennej. Małżonków wybierali zazwyczaj z podobnego kręgu ludzi w Irlandii i przedstawiali się zawsze jako Irlandczycy. Ich nieskazitelna przeszłość jako ziemian i niemieszanie się do polityki ocaliło Riverstown przed spaleniem przez IRA w 1922 roku. Sąsiedzi Arbuthnotów, którzy nie mieli tak czystej karty, patrzyli w wyloty łuf, kiedy ich domy szły z dymem.

Gdy podpisano dzielący Irlandię na dwie części pokój, Philip Arbuthnot miał jedenaście lat. Był najstarszym synem w rodzinie, dwaj pozostali zginęli podczas pierwszej wojny światowej. Mając dwadzieścia siedem lat, już żonaty, odziedziczył Riverstown i tysiąc sto akrów ziemi. Żadne z rodziców nie uczestniczyło w jego ślubie. Chodziły słuchy, że panna młoda była już w ciąży, kiedy ją poślubił. Nikt nie wierzył, by Philip mógł ożenić się z jedną z Ryanówien z miłości.

Philip Arbuthnot, wysoki, z czarnymi, kręconymi włosami i niewielkim wąsikiem, który przydawał mu niemodnego wyglądu, był sportsmenem i ziemianinem, człowiekiem o nieskomplikowanym podejściu do ludzi i życia. Kiedy po raz pierwszy spotkał Eileen Ryan, siedziała oszołomiona na ławce, a jej rower tkwił sztorcem w rowie. W sączącym się przez chmury światła słońca rude włosy dziewczyny błyszczały jak złoto. Philip zatrzymał się, wysiadł z samochodu i zapytał, czy nic jej się nie stało.

- Nie wiem. Gdzie ja jestem? - w jej angielszczyźnie brzmiał słodki zaśpiew irlandzkiego akcentu.

Widok Eileen go poraził. I w momencie, kiedy pomagał jej wsiąść do samochodu, zakochał się w niej. Narzeczeństwo nie było długie. Według rozwścieczonej rodziny, która podejrzliwie przyglądała się spotkaniom dziewczyny z członkiem protestanckiego świątka, to w ogóle nie było narzeczeństwo. Ryanowie nie chcieli, by jeden z Arbuthnotów kręcił się koło Eileen, zbyt młodej, ich zdaniem, by wiedzieć, jakie robi głupstwo. Nie liczyli na jej małżeństwo z Philipem, a nawet nie chcieli go. Przewidywali tylko, że wszystko skończy się wstydem i plotkami ziomków. Radzili się proboszcza, który wezwał do siebie Eileen, a potem spotkał się z jej ojcem i powiedział mu, że powinno się ją wysłać do krewnych w Cork i trzymać tam tak długo, póki nie minie niebezpieczeństwo grożące jej nieśmiertelnej duszy.

Tydzień później Eileen i Philip uciekli do Anglii i pobrali się w Londynie. Protestancki ślub nie udobruchał jego ojca, który był przekonany, że syn został złapany w

sidła przez przebiegłą dziewczynę, a ożenił się z nią ze względu na niewłaściwie pojęte zasady honoru. Matka po prostu odmówiła przyjęcia synowej, która nie była nikim lepszym od jej pokojówek. Fakt, że Ryanowie byli bogatymi farmerami, nie robił żadnej różnicy - byli ajryszami. W końcu rodzice Philipa doszli do wniosku, że kiedy synowi wróci rozum, znajdą się jakieś środki na spłacenie wstrętnej dziewczuchy.

Osiemnaście miesięcy później ojciec Philipa zmarł na nierozpoznanego wcześniej raka płuc. Nie wydziedziczył syna, jak doradzali niektórzy z bardziej skrajnie nastawionych przyjaciół, ani nie przyznał się żonie, że spotkał się w Londynie z synem i jego żoną. Mała, drobna, ładna dziewczyna z całą pewnością nie była w ciąży i najwyraźniej uwielbiała Philipa. Miała w sobie delikatność i wdzięk, które stary człowiek doceniał. Kiedy był chłopcem, widywał kobiety w szalach na głowach i z bosymi stopami, tak samo staromodnie wychowane. Życzył młodym szczęścia, ale nie zaproponował, by wrócili z nim do domu.

Kiedy zmarł, wdowa po nim przeniosła się do posiadłości w Meath, a Philip ze swą młodą żoną wrócił do Irlandii i zamieszkał w Riverstown. Stara gospodyni wymówiła, a starszej pani Arbuthnot powiedziała, że nie jest przygotowana do pracy dla „takich” osób.

Była piękna jesień 1938 roku. Kiedy minęli aleję utworzoną przez stare lipy i za zakrętem otworzył się widok na rzekę, Philip wziął Eileen za rękę i powiedział:

- Popatrz, kochanie, czy to nie piękne? Spójrz tylko na kolory liści drzew wzdłuż brzegu...

Widziała podniecenie na jego twarzy, więc uśmiechnęła się, żeby mu sprawić przyjemność. Z pewnością wspaniały blask czerwieni i złotej żółci to był cudowny obraz, ale w najmniejszym stopniu do niej nie przemawiał. W jej domu takich rzeczy nie komentowano. Kiedy ma się na głowie wielką farmę, dom i rodzinę, którą trzeba się zająć, nie ma czasu na gapienie się i podziwianie widoków. „Boże, miej nas w swej opiece. Nadchodzi ten okropny, wschodni wiatr” - mawiała jej matka, kiedy liście zmieniały kolor.

- To cudowne, Philipie - powiedziała cicho. - Jak namalowany obraz.

Ścisnął jej dłoń.

- Jak obraz, skarbie - powiedział. - Nie: namalowany obraz.

Eileen odwróciła głowę, więc nie widział lekkiego rumieńca zakłopotania, który pojawił się na jej twarzy. Kiedy spojrzał na nią, jego łagodna, mała żonka przywarła do jego dłoni, cicha jak polna myszka.

Przy frontowych drzwiach czekał na nich ogrodnik. Otworzył Philipowi drzwiczki samochodu, on zaś pomógł żonie wysiąść z auta.

- To jest Doyle - przedstawił Philip pracownika.

- Pani Arbuthnot.

Doyle zdjął kapelusz i zauważył, że nowa pani, nie wiedząc, co robić, wyciągnęła z wahaniem rękę, by uścisnąć jego dłoń.

- Witam pana, witam panią.

Trzymając Eileen pod ramię, Philip poprowadził ją do głównego wejścia, a potem przez hol, gdzie stał przerażający szereg dziewcząt w jednakowych białych fartuszkach i kucharka, którą Eileen знаła od dziecka. Podchodziły pojedynczo, by ją powitać. Czują, jak płoną jej policzki, kiedy jej koleżanka ze szkoły w Naas, którą prowadziły zakonnice, powiedziała:

- Witam panią.

Niektóre uśmiechały się chytrze.

- Pani Gerard odeszła, sir. Przyjmie pan kogoś innego? - spytała kucharka.

- To sprawa mojej żony - powiedział Philip zdecydowanie. - Teraz chcielibyśmy napić się herbaty w bibliotece. I prosimy o wczesną kolację, Mary. Pani Arbuthnot jest zmęczona. Mamy za sobą długą podróż.

- Czy rejs był nieprzyjemny, sir?

Eileen stała, kiedy Philip gawędził z Mary, jej daleką krewną ze strony Ryanów. Zachowywał się swobodnie - żartował ze służącymi, po czym odwrócił się i odprawił wszystkich, mówiąc z radością:

- Jak dobrze być w domu i widzieć was znowu.

Czuł się taki szczęśliwy. Kiedy znaleźli się sami w bibliotece, pełnej zamkniętych za metalowymi kratami książek, gdzie czuć było stęchliznę, objął ją i pocałował.

- To cudowne być tutaj z powrotem - powiedział. - Wspaniale, że jesteś ze mną, kochanie. Pokochasz Riverstown. Więc co powiesz na mały uśmiech?

Posadził ją sobie na kolanach i całował, budząc w niej wszystkie grzeszne myśli, które przez całe życie uczyła się ukrywać. „Jest cudownie płomiennym maleństwem” - powiedział do siebie Philip, zapominając całkowicie o herbacie. Rozsunął poły jej płaszcza i rozpiął bluzkę.

To Eileen usłyszała pukanie i zeskoczyła z jego kolan, zanim otworzyły się drzwi. Lily, przełożona pokojówek, kobieta po trzydziestce, ustawiła na stoliku srebrną tacę. Nie patrzyła na Eileen, zwróciła się do Philipa.

- O której życzy pan sobie kolację, sir?

Philip dobrze ją znał. Pochlebiała jego matce, skarżyła na inne pokojówki, ponieważ miała zakusy na pracę pani Gerard, którą znienawidziła.

- Zapytaj panią Arbuthnot - powiedział.

Eileen wpadła w panikę. Philip nie uznawał podwieczorku, który jadali w jej domu, tylko kolację. Całe ich wspólne życie to zaledwie kilkanaście miesięcy spędzonych w wynajętym londyńskim mieszkaniu. Nie pozwolił jej gotować, a do robienia tego, co ona uważała za obowiązki żony, została wynajęta kobieta. O której godzinie? Lily powtórzyła pytanie z kpiącym błyskiem w oku.

- Kucharka pyta, o której pani sobie życzy kolację, madam?

- O ósmej - Eileen przypomniała sobie ich londyńskie zwyczaje.

Wiele miesięcy zabrało jej przyzwyczajenie się do jedania o tak późnej porze i tak często w ciągu dnia.

- Dobrze, proszę pani.

Drzwi się zamknęły i Philip rozpostarł ramiona. Potrząsnęła głową. Jej pożądanie minęło.

- Należę herbaty - powiedziała.

- Możemy iść wcześniej spać - podsunął. - A może chcesz się najpierw rozejrzeć po domu?

Podawała mu filiżankę. Trochę herbaty rozlało się na spodeczek, bo drżały jej ręce.

- Wolę się raczej położyć, niż oglądać dom - powiedziała. - Gdybyśmy byli teraz w Londynie, to owszem. Ale nie tutaj, Phil. Nie wtedy, kiedy cała służba obserwuje nas i chichocze po kątach.

- Nie bądź śmieszna! - wykrzyknął. - Nikt nie podgląda! Kochanie, na litość boską, jesteś tutaj panią! W stosunku do Lily zachowałeś się absolutnie doskonale. Rozumiem, że z początku wszystko musi być dla ciebie trochę dziwne, ale mówienie, że nie będziesz się kochać ze swoim własnym mężem w swoim własnym domu z powodu służby...

- Dla ciebie to są służący - powiedziała cicho - ale ja chodziłam z nimi do szkoły. Mary Donovan jest kuzynką mojego ojca! Jak mam kierować tym domem i być żoną, z której byłbyś dumny, skoro wychowywano mnie inaczej, o czym wiedzą wszyscy w tym domu! Jak mam to zrobić, Phil?!

„Wygląda na dość stanowczego - pomyślała nagle. - Cały Arbuthnot, który natknął się na jakieś irlandzkie nonsensy”.

- Jeżeli sprawia ci jakąś trudność to, że ich znałaś, Eileen, zwolnimy wszystkich i przyjmujemy nową służbę. Więc wyrzuć to z głowy raz na zawsze. A teraz daj mi kawałek ciasta owocowego i nie bądź głuptasem. Wycieczkę po domu odbędziemy pod fachowym przewodnictwem. A przy okazji - chciałbym, żebyś wszędzie zmieniła meble, kupiła nowe

zasłony i zrobiła tego rodzaju rzeczy. To teraz jest twój dom. Pamiętaj o tym.

Jej oczy napelniły się łzami.

- Kocham cię - powiedziała. - Dam z siebie wszystko, obiecuję. Pokocham Riverstown, ponieważ jest twój.

- Grzeczna dziewczynka - odparł. - Spróbuj tego ciasta. Mary piecze najlepsze ciasto z owocami w całej Irlandii.

Odkroiła sobie kawałek, żeby mu sprawić przyjemność. Ciasto było ciężkie i, jak na jej gust, zbyt nasączone whisky. „Mój placek jest lepszy - pomyślała. - Ale nigdy nie pójdę do własnej kuchni i nie będę piekła dla własnego męża. Nie będę mogła stanąć i poplotkować z kuzynką taty ani upiec ciasta z owocami według przepisu mamy. Jestem panią Arbuthnot. I moje życie zmieniło się raz na zawsze. Dzięki Bogu, kocham go, inaczej poszłabym stąd i wróciła do domu, zanimby się obejrzał. Ale tak mówić też mi nie wolno”.

- Phil - odezwała się miękko. - Zróbmy tę wycieczkę. Chcę zobaczyć naszą sypialnię.

Tylko że nie była ich. Eileen zobaczyła wielki, wysoki pokój z sufitem pełnym stiuków i łóżkiem ozdobionym draperiami na środku pokoju niczym tron. Nie było materaca, tylko gołe deski, a mahoń błyszczał świeżą politurą. Matka Philipa nic po sobie nie zostawiła, żadnych zdjęć ani zbieranych latami drobiazgów. Ale to nadal był jej pokój.

- Mama nigdy nie była zwolenniczką zmian - powiedział. - Ta sypialnia ujdzie w tłoku.

- Niebieski jest zbyt ciemny - wykrztusiła Eileen w końcu. - Ładniejszy byłby jasnopopielaty. Może nowy dywan...

Chciała zmienić cokolwiek, byle z sypialni, w której miała leżeć w jednym łóżku z jej synem, usunąć ślady obecności szlachetnie urodzonej Blanche Arbuthnot z Dankelly Castle w Country Louth.

*

W kuchni odbywała się narada. Zaparzano herbatę, a wielkie ciasto, takie samo jak to, które zaniesiono do biblioteki, zostało pokrojone na grube kawałki. Rej za stołem wiodła Lily. Jej ściągnięta twarz była blada z oburzenia. Słowo „podła” właściwie określało jej charakter.

A ona tam siedzi, odgrywając pyszną damę i kokosi się w fotelu pani Arbuthnot. „O ósmej, Lily” - naśladowała głos Eileen. - Pani Gerard miała rację, że spakowała manatki i odeszła. Gdybyście tylko widzieli, jaka jest zmanierowana!

Lily dopiła herbatę i wyciągnęła przed siebie filiżankę, by jedna z młodszych pokojówek napelniła ją ponownie. W stosunku do nich była tyranem. Doyle, który siorbał herbatę ze spodeczka, spojrział sponad niego.

- Pamiętam jej ojca - powiedział. - Brudny jak świnie, które pasał, i bez grosza przy duszy do czasu, kiedy jego stary wuj, kutwa, umarł i zostawił mu farmę. Też poślubił pannę z niewielkim posagiem. Z pewnością muszą być zadowoleni, widząc, że ich córka weszła do takiego świata.

Doyle nie był człowiekiem złośliwym. Zazdrość wędnących kobiet nie wzruszała go. Lubił poplotkować i znał wszystkich w okolicy.

Siedząc, Mary opierała łokcie na kuchennym stole. Ramiona miała pulchne i pożyłkowane, jej tłuste dłonie kołysały filiżankę.

- Sprowadzili nawet do niej ojca Dowda - oświadczyła. - Guzik to dało. Uciekła, łamiąc serce mojemu biednemu kuzynowi.

Prześlizgnęła się nad swym pokrewieństwem z nową panią z mieszaniną satysfakcji i smutku.

Ani Lily, ani reszcie panien służących, nie spodobało się to wynoszenie ponad nie.

Bernadette, młodsza pokojówka, westchnęła i powiedziała złośliwie:

- Musisz się za nią wstydzić.

Mary uznała w duchu, że Bernadette należy pokazać, gdzie jej miejsce.

- Ach, czas przygotować kolację dla pana i jego żony. I posprzątać kuchnię, zanim przyjdzie ją obejrzyć. Doyle, naniósł mi błota swoimi brudnymi buciorami.

- Nie mam pojęcia, jak się przymuszę, żeby jej służyć - gderała Lily - kiedy tak rozsiądzie się na miejscu pani Arbuthnot przy stole. Chętnie wylałabym jej zupę na podolek!

- Raczej uważałbym, Lily - odezwał się Doyle od kuchennych drzwi. - To jego mamy zadowolić, nie ją. Nie będzie się bardziej przejmował waszymi fochami, niżby to zrobił major.

Ojciec Philipa służył podczas pierwszej wojny światowej w Gwardii Irlandzkiej i kiedy o nim mówiono, zawsze używano jego stopnia wojskowego.

- Za cholerę nie mam błota na butach - mruknął i wyszedł na tył domu, do ogrodu.

Tymczasem na górze Eileen opierała się Philipowi, który usiłował ją rozebrać.

- Nie tutaj - szeptała, unikając jego namiętnych pocałunków. - Nie możemy iść gdzieś indziej?

W końcu kochali się w ubieralni jego ojca, ściśnięci na wąskim łóżku. Potem Eileen zasnęła. Obudził ją delikatnie, uśmiechając się do niej.

- Jesteś małą tygrysią - powiedział. - Podrapałaś mnie do krwi. Musimy się przebrać, kochanie, więc lepiej wstawaj.

Ponieważ dostrzegł na jej twarzy wyraz oszołomienia, wyjaśnił:

- Zawsze przebieramy się do kolacji w domu. Wiem, że to nudne, ale tego się po nas oczekuje. Wykap się i włóż dla mnie coś ładnego. Co powiesz na tę niebieską sukienkę, którą kupiliśmy razem?

Był to taktowny sposób pouczenia jej, że musi włożyć wieczorową suknię, a on smoking. „Biedne kochanie - pomyślał, pluszcząc się w gorącej wodzie w łazience ojca - wszystko to jest dla niej bardzo dziwne, ale wkrótce się przyzwyczai”. Nie miała nic przeciwko temu, że poprawiał jej wymowę i bardzo szybko się uczyła. Wzorowała się na nim, kiedy mówiła, i prosiła, by ją korygował, kiedy wyrażała się niewłaściwie. Problemem były jej stroje. Ale trudność została rozwiązana, ponieważ kupili nowe rzeczy. Jest taka ładna, że nie ma specjalnego znaczenia, w co się ubierze. Jeszcze lepiej, gdyby nic na sobie nie miała! Spóźni się, jeśli nie przestanie o tym myśleć i nie przygotuje się.

Przed kolacją, w garderobie, Philip nalał jej kieliszek szampana. W długiej, obcisłej, niebieskiej sukni Eileen wyglądała bardzo pięknie. Jego matka zabrała ze sobą całą rodziną biżuterię. W prezencie ślubnym ofiarował żonie sznur sztucznie wyhodowanych pereł. Do dekoltu sukni miała teraz przypiętą małą, niebieską broszkę. Nic lepiej nie pasowało do jej stroju, ale nigdy wcześniej nie widział tej ozdoby.

- Skąd ją masz, kochanie?

Dotknął palcem broszki tak delikatnie, jakby była gotowa wybuchnąć w każdej chwili niczym petarda.

- Po babuni - wyjaśniła. - Daje mi ją na moje osiemnaste urodziny.

- Jest bardzo ładna - stwierdził Philip. - Po babce, kochanie, nie babuni. Mówiąc tak, zachowujesz się jak mała dziewczynka. I dała ci ją.

- No jasne.

Nagle zawirowała przed nim na pięcie zuchwale, szydząc z jego wysiłków, które miałyby zrobić z niej anglo-irlandzką damę. - Słuchaj uchem, a nie brzuchem, młody panie!

Lily, która już miała zapukać do drzwi, by zaanonsować kolację, usłyszała ich śmiechy i przystanęła, nadstawiając ucha. Doleciał ją głos Philipa:

- Masz rację, skarbie. Poślubiłaś nadętego idiotę!

Nie dosłyszała odpowiedzi Eileen, ale nim zapukała, mruknęła:

- Gówno prawda. - A potem: - Podano do stołu, proszę państwa.

Pierwsze zaproszenie nadeszło, kiedy mieszkali w Riverstown już dwa miesiące. Przesłała je lady Hamilton, a było zaadresowane do pani Philipowej Arbuthnot. W kopercie znajdowała się także wizytówka, a sam list napisano tak niewyraźnie, że Eileen podejrzewała nadawczynię o brak troski o to, czy ktoś go odczyta, czy nie. Philip znał, oczywiście, to

nazwisko. Rodzina Hamiltonów nie była zamożna. Wiele jej gruntów zostało sprzedanych, by pokryć długi zaciągane przez kolejnych marnotrawnych synów. W zależności od sposobu oceny małego powstania z lat dwudziestych osiemnastego stulecia ich baronostwo było albo nagrodą za lojalność, albo za ciemnienie innych. Hamiltonowie byli starą szlachtą, tolerancyjną, ponieważ od dziesiątków lat osuwali się jak po równi pochyłej, wydani na pastwę pijaństwa i próżniactwa. W latach dwudziestych naszego wieku pożar, jak na zamówienie, uwolnił rodzinę Hamiltonów od kłopotu, którym był olbrzymi, niemożliwy do utrzymania dom. O sir Williamie Hamiltonie powiadano, że prędzej sam by podłożył ogień, niż naprawił dach, który w jednym skrzydle budynku przepuszczał potoki deszczu.

Towarzystwo ubezpieczeniowe zgodziło się, by uznać IRA za winną podpalenia i odmówiło wypłaty odszkodowania. Hamiltonowie znaleźli się więc w wypalonych ruinach, mając do dyspozycji jedno ocalałe skrzydło domu. Lokalny przedsiębiorca budowlany zobowiązał się wyburzyć spaloną część budynku w zamian za nadające się do powtórnego wykorzystania materiały i wtedy posiadłości Hamiltonów nadano nazwę Pół Domu. Obecna lady Hamilton była Angielką i miała trochę własnych pieniędzy. Eileen wolno odczytała jej list.

Droga pani Arbuthnot, dotarła do nas wieść, że od czasu śmierci biednego majora mieszkają Państwo w Riverstown. Byłoby nam miło, gdyby Państwo przyjęli nasze zaproszenie i 19 grudnia przybyli do nas na kolację. Termin jest może nieco zbyt bliski Bożego Narodzenia, ale wydaje się, że to dobry pretekst, by zorganizować przyjęcie i zabawić kilkoro naszych znajomych. Mamy nadzieję, że będą Państwo mogli przybyć i liczymy, że Panią poznamy.

*Szczerze oddana
Claudia Hamilton*

P. S. Prześlę Pani aide mémoire, jeśli wolno.

Eileen podała list Philipowi.

- Co znaczy *aide mémoire*?

- Przypomnienie. - To znaczy, że napisze jeszcze raz w tej sprawie. To bardzo uprzejmy list. Polubisz ją, jest bardzo zabawna. I wspaniała amazonka. Jej mąż to poczciwy facet, ale najczęściej jest wstawiony. Sądzę, że powinniśmy pójść.

- W porządku - odpowiedziała. - Jeśli chcesz.

- Gdyby nie byli miłymi ludźmi, nie myślałbym o tym - rzekł zdecydowanie Philip. -

Polubią cię, a ty polubisz ich, kochanie. Prędzej czy później będziesz musiała nawiązać stosunki z naszymi sąsiadami, a to przyjęcie byłoby dobrym początkiem. No cóż, muszę teraz wyjść. Zobaczymy się podczas lunchu.

Pocałował ją, uściśnął jej ramię i już go nie było. Zdumiewało ją, jak wiele miał zajęć w związku z posiadłością. Ona przeciwnie - nie miała prawie nic do roboty. Obok jej miejsca przy stole stał mały, ręczny dzwonek. Zadzwoiła na Bernadettę, by posprzątała po śniadaniu. Po pierwszym obchodzie swego nowego domu Eileen unikała wizyt w kuchni jak ognia. Starania Mary, by spoufalać się z nową panią, kiedy Philipa nie było w pobliżu, wprawiały ją w zakłopotanie.

Rozumiejąc trudności, z jakimi ma do czynienia żona, Philip zaproponował zmianę zwyczaju jego matki i dysponowanie posiłków za pośrednictwem Lily, jakby pełniła obowiązki gospodyni. Jej gorzka uraza była dla Eileen łatwiejsza do zniesienia niż usiłowania choliernej kuzynki, która najwyraźniej chciała wykorzystać ich dalekie pokrewieństwo.

Instynkt podpowiadał Lily, by trzymać ze stroną zwycięską, a wkrótce też nakazał powściągnąć nieprzychylny stosunek do młodej pani Arbuthnot. Stała się wobec niej przymilna, oczyma duszy widząc się już w roli ochmistrzyni. Eileen przejawiała zadziwiającą siłę. Może była nieśmiała i brakowało jej pewności siebie, ale nie dawała się zapędzić w kozioróg i służba powoli zaczęła ją akceptować. Gderali i plotkowali między sobą, ale Philip wiedział, że jego żona panuje nad wszystkim.

Tego listopadowego poranka wyszła z jadalni i wzięła psy na spacer nad rzekę. Był to stary labrador i dwa teriery odmiany Jack Russell, które uwielbiały uganiać się za królikami. Do tej pory Eileen nigdy nie miała własnego psa. Trzymanie zwierząt domowych nie należało do irlandzkiego stylu życia. Zwierzęta miały pracować, a nie leżeć na kanapie. Nikt nie zachowywał się wobec nich bardzo czule, ale też i nie szczególnie okrutnie. Ludzie byli biedni - nawet lepiej sytuowani harowali godzinami na swoich farmach, i jeśli krzątano się wokół kogoś, to wokół starców i dzieci.

Był łagodny poranek. Słabe słońce znacząco cętkami światła ziemię pod drzewami. Rzeka płynęła przed siebie, przez Dublin do morza, a samotny mężczyzna z idącym tuż za nim psem spacerował po przeciwległym brzegu Liffey. Eileen uwielbiała ją. Nie wędkowała oczywiście. Nie uważano, by uprawianie sportów było odpowiednie dla dziewcząt. Jeden czy dwa biegi w dniu rozdania świadectw w miejscowej szkole, ale z zachowaniem skromności - w przyzwoitych spódnicach i spodenkach gimnastycznych pod spodem. To było maksimum, na które pozwalano irlandzkim panienkom. Inne nacje mogły wychowywać młode kobiety na troglodytki, ale nie dotyczyło to Cór Marii.

Eileen miała młodszego brata, Kevina, który na swój cichy sposób był ślepo w nią wpatrzony. Nie mówił wiele, ale zawsze okazywał siostrze sympatię. Starszy brat nie myślał o niczym innym, jak tylko o dniu, w którym odziedziczy farmę i będzie mógł pojąć za żonę swoją ukochaną. Miał trzydzieści pięć lat i - jak powszechnie uważano - sporo czekania przed sobą.

Labrador szedł wolno obok Eileen, a teriery buszowały daleko w przodzie, biegając na swych krótkich łapach. Philip uwielbiał te cuchnące, agresywne, małe psy i zawsze się podniecał, gdy dobierały się do króliczych nor. Eileen nie rozumiała, dlaczego mąż traktuje je w ten sposób, ale gdy wychodziła z nimi sama, poświęcała terierom szczególną uwagę. Philip chciał, żeby przyjęła zaproszenie Hamiltonów. Miała dreszcze, więc otuliła się szczelnie płaszczem.

Poślubienie Philipa to jedno, kochanie go zaś i przeciwstawienie się własnej rodzinie i ojcu Dowdowi wymagało więcej odwagi niż miała, ale niesprawiedliwa postawa, którą prezentowali, przekreślała w jej oczach ich argumenty. Zapracowywanie na posłuch i poważanie zatrudnionych w Riverstown kobiet, które widziały w niej kogoś nie lepszego od nich samych, to była dodatkowa trudność. Wiele nocy Eileen przepłakała w samotności, kiedy Philip zasypiał szybko u jej boku, a następnego dnia wstawała uśmiechnięta, by na nowo podjąć walkę. Nie było innego wyjścia, jak tylko zwyciężyć, do czego dążyła pokojowymi metodami. Nawet dom, z wielkimi, imponującymi pomieszczeniami i ciemnymi portretami Arbuthnotów, zaczął się jej wydawać mniej obcy, gdy już urządziła na nowo sypialnię, a gabinet zmieniła w przytulną bawialnię, w której wspólnie z Philipem spędzali wieczory.

Ale spotkanie z sąsiadami, którzy wiedzieli nie tylko, kim Eileen jest, ale także i to, że jej teściowa wolała przeprowadzić się do innego hrabstwa, niż stanąć z nią twarzą w twarz - to ją, doprawdy, przerażało. Eileen była rodowitą Irlandką. Przez całe życie wpajano jej, że Philip i jemu podobni to obcy, którzy władają gruntami zagrabionymi ich prawowitym właścicielom. Potomkowie oprawców Irlandii i katów Kościoła katolickiego. Obce ziarno, jak mawiał ojciec Dowd, kiedy podejmowano go w domu Ryanów i z jej ojcem rozprawiali o polityce. Chwasty powinny zostać wyrwane z korzeniami i spalone. Twierdzono powszechnie, że w latach dwudziestych ksiądz osobiście zachęcał do wielu podpaień. Jego własną rodzinę głód zmusił, by wyemigrowała do Ameryki. Poczucie doznanych w przeszłości krzywd było silniejsze niż chrześcijański nakaz przebaczenia. Eileen pamiętała, jakie miała zdanie o Arbuthnotach i ludziach tego pokroju, zanim zakochała się w Philipie. Wiedziała także, co oni myśleli o niej i jej ziomkach. Przez całe wieki ten układ był bardzo prosty i zasadniczo nic się w nim nie zmieniało. Krótko przed śmiercią stary major spotkał się

potajemnie z synem i synową. Był dżentelmenem i Eileen doceniała jego kurtuazję, ale nie czuła w nim serdeczności ani ciepła. „Przyjechał oziębły i taki odjechał. Wprost do grobu” - myślała wówczas.

Dotarła do ławki zrobionej z powalonego pnia drzewa. Było wystarczająco ciepło, by usiąść i przyglądać się rzece. Labrador przywarował u jej stóp, a teriery pomknęły i kopały zawzięcie w poszyciu lasu. Eileen przywoływała je, ale bez najmniejszego skutku. Przypomniała sobie tę okropną scenę, którą urządził ojciec, kiedy zabronił jej widywać się z Philipem i zapowiedział, że zostanie wysłana do Cork na tak długo, aż wróci jej rozum. Nie słuchał, gdy usiłowała mu powiedzieć, że zamierzają się pobrać. „Ślub w kościele protestanckim! Żadna z moich córek nie postawi w nim nogi, prędzej ujrzę ją martwą!” Nie chciał słuchać o kompromisie, który wypracowali - ślub w kościele anglikańskim, synowie wychowywani w wyznaniu ich ojca, a córki chrzczone w kościele katolickim. Wszystko, co był w stanie dostrzec Ryan, to wstyd i hańba, jakie ten związek sprowadzi na porządną irlandzką rodzinę.

Uciekła wówczas do swojego pokoju i płakała. Czuła się nieszczęśliwa. Przyszła jej matka i do słów ojca dołożyła własne ostrzeżenia. Bidget mówiła łagodnie, ponieważ była spokojną kobietą. Jack Ryan szalał za nich oboje. Usiadła na skraju łóżka i przypomniała Eileen, że ryzykuje wieczne potępienie duszy. Czy nie rozumiała, co ojciec Dowd powiedział nie dalej jak tego popołudnia? Poza tym nikt z rodziny ani przyjaciół nie odezwie się do niej słowem. Zostanie odcięta od korzeni. A co z jego znajomymi? Czy Eileen wyobraża sobie, że ją zaakceptują? Czy nie będzie jej stale głupio, bo będzie wiedziała, że wyśmiewają się z niej i jej irlandzkich nawyków? „Bagienne kłusaki - przypomniała jej matka - oto jak nas nazywają. Paddy⁶ i jego świnia. Jest nam dobrze tu, gdzie jesteśmy, ale to jest ich miejsce. Chcesz mi powiedzieć, że będziesz się czuła w ich towarzystwie swobodnie?”

Następnego ranka Eileen opuściła farmę. Nigdy już nie miała wiadomości od swoich rodziców, braci i siostr. Tak jak zapowiedzieli, została wykluczona ze swojej kasty. Wyjęła z kieszeni list od lady Hamilton i przeczytała go znowu. Kolacja 19 grudnia. Philip powiedział, że powinni pójść. „Polubisz ją, kochanie. Jest bardzo wesoła”.

Philip był przekonany, że Eileen odniesie towarzyski sukces. Zawsze jej mówił, jaka jest ładna i podkreślał, jak wspaniale prowadzi Riverstown. Czuł się szczęśliwy, zakochany w żonie i bardzo zadowolony. Dwukrotnie odwiedzał matkę i wracał od niej z pełnym optymizmem przekonaniem, że pani Arbuthnot zaakceptuje to małżeństwo i wkrótce złoży im

⁶ Paddy (od imienia Patrick) - przezwisko Irlandczyka (przyp. tłum.).

wizytę. „Wszystko jest cudowne” powiedział, i w jego odczuciu tak było. Jeśli jego matka przyjedzie, Eileen przyjmie ją, zamiast zatrzaskać jej drzwi przed nosem za to, jak się wobec niej zachowała. Philip napisał bardzo pojednawczy list do jej ojca w nadziei, że Ryanowie uznają w nim zięcia. Eileen była zdumiona, że w ogóle spodziewał się odpowiedzi.

Długo siedziała nieruchomo. Poczwała nagle chłód, więc wstała. Po terierach nie było śladu. Straciła całą energię.

- Buttons! Ruby!

- Są tutaj, proszę pani, ze mną.

Doyle włókł się ścieżką, a pieski kłusowały obok niego.

- Będzie wiało - powiedział. - Jak pani tu będzie siedzieć, zaziębi się pani albo zamarznie na śmierć.

- Słońce się schowało - zauważyła. - Zaraz zacznie padać.

- Tak. Proszę wracać do domu, zanim spadnie deszcz. Ja wezmę te małe diabły, madam.

- Tak zrobię - i na chwilę zapanowało pomiędzy nimi błogosławione porozumienie.

Doyle uśmiechnął się do niej szeroko, a ona się odwróciła, by ukryć łzy. „Marnie wygląda - pomyślał. - I na smutną, kiedy tak siedziała na ławce. Nawet nie zauważyła zmiany pogody. Musi się czuć samotna z dala od swoich”. Uważał ją za bardzo miłą dziewczynę i współczuł jej. Uwiązał psy na sznurku i nieśpiesznie poszedł z powrotem. Doyle nigdy się nie śpieszył. To czas został stworzony dla człowieka, a nie człowiek dla czasu. Dotarł do tylnych drzwi domu we właściwej chwili - w ciepłej kuchni właśnie szykowano poranną herbatę.

- Wyglądasz cudownie, skarbie - powiedział Philip, wychodząc z garderoby, przed którą czekała Eileen ubrana i gotowa do wyjścia na wieczorne przyjęcie.

„Garnitury znakomicie na nim leżą” - pomyślała, patrząc na męża. Nie miał z tym żadnego kłopotu, a ona przymierzyła trzy sukienki, zanim w rozpaczy zdecydowała się właśnie na tę. Urodził się już z pewnością siebie, więc nie mógł zrozumieć, jaką męczarnią był dla niej ten wieczór.

- Cudownie - powtórzył. - Gdzie ją kupiłaś? Nie przypominam jej sobie.

- W tym wielkim sklepie na Piccadilly - odparła. - Kosztowała fortunę, a nawet nie jestem pewna, czy się sobie w niej podobam.

- Ale ja jestem pewien - oświadczył. - Weź teraz okrycie i chodźmy. Claudia jest Angielką i nie lubi ludzi, którzy się spóźniają.

Kiedy zajechali na podjazd Pół Domu, ścisnął jej dłoń.

- Odniesiesz wielki sukces - powiedział cicho. - Wszyscy się w tobie zakochają.

Claudia Hamilton okazała się kobietą bardzo wysoką i szczupłą. Jej muskularne ramiona były nagie. Miała jasnoniebieskie oczy, włosy zaplecione w warkocz owinięty dookoła głowy. Mówiła głośno, z angielskim akcentem. Na powitanie pocałowała Philipa, co nie zachwyciło Eileen. Zmieniła zdanie, kiedy się przekonała, że był to ogólnie przyjęty zwyczaj. Dziwni ludzie, wszyscy się cmokali. Potem Claudia wyciągnęła rękę do Eileen i uścisnęła jej dłoń tak mocno, że młoda pani Arbuthnot aż się skrzywiła.

- Miło panią poznać. I jaka boska suknia! Proszę ze mną, przedstawię panią wszystkim.

Nie знаła żadnego z nazwisk osób, którym ją przedstawiano, uśmiechała się i potrząsała dłońmi obcych ludzi, którzy ją sobie przekazywali z rąk do rąk jak paczkę i taksowali, badawczo się jej przyglądając. Irlandzka żona Philipa. Wszyscy zachowywali się niezwykle przyjacielsko. Podano jej wytrawne martini, którego nie lubiła, i kiedy nikt nie patrzył, odstawiała je z powrotem na stół, niemal nie maczając w nim ust. Rozmawiano z nią, unikając krępujących tematów, jak na przykład kwestii jej małżeństwa. Konwersacja o Londynie była bezpieczna i odpowiadając na pytania dotyczące ich pobytu tam, Eileen mogła się uśmiechać i udawać ożywienie. Claudia rozmawiała z Philipem. Eileen wolałaby, żeby był przy niej, ale po pierwszych dziesięciu minutach został porwany przez innych gości. Zastanawiała się, co sobie mówią na jej temat. Raz zauważyła, że Claudia przygląda się jej z szerokim uśmiechem, który miał jej dodać odwagi. „Dobrze ci idzie” - zdawał się mówić. Przeszli do jadalni. Eileen zawahała się i spojrzała niespokojnie na Philipa, który stał po drugiej stronie stołu.

- Twoje miejsce jest tutaj, obok Jamesa - Claudia poprowadziła ją do krzesła po lewej stronie gospodarza. - Nie pozwól mu pić za dużo - szepnęła.

Zdumiewające, że żona powiedziała coś takiego o własnym mężu do osoby, którą pierwszy raz widziała na oczy.

Jedzenie nie było zbyt smaczne, a widok baterii sztucców zgromadzonych po obu stronach talerza skutecznie odbierał Eileen apetyt. Posługiwała się nimi prawidłowo, bo obserwowała poczynania kobiety, która siedziała naprzeciwko niej. Popijała wino małymi łyżkami, a trud podtrzymywania rozmowy pozostawiła Jamesowi Hamiltonowi. Robił, co mógł. Gawędził o pogodzie, wyścigach, o marnych wynikach polowania. Czy ona poluje? No tak, oczywiście, musi zacząć... Jego żona jest zwariowana na punkcie myślistwa. Skręci sobie kiedyś kark, jeśli nie będzie ostrożniejsza. Strasznie mu przykro z powodu śmierci teścia Eileen. Taki wspaniały facet. Jak się ostatnio miewa biedna Blanche? Szkoda, że wyjechała do Meath.

- Nie wiem, jak się czuje - powiedziała Eileen nagle. - Nigdy jej nie widziałam.

Hamilton wyglądał na zaskoczonego. Żona wyjaśniała mu całą sytuację, ale nigdy nie dawał wiary temu, co nazywał babskimi plotami. Słyszał, że Arbuthnot poślubił córkę miejscowego farmera, ale było to mniej więcej wszystko, co wiedział na ten temat.

- Doprawdy? Dlaczegoż to? Odsunęła się od świata? To niepodobne do Blanche.

- Nie chciała, by Philip mnie poślubił - nie mogła się powstrzymać Eileen. Wiedzą, muszą o tym wiedzieć. Nie zamierzam udawać. Niczego się nie wstydzę. - Dlatego usunęła się do Meath. Żeby opuścić dom przed moim przyjazdem.

- Doprawdy? - powtórzył i przyjrzał się jej z zainteresowaniem.

Co za niezwykła dziewczyna! To piekielnie trudne powiedzieć coś takiego wszystkim w oczy. Zastanawiał się, ilu spośród gości słyszało ich rozmowę. Śliczna mała, ale Philip musi udzielić jej paru wskazówek, jak powinna się zachowywać w towarzystwie.

- Z pewnością niebawem was odwiedzi - powiedział.

- Być może - odparła Eileen - ale ja się do niej nie wybieram.

Upiła trochę wina i zauważyła, że dziewczyna siedząca po prawej ręce Hamiltona przygląda się jej. Gospodarz zwrócił się do młodej kobiety, która wciąż nie spuszczała wzroku z Eileen. Mężczyzna siedzący po jej drugiej stronie jadł. Poczula się odizolowana od reszty towarzystwa. Dwanaście osób siedzących wokół stołu znało się, całowało na powitanie, zwracało się do siebie po imieniu, miało takie samo pochodzenie i zainteresowania. Wykluczenie z tego grona trwało zaledwie kilka minut, ale jej wydawały się one wiecznością.

- Proszę mi powiedzieć, pani Arbuthnot - siedzący obok mężczyzna przestał jeść - czy sądzi pani, że wybuchnie wojna?

- Wojna? - potrząsnęła głową. - Z kim?

- Z Niemcami - wyjaśnił. - Wy, dziewczęta, jesteście wszystkie takie same. Nie czytacie w gazetach niczego poza artykułami o modzie. Obawiam się, że dojdzie do wojny.

- Ale my nie będziemy w niej uczestniczyć. To nie ma z nami nic wspólnego.

Przerwała na chwilę, ponieważ zorientowała się, że powiedziała coś niestosownego. Ale co?

- Z niektórymi ludźmi nie, jak sądzę - odparł jej sąsiad. - Jednak nie wyobrażam sobie, żeby w razie czego Philip siedział w domu z założonymi rękami. Tak czy inaczej - obdarzył ją zimnym uśmiechem - pomówmy o czymś weselszym. Jak pani znajduje życie w Riverstown?

Mruknęła coś zdawkowego - każda dyplomatyczna odpowiedź była jak najbardziej na miejscu. Przecież tak naprawdę to go nie interesowało. Wrócił do krojenia mięsa i budowania

na widelcu niewielkich porcji jedzenia. Co miał na myśli, mówiąc o Philipie? Dlaczego jej mąż miałby iść walczyć, gdyby Anglia przystąpiła do wojny? W poprzedniej jego ojciec dosłużył się stopnia majora i dostał medal. A jej wujowie, ci głupsi, poszli na wojnę do Francji i wrócili zagazowani. W trumnach.

Zabrano jej talerz. Zrezygnowała z leguminy. Philip nie mógł jej przekonać, by mówiła *pudding*, kiedy chodziło o lody lub przesłodzony mus owocowy. Poczowała lekkie mdłości. Ten wstrętny człowiek miał, oczywiście, rację. Nie czytywała angielskiego „Times’a” ani „Irish Times’a”. Były to jedyne gazety, jakie dostarczano do ich domu. Nie prenumerowali ilustrowanych pism, które zawierały krótkie informacje, ani żadnych kobiecych tygodników, pełnych przepisów kulinarnych i domowych porad, które tak uwielbiała czytać jej matka. Wojna! Nie pozwoli Philipowi iść na nią.

Wiedziała, że w trakcie przyjęć kobiety pozostawiają mężczyzn w jadalni. Była na to przygotowana, więc kiedy nadeszła właściwa pora, podążyła za Claudią Hamilton i pozostałymi paniami na górę. Sypialnia Claudii okazała się urocza. Stało tam wielkie, przybrane falbankami łóżko, przykryte puszystymi, białymi kołderkami, zasłane jedwabnymi poduszkami i oświetlone na różowo.

- Łazienka jest tam - wskazała Claudia, opadając na łóżko.

- Muszę koniecznie z niej skorzystać - powiedziała dziewczyna, która tak nieprzychylnym wzrokiem patrzyła przy stole na Eileen, po czym pobiegła i zamknęła za sobą drzwi.

Claudia lekko uderzyła pośladki obok siebie.

- Usiądź. Czy mogę nazywać cię Eileen? A ty musisz do mnie mówić Claudia. „Lady Hamilton” przypomina mi moją teściową, Boże wybacz! - roześmiała się i poklepała Eileen po ramieniu.

„Dlaczego jest w porządku - zastanawiała się Eileen - kiedy Claudia opowiada takie rzeczy, a nie na miejscu, gdy ja mówię coś podobnego o pani Arbuthnot?” Kobiety roześmiały się. Jedna z nich, starsza, lady jakaś tam, której nazwiska Eileen nie mogła zapamiętać, powiedziała:

- Nie bądź niesprawiedliwa, Claudio. Twoja teściowa nie jest wcale taka zła.

- Jest okropna - upierała się lady Hamilton. - Wydzwania do Jamesa i narzeka, że nie ma pieniędzy, a chce coś tam kupić. Nie dostanie ode mnie grosza, przysięgam wam. - Odwróciła się do Eileen. - Jesteś szczęściarą, moja droga. Kiedy ja wyszłam za mąż, musiałam sama przegnać z domu tę starą jędzę. Wyobraź to sobie tylko - spodziewała się, że będzie z nami mieszkać!

Eileen nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wiele matek mieszkało z synami po ślubie. Żaden mężczyzna nie powinien wyrzucać matki z jej własnego domu z powodu żony.

- Pamiętaj - ciągnęła Claudia - Blanche nie jest zła. Ma w sobie coś z topora bojowego, ale nie sądzę, by ci bardzo bruździła. Maggie, pośpiesz się! Co tam robisz?

Drzwi łazienki otworzyły się i ukazała się w nich dziewczyna zidentyfikowana jako Maggie.

- Przepraszam - powiedziała. - Kto następny?

Eileen wstała, zadowolona, że może na chwilę uciec. Zamknęła drzwi na zasuwkę. Wanna i umywalka były różowe, a na półkach nad nimi znajdowały się słoiki i buteleczki z solami kąpielowymi i olejkami, o jakich nigdy nie słyszała. Piękne ręczniki, miękkie jak puch łabędzi, z wyszytymi inicjałami. Nalała trochę wody i umyła ręce. Słyszała dobiegające z zewnątrz głosy, ale nie na tyle wyraźnie, by zrozumieć, o czym się mówi. „Wścibski człowiek nigdy nie usłyszy o sobie nic dobrego” - mawiała jej matka. Eileen nie starała się podsłuchiwać. Spuściła wodę w toalecie, chociaż z niej nie korzystała. W lustrze zobaczyła, że jest blada i wygląda na zmęczoną, ale nie mogła temu zaradzić, ponieważ torebkę z przyborami do makijażu zostawiła na łóżku w pokoju obok. Kiedy otworzyła drzwi, zgromadzone w sypialni kobiety natychmiast przerwały konwersację, co świadczyło dobitnie, że to Eileen była tematem ich rozmowy.

Claudia wstała i otwierając drzwi, wskazała gościom drogę.

- Napijmy się kawy - powiedziała. - James będzie godzinami trzymał mężczyzn przy stole.

Ulokowały się w saloniku, Maggie nie miała innego wyjścia, jak usiąść obok Eileen.

- Palisz? - spytała.

Eileen potrząsnęła głową.

- Nie, nigdy nie próbowałam.

Co Claudia Hamilton miała na myśli, mówiąc o „godzinach”? Jak długo jeszcze będzie musiała siedzieć z tymi kobietami, zanim wreszcie przyjdzie Philip i będą mogli pójść do domu?

„Oczywiście, że nie palę” - pomyślała, patrząc, jak wypuszczają kłęby dymu. W jej rodzinie czegoś takiego nie tolerowano. Tytoń był dla mężczyzn i tylko kilka starych kobiet paliło fajki.

- Jak długo jesteście małżeństwem?

Wiedziała, że Maggie stara się być uprzejma i kieruje rozmowę na zwykłe tematy, by zabić czas do chwili, kiedy będzie mogła odejść, nie urażając jej.

- Prawie dwa lata - odparła Eileen. - Jesteś zaręczona, jak widzę. Kiedy ślub?

„Boże - pomyślała Maggie - zabrzmiało to tak, jakby mówiła o czuwaniu przy zwłokach. Chciałabym, żeby faceci pośpieszyli się z piciem tego przekłętego portu i wrócili do nas”.

- Na wiosnę - odpowiedziała. - Oczywiście, jeżeli wybuchnie ta cholerna wojna, będziemy musieli przyspieszyć termin. Może zresztą do tego nie dojdzie. A jeśli nawet, to mój ojciec uważa, że wojna nie potrwa dłużej niż pół roku, więc żaden z nich nie będzie musiał iść walczyć.

- Nie rozumiem, dlaczego teraz, kiedy mamy niepodległość, ktokolwiek chce się bić za Anglię - ciągnęła Eileen. - Nie pozwolę na to mężowi.

- Mój brat nie może się już doczekać - powiedziała Maggie całkiem zwyczajnie, jakby wszyscy szli walczyć.

- Ale mężczyźni są tacy głupi, prawda? Nie sędzę, żeby można było powstrzymać Irlandców przed pójściem na wojnę. Oni uwielbiają się bić. Ach, oto i nasi panowie! To mój narzeczony. Wybacz mi.

„Irlanderów!” Eileen oblała się rumieńcem na dźwięk tego pogardliwego określenia i równie lekceważącego sposobu, w jaki zostało powiedziane. Chciała wstać i zawołać: „Ja jestem Irlanderką. I czuję się dumna z tego powodu. Do diabła z wami wszystkimi!”.

Ale kiedy podszedł do niej Philip, tkwiła na swoim miejscu. Zauważył, że zrobiła się czerwona. Pochylił się i pocałował ją delikatnie w czoło.

- Witaj, kochanie. Przepraszam, że nie było nas tak długo. Wszystko w porządku?

Użyła marnego wykrętu, którym by pogardziła, gdyby usłyszała go z ust kogoś innego. Małe towarzyskie kłamstewko, używane często przez te cedzące słowa kobiety.

- Potwornie boli mnie głowa - powiedziała cicho. - Nie chciałabym tu zostać zbyt długo.

Skinął głową, siadając obok niej.

- Zgoda. Jeszcze tylko kilka minut.

Podszedł do nich James Hamilton. Zauważyła, że porusza się niepewnie, a twarz ma purpurową.

- Whisky, Philipie? A twoja żona się nie napije? Claudia... Co ty, do diabła, robisz? To biedne stworzenie nie dostało drinka!

- Nie mam ochoty - odparła Eileen, ale James nie słuchał.

Był pijany, rozdrażniony i chciał wywołać awanturę. „Nie tylko ajrysze lubią się bić” - pomyślała Eileen z goryczą. Mój ojciec nigdy w życiu nie podniósł publicznie głosu na

matkę.

- Och, zamknij się, James - zawołała Claudia ze swego miejsca. - Nie wszyscy chcą się zalać, jak wiesz.

Nie była nawet zakłopotana. Eileen nie mogła w to uwierzyć. Philip wstał.

- Niestety, musimy już iść. Jutro zaczynam pracę bardzo wcześnie. Mam zobaczyć się z dzierżawcami, a potem jadę do Dublina. To był cudowny wieczór. Chodź, kochanie, pożegnajmy się.

- Było cudownie - powtórzyła jak echo, zwracając się do Claudii. - Wspaniałe przyjęcie. Bardzo dziękuję.

- To miło, że przyszlście. Zadzwoń do ciebie. Niebawem musimy umówić się na lunch. Dobranoc, kochanie. Spotkamy się po świętach. Będzie wspaniała zabawa.

Philip pomógł Eileen narzucić okrycie na ramiona. Podczas krótkiej jazdy do domu milczała. Czuła się ponizona, choć nie potrafiła powiedzieć, co ją dotknęło, poza jednym słowem: Irlandczy. Ale czyż nie mówiło ono absolutnie wszystkiego? Nie było kwintesencją poglądów tych ludzi na Irlandczyków? Rodowitych Irlandczyków?

- Nie było tak źle, prawda? - zapytał Philip, kiedy weszli do domu.

Nie chciała mu robić przykrości. Nie chciała rozwiewać nadziei, że zintegruje się z jego przyjaciółmi i będzie się dobrze bawić w ich towarzystwie. Zbyt go kochała, żeby powiedzieć mu prawdę.

- Było przyjemnie - odparła. - Czułam się wobec nich trochę onieśmielona, ale wszyscy okazali się dla mnie bardzo mili. Philip, co to za pogłoski o wojnie?

- Nie zaprzataj sobie tym głowy - zbył lekko temat.

Kiedy mężczyźni byli sami, nie mówili o niczym innym.

- Jak twoja głowa? Nie zaziębiłaś się, kochanie? Zostań jutro w łóżku, jeśli źle się czujesz. Nie będzie mnie cały dzień. Możesz się wylegiwać, ile dusza zapagnie.

- Zobaczę.

Miała nadzieję, że tej nocy nie będą się kochać. Czuła się zbyt obojętna i nie miała w sobie dosyć zapału, by reagować zgodnie z jego oczekiwaniami.

- Nadal trochę mnie boli - kłamała dalej.

*

W Pół Domu przyjęcie dopiero się rozkręcało. Whisky i brandy lały się strumieniami, otwierano coraz to nowe paczki papierosów i palono na potęgę. Niektórzy już niezbyt pewnie trzymali się na nogach. Śmiechu było mnóstwo. Nastrój Jamesa Hamiltona zmienił się z agresywnego w jowialny. Nazywał wszystkich swoimi najlepszymi przyjaciółmi i wlewał w

nich kolejne drinki. Claudia poprosiła o szampana, a ktoś inny zaproponował, żeby puścić jakieś płyty i potańczyć w holu. I, oczywiście, dzielili się opiniami na temat nowej pani Arbuthnot.

- Uważam, że jest całkiem sympatyczna - powiedziała Claudia. - Trochę brak jej ogłady, ale rzeczywiście okazała się raczej miła.

- Cholernie ładna dziewczyna - zgodziło się kilku mężczyzn.

- Wcale nie uważam, że jest sympatyczna - oświadczyła Maggie.

- Słyszałam, że powiedziałaś coś o Irlandkach. Czemu to zrobiłaś? - podniosła głos Claudia.

- Ponieważ miała czelność oświadczyć, że jeśli dojdzie do wojny, to nikt nie powinien walczyć za Anglię - odparła Maggie. - Wszyscy wiemy, że to ajryszka, ale lepiej by zrobiła, gdyby takie uwagi zachowywała dla siebie. Nie zamierzałam tego puścić płazem. Byliśmy uprzejmi i mili, a ty bardzo się dla niej starałaś, kochanie, ale nie sądzę, by cokolwiek z tego doceniła. Osobiście uważam, że jest wrogo usposobiona i nudna. Uwielbiam Philipa, jest słodki, ale jej nie wpuszczę na próg swego domu.

- Nie bądź głupia, Maggie, nie uprzedzaj się.

Kobieta, której nazwisko umknęło pamięci Eileen, machnęła lekceważąco ręką. Uważała, że Maggie Gibbs posunęła się zbyt daleko. Istotnie, dziewczynie brakowało taktu i nie miała należytej ogłady, ale to nie powód, żeby zachowywać się nieuprzejmie.

- Nie wolno ci tak mówić - ciągnęła kobieta. - Arbuthnotowie mieszkają tutaj od pokoleń. Nie możesz nie zaprosić na przyjęcie żony Philipa. W końcu nie musisz jej uważać za swoją serdeczną przyjaciółkę.

- W dwudziestym drugim roku ludzie o jej nastawieniu spalili do fundamentów dom mojej babki - powiedziała Maggie. - Wyprowadzili siedemdziesięcioletnią kobietę na zewnątrz, wbijając jej lufę karabinu w plecy, i podłożyli ogień, a ona na to patrzyła. Wróciła do domu, do Anglii i umarła. Nie, nie zniosę w swoim towarzystwie kogoś o republikańskich sympatiach. David także, prawda, kochanie?

- Zobaczymy - odparł jej narzeczony uspokajająco. - Nie wściekaj się na nią, to dobra dziewczyna.

Nie podzielał z żarem wypowiedzianych poglądów swej przyszłej żony na wydarzenia z przeszłości. Bawiła go myśl, jak wiele wspólnego miały ze sobą Maggie i Eileen Arbuthnot, jeśli wziąć pod uwagę ich zakorzenione uprzedzenia. Kochał swój irlandzki dom i dobrze żył z tubylcami, ale jego rodzina była elementem napływowym. Ojciec kupił posiadłość w pobliżu Kildare przed drugą wojną światową, Gibbsowie zaś wywodzili swój ród od jednego

z kapitanów Cromwella.

- Chodź, Claudio, zatańczmy - poprosił. - Uwielbiam tę płytę.

Zakręcili się kilkakrotnie po parkiecie holu.

- Postaraj się uspokoić Maggie - powiedziała Claudia. - Nie pozwól, by rozpoczęła wendetę i oczerniała przed wszystkimi tę nieszczęsną dziewczynę. Lubię Eileen. I bez tego będzie jej trudno.

- Ty wszystkich lubisz - odparł David. - Zrobię, co będę mógł, ale nie obiecuję, że to odniesie jakiegokolwiek skutek. Znasz tych ponurych Irlandczyków. Oni nigdy nie wybaczą ani nie zapominają.

- Zaproszę Maggie na lunch - oznajmiła Claudia Hamilton. - Może uda mi się o tym napomknąć i wyperswadować jej to. Jeśli nie, jeśli nadal będzie wszystkim opowiadać, że Eileen jest republikanką, doprowadzi do towarzyskiego bojkotu obojga. Lata dwudzieste to nie tak dawno, sam wiesz. Dzięki za taniec, Davidzie. Jesteś boskim tancerzem. Chciałabym, żeby James był czasami w stanie utrzymać się na nogach. Napijemy się? A przy okazji, kupiłam od starego Devlina wspaniałego konia do polowania z gończymi. Nie będzie ułożony przed przyszłym sezonem, ale naprawdę zamierzam was nim zadziwić.

Wrócili do salonu, gdzie usadowili się na sofie, by dalej gadać o wierzchowcach. Nie można było nie lubić Claudii. Wieloletni pobyt w Irlandii nieco jej przytarł angielskich rogów. Bardzo szybko przystosowała się do spokojnego życia i udowodniła swą wartość jako wspaniała towarzyszka zabaw i wielbicielka przyjęć. A polowała jak diabeł. Od gości oczekiwała punktualności, ale akceptowano to, składając na karb jej ekscentryczności. To szczególne przyjęcie skończyło się o piątej rano, a dwóch spośród jego uczestników przekonano, by raczej skorzystali z gościnnych sypialni, niż jechali do domu w Westmeath.

*

Zaświtał nowy dzień i mgiełka nad rzeką zawirowała u jej brzegów, podkradając się pod dom, który zbudował Sędzia Stryk. W sypialni na pierwszym piętrze Philip obudził się o brzasku. Pan domu sypiał przy rozsuniętych zasłonach i otwartych górnych częściach okien. Eileen była tym przerażona i przekonana, że świeże powietrze może ich oboje narazić na zamrożenie. Obrócił się i spojrzał na śpiącą obok żonę. Tak bardzo ją kochał. Była najbardziej dziewczęcą dziewczyną, jaką znał - filigranową i delikatną, o drobnych kościach, małych stopach i dłoniach. W porównaniu z nią większość dobrze urodzonych kobiet, które znał, była pospolitymi krowami. Podziwiał jej odwagę i lojalność. Kiedy już raz mu zawierzyła, potrafiła przeciwstawić się rodzinie, a nawet, co trudniejsze, potędze swojego kościoła. Ubolewał nad nieelastycznym podejściem Ryanów do ich związku, ponieważ czuł,

że taka postawa unieszczęśliwia Eileen. Zbliżenie z nimi nie byłoby bardzo kłopotliwe. Na swój sposób dumni nigdy by się nie narzucali. Swoją matkę traktował jak kogoś niemal obcego, więc kiedy ją stracił, nie odczuł tego zbyt mocno. Wychowywały go bony, a od siódmego roku życia uczył się w prywatnej szkole w Anglii. Blanche była bardzo zajęta. Wiele czasu poświęcała ogrodowi i dobroczynności. Bardziej troszczyła się o psy i konie niż o dzieci. Pewnego dnia zaprosi ich, był o tym przekonany. A gdy pojawią się wnuki, całkowicie pojedna się z nim i z jego żoną. Matka była stara i była snobką. Nie winił jej. To, że się od nich odsunęła, nie obchodziło go na tyle, by czuł się zraniony. Jednakże brakowało mu ojca. Kiedy Philip dorastał, przyjaźnili się - polowali razem, wędkowali i urządzali wyścigi. Jego śmierć spowodowała w duszy syna wyrwę. Gdyby żył odpowiednio długo, przekonałby się do Eileen.

Philip naprawdę chciał, by teraz, kiedy byli małżeństwem, Eileen okrzepła i znalazła miejsce. Problem polegał na tym, że nie potrafił jej wpoić wystarczająco dużo pewności siebie. Jeśli chodzi o zewnętrzną stronę życia, to pomagał się jej przystosować. Kobieta mniej wrażliwa i nie tak inteligentna jak Eileen nie zniosłaby, gdyby poprawiał jej wymowę czy manieri przy stole. Tak naprawdę czuł jednak, że jest samotna i skępowana. Służący nie stanowili już żadnego problemu i to nie obawa przed nim wymusiła na nich tę zmianę. Szanowali Eileen. I, wbrew samym sobie, byli z niej dumni. Miała dostojeństwo i wrodzony wdzięk. Okazała te cechy choćby zeszłej nocy, gdy musiała uczestniczyć w wielkim przyjęciu, znaleźć się pomiędzy ludźmi, którzy dobrze się znali, w sytuacji tak bardzo różnej od jej dotychczasowych doświadczeń towarzyskich. Wywiązała się z tego zadania wspaniale. Jeśli wybuchnie wojna, Philip będzie musiał wstąpić do pułku ojca, ale nie zamierzał jej teraz tego mówić. Nie chciał, by cokolwiek ją martwiło lub niepokoiło. Pragnęła mieć dziecko. Gdyby się urodziło, mógłby ją z nim zostawić. Był przekonany, że jeśli Anglia przystąpi do wojny z Niemcami, to Irlandia może pozostać neutralna, ale oni - nie. Co do tego wczorajszej nocy wszyscy jego przyjaciele się zgodzili. Obudził delikatnie żonę i kochali się, kiedy mgła cofała się do rzeki pod naporem promieni słońca. Ale zanim Eileen zaszła w ciążę, minęły trzy długie lata rozczarowań.

*

Eileen czuła się tak niedobrze, że była w stanie zwlec się z łóżka i zejść na dół dopiero w porze lunchu. Doktor Baron zapewniał Philipa:

- Oczywiście, wszystko w porządku - twierdził, lekceważąc głupie mężowskie obawy.
- Jest normalną, zdrową kobietą, a wszystko, co jej dolega, to lekkie poranne mdłości. Miną, gdy płód się obróci. W ogóle nie ma się czym martwić.

Gdyby miał do czynienia z inną kobietą, nie z panią Arbuthnot, powiedziałby, żeby przestano ją rozpieszczać i dano jakieś zajęcie w domu. Bardzo szybko oderwałoby to jej myśli od samej siebie. Doktor Baron nie miał cierpliwości do kobiet, które wpadały w różne nastroje i lamentowały z powodu rzeczy najbardziej naturalnych w świecie. Widywał już ciężarne, które rodziły na podłodze chałup, a potem wstawały i gotowały posiłek mężom, gdy ci przychodzili do domu.

Eileen wiedziała, że lekarz nie ma dla niej wiele współczucia. Był uprzejmy i zdecydowanie ją uspokajał, ale zdawała sobie sprawę, że nią pogardza. Zdradziła swoją rodzinę i wyznanie. Teraz jest bogatą damą. I to jej musi wystarczyć za wszystko. Za matkę, która robiłaby wokół niej zamieszanie. Za ciotki i kuzynki, które by ją odwiedzały i opowiadały o swych okropnych porodach. Za przyjaciółki ze szkoły, które by zadzwoniły i pomagały zabić czas. Oczywiście, zjawiali się różni goście. Lady Hamilton z Pół Domu i kilka kobiet w jej rodzaju. Słyszał ich piskliwe głosy, kiedy przyjechał z rutynową wizytą, i widział Eileen Ryan siedzącą prosto na łóżku. Wyglądała na wyczerpaną, była mizerna. Nadal myślał o niej jako o Eileen Ryan, córce starego Jacka. Zastanawiał się, czy Ryanowie w ogóle wiedzą o dziecku. Słyszeli o nim od Mary Donovan, którą rozsadzała potrzeba podzielenia się nowinami, kiedy przyszła do nich podczas sobotniego wychodnego. On sam widział się z panią Ryan któregoś popołudnia w swym gabinecie. Matka Eileen miała na przedramieniu wstrętne oparzenie. To od pryśnięcia tłuszczu, wyjaśniła mu. Wyglądało na to, że wdała się ropa. Przyznał jej rację i dał odpowiednią maść. Nie wspomniał ani o jej córce, ani o ciąży. Nie chciał wprawiać biednej kobiety w zakłopotanie.

Pomimo upływu trzech miesięcy Eileen wcale nie czuła się lepiej. Była słaba i cierpiała, a kiedy wychodziła na przechadzkę, puchły jej nogi w kostkach. Mary robiła specjalne kompresy, by spędzić obrzęk. Lily przynosiła Eileen śniadania do łóżka. Doyle zerwał najlepsze wczesne śliwki i posłał jej na górę.

- Biedactwo - powiedziała Mary podczas przedpołudniowej herbaty. - Na pewno coś jest nie w porządku. Najłżejszy podmuch wiatru by ją zdmuchnął!

- To przykre być w takim stanie - zgodziła się Lily. - Nie ma żadnej wiadomości od matki.

- A co z chłopcami? - spytał Doyle.

- Ani mru-mru - odparła Mary. - Shamus siedzi jak uparty osioł, a Kevin wlepia gały w kubek z herbatą. Mówię wam, przykro mi, bo nie mogłam nic więcej zrobić.

Podniosła czajnik i dołała sobie trochę wrzątku.

- Dałam na mszę za nich wszystkich - ciągnęła. - Tylko tyle można zrobić, kiedy się

źle dzieje.

Pani Ryan nigdy nie przyszła odwiedzić córki, nie nadeszła też odpowiedź na list, który Philip do niej wysłał. Ale kiedy Eileen była w siódmym miesiącu ciąży, do Riverstown zawitała pani Blanche Arbuthnot, która wstąpiła w drodze do przyjaciół w Limerick.

3.

Samochód prowadzony przez Blanche Arbuthnot skręcił w bramę w murze otaczającym jej dawny dom. Suka rasy labrador podniosła się na tylnym siedzeniu, podniecona znajomymi zapachami. Blanche osadziła ją ostrą komendą.

- Siad, Bunny!

Suka była ulubionym psem myśliwskim męża Blanche i tak ciężko przeżyła śmierć swego pana, że wdowa po nim zastanawiała się, czy jej nie uspić. Ale Bunny przyłgnęła do niej, jakby miała świadomość, że od tego zależy jej życie. Teraz były sobie bardzo oddane i Blanche zabierała labradora ze sobą wszędzie.

Wszystko wyglądało tak znajomo. Krótko przystrzyżone trawniki były soczyście zielone, a rosnące wzdłuż krawędzi podjazdu żonkile jeszcze nie całkiem przekwitły. Od ponad czterdziestu lat, kiedy przyjechała tutaj jako panna młoda, nic się w Riverstown nie zmieniło. Nie chciała przyznać przed samą sobą, że jest zdenerwowana. Wyłączyła silnik i przyjrzała się sobie we wstecznym lusterku, a potem wysiadła z samochodu, pozwalając Bunny wyskoczyć na podjazd. Drzwi wejściowe otworzyły się, nim jeszcze Blanche zdążyła do nich podejść, a w nich ukazał się uśmiechający się na powitanie Philip. Za nim stała jej synowa.

Przyjęła od niego pocałunek w policzek, ale go nie odwzajemniła.

- Witaj, Phil, kochanie - powiedziała. - Przywiozłam ze sobą Bunny. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza?

- Oczywiście, że nie - odparł jej syn, a potem nastąpiła chwila, o której myślała z przerażeniem. - Mamo, to jest Eileen.

Była niższa i drobniejsza, niż Blanche to sobie wyobrażała. Dziecko ciążyło jej. Synowa podeszła do niej, poruszając się niezdarnie.

- Dzień dobry, pani Arbuthnot - wyciągnęła dłoń na powitanie.

Uśmiechała się, ale lekko podmalowane oczy były pełne nienawiści. Philip tego oczywiście nie widział. Stał obok żony promienny na swój dobroduszny sposób. Na policzkach Blanche pojawiły się lekkie rumieńce.

- Dzień dobry. Miło mi cię poznać.

- Wejźmy do środka - zaprosiła ją dziewczyna i cofnęła się, by teściowa mogła wejść

do wnętrza domu.

Blanche spodziewała się zastać w nim zmiany i mocno sobie postanowiła, że nie poczuje się nimi dotknięta. Philip nie pozwoliłby na nic drastycznego, to była jedyna pociecha. Dom okazał się nietknięty, pomijając fakt, że było w nim bardzo mało kwiatów, tkwiących w gdzieśgdzie ustawionych wąskich, małych wazonach.

- Gdzie będziemy pić herbatę, kochanie? - spytał Philip, jakby tego nie wiedział.

- W dziupli - odparła jego żona.

- Dziupla?

Blanche zorientowała się momentalnie, że nie powinna była okazywać zdziwienia, ale to słowo nie miało dla niej sensu. Gdzież można w Riverstown znaleźć dziuplę!

- Dawny gabinet ojca - wyjaśnił Philip. - Eileen zrobiła z niego bardzo przytulne miejsce.

- Często z niego korzystamy - powiedziała synowa, wprowadzając ją do środka.

Blanche spojrzała na wytapetowane ściany i różowe zasłony z falbankami.

- Bardzo przyjemny salonik. Jaki ładny dobór kolorów.

Usiadła, a labrador zwałił się na podłogę u jej stóp. To był ulubiony pokój jej męża, a teraz nie pozostał po nim nawet ślad. Była zaskoczona tym, że aż tak ją to zabolalo. Philip wyglądał bardzo dobrze i podtrzymywał żonę na duchu krzepiącymi spojrzeniami, których - liczył - Blanche nie widziała. Jeżeli był szczęśliwy, to dobrze. Ale jak długo potrwa ten stan? Jak długo, zanim dadzą o sobie znać różnice w wychowaniu? Co za wstrętny, wulgarny pokój!

Lily przyniosła na srebrnej tacy herbatę, kanapki i jedno z cudownie gąbczastych ciast Mary. Blanche uśmiechnęła się do niej.

- Jak się masz, Lily? Miło cię znowu widzieć. Wyglądasz bardzo dobrze.

- Och, dziękuję pani Arbuthnot. Mam się bardzo dobrze, madam.

Blanche dostrzegła ukradkowe spojrzenie rzucone przez służącą na nową panią domu i pomyślała - „Dobrze wiesz, z której strony chleb jest posmarowany masłem. Nie liczy się to, że piętnaście lat pracowałeś u mnie”.

- Jaką herbatę pani pija? - spytała Eileen.

Na moment ich oczy spotkały się.

- Niezbyt mocną. Tylko z mlekiem, bez cukru.

Blanche wzięła sobie kawałek ciasta. Zapadło milczenie. Nigdy w życiu nie czuła się równie niezręcznie. Jej syn był żonaty, synowa spodziewała się pierwszego dziecka, a ona nie miała pojęcia, co powiedzieć.

- Jak się ma Mary? - zabrzmiało to niezwykle wymuszenie, ale nie była w stanie znieść ciszy.

- Mary? - powtórzyła Eileen.

- Tak, Mary Donovan. Nadal u was pracuje, prawda?

- Ach, tak. Ma się bardzo dobrze.

- Nie widać tego po gębczastości ciasta? - zażartował Philip. - Eileen uważa, że jej ciasto z whisky jest lepsze, ale jeszcze nie pozwoliłem jej tego udowodnić.

- Mary nigdy by ci nie wybaczyła, gdyby okazało się, że to prawda - odparła Blanche.

„Albo gdybyś weszła do kuchni i jej przeszkadzała - dodała w myśli. - Ale nie mogę tego powiedzieć. Nie mogę zachowywać się naturalnie, bo nie wolno mi nikogo urazić. Nic nie wspomnieli o dziecku. Pewnie czekają, żebym ja to zrobiła”. Odchrząknęła.

- Philip przekazał mi wspaniałą wiadomość, Eileen. Kiedy urodzi się dziecko?

- Na początku sierpnia. Tak twierdzi doktor Baron - odparła dziewczyna.

- Baron?! - Blanche osłupiała. - Mam nadzieję, że to nie on się tobą opiekuje?

Zwróciła się do Philipa.

- To kompletny idiota. Nie pozwoliłabym mu odbierać szczeniąt Bunny. Mój drogi, musisz wziąć kogoś z Dublina.

Wiedziała, że popełniła fatalny błąd. Błada twarz dziewczyny zapłonęła rumieńcem.

- Leczy naszą rodzinę od mego urodzenia. Dla mnie jest wystarczająco dobry.

Nagle Blanche poczuła się bardzo zmęczona. Taki wysiłek i wszystko na próżno. Nie było między nimi żadnego porozumienia i nigdy go nie będzie. Zebrała się w sobie.

- Tak czy inaczej, to wspaniała wiadomość - powiedziała głosem żywszym, niż sądziła, że może się na to zdobyć. - Jeszcze jedna filiżanka herbaty i naprawdę muszę ruszać dalej. Przede mną szmat drogi.

- Mama jedzie do Dornawayów - wyjaśnił Philip.

- Kim są Dornawayowie? - spytała Eileen.

- Hrabią i hrabiną... - Philip znowu starał się być dowcipny. - Dornaway Castle to bardzo przyjemne miejsce. Zabiorę cię tam kiedyś. Gospodarze są wyjątkowo mili.

- Zaprosili mnie na dziesięć dni - powiedziała Blanche. - To wspaniały dom. Twój ojciec i ja zawsze się cieszyliśmy z wyjazdów do nich. Musisz przywieźć tam Eileen, żeby poznała Boby'ego i Jill. Jestem pewna, że ich polubisz - dodała, zwracając się do synowej.

Jaskrawy rumieniec znikł i twarz Eileen zrobiła się śmiertelnie blada, pod jej oczami wystąpiły ciemne koła.

- Myślę, że to trochę za wysokie progi na moje nogi, pani Arbuthnot - odparła cicho.

Blanche odstawiła filiżankę.

- Oni wcale nie są wyniośli. Bobby Dornaway to mój siostrzeniec. Jestem pewna, że byliby zachwyceni, gdyby mogli cię poznać. To bardzo miłe z ich strony, że pozwolili mi zabrać ze sobą Bunny. Tak bardzo rozpacziała po śmierci twego ojca - zwróciła się do Philipa.

- Nie wiedziałam już, co mam robić. Weterynarz powtarzał, że powinnam ją uspić. Nie jest takim konowalem jak stary Pat Farrel, ma cudowną rękę do psów.

- Pat Farrel to kuzyn moich rodziców - odezwała się jej synowa. - I dobrze leczy bydło.

- Tak, z pewnością. Bardzo miły człowiek - mówiła pośpiesznie Blanche. - Teraz trzymam Bunny w domu. W psiarni była bardzo smutna. Biedna, stara sunia. Więc teraz jest psem pokojowym.

Schyliła się i poklepała jedwabście czarny łeb.

- Prawda, starucho?

- Przepraszam na chwilę - Eileen wstała, spoglądając na teściową i Philipa.

Wyglądała na wzburzoną.

- Dobrze się czujesz, kochanie? Nie masz mdłości ani nic takiego?

- Nie - zdobyła się na wymuszony uśmiech. - Nie, wszystko w porządku. To nie potrwa długo.

- Biedactwo - powiedział Philip do Blanche. - Przeżywa paskudne chwile. Wymiotowała praktycznie przez siedem miesięcy ciąży. A przy okazji - nie powinnaś była tak mówić o doktorze Baronie. Zawsze się opiekował Ryanami. Eileen nalegała, by to on się nią zajmował.

- Przykro mi - Blanche nie była przyzwyczajona do tego, by syn zwracał jej uwagę - ale to naprawdę stary rzeźnik. A ona nie jest silna. No, ale to rzeczywiście nie moja sprawa. Chciałam jak najlepiej. Dobry Boże, popatrz Philip, która godzina! Muszę ruszać w drogę.

- Pójdę i zawołam Eileen.

Wstał i wyszedł, zostawiając matkę samą.

Eileen nie odczuwała nudności. Sądziła, że po ataku bólu nastąpią wymioty, tak jak się to często zdarzało, ale zanim dotarła do sypialni, wszystko minęło. Wczołgała się na łóżko i objęła ramionami jak dziecko, które nie ma nikogo, kto by je pocieszył. Ta wstrętna, stara baba, arogancka, z nadętą miną, chłodna snobka, poklepuje swego cholernego psa i mówi o dziecku, które nosi jej synowa, jak o wspaniałej nowinie! Tak zimna i nieczuła. Eileen nie była w stanie wyobrazić sobie, żeby jakakolwiek matka zachowywała się w domu własnego syna, jakby była kimś obcym - prowadziła zdawkową rozmowę i obdarzyła kilku zaledwie

słowami jego żonę. Zdezawuowała lekarza, który asystował przy narodzinach Eileen i odebrał porody wszystkich jej sióstr i braci, mówiąc o nim, że nie jest godzien przyjąć szczeniąt jej parszywej suki. Protekcyjnie potraktowała Pata Farrela, o którym z całą pewnością wiedziała, że jest blisko spokrewniony z obojgiem Ryanów. Eileen nie chciała płakać, ale ostatnio łzy bardzo łatwo napływały jej do oczu i nie umiała ich powstrzymać. Była zła i czuła, że została równie poniżona, jak dziecko, które nosiła - wzgardzone. Nie mogła przestać płakać. A potem wrócił ból i dokuczał jej tak bardzo, że podtrzymywała rękoma dół brzucha.

Philip zbiegł po schodach do holu, gdzie Blanche już trzymała Bunny na smyczy.

- Coś się stało? - spytała, widząc, że pojawił się sam.

Był blady, co w rodzinie Arbuthnotów stanowiło jawną oznakę złości. Lily, która wychodziła z gabinetu ze srebrną tacą, cofnęła się natychmiast, by zniknąć z pola widzenia, ale tak, żeby wszystko słyszeć.

- Jest bardzo rozdrażniona - stwierdził oschle Philip. - Wypłakuje sobie oczy na górze, kochane biedactwo. Dlaczego, do diabła, nie mogłaś być dla niej miłsza, mamó?

Matka i syn stali w holu naprzeciw siebie, nigdy sobie bliscy, zamknięci w odwiecznym trójkącie.

- Zrobiłam wszystko, co mogłam odparła Blanche. - Ona także nie była dla mnie zbyt sympatyczna. Jeśli troszczysz się o nią i dziecko, powinieneś sprowadzić odpowiedniego lekarza, który by się nią zajął. Nie kłopotz się odprowadzaniem mnie.

- Ma bóle - powiedział Philip. - Jeśli coś się stanie, nigdy ci tego nie wybaczę. Odwrócił się i poszedł na górę.

Ze swego dogodnego punktu obserwacyjnego na progu byłego gabinetu Lily widziała, jak pani Arbuthnot otwiera drzwi wejściowe i zatrząskuje je za sobą. Zaraz potem pośpieszyła do kuchni, by podzielić się nowinami z resztą domowników.

Blanche wpuściła starą sukę na siedzenie obok kierowcy, wsiadła do samochodu i włączyła silnik. Cała się trzęsła. To przekracza jej siły stracić męża w wieku sześćdziesięciu trzech lat i zostać opuszczoną przez jedyne go syna, którego zresztą lubiła najmniej z trojga dzieci zrodzonych z tego okropnego małżeństwa. Dom, który kochała, był teraz zupełnie obcy i pełen nienawiści. Jej oczy napędlły się łzami. Gdyby tylko Teddy lub Richard ocaleli z tej wstrętnej wojny, nigdy nie zostałyby w ten sposób wyrzucone z Riverstown. Starsi bracia wysmialiby w głos ten beznadziejny mezalians Philipa. Mógłby nawet poślubić tę swoją dziewczynę, ale nie miałyby to wielkiego znaczenia, bo był najmłodszy. „Nigdy ci nie wybaczę”. Czym go zauroczyła ta wymoczkowata dziewczucha, że był w stanie powiedzieć coś takiego własnej matce? Blanche wytarła oczy i puściła sprzęgło. Wyjazd na szosę do Naas

należał do najniebezpieczniejszych w Kildare. Łzy utrudniały jej widzenie, kiedy grzmiąc klaksonem, skręcała na drogę. Ledwo uniknęła zderzenia z ciągnionym przez osła wozem, który zjechał zbyt w lewo. Furman zaklął na nią przestraszony, smagając bezradne zwierzę. Blanche pojechała dalej i trzy godziny później znalazła się bezpiecznie w Dornaway Castle. Nadal wyglądała na tak wstrząśniętą, że położono ją prosto do łóżka.

*

- Zrobiłam wszystko, co mi kazałeś - wymamrotała Eileen.

- Tak, kochanie, oczywiście, że tak - głaskał jej dłoń, ale ona nie dawała się uspokoić.

- Zrobiłam wszystko, co mogłam. Była taka okropna... - powtarzała bez przerwy, a po jej policzkach płynęły łzy.

Wycierał je, mówiąc cicho, żeby zapomniała i nie przejmowała się. Rozpaczliwie martwiło go to, że jest tak bardzo wyprowadzona z równowagi. Doktor Baron dał jej coś na uspokojenie. Powinna pozwolić Philipowi zgasić światło i starać się zasnąć.

- Nienawidzę jej - szepnęła. - Ona nienawidzi mnie, a ja jej.

- Nie mów tak - błagał Philip. Proszę, skarbie.

Zadzwoił po Barona, który zjawił się i szybko zbadał Eileen.

Ma skurcze oświadczył Philipowi ale nie ma powodów do obaw. Coś takiego może się zdarzyć około siódmego miesiąca, ale nie należy dopuścić do akcji porodowej. Dałem jej środek, żeby temu zapobiec. Proszę ją teraz położyć do łóżka, a jutro będzie świeża jak poranek. Zajrzę tutaj podczas wieczornego objazdu.

Ale Eileen nie zasnęła, a o dziewiątej wieczorem ból się nasilił. Ponownie zatelefonował do lekarza. Do szaleństwa doprowadziła go powolna umysłowo dziewczucha, która starannie przeliterowała jego nazwisko, a potem oświadczyła, że doktora nie ma, ponieważ został wezwany do chorego, a pani wizytuje krewnych. Nie, na pewno nie zostawił notatki z informacją, gdzie można go znaleźć, ale Philip może zadzwonić za jakąś godzinę, by się dowiedzieć, czy nie ma jakichś nowych wiadomości.

Kiedy wrócił na górę, zastał przy łóżku żony Lily, którą Eileen, jęcząc, trzymała za rękę.

- Pani zadzwoniła po mnie - szepnęła. - Mój Boże, najwyraźniej będzie rodzić.

- Lekarza nie ma - powiedział Philip. - Nikt nie wie ani gdzie jest, ani kiedy wróci! Lily, zostań z nią. Sprowadź lady Hamilton.

Dziesięć dzielących ich mil Claudia pokonała z szaleńczą prędkością. Rozpoznawała panikę, kiedy ją słyszała, a właśnie panika kryła się w głosie Philipa Arbuthnota. Wpadła do holu i pobiegła po schodach na górę. Miała na sobie wieczorową suknię i narzucony na nią

płaszcz. Telefon zadzwonił w trakcie przyjęcia. Zobaczyła pokojówkę Lily, stojącą z jednej strony łóżka, a z drugiej - obejmującego Eileen Philipa z zapadniętymi ze strachu oczyma. Eileen nie krzyczała. Jęczała i płakała z bólu, szarpiąc pościel, a jej obrzmiałym ciałem wstrząsały skurcze.

Mary Donovan wsunęła głowę przez uchylone drzwi.

- Och, dzięki Bogu, że jasnie pani jest tutaj - wysapała. - Nie powinniśmy posłać po akuszerkę?

Claudia nie traciła czasu.

- Philip, wyprowadź samochód. Lily, spakuj jakąś nocną bieliznę pani, niezbędne minimum. Mary, ty z nią zostań. Idę zatelefonować do Rotundy i powiem, że zaraz ją przywieziemy.

Claudia uparła się, że będzie prowadzić.

- Ty zajmuj się Eileen - poleciła. - Jesteś w takim stanie, że nie możesz prowadzić samochodu. Dam sobie radę, nie martw się.

Usiadł z tyłu i objął żonę. Każdy jej atak bólu rozrywał i jego ciało. Nie płakał od czasów dzieciństwa, ale teraz, kiedy starał się przynieść jej ulgę, policzki miał mokre od łez.

- Kochanie, nie walcz z tym, staraj się rozluźnić. Wieziemy cię do szpitala. Wszystko będzie dobrze. - Nie, nie do szpitala. Nie chcę do szpitala - jej strach go zaskoczył. - Nie zabieraj mnie tam - popłakiwała żałośnie. - Umrę tam. Dziecko umrze.

A potem wrócił ból, zmieniając jej protest w cichy, pełen udręki płacz. Kiedy wnieśli ją do Rotundy i zawieźli biegiem na salę, zaczął się drugi okres bóli porodowych. Claudia dowodziła. Philip stał bezradnie, a ona rozmawiała z położną, usilnie nalegając, by natychmiast wezwano lekarza. Potem odwróciła się do Philipa i wzięła go pod ramię.

- Chodź, pójdziemy do poczekalni. Przyniosą nam tam herbatę.

Nie czekali długo. Siedzieli w obskurnym pomieszczeniu o pomalowanych na zielono ścianach. Na jednej z nich wisiał obraz Najświętszego Serca Jezusa, przed którym płonęło malutkie, czerwone oczko lampki oliwnej. Otaczał ich gryzący zapach środków dezynfekcyjnych.

- Nic jej nie będzie - zapewniała Claudia.

A potem, mądrzejsza o prowadzoną szeptem rozmowę z położną, uznała, że lepiej będzie przygotować Philipa.

- Mogą być drobne trudności z dzieckiem. To przedwczesny poród, jak wiesz.

- Nie obchodzi mnie dziecko - odparł Philip, wydając tymi kilkoma słowami wyrok na swego nienarodzonego syna. - Chcę, żeby Eileen nic się nie stało. Niczego innego nie chcę.

Kiedy otworzyły się drzwi i ukazała się w nich pielęgniarka, podskoczył.

- Pan Arbuthnot? Mógłby się pan zobaczyć z doktorem O'Brienem?

- Moja żona... - usłyszała Claudia pytanie Philipa wchodzącego do sali. - Co z moją żoną?

Ból i wysiłek minęły. Gorący strumień krwi wypływał z ciała Eileen, odbierając życie. Jej dusza krążyła gdzieś pomiędzy snem a stanem świadomości. Kiedy zobaczyła pochylającego się nad nią Philipa, miała wrażenie, że ktoś powiedział:

- Dzięki Bogu. Ma pani pięknego chłopczyka...

Ale to nie wydawało się realne. Gniew nie mijał. Majaczyła zamroczona.

- Nienawidzę jej... Nienawidzę ich wszystkich... Mamusiu... Gdzie jest mama?

Lekarz zostawił ich samych. Ani on, ani nikt inny nie mógł już niczego zrobić.

- Pańska żona powiedziała, że jest katoliczką - odezwała się pielęgniarka. - Posłałam po księdza. Wzywała matkę, ale ona nie zdąży tutaj na czas. Jest i ojciec Cochran.

Pielęgniarka opuściła salę.

Kiedy ksiądz przygotowywał jego żonę na spotkanie śmierci, Philip stał na korytarzu. Nic nie czuł. „Natura jest łaskawa - pomyślał - czasami bywa łaskawa”. Równie łaskawa, jak okrutna okazała się dla Eileen, która wykrwawiła się na śmierć, dając życie ich małemu synkowi. Nie mógł płakać, niczego nie czuł. Nie wiedział, jak długo stał za drzwiami oparty o brudną ścianę. „Chłopczyk - powiedzieli mu. - Bardzo mały, ale nie ma żółtaczki i oddycha normalnie”. Dzięki za to Bogu. Musi zrozumieć, że to wcześniak, ale jest nadzieja. Philip zamknął oczy, bo tuż przed nim wyrósł nagle ksiądz. Był stary i mrugał oczami ukrytymi za okularami. W lewej ręce trzymał sfatygowaną torbę ze stulą i sakramentami.

- Może pan teraz do niej iść - powiedział. - Miała piękną śmierć. Po prostu uśmiechnęła się i poszła prosto do nieba.

Wszystkim wdowcom mówił to samo. Pobożnym przynosiło to ulgę w bólu po stracie bliskich.

- Bóg dał panu dziecko - ksiądz Cochran dotknął ramienia Philipa. - Proszę spróbować się tym pocieszyć.

Philip nie miał mu nic do powiedzenia. Stał tak blisko, że czuł kwaśną woń oddechu duchownego i stęchły zapach jego ubrania. Cóż mogło być pięknego w śmierci młodej dziewczyny, osierocającej dziecko? Nie było takiej pociechy, którą katolicki ksiądz mógłby ofiarować Philipowi.

- Dziękuję, ojcie Cochran.

- Powiedziano mi, że dziecko jest bardzo wątłe - odezwał się duchowny. - Mądrze

byłoby jak najszybciej je ochrzcić.

- Mój syn będzie anglikaninem - odparł Philip Arbuthnot. - Proszę mi wybaczyć.

Obrócił się na pięcie i wszedł do sali, by pożegnać się z żoną.

*

Wszelkie przygotowania do pogrzebu poczyniła Claudia Hamilton. Nie chciała, żeby Eileen leżała na przeładowanym ozdobami katolickim cmentarzu w Naas, a godnego miejsca, zarezerwowanego dla Arbuthnotów, nie wolno jej było dostąpić. Pochowano ją w Dublinie. Rodziny zmarłej nie zaproszono na ceremonię.

Po sześciu tygodniach dziecko okazało się wystarczająco silne, by je wraz z położną przewieźć do Riverstown i ochrzcić należycie w protestanckim kościele irlandzkim w Naas. Wśród rodziców chrzestnych była i Claudia. Najmłodszemu Arbuthnotowi nadano imiona Francis Alexander William.

Philipowi nie pozwolono odsunąć się od świata. Przyjaciele zapraszali go do siebie, a Claudia zaangażowała i gospodynię i niańkę. Chłopiec był silny i zdrowy. Philip zachodził do niego dwa razy dziennie, zachęcany przez Claudię, która miała nadzieję, że syn wynagrodzi mu stratę Eileen. Philip zaś coraz bardziej zbliżał się do przyjaciółki. Kiedy wybuchła wojna, Hamilton wstąpił do armii brytyjskiej, a Philip i Claudia zostali kochankami, jeszcze zanim James poległ w północnej Afryce. Tuż przed Bożym Narodzeniem 1942 roku Philip dołączył do pułku, w którym jego ojciec walczył podczas ostatniej wojny.

To Mary Donovan poddała myśl, by młodszy brat Eileen, Kevin, który przed wyjazdem do Ameryki chciał zobaczyć siostrzeńca, zakradł się do domu Arbuthnotów. Mary odczuwała dotkliwy zawód, ponieważ odwiedzając Ryanów, nie mogła mówić o wydarzeniach w Riverstown. Bridget Ryan, co oczywiste, znacznie się postarzała po śmierci córki. Opanował ją spokój, jaki Mary widziała już wcześniej u ludzi, którzy tracili to, co ich trzymało przy życiu. Stary Jack pił więcej niż zwykle, a gburowaty starszy syn, z zaciętością w sercu, czekał na jego śmierć.

Któregoś wieczoru Kevin poszedł z Mary na przystanek autobusu. Stali, garbiąc się, w deszczu, aż wreszcie Ryan spytał lakonicznie:

- Jak się miewa chłopak Eileen?

Mary przemyślała do pokoju dziecka Kevina, który odpływał do Nowego Jorku za dwa dni. Wszedł do domu bocznymi drzwiami, w czasie kiedy Lily miała wieczorne wychodne. Reszcie pokojówek Mary zagroziła ogniem piekielnym i wiecznym potępieniem, jeśli szepną choćby słówko. Bernadette została zwolniona już wcześniej za to, że była niegrzeczna wobec piastunki. Mary uśmiechała się, widząc ją odchodzącą ze służby. Mały Francis drzemał w

pokoju dzieciennym, a niańka od dwóch godzin spała w sypialni obok.

Kevin wszedł na górę bocznymi schodami, prowadzony przez trajkoczącą jak sroka Mary. Nawet się nie trudził, by jej słuchać. Jego siostra mieszkała w tym wielkim, ponurym domu tak krótko. Nie pozostawiła w nim żadnego śladu. Przyszła i zniknęła jak duch.

Mały jest tutaj powiedziała Mary, otwierając drzwi.

Kevin nie był nigdy wcześniej w pokoju dzieciennym. W jego domu wszystkie dzieci spały razem, a nowo narodzone sypiało z rodzicami tak długo, póki nie zostało odstawione od piersi. Tutaj wszystko było białe i sterylnie czyste jak w szpitalu. Nie widział świętych obrazków z małymi oliwnymi lampkami ani niczego, co byłoby przytulne. Dziecinnie łóżeczko, całe w zasłonkach i niebieskich wstążkach, stało samotnie w rogu pomieszczenia. Zbliżył się i spojrzał na chłopca.

- Obudził się - szepnęła Mary.

Francis miał czarną czuprynkę i duże oczy tak ciemnoniebieskie, że najwyraźniej zmieniły już kolor. Nic w nim nie przypominało Eileen. Był po prostu smagły, jak cała reszta Arbuthnotów. Kevin odwrócił się, a oczy napęłniły mu się łzami.

- Więc to wszystko, co po niej pozostało - stwierdził.

- Nie przejmuj się, że wziął to po nich - mruknęła Mary. - Widziałam już dzieci, które traciły włosy, a potem wyrastały im nowe, innego koloru.

- Ważne jest to, co w nim - odparł Kevin. - Ale nigdy nie pozna swojej irlandzkiej połowy duszy. Ten drań ochrzcił go na protestanta.

- Eileen była zbyt krucha - rzekła Mary. - Oddała życie namaszczona w swej wierze. Dzięki Bogu, nie na próżno. Pielęgniarka, która przywiozła Francisca do domu, powiedziała, że położna ochrzciła go tej samej nocy, kiedy się urodził. Zabrali go do tego pogańskiego kościoła w Naas, ale mają guzik z pętelką. Jest w nim łaska boska, Kevin, i wyjdzie ona na jaw we właściwym czasie!

Pochylił się i dotknął dziecka palcem. Jego skóra była miękka i przyjemnie pachniała. Pamiętał kwaśny zapach swoich małych sióstr, od którego wykręcało nos.

- Niech mu się wiedzie - powiedział. - Może pewnego dnia pozna prawdę o sobie.

Kevin odwrócił się. Nie chciał zostać w kuchni na plotki ze swoją rozmamlaną kuzynką. Chciał wyjść z tego zniechęconego domu i zostawić za sobą wszystko, co sobą reprezentował. Wielu przyjaciół Kevina wstąpiło do angielskiego wojska, ale dla niego była to swego rodzaju zdrada. W Ameryce miał krewnych ze strony matki. Irlandzkim zwyczajem mógł, co prawda, dzielić farmę z bratem, ale nie chciał takiego życia. Nie chciał spędzać życia na sprzeczkach z Shamusem i skończyć jak ojciec - jako marny, ciemny człowiek.

Skoro kraj był podzielony, a ziemię i władzę mieli ludzie tacy, jak Arbuthnotowie, w Irlandii nie było miejsca dla prawdziwych Irlandczyków. W Ameryce zaś bycie Irlandczykiem dawało korzyści.

Przerywając błogosławieństwa Mary, pożegnał się z nią i pośpieszył podjazdem do drogi. Szedł zgarbiony, jakby chłostany deszczem, chociaż tego popołudnia świeciło słońce.

Swego siostrzeńca zobaczył ponownie po dwudziestu ośmiu latach.

4.

Claire weszła do pokoju myśliwskiego. Wiele lat temu była tu rodzinna kolekcja broni sportowej, zamknięta w mahoniowych skrzyniach. W tym męskim sanktuarium czyszczono strzelby po polowaniu, a gościom pokazywano co wartościowsze, muzealne egzemplarze sztuki rusznikarskiej, pozostałe po poprzednich pokoleniach Arbuthnotów. Te czasy doskonale pamiętała. W Riverstown odbywały się wtedy wielkie, całodzienne polowania. Claire dreptała za matką, a do myśliwych dołączała na lunch. Z Francisca wyrósł wyśmienity strzelec. Przynajmniej to mieli wspólnego z ojcem. Kiedy Claire i Frank byli mali, nie zamykano zbrojowni. Po latach, gdy na Północy zaczęły się kłopoty, wszystkie strzelby, nawet te najbardziej zabytkowe, trzymano pod kluczem. Po tym, jak Francis odszedł z domu, ojciec dosyć szybko dał sobie spokój z polowaniami. Czasami, kiedy Claire i Neil przyjeżdżali z Anglii, obaj mężczyźni wychodzili w niedzielne przedpołudnie, by postrzelać do gołębi, ale Philip nie miał już do tego serca.

Neil był bardzo oddany Claudii, ale za Philipem nie przepadał - człowiek, który wyrzucił z domu własnego syna, to nic przyjemnego w roli teścia. Fraser, konserwatywny Anglik, uważał Philipa Arbuthnota za najlepszy okaz Irlandczyka, na którego w ogóle nie można liczyć. W głębi duszy nie lubili się.

Claire dobrała klucz, przekręciła go i pchnęła drzwi. Okiennice były zamknięte, a pokój pachniał naoliwionymi szmatami i skórą. Włączyła światło. Skrzynie na broń okazały się puste. Strzelby Purdeya sprzedano po śmierci Philipa, ponieważ nikt ich nie używał. Na stole pozostał jeden egzemplarz broni należący dawniej do Franka karabin Churchill, kaliber 12. I wiszący na haku wojskowy rewolwer ojca w kaburze. Zawahała się. Gdzie przechowywał amunicję do niego? W jednej z dolnych szuflad znalazła magazynek z nabojami, który włożyła do kieszeni. Potem otworzyła gablotę i wyjęła rewolwer. Nie miała gdzie go schować. Był ciężki, nieporęczny i trudny do ukrycia. Wsadziła broń pod żakiet, który zdjęła i przewiesiła niezgrabnie przez ramię. Jeśli wszystko razem położy na tylnym siedzeniu, Billy nie powinien niczego zauważyć.

Pozamykała za sobą drzwi. Nie śmiała wybiegać myślą naprzód. Wiedziała, gdzie jest Frank i że przyda mu się broń. Jeśli dojdzie do najgorszego, będzie mogła strzelać, trzymając rewolwer oburącz.

Kiedy Claire wróciła do domku Cavanagha, jej samochód był już gotowy. Przyciskając mocno do siebie żakiet z ukrytą bronią, zdobyła się na uśmiech.

- Och, wspaniale - powiedziała do Billy'ego.

- Wstrętna robota - poskarżył się. - Wyjedź, a ja wepchnę swojego grata do szopy. Pozamykałaś wszystko jak należy?

- Tak, w porządku, nie martw się.

Otworzyła tylne drzwi samochodu i rzuciła na siedzenie żakiet z ukrytym rewolwerem. Wycofała auto, odjeżdżając na bok, by zrobić Billy'emu miejsce na wstawienie jego wozu. Samochód był jego dumą i radością. Bez tablic rejestracyjnych wyglądał jak wrak. Billy zamknął drzwi szopy i oparł się o nie, łapiąc oddech.

- Cholerne płuca - zagderał. - Od bronchitu, który przeszedłem zeszłej zimy, już nie są takie, jak dawniej. Daleko jedziesz?

Potrząsnęła głową.

- Niezbyt. Mam dużo benzyny. Dzięki. I nie martw się o mnie. Wrócę przed nocą.

Puściła sprzęgło i ruszyła w stronę drogi, machając mu przez okno na pożegnanie. On też jej pomachał, a kiedy samochód zniknął z pola widzenia, skrzywił się boleśnie i jęknął zawiedziony i przestraszony. „Niedaleko” - powiedziała, a potem dodała to kłamstwo, że ma pełno benzyny. Wróci przed nocą. Gdzie ukrył się Frank Arbuthnot, że nie może go znaleźć połowa irlandzkiej policji ani IRA, a jest tego w stanie dokonać Claire? Tych dwoje zawsze miało swoje tajemnice. Spacerowali razem, trzymając się za ręce, wcale nie jak brat i siostra. Frank pilnował jej, a ona uważała go za Boga Wszechmogącego. Wyrosła na przepiękną dziewczynę o blond włosach i każdy chłopak w tym kraju miał na nią chrapkę, co Billy wiedział z babskich plotek. Ale wystarczyło, by Frank powiedział choćby słowo przeciwko któremukolwiek z nich, a momentalnie kończyło to sprawę. „Mogła poślubić fajnego, młodego faceta, z wielkim domem w Westmeath i sporym kawałkiem gruntu na dodatek, ale Frank się go pozbył” - pomyślał Billy z goryczą. Kiedy miała dwadzieścia lat, jeździła konno z bratem lub wędkowała, zamiast wyprawiać się do Dublina albo chodzić na tańce. A potem wpakowała się w tę cholerną Anglię i wróciła z tym przeklętym Angolem. Billy splunął z obrzydzeniem i wszedł do domu.

Milę dalej Claire zatrzymała samochód. Wzięła rewolwer z tylnego siedzenia i razem z nabojami włożyła do schowka na rękawiczki. Nie musiała patrzeć na drogowaskazy. Znała każdy centymetr bocznych dróg prowadzących przez Kilcock, Trim i Fordstown do Kells. Ileż to razy jeździli tędy samochodem jej brata, holując za sobą przyczepę z dwoma końmi, podnieceni perspektywą całodziennego polowania w Meath. Frank tak świetnie wyglądał w

stroju myśliwskim. Była dumna, pokazując się z nim, i wiedziała, że kiedy jeżdżą razem konno, robią spore wrażenie.

Na moment jej oczy zamgliło wspomnienie szczęśliwych czasów, okresu niewinności, zanim Kevin Ryan wrócił z Ameryki i kupił Pół Domu od ostatniego rozrzutnego Hamiltona, bratanka pierwszego męża jej matki, Jamesa, który zginął pod Tobrukiem. Wtedy wszystko się zmieniło. Do tej pory Frank był bezpieczny, bo mieli z Claire siebie nawzajem, a sprawy, które go niepokoiły, były w nim na wół pogrzebane i mogły nigdy nie wypłynąć na wierzch. Ale kiedy Eileen Arbuthnot wezwała zza grobu do zemsty, wrócił jej brat, roszcząc sobie prawa do siostrzeńca.

Pogoda była cudowna. Dzieci bawiły się na boiskach szkolnych, krzycząc i biegając w słońcu. Przejechała koło wielkiego celtyckiego krzyża w Kells, tak starego, że na temat jego wieku można było jedynie spekulować, a potem wzdłuż głównej ulicy i obok bramy wspaniałej posiadłości markizów Headford, teraz sprzedanej bogatym obcokrajowcom, po czym minęła ostatni zakręt na drodze do Cloncarrig.

Przypomniała sobie głos brata, który słyszała podczas ich ostatniej rozmowy telefonicznej. Odbyli ją zaledwie kilka dni przed zniknięciem Franka. Ten głos знаła tak dobrze, że pomimo dzielącego ich czasu i odległości, serce zaczęło jej bić szybciej.

- Claire, chciałem, żebyś wiedziała... oni zamordowali biednego, starego Donny'ego. Zabili go z zimną krwią. Skończyłem z nimi. Chcę, żebyś o tym wiedziała - powtórzył, a ona odparła:

- Och, dzięki Bogu! Ale możesz to zrobić? Możesz tak po prostu zerwać?

- Mogę i zrobię to - odparł.

- Przyjedź tutaj - błagała go. - Jeśli od nich odejdiesz, to nie wolno ci zostać w Irlandii. Proszę, kochany, przyjedź do mnie.

Usłyszała z pozoru drwiący śmiech, ale tak naprawdę pełen gorzkości.

- Nie sądzę, żeby Neil zbyt się uradował na mój widok. Nie martw się o mnie. Mam przyjaciół, którzy pociągają za sznurki. Nikt nie ośmieli się mnie tknąć. W każdym razie, gdybym musiał gdzieś przycupnąć, dopóki sprawy się nie ułożą, to wiemy oboje, dokąd mogę jechać. Pamiętasz starego Reynarda?

A potem, żegnając się, zapytał, czy jest zdrowa i szczęśliwa, a ona skłamała, mówiąc, że tak.

- Niech więc ci Bóg błogosławi - pożegnał ją i odłożył słuchawkę.

Samochód Claire toczył się wolno, a ona rozglądała się za zjazdem z drogi, który pamiętała. Był w miejscu, gdzie powinna stać brama prowadząca na zrytą koleinami drogę do

farmy. Posiadłość otaczał niski mur z kamienia, teraz pokruszony i obrośnięty przez zwycięskie pokrzywy. Claire wjechała podskakującym cały czas na nierównościach terenu autem w lukę w murze i omijając największe wyboje, zmierzała w stronę bukowego zagajnika, gdzie mogła ukryć samochód, by nie wypatrzone go z drogi. Otaczały ją rozległe, zielone pola, ciągnące się aż do odległych drzew na horyzoncie. Zatrzymała się, rozejrzała wokoło i zobaczyła tylko pustkę irlandzkich przestrzeni. Ponad nią krakały gawrony pikujące w stronę gałęzi wysokich drzew. Wzięła naboje, zawinięty w płaszcz rewolwer i zaczęła iść w kierunku zagajnika. W dolinie za laskiem leżało jezioro, w którym tego słonecznego dnia odbijały się ruiny wielkiego, georgiańskiego domu. Za nim, po drugiej stronie łagodnego wzniesienia, Claire powinna znaleźć brata, jeśli nadal żył.

*

Helikopter wystartował z Południowej Walii godzinę po tym, gdy ktoś ze służb specjalnych rozmawiał przez telefon z majorem Michaelem Harveyem. Śmigłowiec należał do wojska, ale działał w barwach komercyjnej spółki lotniczej. Przed południem maszyna wylądowała na lotnisku, a na jej pasażera czekał samochód, który pomknął z nim do Londynu.

Brownlow nie spodziewał się zobaczyć kogoś o wyglądzie majora Harveya - niewysoki i trochę zbyt ciężki. Fizycznie na pewno nie był okazem najwyższej próby. Miał na sobie zniszczone sztruksowe spodnie i marynarkę. Wyglądał całkowicie anonimowo. Mógł być kimkolwiek, tylko nie oficerem wojska, który służy w najbardziej wyspecjalizowanym wydziale wywiadu i przeprowadza tajne operacje w Irlandii Północnej.

- Nie tracił pan czasu - odezwał się Brownlow, kiedy uścisnęli sobie dłonie.

- Powiedział pan, że to pilne. Pomyślałem to samo.

Harvey usiadł naprzeciwko niego, odmawiając przyjęcia papierosa. Był człowiekiem bardzo opanowanym.

- Zrobił się cholerny bałagan - powiedział Brownlow. - Gdyby Fraser nie spaprał sprawy, kiedy wrócił do domu i stwierdził, że jego żona zniknęła, moglibyśmy ją zatrzymać, zanimby odpłynęła.

- Myślę, że chciał się upewnić, czy to prawda - podsunął major Harvey. - Ale rzeczywiście, szkoda.

- Znacie się na gruncie towarzyskim, jak rozumiem.

- Tak. Byłem u nich kilkanaście razy. Polowałem z nim. Oboje są mili.

- Skąd on wie, co pan robi? Sądziłem, że w waszym fachu utrzymujecie to zawsze w tajemnicy.

- Na jakiś czas zostałem do niego przydzielony jako ochroniarz - odparł Harvey. - Raz nawet znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie. Przypadliśmy sobie do gustu. Zaprzyjaźniłem się z nim.

- Z żoną także? Jak pana odbierała, majorze? Podejrzewam, że Claire Fraser ma proirlandzkie sympatie.

- Nie chciała, żeby zastrzelono jej męża - powiedział Harvey. - Nie wydaje mi się, żeby była szczególnie pro-cokolwiek. Poza tym urodziła się i wychowała w Irlandii. Tak jak i ja, nawiasem mówiąc.

- Doprawdy? - Brownlow poczuł się skarcony i to go zirytowało.

Arogancki bydlak, zdecydował w duchu inspektor. Wyprostował się na krześle i stał się bardziej oficjalny.

- Nasz pogląd jest taki, że Claire Fraser pojechała do Irlandii, żeby odszukać brata. To prawdziwy drań - Brownlow prowokował majora, ciekaw, czy Harvey będzie bronił Arbuthnota. - Dostajemy mnóstwo sprzecznych informacji. Jedna wersja głosi, że poróżnił się ze swymi przyjaciółmi z provos⁷ i albo ukrywa się, albo został zamordowany, a ciało zatopiono w którymś z bagien. Przykra strona każdej z tych ewentualności jest taka, że w obu wypadkach może to być intryga dla zwabienia pani Fraser na teren republiki i porwania jej.

To wygląda najbardziej prawdopodobnie. Czy jest możliwe, że brat uczestniczył w tym spisku? Jego zniknięcie mogło zostać sfingowane.

Brownlow potrząsnął głową.

- Nie ma mowy. Ona jest jego jedynym słabym punktem, który znamy. Sądzę raczej, że Frank Arbuthnot leży z dziurą w głowie na dnie jakiegoś bagna, a tamci tylko czekają, by we właściwym momencie zgarnąć żonę Frasera. Jak to wyjaśniłem ministrowi, nie możemy wciągnąć do tego irlandzkiej policji, ponieważ cały ten cholerny kraj jest jak jedno wielkie ucho Dionizjosa⁸. Wszyscy wszystko słyszą. Provosi mają kontakty wszędzie, więc sprawa musi zostać przez nas załatwiona z największą ostrożnością. I dyskrecją - dodał. - Chcemy sprowadzić z powrotem panią Fraser, ale bez żadnej strzelaniny. Bez reperkusji.

- Czy to oficjalne polecenie - spytał Harvey - czy tylko ogólne wytyczne?

- Ogólne dyrektywy - przyznał Brownlow. - Nikt nie może pana pouczać, jak wykonywać swoją robotę.

- Co nie znaczy, że nie będą próbowali - odparł major.

⁷ Provos - skrót od Provisionals (przyp. tłum.).

⁸ Ucho Dionizjosa - urządzenie podsłuchowe, którego nazwa pochodzi od Dionizjosa (Dionizjusza) I Starszego (ok. 430-367 p.n.e.), tyrana Syrakuz (przyp. tłum.).

Spojrzał na zegarek.

- Nie ma żadnego szumu w prasie. Z tego, co mi pan powiedział przez telefon, wnoszę, że Claire także nie chce zostać zauważona. A to jest nam na rękę. Naszą jedyną szansą na wybrnięcie z tego kryzysu jest dotarcie do pani Fraser, zanim provosi w ogóle się dowiedzą o jej obecności w Irlandii. Ruszam więc w drogę - wstał. - Skontaktuję się z panem. Przy odrobinie szczęścia wrócę dziś wieczorem. Jeśli nie, to znaczy, że sprawy się skomplikowały. Ale jestem optymistą. Pani Fraser nie jest głupia i wie, z kim ma do czynienia.

Podali sobie dłonie i Harvey wyszedł.

Brownlow ścisnął dolną wargę między kciukiem i palcem wskazującym. „Harvey zna Claire Fraser dużo lepiej, niż to daje po sobie poznać” - pomyślał. To dlatego jej mąż go wybrał. Major nie jest rewolwerowcem. „Wyrosła tam. Tak jak ja”. Brownlow spotykał się z dziwactwami ludzkiej natury od trzydziestu lat. Gdy skrytykował panią Fraser, a w konsekwencji i Irlandię, jego gość najeżył się. Inspektor potrząsnął głową. Nigdy ich nie zrozumie. Przez „nich” rozumiał Anglików identyfikujących się z krajem i ludźmi, którzy ich nigdy nie zaakceptowali. Zastanowił się, czy major Harvey, były żołnierz Zielonych Beretów, tajny ekspert do spraw Wellingtonu, Sandhurstu, a teraz Ulsteru, uznałby się za Irlandczyka. Brownlowa zupełnie by to nie zdziwiło.

*

Lot do Dublina trwał tylko godzinę. Kiedy stewardesy roznosiły drinki, a pasażerowie obserwowali się wzajemnie w czasie startu, Harvey czytał gazety. Po chwili, na wysokości trzydziestu tysięcy stóp, odłożył pisma i oparł się wygodnie, patrząc przez okno na jasne zwały oświetlonych słońcem chmur. Myślał o Claire Fraser, o ich pierwszym spotkaniu w Brandon Manor, w samym sercu Cotswolds.

Było to trzy lata temu, kiedy jej mąż piastował urząd wiceministra i obawiano się, że może się stać celem ataku IRA. Informatorzy wymieniali także dwie inne postaci życia publicznego. Michael Harvey został przydzielony do ochrony ministra wewnątrz domu. Mógł wmieszać się pomiędzy gości Fraserów, nie rzucając się w oczy i nie wywołując komentarzy. Mniej wyrobieni towarzysko funkcjonariusze patrolowali ogrody i obserwowali drogi. Claire Fraser poznał trzy lata wcześniej, tuż po gwiazdce, kiedy styczniowa pogoda była najbardziej dokuczliwa. Harvey znakomicie to wszystko pamiętał.

- Witam pana - Claire wyszła mu na spotkanie. - Proszę wejść i pozwolić sobie nalać drinka.

- Bardzo dziękuję. Przykro mi, że znów muszę się narzucać.

Miała czarujący uśmiech.

- Proszę nie mówić głupstw. Dzięki pańskiej obecności w domu możemy spać spokojnie. Gin z tonikiem?

- Whisky z wodą sodową, jeśli to nie sprawi kłopotu. Dzisiaj jest odpowiednia pogoda na whisky.

Zatrzymała się przy stoliku pełnym butelek i szklanek i spojrzała na niego.

- To bardzo irlandzkie, co pan powiedział - stwierdziła.

- Tak jak i deszcz - powiedział Harvey. - Przypomina mi Rademon w niedzielę. Wszystkie puby zamknięte i nie można zrobić nic innego, jak pójść do kościoła. Czy zna pani północ Irlandii, pani Fraser?

- Nie, nigdy tam nie byliśmy. Mój ojciec nie mógł znieść tubylców. Mam nadzieję, że nie jestem nietaktowna?

Major uśmiechnął się i przyjął szklaneczkę.

- W najmniejszym stopniu. Pochodzę z Galway.

- Doprawdy? Mamy tam kuzynostwo, Grahamów. Zna ich pan?

- Moja rodzina ich zna. Wakacje spędzałem w domu, ale do szkoły chodziłem w Anglii, a potem służyłem w wojsku. Tak czy inaczej, dom sprzedano.

Upił nieco drinka. W pomieszczeniu znajdował się wielki kominek, przed którym leżał nieodłączny labrador, a centralne ogrzewanie utrzymywało w całym domu wysoką temperaturę. Ładne, drogie meble i jeszcze droższe obrazy wiejskich rezydencji na ścianach. Fraser był bogaty. Gościnnie, pełen uroku, pomimo lęku nie okazywał niepokoju. Robił, co mógł, by Harvey czuł się dobrze w ich towarzystwie. Major stale miał przy sobie załadowaną broń na wypadek podejrzanego hałasu czy ruchu w domu. W tych okolicznościach Fraserowie zachowywali się nadzwyczaj przyzwoicie. Wielu ludzi czułoby się nieswojo albo okazywałoby zdenerwowanie, gdyby miało u boku goryla. Neil Fraser, odpowiednio eskortowany, był właśnie w drodze z Londynu, Harvey zaś miał zostać u nich przez weekend. Claire jest bardzo przystojną kobietą, ocenił major, obserwując ją, gdy nalewała mu drinka i siadała naprzeciwko niego. Dobra figura, eleganckie ciuchy, bardzo jasna blondynka. Na służbie czuł się całkowicie uodporniony na uroki kobiet. Mógł co najwyżej uznać, że Claire Fraser jest miła i nie narzuca się z głupimi pytaniami. Po pobycie w Belfaście wiedział, że kobiety potrafią jednocześnie uśmiechać się i zabijać.

- Nie byłam w domu od Wielkanocy - powiedziała Claire.

Zwrócił uwagę na to słowo. „Dom”. Miej oczy otwarte, mówiono mu. Ma brata, który jest bardzo podejrzaną figurą.

- Neil nie lubi tam jeździć. Teraz, oczywiście, w ogóle nie możemy tego robić.

- Nie - przyznał. - To nie byłoby zbyt mądre.

- Nie zamierzam pytać, czy pan to robi - Claire uśmiechnęła się.

- Nie - powtórzył Harvey. - Jestem z tego zadowolony.

- Rozmawiam z matką przez telefon - ciągnęła - ale to nie to samo. Obiecała przyjechać tutaj na wiosnę. Od śmierci mojego ojca czuje się samotna.

- Nie zamierza przenieść się do Anglii?

Major tak naprawdę nie był zainteresowany zdawkową rozmową, ale whisky go wyciszyła i mógł się trochę rozluźnić przed przybyciem Frasera.

- Dobry Boże, nie - odparła Claire. - Mama mieszka w Irlandii od czasu swego pierwszego małżeństwa. Jest bardziej irlandzka niż Irlandczycy. Ma siedemdziesiąt lat, a polować przestała dopiero w zeszłym sezonie, a i to tylko z powodu artretyzmu nadgarstka. Zna pan Kildare?

- Niezbyt dobrze - odpowiedział niezgodnie z prawdą.

Zdawało się, że tego wieczoru Claire pragnie rozmowy. Podczas wcześniejszych spotkań mówiła bardzo niewiele i to jej mąż podtrzymywał konwersację, do tej pory jednak nie była nigdy z Harveyem sam na sam.

- Moja matka wyszła za Jamesa Hamiltona - ciągnęła Claire. - Mieszkali w posiadłości zwanej Pół Domu. James został zabity podczas wojny i niedługo potem matka poślubiła mojego ojca. Pół Domu zostało sprzedane osiem lat temu.

Zaproponowała mu papierosa, ale odmówił.

- Zapomniałam, że pan nie pali.

- Nigdy nie paliłem - wyjaśnił major. - Próbowałem kiedyś, ale mi nie smakowało.

Czuł, że chciała coś powiedzieć, a papieros choć na chwilę odprężył. Czekał.

- To takie irlandzkie nazwać posiadłość Pół Domu - kontynuowała Claire, a jej głos brzmiał zupełnie zwyczajnie. - Jeden z Hamiltonów podpalił go, licząc na odszkodowanie, i spartaczył robotę. Rodzina mieszkała więc w jednym skrzydle i wszyscy tak nazywali ich majątek. Hamiltonowie wydrukowali to nawet na papierze listowym. Uwierzy pan?

Roześmiała się, a on jej zawtórował.

- Dom kupił Kevin Ryan - powiedziała Claire.

Harvey milczał dyplomatycznie.

- Ludzie nie przestawali o tym mówić.

- Ten senator? - spytał Michael, orientując się, że rozmówczyni spodziewa się po nim jakiejś pomocy.

- Tak, i wielki biznesmen. Jego rodzice byli farmerami. Przed wojną Kevin wyjechał do Stanów i zrobił olbrzymi majątek. To potężny człowiek.

- Spotkała go pani?

Był w niej jakiś niepokój. Claire prosiła go o coś. Jego, obcego mężczyznę, który miał za zadanie zastrzelić zamachowców z IRA, gdyby się zjawili. Harvey nie wiedział, o co jej chodzi, ale teraz to już nie była uprzejma pogawędka i nie musiał udawać, że jest poruszony rozmową.

- Raz - odparła Claire. - Odwiedziłam go z bratem. Przyrodnim bratem. Ryan jest jego wujem.

- O! - wyrwało mu się.

Wstała i żeby się czymś zająć, naląła sobie kolejnego drinka. Zwrócona do niego tyłem odezwała się ponownie:

- Ryan jest jednym z szefów Noraid. Odmienił Franka. Kompletnie go odmienił. Majorze Harvey, czy potrafi pan sobie wyobrazić, jak się czuję, wiedząc, że życie Neila jest zagrożone?

Odwróciła się i spojrzała na niego. W oczach miała łzy. Stał się bezbronny.

- To nie ma z panią nic wspólnego. Proszę się nie martwić. Nic mu się nie stanie - zapewnił. - Zdaje mi się, że pani mąż właśnie przyjechał. Przepraszam.

Odstawił szklaneczkę.

- Dziękuję za drinka.

Tego wieczoru atmosfera podczas kolacji była napięta. Neil Fraser wyglądał na krańcowo wyczerpanego, a jego żona była zgaszona i przeprosiwszy ich, opuściła wcześniej jadalnię. Kiedy zostali sami, Neil zaproponował brandy.

- Nie, dziękuję, muszę być w formie. Nie powinienem zbyt dużo pić.

- Jestem panu bardzo wdzięczny, majorze - powiedział Fraser. - Świadomość, że jest pan w domu, uspokaja moją żonę. Nie powinna się martwić, ale to robi.

- To zupełnie naturalne - przekonywał Harvey, zastanawiając się, dlaczego Neil ją w to wciąga. - Większość kobiet na jej miejscu trzęsłaby się jak galareta. Pani Fraser zachowuje się wprost cudownie.

- Jak pan sądzi, ile to potrwa, zanim się ode mnie odczepią?

Harvey wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Przecucie mówi mi, że najbardziej niebezpieczne są pierwsze dni. Jeśli do tej pory bojownicy IRA nie spróbowali nic zrobić, to może wiedzą, że ich plany zostały przejrane i rezygnują. Ale proszę się na mnie nie powoływać. Jak tylko sytuacja się

unormuje, uwolnię pana od siebie.

- Cieszę się, że jest pan z nami - zapewnił go Neil. - Claire również jest zadowolona.

Pociągnął spory łyk brandy.

- Kłopot w tym, że ona czuje się tak, jakby sama była winna zagrożeniu. Dziś wieczór była bardzo niespokojna. Czy pan to zauważył?

- Nie, nie zauważyłem. Przed pana przyjazdem rozmawialiśmy o Irlandii. Po prostu plotkowaliśmy.

Harvey miał głęboko wpojona zasadę, by niczego nie zdradzać, ale Fraser nie zamierzał z niego niczego wyciągać. Major chciał, by gospodarz skończył drinka i poszedł spać. Nie miał najmniejszej ochoty na wdawanie się w rozmowę na tematy osobiste.

- Problemem jest przyrodni brat Claire - Fraser usadowił się wygodniej w fotelu. Zamierzał zrzucić to z serca i nic nie mogło go powstrzymać.

Harvey milczał.

- Philip, jej ojciec, poślubił córkę farmera. Uciekli do Anglii i wzięli ślub. To była najbardziej szokująca awantura w rodzinie Arbuthnotów, którzy za żadną cenę nie zaakceptowaliby jego wybranki. Żona Philipa umarła niedługo potem przy porodzie. Chłopiec urodził się przedwcześnie. Słyszałem, że stało się to wskutek sprzeczki obu pań Arbuthnot, młodszej i starszej. W każdym razie, mój teść nigdy więcej nie odezwał się do matki. Typowo irlandzkie, niestety. Wydaje mi się, że to rodowa nienawiść.

- Na to wygląda - przyznał Harvey.

Podciągnął rękaw i spojrział na zegarek. Fraser nie zauważył tego gestu albo się nim nie przejął.

- Stary ożenił się po raz drugi, ze wspaniałą kobietą. Rodowitą Angielką tym razem. Moja żona jest z charakteru bardzo do niej podobna - spojrział ponuro na swój pusty kieliszek.

- Problem w tym, że Claire i jej brat są nierozłączni. Zawsze był zazdrosny o to, że za mnie wyszła. I tkwi w tym po same uszy.

- Przeszedł na drugą stronę? - spytał Harvey.

- Jeździ w tę i z powrotem do Stanów, przemawia podczas zjazdów Noraid. Formalnie nie można się do niego przyczepić, a ten cholerny irlandzki rząd ma w nosie, co robią tacy ludzie. Ale zachowanie brata obciąża Claire. Nie było mi z tym łatwo, kiedy stawałem do wyborów. Nieważne. To okropni ludzie.

Harvey wstał z fotela.

- Nie wszyscy - zaprotestował. - Znam kilku, którzy nie są źli. Sądzę, że powinniśmy zamknąć sklepik, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Na zewnątrz straż obejmuje nocna

zmiana i chłopcy się spodziewają, że domownicy są już w łóżkach. Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza, sir.

To „sir” miało złagodzić wydzwięk całej kwestii. Harvey nie był zdziwiony tym, że Fraser jest ignorantem i człowiekiem pełnym uprzedzeń. Major nie miał zbyt wiele cierpliwości dla rasy polityków.

- Tak, jest późno. Dobranoc. Zobaczymy się podczas śniadania.

Harvey spał przy otwartych na oścież drzwiach w pokoju naprzeciw sypialni Fraserów. Nie mógł nie słyszeć kłótni. Zaczęli ściszonymi głosami, a potem poniosła ich złość.

- Nie pomogłby im! Frank nie zrobiłby nic, żeby cię skrzywdzić!

- Już w to wierzę! Jedyne, czego zawsze chciał, to cię odzyskać!

- Mówisz takie rzeczy i liczysz na to, że będę z tobą spała?!

Harvey wstał i zamknął drzwi. Potem otworzył je znowu. Jego zadanie polegało na chronieniu Fraserów w nocy. Spał czujnie jak zając pod miedzą. Jeśli chcą się kłócić na pełny regulator, to ich sprawa.

- Nie chcesz już tego. No, dalej, przyznaj się! To tylko kolejna wymówka kolejnej nocy!

Chryste, mruknął do siebie Harvey, małżeńskie szczęście! Drzwi sypialni gospodarzy otworzyły się. Claire płakała. Było mu przykro ze względu na jej męża. One zawsze leją łzy, by zrobić z ciebie winowajcę. Jego była żona chlipała przez trzy lata. Usłyszał, że Fraser mówi:

- Och, na litość boską, kochanie, nie wychodź. Wracaj do łóżka. Przepraszam. Po prostu pragnąłem cię dzisiaj.

- Ja też przepraszam - powiedziała Claire.

To coś nowego, przyznał w duchu Harvey.

- Strasznie mi przykro, Neil. Jestem taka tym wszystkim zdenerwowana, że po prostu nie mogłam.

Drzwi zamknęły się i stłumiły głosy małżonków. Michael sprawdził, czy ma pod ręką broń, ułożył się znowu i zamknął oczy. Co za brat z tego Franka Arbuthnota? Najwyraźniej obu im Claire załazła za skórę. Zdrzemnął się.

Majora zwolniono z obowiązków pod koniec weekendu. Jeszcze tydzień i zdjęta zostanie ochrona. W Liverpoolu aresztowano dwóch mężczyzn, których informator z Belfastu wskazał jako potencjalnych zamachowców. Po sprawdzeniu faktów Neil Fraser i dwaj inni politycy znajdujący się na celowniku IRA staną się obiektami o niskim stopniu ryzyka.

- Co pan teraz będzie robić? - spytał Fraser. - Czy też może jest to pytanie nie na miejscu?

- Muszę państwa opuścić - odparł Michael Harvey.

- Czy nie przyjechałby pan do nas w następną sobotę na polowanie? - zaproponował Fraser. - Będzie kilku myśliwych i planujemy miłe przyjęcie. Naprawdę chcielibyśmy ofiarować panu przyjemny dzień. Prawda, kochanie?

Neil przesunął dłoń po ramionach żony. Od czasu, kiedy Harvey podsłuchiwał nocną kłótnię Fraserów, małżonków zdawała się łączyć bliższa zażyłość.

- Tak, oczywiście - Claire była entuzjastycznie nastawiona do tego projektu. - Proszę koniecznie przyjechać, majorze. Ostatnie dwa tygodnie musiały być dla pana bardzo ponure. Zabawimy się teraz, kiedy wszystko wraca do normy. A polowanie jest czymś wspaniałym!

Na przekór sobie miał na to ochotę.

- Boję się, że nieco zardzewiałem - powiedział Harvey, a Fraserowie roześmiali się. - To znaczy, jeśli chodzi o ptactwo latające - sprostował.

- Niech się pan zgodzi - zachęcała go Claire.

- Prosimy - poparł ją Fraser.

- No cóż, jeśli są państwo pewni, że zniosą mój widok... to z rozkoszą.

Tak wyglądał początek ich przyjaźni. Spotykali się nieregularnie, ponieważ od czasu do czasu obowiązki majora wyłączały go z życia towarzyskiego na wiele tygodni, ale ilekroć telefonował do Fraserów, zapraszali go na wieczór albo umawiali się na kolację w Londynie. Bawiły go wysiłki Claire, by przedstawić go atrakcyjnym kobietom.

- Jest bardzo miła - mówiła zazwyczaj, przygotowując go na spotkanie z kolejną dziewczyną - i bardzo ładna. Jestem pewna, że ci się spodoba.

- Na pewno, ale będę szczęśliwy, jeśli spędzę ten wieczór z tobą i Neilem - odpowiadał. - Nie jestem na towarzyskiej giełdzie.

Wyznał im kiedyś, że był żonaty.

- Rozwiedliśmy się po trzech latach. Tej pracy nie da się pogodzić z życiem rodzinnym, więc...

Wzruszył ramionami, żegnając się w ten sposób z mnóstwem nieszczęść i rozczarowań. Był zadowolony, że nie oczekują od niego więcej szczegółów. To była dziwna przyjaźń. Fraser okazał się człowiekiem towarzyskim. Miał cięty język, ambicję i piął się w górę. Wzruszało zaufanie, jakim darzył ten odnoszący sukcesy mężczyzna w średnim wieku młodego oficera. Nowy przyjaciel wydawał się Harveyowi bardzo samotny. To chyba mieli ze sobą wspólnego. Neil nie potrafił dotrzeć do żony. Harvey zastanawiał się, czy w ogóle

mógł to osiągnąć, nawet na samym początku ich małżeństwa. Niczym swobodnie dryfujący statek odpływała od niego i żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, że tak się dzieje. A potem już było za późno, żeby to oddalanie się powstrzymać. Gdyby Claire choć raz uczyniła mu jakieś awanse, Harvey nigdy więcej by się z nimi nie spotkał. Ale nie zrobiła tego. Lubiła go i ufała mu jak przyjacielowi, który był kimś ważnym dla jej męża. Czasami rozmawiała z nim o Irlandii i dawnych czasach, kiedy oboje byli dziećmi. Nigdy nie wspominali o Ulsterze, za wyjątkiem jakichś ogólnych spraw.

Samolot podchodził do lądowania w Dublinie i zaczął się wbijać w ciemne chmury. Przed Harveyem pojawił się napis nakazujący zapięcie pasów bezpieczeństwa. Gdzieś z tyłu rozplakało się dziecko. Gdy samolot pochylił się, skręcając ku lotnisku, major dostrzegł szary, zmięty jedwab morza. Jak zwykle, padało.

Frank Arbuthnot zaginął. Harvey zgadzał się z Brownlowem, że najprawdopodobniej został zabity i pogrzebany. Nie miał za zadanie odnalezienia go, ale była tu także Claire Fraser, a on wziął na siebie trud odszukania jej i przekonania, by wróciła do domu. Był przygotowany na użycie siły, gdyby to było niezbędne. Zawahał się, kiedy usłyszał, dokąd ma się udać. Jeden fałszywy krok mógł zniszczyć jego kamuflaż i zrujnować lata ostrożnej działalności na Północy. Potem przypomniał sobie coś i zrozumiał, że miał obowiązek to ryzyko podjąć. Niedzielny lunch w ogrodzie w Gloucestershire. Słońce świeci na nich i dzieci, które śmieją się i chlapią w płytszej części basenu. Najmniej prawdopodobna sytuacja, by Claire mówiła o dniu, kiedy wraz z bratem poszli na pole człowieka, który wierzył, że po śmierci wróci, zreinkarnowany, jako lis.

Harvey przeszedł do głównej hali lotniska przez oznakowaną na zielono odnogę stanowiska odprawy celnej. W kierunku majora ruszył mężczyzna trzymający karton z koślawym napisem: „Pan Keogh”. Harvey poszedł za nim do wynajętego samochodu, wziął kluczyki i odjechał. Oddaliwszy się sporo od lotniska, major zatrzymał auto. Tyłne siedzenie podnosiło się, a pod nim znajdowała się broń i amunicja. W bagażniku była torba z ubraniem na zmianę. Dżinsy, gruby sweter, wełniana kurtka z kapturem, sprzedawana w Irlandii przez sieć sklepów Penny’ego, i zdarte wysokie buty do konnej jazdy. Kildare to kraina koni. Tak ubrany nie zwróci na siebie uwagi. Harvey zdecydował się najpierw jechać do Riverstown na wypadek, gdyby Claire tam zajrzała.

*

To była długa wędrówka. W gęsto podszytym lesie było wilgotno. Claire przedzierała się mozolnie przez czepiające się jej pędy jeżyn, potykając się o połamane gałęzie drzew. U wylotu doliny przystanęła, by złapać oddech. To było cudowne miejsce i dom z tej odległości

nie wyglądał na ruinę. Jakież przyjęcia się tu odbywały, kiedy oboje z Frankiem byli młodzi, a Tom Reynard podejmował przyjęciół i ich dzieci!

Arbuthnotowie dawniej polowali w Meath, a Tom żył, by się bawić. Słyszał z bogactwa i gościnności. Nigdy nie był żonaty, ale przez jego dom przewijało się mnóstwo kuzynek i bratanków i nieprzerwany strumień gości. Życie w Cloncarrig tętniło radością, a Tom, rudowłosy i rumiany, przewodził temu trwonieniu własnej fortuny, nie poświęcając jej choćby jednej myśli.

- Dlaczego, do diabła, mam się przejmować pieniędzmi? - pytał, stojąc ze szklaneczką whisky w dłoni przy kominku, który grzał mu plecy po dniu pełnym rozrywek. - Przygotowałem wszystko, czego kiedykolwiek mógłbym potrzebować. - I śmiał się razem z gośćmi.

- On naprawdę w to wierzy, tatusiu? - zapytała Claire ojca któregoś wieczoru, kiedy po długim, dżdżystym dniu i obfitym podwieczorku po polowaniu wrócili do Riverstown.

- W co, kochanie?

Siedzieli w gabinecie, grzejąc się przed kominkiem w oczekiwaniu na kolację. Frank leżał wyciągnięty w fotelu z zamkniętymi oczami, jakby na wpół drzemał. Claudia na górze odpoczywała po kąpieli. Pod koniec dnia wygrała z Tomem pięciomilową gonitwę.

- Czy wierzy, że po śmierci zamieni się w lisa - wyjaśniła Claire.

Philip Arbuthnot uśmiechnął się. Uwielbiał córkę i nie mógł się powstrzymać od położenia dłoni na jej głowie i zwichrzenia jasnoblonde włosów. Bardzo przypominała mu Claudię.

- Myślę, że tak - odparł. - W każdym razie, wydał z powodu tej idei kupę pieniędzy. Jeżeli go to uszczęśliwia, to co w tym złego?

- Ale jeśli on umrze, to ze względu na niego już nigdy nie będziemy mogli polować w Meath - zauważyła Claire.

Ta praktyczna uwaga rozśmieszyła Philipa. Claire była takim wdzięcznym, nieskomplikowanym dzieckiem, nie to, co jego syn. Nigdy nie można było mieć pewności, co Frank sobie myśli. Rozwała się w fotelu, tak jak teraz, a potem nagle wstaje i wychodzi, rzucając uwagę, po której wszystkim robi się nieprzyjemnie. Po feriach świątecznych Frank miał rozpocząć naukę w publicznej szkole w Anglii. Był to późny start, ponieważ miejscowa protestancka szkoła marnie go wykształciła. Powinien był wyjechać do Anglii, kiedy miał osiem lat, ale Claudia nie chciała, by poczuł się odsunięty od rodziny, ponieważ pojawiła się przyrodnia siostra, więc został w domu. Prywatny korepetytor i rok ciężkiej nauki pomogły Frankowi nadrobić zaległości, ale nawet mimo tego wysiłku nie przebrnąłby przez egzamin

wstępny, gdyby nie koneksje ojca. Tak późny początek szkolnej edukacji mógł okazać się dosyć trudny dla chłopca, ale nie było innego sposobu, by go odpowiednio wykształcić. Philip miał nadzieję, że syn skorzysta z tej szansy i da z siebie wszystko.

- Tato - zobaczył, że Frank usiadł prosto i patrzy na niego z tym na wpół przebiegłym wyrazem twarzy, który tak bardzo go irytował.

- Spotkałem dzisiaj pana Rossa.

- Naprawdę?

Wielebny Hugh Ross, kierownik męskiej szkoły z internatem w Meath, był poczciwcem bardziej oddanym myślistwu niż nauce. Philip zeszywniał na myśl o tym, przewidując, do czego prowadzi jego syn.

- Rozmawialiśmy trochę - ciągnął Frank.

Claire dostrzegła, że brat zacisnął dłonie, i pomyślała - „Och, biedny Frank, chce powiedzieć coś, co jest przeciwne myśli tatusia”.

- Naprawdę? - powtórzył ojciec. - Nigdy mnie nawet nie pozdrowił.

- Powiedział, że gdybyś pozwolił mi pójść do szkoły od następnego semestru, to w Barraclough będzie wolne miejsce.

Frank spojrział na swoje dłonie, a potem znów na ojca. Ostatnie pół godziny poświęcił na zbieranie odwagi, by jeszcze raz wrócić do tego tematu. Udawał, że drzemie, i słuchał pogawędki Claire i ojca na temat tego starego szaleńca, Toma Reynarda, a w myślach układał sobie odpowiednie zdania. Nie uda się. Poznawał to po układzie ust ojca. Złość popchnęła go do dalszego ryzykowania.

- Uczylbym się bardzo pilnie, tato. Tak jak teraz, obiecuję.

- Tego jestem pewien - odparł Philip. - Zrobiłeś bardzo wiele, ale to wymagało jednak wkuwania pełną parą, a i tak jesteś na niższym poziomie niż przeciętny. Wyjaśniałem ci to już dostatecznie wiele razy, Frank, i chciałbym, żebyś to zaakceptował. Irlandzka edukacja nie jest wystarczająca dla kogoś z twoją pozycją. Nikt z naszej rodziny nie kształcił się tutaj. Nawet Claire pojedzie do Anglii uczyć się na przyzwoitej prywatnej żeńskiej pensji, choć jest dziewczynką. Nie ma mowy, żebyś chodził do Barraclough. A ja jeszcze pogadam z tym panem Rossem!

- Chciał tylko pomóc - zapewniał Frank.

Ze słów ojca wynikało, że temat został zamknięty.

- Jestem Irlandczykiem - powiedział Frank i zabrzmiało to agresywnie, ponieważ bał się, że głos mu zdrzży. - Nie chcę jechać do Anglii!

Claire siedziała cichutko z otwartymi szeroko oczyma. Pierwszy raz w życiu słyszała,

że Frank tak śmiało zwraca się do ojca. Philip zbladł.

- Jesteś Arbuthnotem. Nie pozwolę, żebyś wyrósł na irlandzkiego prostaka! Pojedziesz do szkoły w Anglii i na tym koniec!

Chłopiec wstał. Był wysoki, szczupły i ponad wiek silny. Od wielu miesięcy żył w strachu przed wygnaniem do Anglii, pomiędzy o rok młodszych chłopców, przed rozłąką z rodziną i domem z powodów, które odrzucał. Strach przed ojcem i przed obcym środowiskiem przerodził się w gwałtowną złość. W końcu ojciec wyraził to, że coś ich dzieli, co zresztą Frank wyczuwał instynktownie.

- Skoro tak mówisz o Irlandczykach, to dlaczego poślubiłeś mamę?

Claire wybuchnęła płaczem, zaczęła głośno szlochać. Philip poderwał się z fotela, uniósł rękę, by uderzyć syna, ale zrezygnował.

- Idź do swojego pokoju - polecił. - Ani się waż mówić tak do mnie o swojej matce. Wynos się!

W drzwiach stanęła Claudia. Po krótkim odpoczynku była zarumieniona i wyglądała pięknie. Miała na sobie coś czerwonego, z falbankami dookoła szyi. Claire widziała ją przez łązy jako czerwoną plamę.

- Dobry Boże, co do diabła... - zaczęła mówić na widok płaczącej Claire, ale Philip jej przerwał.

- Frank nie je dzisiaj kolacji, a Claire, moim zdaniem, ma za sobą męczący dzień. Idź z mamą na górę, kochanie, zjedz coś lekkiego i połóż się wcześniej do łóżka.

Frank przecisnął się obok macochy, poszedł do swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi na klucz. Nie od razu się uspokoił. Usiłował utrzymać gniew na najwyższym poziomie. Przeklinając ojca, trzasnął pięścią w stojącą obok okna komodę z taką siłą, że przewróciła się fotografia jego matki. Podniósł zdjęcie. Bez względu na to, jak usilnie mu się przypatrywał, nie mógł przywrócić życia uwiecznionej na nim dziewczynie. Była tylko słodko uśmiechniętą piękną twarzą, otoczoną włosami ściągniętymi do tyłu, zebranymi w coś, co przypominało siatkę na ryby, modną przed czternastu laty. Mogła być jakkolwiek dziewczyną z dowolnej fotografii.

Natomiast Claudia była realna. Claudia, z makijażem na twarzy, posługująca się językiem myśliwych, władczą, przesłoniła wspomnienie o kruchej irlandzkiej dziewczynie, zmarłej, kiedy wydawała go na świat. Nie była dla Franka matką, ponieważ zajęła miejsce prawdziwej. Nie cierpiał energii i entuzjazmu macochy, która wносиła w jego życie zbyt wiele hałasu. Szczęśliwie przestała przerabiać go na własną modłę. To była ulga. Jediną dobrą rzeczą, jaką dla niego uczyniła, było danie mu Claire za siostrę. Gdyby mała nie zaczęła

płakać, to do czego by doszło między nim a ojcem? Rzucił się na łóżko, pozwalając sobie na krótki, bolesny atak płaczu. Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, był już spokojny i przebrany do snu. Pomyślał, że to pokojówka z jedzeniem przysłanym przez Claudię. Robiła takie rzeczy, ponieważ uważała, że karanie chłopca brakiem posiłku nie jest właściwą metodą wychowawczą.

- Niczego nie chcę, dziękuję. Idę spać.

- To ja - odezwała się Claire. - Wpuść mnie, Frank, proszę.

Była w szlafroku, a twarz miała zaczerwienioną i opuchniętą od płaczu.

- Co ty wyprawiasz? - szepnął. - Skrzyczę cię jak wszyscy diabli, że nie śpisz. Wracaj do siebie, bądź grzeczna.

Nie mógł jej wypchnąć za drzwi. Zamknęła je za sobą i wspięła się na jego łóżko.

- Ale masz oczy! Ryczałeś?

- Ani trochę! - zaprzeczył gwałtownie. - To ty jesteś cholerną beksą, nie ja.

- Chciał cię uderzyć - usta Claire wykrzywiły się w podkówkę. - Nie kłóć się z nim.

Poproszę go, żeby nie wysyłał cię do szkoły. Ale nie mów już nic, co by go zdenerwowało!

Wielkie, niebieskie oczy znów napełniły się łzami, więc usiadł obok niej i objął ją ramieniem. Powinien się domyślić, że to ona wymknęła się ze swego pokoju, by mu dodać otuchy.

- Nic nie zrobię - obiecał Frank. - Pójdę do tej choliernej szkoły, ale nie zrobią ze mnie Anglika.

Oparła głowę na jego ramieniu.

- Ja też nie chcę wyjeżdżać - powiedziała. - Słyszałeś, jak tata mówił, że mnie też wyślą do Anglii. Co to jest przyzwoita pensja?

- Nie wiem - odparł Frank.

„Powinna wrócić do łóżka i nie narażać mnie na jeszcze większe kłopoty” - pomyślał, ale sprawiało mu przyjemność, gdy ta mała istota, miękka jak królik, przytulała się do niego. Była ciepła i w jej obecności nie czuł się samotny.

- Jeśli mnie uderzy - powiedział bardziej do siebie niż do niej - to, słodki Jezu, oddam mu.

Claire podniosła głowę, koncentrując się tylko na jednym.

- Nie wolno ci się tak wyrażać - mruknęła. - Doyle mówi „słodki Jezu”. Mama zabrania mu tak mówić w jej obecności. Mamusia mówi „Chryste”, sama słyszałam. Tata też. Co jest złego w zachowaniu Doyle’a?

- Chodzi o to, że jest ogrodnikiem.

„I Irlandczykiem - dodał na własny użytek. - Nie wolno mi mówić »słodki Jezu«. Nie pozwolą mi wyrosnąć na irlandzkiego prostaka. Muszę być taki, jak oni, bez względu na to, czy czuję tak samo, czy nie. Mam zapomnieć o tym, że w połowie jestem inny”.

Claire czuła się bezpieczna i senna. Ziewnęła.

- Wracaj do łóżka - nakazał jej brat.

- Dobrze. Całusek na dobranoc.

To był ich rytuał, odkąd tylko Claire potrafiła wypowiedzieć poprawnie całe zdanie.

- Całusek - zgodził się, bo chciał, żeby sobie już poszła.

Czuł się zraniony, zły i starszy niż kiedykolwiek wcześniej w życiu. Miejsce małej było w pokoju dzieciennym.

Claire nadstawiła swój policzek, a potem wycisnęła mocny całus na jego twarzy. Objęła Franka kurczowo za szyję.

- Kocham cię - powiedziała. - Jesteś moim najlepszym bratem.

*

- Philipie, musisz z nim porozmawiać - odezwała się Claudia. - Nie możesz tego unikać i pozwalać, żeby sprawy związane z jego matką tak jątrzyły.

Zapaliła papierosa. Skończyli kolację i siedzieli w gabinecie. Z jakiegoś powodu przypomniało jej się, jakie to było okropne wnętrze, gdy pierwszy raz weszła tu po ślubie. Różowe i ozdobione kwiatami, pozbawione smaku. Minął rok, zanim odważyła się zaproponować zmianę wystroju.

- Nie ma żadnego problemu - odparł Philip z rozdrażnieniem. - Frank powiedział pierwszą impertynencję, jaka mu przysłała do głowy. Drętwieje z przerażenia, że musi iść do angielskiej szkoły, a wszystkie te „irlandzkie” nonsensy są tylko próbami, by jej uniknąć. Idzie do Rowden i koniec!

- Nie dziwię się, że jest przestraszony - powiedziała Claudia rozsądnie. - A ty nie byłeś w jego wieku?

- Znalazłem się poza domem, kiedy miałem siedem lat - odciął się Philip. - Zbyt długo trzymaliśmy Franka pod kloszem i rozpieszczaliśmy go. W tym cały problem. Och nie, kochanie, nie winię cię za to. Chciałaś, żeby okrzeplł i zaakceptował cię, a potem pojawiła się Claire. Nawiasem mówiąc, wściekłem się, że tak ją zdenerwował. Pozwoliliśmy mu na bezczynność i wygłupianie się w tej przeklętej szkole, aż został daleko w tyle. To wszystko dlatego.

- Nie, nieprawda - zaproponowała - i ty dobrze o tym wiesz. Frank czuje się wyalienowany.

- Claudio, nie cytuj mi tu cholernych książek na temat psychologii dziecięcej!
Wyalienowany. Nonsens!

Sięgnął przed siebie i pogrzebał w ogniu na kominku.

- Powinieneś porozmawiać z nim o Eileen - upierała się Claudia. - Sama kiedyś próbowałam, ale zupełnie się przede mną zamknął. Odniosłam wrażenie, że poczuł się dotknięty. Szuka swojej tożsamości, a u ciebie jej nie znalazł.

- Mówiłem mu o jego tożsamości dziś wieczorem - odparł Philip oschle. - Powiedziałem, że jest Arbuthnotem. Czy chce tego, czy nie, musi się z tym pogodzić.

Ponownie zaatakował pogrzebaczem ogień, rozgrzebując płonący torf.

Claudia milczała. Miała wiele do powiedzenia, ale była zbyt mądra, by to zrobić. Philip nie kochał syna, i chłopak o tym wiedział. To była istota problemu. Czy było tak dlatego, że Philip w jakiś sposób winił Francisca za śmierć jego matki? A może powód był mniej dramatyczny? To, co było dlań miłe w córce, ponieważ ją kochał, wzmagało antagonizm pomiędzy nim a synem. Nie podobała mu się ta mieszana krew we Francisie, w tym pół-Irlandczyku, który żył w nim w niezgodzie z genami surowych, szkockich antenatów. Ale Philip nigdy by nie przyznał, że to prawda. Claudia kochała go, a ich życie było pod każdym względem szczęśliwe. Tyle że Philip po śmierci Eileen stał się twardszy. Złamał reguły rządzące jego klasą i kara, którą za to poniósł, spaczyła go. Przez wiele lat Claudia starała się pogodzić męża z jego matką, ale to było beznadziejne. Powiedział bezbarwnym tonem, że Blanche zdenerwowała jego żonę, co doprowadziło do przedwczesnego porodu. Nigdy więcej nie spotkał się z nią ani nie zamienił słowa.

- Philipie - odezwała się w końcu Claudia - czy Francis wie, jak bardzo kochałeś Eileen?

- Nie rozumiem cię.

- Rozumiesz doskonale. Czy kiedykolwiek z nim o niej rozmawiałeś? Obu wam mogłoby pomóc, gdyby Frank wiedział, jak bardzo ją kochałeś.

Westchnął i ujął jej dłoń.

- Jesteś zdumiewającą kobietą, wiesz? Ile macoch pomyślałoby o tym? Nie, kochanie, nie rozmawiałem z Frankiem o Eileen i nie mam zamiaru tego robić. Jest moim synem i kocham go tak samo, jak Claire. Zrobię dla niego wszystko, co w mojej mocy. A jeśli to, co powiedziałaś, jest prawdą, to zmiana otoczenia i poznanie innych chłopców będzie niezłym rozwiązaniem. Rowden jest dobrą szkołą - zaoferuje mu wiele zajęć sportowych i rozwinię w nim tę jego stronę, która w Irlandii nigdy nie ujrzałaby światła dziennego. Nauczy się tam, że bycie mężczyzną polega na czymś więcej niż tylko na polowaniu i nonszalanckich pozach. A

teraz nalej mi ostatnią whisky do poduszki i przestań się martwić o chłopca. Do rana mu przejdzie.

Nadszedł ranek, który zgromadził wszystkich przy śniadaniu. Nikt nie mówił na temat wczorajszych wypadków. Frank nie przeprosił, a Philip zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Na początku stycznia Frank popłynął z ojcem do Anglii, by rozpocząć pierwszy semestr nauki w Rowden. Co tydzień otrzymywał od Claire długie, pełne błędów listy, w których opowiadała o poczynaniach Doyle'a i o tym, że kucharka Mary poszła do szpitala, a labrador dostał pierwszą nagrodę podczas Eadstown Field Day. Ojciec pisywał do niego regularnie raz na miesiąc. Po dwóch latach w Rowden z jednego z listów ojca dowiedział się, że umarła jego babka, Blanche Arbuthnot. Philip poinformował go także o sposobie, w jaki rozdysponowała swój majątek.

*

- Blanche, czy jesteś zupełnie pewna, że chcesz to zrobić?

Pani Arbuthnot skończyła nalewać herbatę do filiżanki Flugh Lorimera. Zauważył, że do podniesienia srebrnego imbryka potrzebowała obu rąk.

Od lat był jej adwokatem i przyjacielem rodziny. Firma prawnicza „Lorimer i Leach” od bardzo dawna mieściła się w Dublinie przy Fitzwilliam Square. Jej współwłaściciele, podobnie jak klienci, których interesy prowadzili, byli częścią anglo-protestanckiego establishmentu.

- Mój drogi - odparła Blanche - oczywiście, że tak. Przemyślałam to bardzo dokładnie, a wiesz, że nie podejmuję pochopnych decyzji.

Hugh wziął od niej filiżankę.

- To bardzo krańcowa decyzja - stwierdził. - Spory z Philipem to jedno, ale całkowite wydziedziczenie go...

- Obwinianie mnie o śmierć żony i nieodzywanie się do mnie przez piętnaście lat trudno nazwać rodzinnymi niesnaskami - odczęła się Blanche. - To nie w porządku, Hugh. Nie zamierzam ulegać nakazom konwencji. Pieniądze i posiadłość zapisuję wnukowi. Philip ma wystarczająco dużo. John zostawił mu Riverstown i zarząd nad całością majątku aż do chwili mojej śmierci. Mój syn nie ucierpi na tym.

- Powiedz mi, Blanche, czy Philip wie, że jesteś chora?

- Myślę, że Dornawayowie mu powiedzieli - odparła zwyczajnie. - Nic więcej nie słyszałam. To dumny człowiek. Teraz jest mu bardzo trudno cokolwiek zrobić w tej sprawie. I, jak na mój gust, jest też trochę za późno.

- Nigdy nie jest za późno - upierał się Lorimer. - Pozwól mi do niego napisać.

- Nie, drogi Hugh. Philip wie, że mam raka. Muszę uporządkować swoje sprawy. Chcę, żebyś napisał testament dokładnie tak, jak ci powiedziałam, i dał mi go do podpisu w możliwie najbliższym czasie.

- Poznałaś chłopca?

- Oficjalnie nie. Ale widziałam go dwa razy, jak polował, kiedy przejeżdżaliśmy samochodem. Są podobni z Philipem jak dwie krople wody. Przystojny chłopak, bardzo dobrze trzyma się w siodle. Jak wiesz, dużo o nim myślałam. Ciasteczko?

Potrząsnął głową. Matka była niewiele mniej dumna niż syn. Ale nie potrafiła ukryć bólu.

- To straszne, że Eileen umarła w ten sposób. Wiem, że Claudia jest dobrą macochą. To najmiłsza kobieta pod słońcem. Ale Frank wygląda na smutnego. A skoro o tym mowa, chcę naprawić to, w jaki sposób potraktowałam jego matkę. Nie byłam dla niej miła i mam tego świadomość nawet teraz.

- Nie powinnaś się obwiniać - powiedział adwokat. - Twój syn popełnił beznadziejny mezalians. Większość ludzi na twoim miejscu postąpiłaby tak samo jak ty. Śmierć Eileen była tragedią, ale kto wie, jak nieszczęśliwe okazałoby się to małżeństwo, gdyby żyła? Nie możesz brać na siebie odpowiedzialności za to, co się stało.

- Nie biorę - odparła Blanche Arbuthnot. - Nikt nie wie, co by było, gdyby... Nikogo nie osądzam. Nie, Hugh, mówię o czymś mniej tragicznym. Słyszałam, że Philip nie kocha swego syna. Jego ulubienicą jest moja wnuczka, Claire. Chcę chronić Francisa na wypadek, gdyby wypadł z łask ojca. Znam Arbuthnotów - uśmiechnęła się, a jej twarz pokryły zmarszczki.

„Jest ziemista - pomyślał Hugh - jej słynna dawniej cera jest teraz niemal żółta”.

- Są równie uparci jak Szkoci, a nie wybaczą jak Irlandczycy. Nie mówię, że mój John nie był najlepszym człowiekiem na świecie. Może pewnego dnia Francis pomyśli o mnie ciepło. Mam taką nadzieję. Bardzo mi brak wnuków.

- Dobrze więc - powiedział Hugh. - Jeśli naprawdę tego chcesz, przygotuj dokument i przyślę ci do podpisu. Zawsze jeszcze możesz zmienić zdanie, moja droga.

- Nie, jeśli nie zrobię tego w ciągu najbliższych trzech miesięcy - odparła.

- Nie wiedziałem, że zostało ci tak niewiele czasu. Przykro mi.

- Nie ma potrzeby - powiedziała. - Miałam całkiem dobre i wystarczająco długie życie. Nie chcę męczyć się faszzerowana lekami w szpitalu, podłączona do monitorów. Lekarze orzekli, że nie będę bardzo cierpieć. Zostanę tutaj, we własnym domu. To najlepszy z możliwych sposobów odejścia. A teraz, mój drogi Hugh, muszę cię pożegnać. Ta przeklęta

choroba powoduje, że bardzo szybko się męczę.

Ujął jej dłoń, bardzo suchą i miękką. Poczuł nieznośny smutek. Wyszedł, obiecując wpaść z żoną. Była to obietnica bez pokrycia. Pospieszył się z nadaniem testamentowi odpowiedniej formy i przyniósł go do podpisu. Większość czasu Blanche spędzała przykuta do łóżka. Lorimer nie zabawił długo, ponieważ chora czuła się zmęczona, a pielęgniarka poganiała go, by jak najprędzej wyszedł. Dwukrotnie telefonował do Philipa, który dwukrotnie go zignorował. Arbuthnot wiedział, że jego matka jest umierająca, ale nie mógł, albo raczej nie chciał, jej odwiedzić. Żeby uspokoić ostatnie skrupuły, związane z tym, że własnoręcznie sporządził testament, który wydziedziczał Philipa, Huhg napisał do niego list. Ale odpowiedziała na niego Claudia.

Blanche Arbuthnot została pochowana w rodzinnej krypcie w Naas. W pogrzebie uczestniczyła Claudia Arbuthnot wraz z tłumem krewnych i przyjaciół zmarłej. Żadnego z wnucząt nie było. Francis przebywał w szkole, w Anglii, a Claire uznano za zbyt małą, by ją narażać na tak ciężkie przeżycie jak pogrzeb. Lorimerowi sprawiło niejaka satysfakcję powiadomienie Philipa Arbuthnota o tym, że jego syn odziedziczył posiadłość w Meath i ćwierć miliona funtów.

*

Odrzutowiec TWA z Nowego Jorku wylądował na dublińskim lotnisku tuż po dziesiątej rano. Samolot był wypełniony do ostatniego fotela. Bilety klasy turystycznej zostały wyprzedane, więc Kevin Ryan zdobył miejsca w pierwszej klasie. Przespał cały lot i obudził się wypoczęty, czując, że łaskocze go w żołądku z podniecenia. Wracał do Irlandii po dwudziestu siedmiu latach nieobecności. Zastanawiał się, jak wiele zmian zastanie. On sam bardzo się różnił od tego ponurego, młodego Kevina Ryana, który przed ponad ćwierćwieczem opuścił kraj. Teraz był korpulentny, a brzuch zwisał mu nad paskiem z krokodylej skóry. Nosił okulary, a włosy piaskowego koloru miał modnie ostrzyżone.

Godzinę lądowania sprawdził na zegarku na grubej, złotej bransolecie. Mankiety koszuli spiął eleganckimi spinkami w kształcie listków koniczyny⁹, wykonanymi ze szmaragdów. Był bogaty i lubił się z tym obnosić. Nosił kosztowne ubrania, ręcznie robione buty i koszule z czystego jedwabiu. Pachniał płynem po goleniu i talkiem. Gdy przygotowywali się do wyjścia z samolotu, jego żona, Mary Rose, otuliła się futrem z norek. Byli małżeństwem od dziewiętnastu lat i mieli czwórkę rosnących dzieci. Kevin spojrzął przez iluminator na moknący w deszczu szary pas startowy i zastanawiał się, co powie jego rodzina,

⁹ Biała koniczyna jest godłem Irlandii (przyp. tłum.).

kiedy zobaczy ich oboje. Miał polityczne ambicje i wiedział, jak sobie zdobyć przyjaciół w Tammany Hall¹⁰. Był też szczodry. Wspierał sierocińce i szkoły, a upośledzone dzieci wyjeżdżały na wakacje na jego koszt. Był finansowym i moralnym filarem Kościoła katolickiego. Kiedy zdecydował się startować w wyborach do Senatu USA, Mary Rose poświęciła swój czas różnym komitetom i fundacjom. Za pierwszym razem przegrał, ale następnym zdobył senatorski fotel.

Kevin od lat mówił, że chce wyjechać do ojczyzny, jednakże ciągle coś stawało na przeszkodzie, więc z roku na rok przesuwiał realizację tego pomysłu. A to starszy syn miał operację wyrostka robaczkowego albo też program budowlany wymagał osobistego nadzoru senatora Ryana, kiedy indziej zaś Mary Rose była po raz czwarty w ciąży i nie czuła się dobrze.

Wreszcie nadszedł odpowiedni moment i oto byli tutaj, schodzili po trapie na błogosławioną ziemię ojczystego kraju. Chwila była odpowiednia, ponieważ Kevin wracał bogaty i wystarczająco pewny siebie, by przedstawić Mary Rose swemu gburowatemu bratu, jego żonie i starej, zgrzybiałej matce, która siedziała w kącie kuchni przy ogniu nieruchoma jak posąg. Mógł pokazać żonie rodzinny dom i farmę i odczuwać dumę, bo jego przyjazd na stare śmieci okaże się z pewnością wielkim sukcesem, a rodzina i przyjaciele będą czuli przed nim respekt. Czyż młodszy chłopak starego Jacka Ryana nie został właśnie wybrany do Senatu Stanów Zjednoczonych? To dopiero będzie triumf!

Wynajął elegancki samochód i żartował z żoną na temat jazdy prawą stroną jezdni. Mary Rose chroniła się przed mżawką, osłaniając się futrem i zachwycała się wszystkim, co widziała. Sposób, w jaki wiły się drogi, był bardzo osobliwy. I czy Dublin, z tymi wszystkimi starymi budynkami, nie jest piękny? Wziął ją na objazd po mieście, a ona entuzjasmowała się wyblakłą urodą georgiańskiej architektury i czarem rozpiętych ponad Liffey mostów. Wzdychała z powodu ubóstwa i nędzy dzielnic, przez które przejeżdżali, opuszczając Dublin. „Jaka bieda”, mówiła, patrząc na biegające boso po błocie dzieci. Zapominała wówczas o nędzy amerykańskich gett.

- Siedemset lat angielskiej władzy - powiedział Kevin, a ona zobaczyła jego zaciśnięte wargi. - Nie da się tego szybko nadrobić.

Czasami zadziwiała ją tłąca się w nim nienawiść, ale zaraz potem docierało do niej, że tutaj się urodził i dorastał, ona zaś reprezentowała drugie już pokolenie emigracji. Mary Rose,

¹⁰ Tammany Hall - demokratyczna organizacja polityczna założona w 1789 roku, mająca duże wpływy w Nowym Jorku (przyp. tłum.).

miła i nieskomplikowana kobieta, bała się swego męża tak, jak wcześniej bała się ojca i proboszcza. Była elegancka i miała towarzyski wdzięk, którego Kevinowi brakowało, ale jej rolę w życiu determinowała chłopska kultura jej przodków. Była żoną, matką i panią domu w takim samym stopniu, w jakim Najświętsza Panienka była królową małej rodziny w Nazarecie. Mary Rose czuła się absolutnie zadowolona z życia, a na kobiety wyzwolone spoglądała jak na istoty godne współczucia. Kochała dzieci i męża, i - przez wzgląd na Kevina - także jego rodzinę.

Dojazd do farmy Ryanów był błotnisty i źle utrzymany. Zobaczyli przed sobą stary dom otoczony krzewami lauru i cisów o częściowo uschniętych gałęziach. Mary Rose widziała jego zdjęcia, ale były retuszowane. W taki ciemny, deszczowy dzień dom wyglądał niegościnnie, a pomalowane na zielono drzwi i framugi okien kontrastowały z brudnoszarą, kamienną fasadą.

Kevin tego nie widział. Nawet nie pomyślał, by otworzyć żonie drzwiczki samochodu i zabrać ją ze sobą. Wskoczył z auta i zaczął walić pięściami we frontowe drzwi. Na widok miejsca, gdzie przyszedł na świat, poczuł podniecenie i ciepło na sercu. Otworzył mu potężnej postury brat, za którym Kevin widział w głębi sieni Noreen, jego żonę.

- Shamus! Witaj!

Potrząsali swoimi dłońmi na powitanie, a Mary Rose podjęła trud przebrnięcia przez błotniste podwórze, w każdej chwili gotowa się uśmiechnąć. Jeśli pominąć piaskowy kolor włosów, bracia nie byli do siebie podobni. Shamus był szczuplejszy i wyglądał na dużo starszego. Zauważyła, że jego koszula bez kołnierzyka jest trochę nieświeża i brakuje przy niej guzika. Wełniana bluza z dziurą na łokciu także nie była zbyt czysta. Shamus powitał Mary Rose bardzo ciepło i wzruszająco się zarumienił, kiedy obdarzyła go siostrzanym pocałunkiem. Z pewnością dziś się nie golił.

- Wchodźcie, wchodźcie - ponaglał ich gospodarz. - W kuchni czeka herbata i coś mocniejszego, jeśli macie ochotę.

Kevin zatrzymał się na moment.

- Czy mama dobrze się czuje?

- Och, tak, wcale nie jest z nią najgorzej - odparł brat. - Noreen traktuje ją jak świętą, prawda?

Nieładna, wielka kobieta w kwiecistej podomce powiedziała cicho:

- Staram się, jak mogę. Mama nie sprawia kłopotów. Moczy się czasem, ale to wszystko. Chodźcie, czeka na was. Nie rozpozna cię, bo wzrok ma bardzo słaby, ale od wielu dni mówimy jej, że przyjeżdżacie.

W kuchni było bardzo gorąco. Mary Rose zdjęła swoje norki i podała je wielkiej, rudowłosej dziewczynie, która - zanim powiesiła futro na drzwiach pomiędzy zabłoconymi, wełnianymi bluzami - obejrzała je i pogłaskała jedwabisty włos.

- Prawdziwe? - spytała.

Była w niej nieśmiałość, która spodobała się Mary Rose. Jej dzieci były dużo bardziej agresywne. Nazywała to pewnością siebie.

- To norki - wyjaśniła. - Może będziesz takie miała, kiedy dorośniesz.

Kevin złapał ją za ramię.

- Chodź i przywitaj się z mamą.

Stara kobieta siedziała wyprostowana w rogu, obok kuchennego pieca. Wyglądała jak pomarszczona lalka, wystrojona w jaskrawą, kwiecistą podomkę i sukienne bambosze. Miała śnieżnobiałe włosy, zaczesane do tyłu w zgrabny kok. Dawno temu musiała być bardzo ładna. Kevin pochylił się i pocałował ją. Zamknęła jego rękę w słabym uścisku.

- Kevin? To ty?

Miał łzy w oczach. Przyłgął do matki i głaskał jej drobną, kościstą dłoń, którą trzymał pewnie w swojej. Minęło dwadzieścia siedem lat i miał teraz przed sobą prawie ślepą staruszkę. Zapomniał już, jak starzeją się kobiety w Irlandii. Ciężka, nieustanna praca i rodzenie dzieci niszczą je przedwcześnie. Przełknął ślinę i powiedział:

- Mamo, to jest Mary Rose.

Spojrzała poza niego.

- Kto? Mówisz, że kto?

- Moja żona, Mary Rose - powtórzył wolno, prowadząc jej rękę, by spotkała się z dłonią Mary.

- To ładne imię - powiedziała pani Ryan łagodnie. - Niezbyt dobrze cię widzę.

Pozwoliła na trochę dłuższy dotyk, a potem Mary Rose pochyliła się i pocałowała ją w policzek. „I pachnie jak róża¹¹” - pomyślała staruszka. Wolałaby móc lepiej ją widzieć, ale tak naprawdę chciała zobaczyć Kevina. Mary Rose z ulgą odsunęła się na bok. Wokół matki Kevina unosiła się woń moczu i Mary przypomniała sobie, co powiedziała jej szwagierka. Usiadła i chociaż pora była wczesna, uznała, że nie miałyby jednak nic przeciwko drinkowi.

Wizyta trwała około dwóch godzin. Bracia popijali whisky, rozmawiając o rzeczach, które dla Mary Rose nie miały żadnego znaczenia. Gawędziła z Noreen, która wmuszała w nią gin z sokiem cytrynowym, a kiedy już wypytały się wzajemnie o dzieci, ich szkolne

¹¹ Rose, w języku angielskim - róża (przyp. tłum.).

problemy i wyczerpały temat wakacyjnych planów państwa Ryan w Irlandii, Mary Rose pogрузыła się w uprzejmym milczeniu. Była więc zadowolona, że nie zamierzają zostać z Kevinem na farmie. Dla biednej Noreen, która i tak miała wiele własnej roboty, zajmowanie się nimi to byłoby zbyt wiele. Po chwili gospodyni spytała Mary, czy chciałaby obejrzeć dom i dawny pokój Kevina, który, oczywiście, dzielił z Shamusem. Teraz zajmowały go trzy córki Noreen i Shamusa. Dom jest ciemny, uznała Mary Rose, wspinając się po schodach na piętro. Obcaszki szpilek wzięły jej w szczelinach pomiędzy deskami. Wnętrze wymagało odmalowania i jasnych zasłon.

- Pokój Kevina - powiedziała Noreen, stając w otwartych drzwiach. - To niesamowite, kiedy pomyśli się, że był małym chłopcem...

Trzy niezasłane łóżka stłoczono pod jedną ścianą. Na Mary Rose spoglądał wielki obraz Przenajświętszego Serca. Niebieskooki Zbawiciel z gładkimi, rudymi włosami i jedwabistą brodą wyglądał na nim nieco żałośnie. Poniżej, na stoliku, płonęła czerwona wotywna lampka oliwna.

- Cudownie, że mogłam zobaczyć to wszystko - mruknęła Mary.

Ruszyły schodami w dół.

- Kevin opowiadał mi o swojej siostrze - ciągnęła. - Co za nieszczęście się wam przydarzyło!

- Dostała to, na co zasłużyła - odparła żona Shamusa. - Zdradziła rodzinę i wyznanie. Złamała serce rodzicom!

Mary Rose nie wierzyła własnym uszom, ale w głosie szwagierki bezbłędnie rozpoznała gorycz, a w jej oczach zobaczyła błysk złości. Dla Kevina Eileen była jak święta, ale może tu znano ją lepiej. Zdradziła swoją wiarę. To było naprawdę okropne.

- Och, nie wiedziałam, Kevin nic o tym nie mówił...

- Tylko on jeden miał dla niej czas - Noreen wzruszyła ramionami. - Eileen nie była dobra. Na miłość boską, nie wymieniaj jej imienia. W tym domu nigdy się go nie wymawia. Zejdźmy lepiej na dół, pokażę ci salonik.

Kiedy skończyły oglądanie domu i weszły do kuchni, Kevin wstał.

- Pokazywałam Mary Rose dom - powiedziała Noreen dumnie.

- Wychodzimy wieczorem - oznajmił Kevin. - Wszyscy czworo. Pójdziemy do Cill Dara na dobrą, zakrapianą kolację.

Żona zauważyła, że jest nieco podpity, a jego amerykański akcent zniknął, za to irlandzki stał się wyraźniejszy. Kevin zdjął marynarkę i stojąc naprzeciwko kuchennego pieca z jedną ręką w kieszeni spodni i szklanką whisky w drugiej, kołysał się na obcasach.

Wyglądał inaczej. Pospoliciej. Odegnęła od siebie tę myśl, zawstydzona brakiem lojalności. Wszystko tu wydawało się jej dziwne, mili i przyjacielscy ludzie okazywali życzliwość, jakiej się po nich spodziewała, ale różnili się od jej własnej rodziny i ich przyjaciół w Stanach. Matka Mary, snobka, nie całkiem akceptowała Kevina jako zięcia. Mary Rose wiedziała, że chciała wydać ją za prawnika lub lekarza, ale nikogo takiego Mary nie lubiła tak bardzo, jak tego młodego, energicznego Irlandczyka, który ostro piął się w górę u Heraghty'ego. Z początku zachowywał się nieco zbyt popędliwie, ale teraz miała czworo dzieci i ten problem już nie istniał. Od czasu do czasu bywał miły i okazywał, że ją kocha. Ale na pierwszym miejscu stawiał interesy i politykę. Teraz Kevin podszedł i objął ją ramieniem.

- Czyż nie jest wspaniałą dziewczyną? - domagał się potwierdzenia.

Czuła jego palce zbyt mocno wbijające się w pierś z boku. Zabolęła ją.

- Czyż nie jestem szczęściarzem? - dopominał się pochwał.

Podniosła rękę i uwolniła się z uścisku.

- Kevin... - szepnęła.

- Pojedziemy teraz do hotelu - powiedział. - Prześpimy się trochę, co, skarbie? Później spotkamy się w Curragh Bar na kilka kufli, a potem pójdziemy do hotelu. Przebierz się, Noreen. Mary Rose ma bagażnik pełen wystrzałowych ciuchów...

Wyszli, a Shamus i Noreen machali im od drzwi na pożegnanie.

- Lepiej ty prowadź - rzekł Kevin. - Nie chcę, żeby ta pieprzona policja zamknęła mnie za prowadzenie po pijanemu.

Zdrzemnął się podczas krótkiej jazdy, ale kiedy dotarli do zarezerwowanego dla nich pokoju hotelowego, był, niestety, całkiem rozbudzony i mocno napalony. Zanim zasnęli, wziął ją w ramiona, mówiąc:

- Nawet nie wiesz, co to dla mnie znaczy znów znaleźć się w kraju. Moje serce należy do Irlandii, Rose.

- Wiem o tym - odparła.

Tak naprawdę wcale o tym nie myślała. Martwiła się, że to nieodpowiedni dzień miesiąca, a picie nigdy nie zmniejszało jego seksualnych zapędów. Był bardziej natarczywy i więcej mógł pijany niż trzeźwy. Zdecydowanie nie chciała piątego dziecka. Potem przespał większą część popołudnia.

Spotkali się w barze, tak jak się umówili. W Curragh Bar było pełno dymu, na ścianach wisiały zdjęcia z wyścigów konnych i podpisane fotografie słynnych dżokejów pijących z właścicielem. Wszędzie wisiały medale i mosiężne elementy końskich uprzęży. Mary Rose nie czuła się dobrze w tej atmosferze ani nie widziała niczego pociągającego w

wyścigach.

Kevin co chwila spotykał dawnych przyjaciół. Kupowali drinki, wypijali je i stawiali nowe. Rozmawiali głośno i smętnie. Nie mogła tego zrozumieć. Usłyszała, że Kevin mówi: „Jezusie, ale bym chciał mieć tu dom”, i to nią wstrząsnęło.

Mąż nie przestawał prawić Mary Rose komplementów. Ścisnął ją w tali i wszystkim przedstawiał. Choć nie była próżna, musiała przyznać, że wygląda dobrze. Niebieski to był jej kolor. Nosła perły i brylantową broszkę, ponieważ Kevin chciał, żeby wszyscy je widzieli.

Kiedy już niemal wychodzili do restauracji, stojący w pobliżu baru mężczyzna podszedł do Kevina i powiedział:

- Jeśli chce pan kupić tutaj posiadłość, to Pół Domu zostało wystawione na sprzedaż.

- Moglibyśmy go obejrzeć - zaproponował następnego dnia Kevin. - To nic nie kosztuje.

Pomimo kaca, którego pozostawiła poprzednia noc, miał doskonały humor. Kolacja była wesoła i mocno zakrapiana, a Kevin grał przed rodziną rolę gospodarza, wślizgując się w swoje dawne otoczenie tak łatwo, jakby nigdy nie wyjeżdżał. Mary Rose cieszyła się jego szczęściem i entuzjastycznie przyjęła myśl, żeby obejrzeć ten osobiście nazywany dom. Pośrednik handlu nieruchomościami, który przyjechał z Dublina, by im pokazać posiadłość, ujrawszy bogatych, amerykańskich klientów, nalegał, by najpierw zjeść lunch. Rozmowa na temat transakcji dała Kevinowi sposobność, by wtrącić:

- Urodziłem się tutaj, mój brat ma farmę w Bryanstown.

Pojechali na skróty, obok stróżówki, której dach wymagał naprawy, przez pola wspaniałej trawy, wzdłuż ogrodzenia ze słupków i drutu, które wyglądało jak latami zaniedbywane, połamane zęby. Gdy zza zakrętu widać już było Pół Domu, Mary Rose krzyknęła:

- Och, jakie to piękne!

Pośrednik rozpromienił się. Powiedzonko, które się sprawdziło w jego profesji, głosiło, że kobiety kupują domy, a mężczyźni - grunty.

Kevin nigdy wcześniej tu nie był. Wysiedli z samochodu i zanim ruszył za żoną do drzwi, zatrzymał się na chwilę, patrząc na budynek. Dobrze się nazywał. Skrzydło w stylu wiktoriańskiego gotyku, z pięknymi oknami i porządnymi, mahoniowymi drzwiami frontowymi. Dwa piętra i jak wszędzie w Irlandii - piwnica. Wokół wspaniałe drzewa i pozostałość zapuszczonego ogrodu. Hamiltonowie, którzy polowali, wielcy w dniach swej świetności, zbankrutowali i zniknęli. Wszedł do holu. Nie słuchał kupieckich zachwyków pośrednika, tylko wędrował wolno po pokojach. Zdawał sobie sprawę, że Mary Rose okazała

zbyt wiele entuzjazmu w sytuacji, gdy on miał zamiar zbić cenę. To była wspaniała, wielka posiadłość i im więcej Kevin widział, tym dom bardziej mu się podobał.

Na pierwszym piętrze żona wsunęła mu rękę pod ramię i powiedziała:

- Skarbie, popatrz tylko na ten widok.

W oddali leżały purpurowe wzgórza, a ponad nimi błękitniało magiczne, teraz pełne słońca niebo Irlandii. Zielone pola, zagajniki i ani jednego dachu w polu widzenia. Spędzili tam prawie całe popołudnie. Po raz drugi obeszlili dom i Mary Rose zaczęła się zastanawiać nad draperiami i kolorami ścian. Pomysł kupna domu wydawał się jej niezwykle romantyczny i okropna perspektywa zamieszkania w czymś w rodzaju farmy Ryanów zniknęła jak zły sen. Jeśli Kevin chce zapaść korzenie w ojczyźnie, to tak musi być, zdecydowała Mary Rose. A dzieci, czy nie oszaleją z radości, kiedy się tu znajdą? Czy nie byłoby cudownie mieć własny, przytulny, stary dom w samym sercu Irlandii? Mogliby tu przyjeżdżać z przyjaciółmi. Kevin był politykiem i, oczywiście, obowiązki trzymały go w Stanach, ale przecież zaledwie poprzedniej nocy powiedział: „Moje serce należy do Irlandii, Rose”. Status właściciela takiego domu podniósłby jego szanse w wyborach.

Na zewnątrz znajdowały się bardzo zrujnowane przybudówki i stajnie, wymagające sporych nakładów na remont. Albo buldożera, uznał Kevin. Ogród można by zrehabilitować, a na otoczonym kamiennym murem terenie, gdzie uprawiano warzywa, można by wybudować basen. W końcu powiedział:

- Remont tego domu będzie kosztował fortunę. Dach przecieka, nie ma centralnego ogrzewania, panuje tu wilgoć, a piwnice są pełne zgniłych śmieci. Dom mnie interesuje, ale nie za taką cenę.

- Sam grunt jest tyle wart - zaprotestował pośrednik.

- To dlaczego posiadłość nie została sprzedana? - Spytał Kevin. - Posłuchaj pan, jestem tutejszy i wiem, jak się sprawy mają. Przyjrzę się dokładnie planom, ale nie kupię jej, jeśli właściciele nie obniżą ceny.

I tu wymienił jakąś niemiłosiernie niską sumę.

Pośrednik zawahał się. Żona potencjalnego nabywcy chciała mieć ten dom i w tym się kryła największa nadzieja na sprzedaż. Ale facet był twardy i prawdopodobnie nie podda się wpływowi żony, jeśli nie postawi na swoim. A przez ostatni rok nie było ani jednej poważnej oferty kupna. Skinął głową i powiedział:

- Porozmawiam z doradcą prawnym zajmującym się sprawami kapitana Hamiltona, który jest w tej chwili w Anglii. Zapewniam pana, panie Ryan, że osiągniemy jakiś kompromis, jeśli jest pan poważnie zainteresowany propozycją.

Kiedy już zostali sami, Mary Rose zwróciła się do Kevina:

- Nie zmarnujesz tej szansy, co?

Kevin objął ją ramieniem.

- Nie, Rose, nie mam zamiaru. Ale kupię go za swoją cenę, nie za ich. Nie włożę tym przeklętym Hamiltonom do kieszeni ani grosza więcej niż to konieczne. Chcesz mieć ten dom, prawda?

- Uważam, że to najbardziej romantyczne miejsce na świecie - westchnęła. - Po prostu piękne.

- Jest więc wystarczająco dobre - orzekł.

Kapitan Hamilton, który mieszkał w skromnym mieszkanku w Fulham, poczuł ogromną ulgę na wieść, że może pozbyć się domu i związanych z nim kłopotów. Kevin kupił posiadłość za połowę kwoty, której żądano na początku, a kontrakt został podpisany przez pełnomocników obu stron, ponieważ senator Ryan musiał wrócić do Ameryki. Dwa miesiące później w Pół Domu zjawili się pierwsi robotnicy.

5.

- Jestem taka podekscytowana - powiedziała Claire. - Nie mogę uwierzyć, że on już za chwilę tu będzie.

Claudia zapaliła papierosa.

- Samolot się spóźni. Nie podniecaj się tak bardzo, kochanie.

- Nie, wylądjuje równo o czasie - zapewniła Claire. - Dzwoniłam na lotnisko. Mamo, czy ty nie rozumiesz, że nie widziałam Franka dwa lata?

Wierciła się cały czas i wyglądała przez okno. Zwracając głowę w jedną stronę, nasłuchiwała nadjeżdżającego samochodu. Philip pojechał po syna. Claudia delikatnie, tak by Claire nie poznała prawdziwej przyczyny, odwoziła ją od zamiaru udania się wraz z ojcem na lotnisko.

- Tata chce pierwszy mu pogratulować - tłumaczyła. - Byłoby dobrze, żeby mieli trochę czasu tylko dla siebie.

„Tak łatwo jest manipulować Claire” - pomyślała Claudia ze smutkiem. Jeśli ktokolwiek czegoś od niej chce, wystarczy, by się odwołał do jej dobrego serca. Szkoła w Londynie, sześć miesięcy spędzonych we Florencji i rok w Szwajcarii zmieniły ładną nastolatkę w piękną, obytą dwudziestodwuletnią kobietę. Z wyglądu. Wewnątrz wciąż rządziło nią dziecko, podniecone tym, że jej brat na dobre wraca do domu. Claudia czuła się zawiedziona. Miała nadzieję, że długotrwała rozłąka i nowe otoczenie rozluźnią więzi, które łączyły przyrodnie rodzeństwo. Może chociaż on się zmienił i Claire nie znajdzie już w nim tego bohatera, którego widziała w czasach, gdy oboje dorastali.

- Skończył studia z tak wspaniałym wynikiem - odezwała się Claire. - Tata musi być przejęty. Pamiętam lata, kiedy Frank błagał, żeby nie zmuszano go do wyjazdu do Rowden. Uczył się też o wiele gorzej niż inni chłopcy. Teraz ojciec jest na pewno bardzo z niego dumny.

Podeszła znowu do okna. Był przepiękny, letni dzień i słońce przedzierało się przez korony olbrzymich buków stojących na końcu trawnika. Zieleń była bujna i soczysta, a w ogrodzie, w rozgrzanym powietrzu, brzęczały pszczoły. Zza wyźwirowanego zakrętu podjazdu wyłonił się samochód.

- Są!

Claire pobiegła przez hol do drzwi wejściowych. Matka poszła za nią wolno, gasząc po drodze papierosa. Z całą pewnością Philip powinien być dumny z syna, który ukończył Rowden ze znakomitym wynikiem, a Oksford opuścił z pierwszą lokatą. Dwa lata w Harvardzkiej Szkole Biznesu uwieńczył podobnym sukcesem, po czym trzy lata przepracował w Banku Światowym w Waszyngtonie. Wracał do Irlandii, by osiąść na stałe w ojczyźnie. Claudia nie wiedziała, dlaczego ją to wprawia w zdenerwowanie. Ojciec i syn wypracowali model współżycia serdeczny, ale nie zażyły. Frank przez całą akademicką karierę robił wszystko, czego jego ojciec mógłby sobie życzyć, ale kiedy przebywali pod jednym dachem, nie czuło się w nich ciepła, nieobecność Claire zaś powodowała, że dom wydawał się smutny i pusty. Teraz byli w nim wszyscy razem. Claudia wyszła przed frontowe drzwi. Frank dojrzał i zmężniał. Był potężniejszy, bardzo opalony, a w niedbalej, sportowej marynarce i koszuli, której końce kołnierzyka przypięte były do gorsu, bardzo amerykański.

- Witaj, mój drogi. Witaj w domu.

Kiedy Billy Cavanagh wyładowywał z samochodu jego bagaże, Frank Arbuthnot ujrzał tak dobrze znaną mu z wielu powrotów do domu scenę. Przyjazd na wakacje ze szkoły, kiedy był odbierany na lotnisku przez Claudię lub ojca. I Claire biegnąca mu na spotkanie w czasach, zanim wyjechała do Szwajcarii, a on do Stanów. Listy z domu - od ojca, który nienawidził pisania, bo mozolił się nad każdym zdaniem, i przyjazne od Claudii, informujące go na bieżąco o losie przyjaciół, o życiu w Riverstown, i wylewne, plotkarskie epistoły jego młodszej siostry, tak szczere, że serce ścisnęło mu się z tęsknoty za domem. Nic się nie zmieniło poza tym, że ojciec wyglądał starzej, a Claudia mocniej się malowała i utyla. Była też i Claire, w bawelnianej sukience, jasna jak słońce i tak cudowna, że na jej widok serce stanęło mu w piersi. Nagle ogarnęło go poczucie szczęścia.

- Claire! - Ruszył ku niej, a ona wpadła prosto w jego ramiona. Obejmowali się, ściskali i śmiali oboje z radości ponownego spotkania. Billy przystanął na moment, trzymając oburącz walizkę. Uśmiechnął się szeroko do Philipa Arbuthnota.

- To wspaniale widzieć ich znowu razem, sir.

Philip skinął głową. Jego syn wyglądał bardzo dobrze. Lata spędzone w Harvardzkiej Szkole Biznesu przydały mu nadzwyczajnej oglądy. Robił duże wrażenie, kiedy mówił o bankowości w czasie jazdy z lotniska. Philip był z niego dumny. Miał pewność, że teraz wszystko pójdzie gładko.

- Świetnie wyglądasz, Claudio - powiedział Frank.

Wymienili uprzejme pocałunki. Kiedy był w college'u, poznał wiele różnych Claudii. Nazywał je weekendowymi matkami. Ubrane w tweed, uszminekowane matrony, z wypisanym

na twarzy zamiłowaniem do rozrywek. Polował z ich synami. A ponieważ bywał w ich domach, rozumiał dużo lepiej swoją macochę. Teraz łatwiej mu będzie ją zaakceptować.

Stanął i rozejrzył się po holu. Te same rodzinne portrety i mnóstwo bukietów, które układała Claudia, przetykanych liśćmi i osobliwościami z ogrodu. Wielki dywan z plamami w rogu, które zostawił pies.

- Gdzie jest Belle? - spytał, rozglądając się za potomkinią wszystkich labradorów, które pamiętał od dzieciństwa.

- Zdechła - powiedział Philip. - Jeden z tych drani, farmerów, wyłożył trutkę na szczury. Wrona upuściła w ogrodzie zakrwawiony ochłap, a Belle go zjadła.

- Przykro mi - odparł Frank.

- Męczyła się - ciągnął ojciec. - Strychnina. Nie czekałem na weterynarza, tylko ją zastrzeliłem.

- To było okropne - dodała Claudia. - Nie mówmy o tym. Kiedy się rozpakujesz, Frank, będzie na ciebie czekała herbata.

- Zniosę tylko swoje rzeczy do pokoju. Billy, daj mi bagaże. Są za ciężkie, żebyś je taszczył na piętro.

- Ja też pójdę - powiedziała Claire.

Przez chwilę miała wrażenie, że ojciec zirytował się, kiedy Frank wziął walizki od Billy'ego.

- No i co? - spytała. - Jesteś zadowolony z powrotu do domu?

Frank dźwignął bagaże na łóżko i usiadł obok nich. Materace były te same, z nieco zapadniętymi w środku sprężynami. Na ścianach obrazy o tematyce myśliwskiej, pod nimi jego biurko, na którym zazwyczaj czekały na niego zadania domowe, które go przerażały. Fotografie klas szkolnych i grup uniwersyteckich, oprawione w ramki i Wystawione na pokaz.

- Boże, jestem szczęśliwy - odparł tylko, a Claire wybuchnęła śmiechem.

- Masz amerykański akcent - zauważyła.

- Nie martw się, wkrótce go stracę. A ty masz angielski!

- Wkrótce go stracę - powtórzyła za nim. - Och, Frank, to cudownie, że wróciłeś. Przy okazji, miło, że ty także tutaj jesteś, Claire - powiedziała za niego, drażniąc się z nim.

Niewiarygodnie dobrze było siedzieć w jego towarzystwie na łóżku i rozmawiać tak, jakby się nigdy w życiu nie rozstali.

- Jak było w Szwajcarii? - spytał. - Nauczyłaś się czegoś więcej, niż jak złapać bogatego męża?

- Pokażę ci, co umiem - obruszyła się. - Nauczyłam się jeździć na nartach lepiej od ciebie i mam na to zaświadczenie.

- Dali ci je jako napiwek? - Frank uśmiechnął się szeroko.

- Odczep się.

Opadł na łóżko i roześmiał się głośno. Uwolnił się od krawata i rozpiął koszulę pod szyją.

- Jednej tylko rzeczy się nie nauczyłaś - jak być damą. Mam dla ciebie prezent. Dam ci go po podwieczorku. Przywiozłem też coś dla taty i Claudii.

- Co to jest? - dopytywała się Claire. - Czemu nie mogę dostać go teraz?

- Jest gdzieś na samym dnie tej choleralnej walizy. Dlatego. Poza tym na wszystkie dobre rzeczy warto czekać.

Naśladowując go, opadła na łóżko i założyła ręce pod głowę. Claire miała piękne, pełne piersi.

- Założę się, że ty nie pozwalałaś amerykańskim dziewczynom, żeby na ciebie czekały - powiedziała. - W La Rosalie poznałam cztery Amerykanki. To były najbardziej rozpasane i zepsute dziewczuchy, jakie w życiu widziałam. Dużo miałaś dziewczyn?

- Kilka. Jedną bardzo miłą. Naprawdę przykro mi było się z nią rozstawać.

- Och - Claire usiadła. - To poważne?

- Ona tak uważała, ale ja nie - odparł Frank. A co z tobą? Znalazłaś sobie wielkiego blond instruktora narciarskiego?

- Nie. Wszystkich wielkich blond instruktorów rozchwytały bogate dziewczyny. Musiałam to robić z małym kelnerem.

- Chodźcie, herbata czeka - głos Claudii dotarł na piętro.

Frank uśmiechnął się.

- Tutaj nic się nie zmienia - powiedział. - Chodźmy. Po podwieczorku dam ci prezent.

Claire szła przed nim. „Wyrosła” - pomyślał. Wprawdzie przekomarzała się z nim jak dziecko, ale była teraz piękną, młodą kobietą. Był z niej bardzo dumny. Miał nadzieję, że tak naprawdę w życiu siostry nie istniał żaden mały kelner.

*

W Riverstowen wieloletnia tradycja przebijania się do kolacji została już dawno zarzucona. Kiedy liczną służbę domową zredukowano do kucharki i pozbawionej ogłady dziewczyny, która dopiero uczyła się usługiwać przy stole, Claudia uznała ten zwyczaj za zbyt ceremonialny. Tego jednak wieczoru świętowali powrót Franka. W saloniku Claudia wsunęła rękę pod ramię męża i pili szampana, zanim młodzi zeszli na dół. Philip wyglądał na

spokojnego i szczęśliwego.

- To miło, że znowu jesteśmy wszyscy razem - powiedziała. - Frank jest w doskonałej formie. Robi wrażenie zadowolonego, że wrócił.

- Tak, to prawda - przyznał Philip. - Ma mnóstwo planów, związanych z otwarciem w Dublinie banku handlowego. Powiedziałem mu, że czeka go wiele pracy z prowadzeniem majątku w Meath. Musi zdecydować, co począć z tamtym domem.

- Może będzie chciał w nim mieszkać? - podsunęła Claudia.

Philip drgnął.

- Dlaczego miałby chcieć? Odziedziczy Riverstown. Doradzę mu, żeby sprzedał nieruchomości z taką ilością gruntu, by mogło to zainteresować jakiegoś nowobogackiego z Foxrock, a resztę wydzierżawił. Ach, Frank, nalej sobie szampana. Otworzyliśmy dzisiaj bardzo dobry rocznik. Ciekaw jestem, co o nim powiesz.

Kiedy Frank wszedł w drzwi saloniku, jego ojciec i macocha stali, trzymając się pod rękę. Sącząc starego szampana, Frank zastanawiał się, gdzie podziewa się Claire. Gdy weszła, pierwsza odezwała się Claudia.

- Kochanie, to dosyć szokujące. Nie widziałam tego wcześniej.

Claire miała na sobie jaskrawą, szafirowoniebieską sukienkę z tafty, wyzywająco przybraną na wysokości kolan falbanką. Jedno ramię dziewczyny - gładkie i opalone - było nagie. Kiedy Claire szła w ich stronę, na jej piersi błysnęło coś niebieskiego.

- Spójrzcie - powiedziała do rodziców. - Popatrzcie tylko, co podarował mi Frank.

Obserwował ją uśmiechnięty z czułością i rozbawieniem, które dostrzegła tylko Claudia. Philip niczego nie zauważył. Widział wyłącznie małą, szafirową broszkę, która należała do Eileen, a teraz znajdowała się na piersi jego córki.

- Nie chciałem jej dawać żadnej drogiej, amerykańskiej tandety, więc pomyślałem, że najodpowiedniejsza byłaby broszka mamy.

- Czyż nie jest cudowna? - domagała się pochwał Claire, obejmując Franka w pasie.

Na chwilę głowy młodych znalazły się tuż obok siebie - ciemnowłosa mężczyzna i jasna blondynka. „O, mój Boże...” - pomyślała Claudia Arbuthnot.

- Pokaż - podeszła bliżej i młodzi się rozdzielili.

Dotknęła szafirowej szpilki. Jej palce drżały.

- Jaka piękna! - zachwyciła się Claudia. - Miałaś wspaniały pomysł.

- Skąd ją masz, Frank? - odezwał się w końcu Philip.

- Dała mi ją stara Mary Donovan - odparł syn.

W pokoju wyczuwało się napięcie, ale Frank nie rozumiał, co je wywołało.

- Mary powiedziała, że broszka należała do mojej mamy. Myślę, że mama podarowała ją Mary.

- Nie - stwierdził Philip. - Całą biżuterię Eileen zdeponowałem w banku. Nigdy jej stamtąd nie wyjmowałem.

- Oczywiście, że ją ofiarowała - pospieszyła Claudia z zapewnieniem. Zniżyła głos. - Były kuzynkami, nie zapominaj o tym.

Philip odwrócił się.

- Ukradła ją. Musiała ją zabrać tej nocy, kiedy Eileen umarła. Nigdy wcześniej nie wspominałeś o tej broszce zwrócił się do syna. - Od jak dawna ją masz? Donovan nie żyje już od wielu lat.

Posłużył się nazwiskiem służącej, zauważyła Claire. To jego sposób na podkreślenie, że pomiędzy nim a starą Mary nie istniało żadne powinowactwo.

- Dostałem broszkę przed wyjazdem do Rowden - odparł Frank. - Mary powiedziała, że należała do mamy, a ona przechowywała ją dla mnie. Przepraszam, tato, jeżeli wytrąciło cię to z równowagi. Nie wiedziałem, że ma to dla ciebie takie znaczenie. Chciałem dać Clarry w prezencie coś osobistego użył dawnego, dziecięcego zdrobnienia imienia siostry.

Philip westchnął.

- Wszystko, co należało do twojej matki, Frank, jest twoje. Pewnego dnia miałem ci dać te rzeczy. Nieważne, nieważne. Nigdy nie można ufać tym ludziom. Miałeś dobry pomysł, chłopcze, by podarować szafir siostrze. Bardzo miły. Napijmy się jeszcze szampana.

Otchłań otworzyła się pod ich stopami i zamknęła ponownie. Kolacja była wyśmienita. Philip rozmawiał z synem, a matka i córka plotkowały uśmiechnięte, szczęśliwe, że między mężczyznami najwyraźniej panuje zgoda. Claudia była zadowolona i z innego powodu. Może była przewrażliwiona? Może tylko niepotrzebnie coś sobie wyobraziła, kiedy młodzi stali razem, a ona poczuła, że wisi nad nimi jakieś zgubne fatum? Dolała trochę wina do swojego kieliszka i zakazała sobie surowo wymyślenia takich cholernych głupstw.

- Jeśli masz ochotę, możemy jutro pojechać do Meath - mówił Philip. - Jim okazał się dobrym zarządcą, więc wszystko jest w należytym porządku.

- Dom był otwierany i wietrzony - dodała Claudia. - Problem w tym, że mieliśmy tutaj istną epidemię włamań. Jeśli tylko jakiś dom stał pusty, natychmiast go ograbiano. Jim z żoną mieszkają w Meath i jestem pewna, że tylko dlatego ci dranie z Dublina trzymali się z daleka. Czy wiesz, że od wybuchu starć na Północy przestępczość tutaj wzrosła dwukrotnie?

Frank pochylił się ku niej.

- To stary problem, Claudio. Wcześniej czy później trzeba będzie stawić mu czoło i

rozwiązać go.

- W jaki sposób? - spytał Philip. - Nigdy nie sprawisz, by unioniści¹² zmądrzeli.

- Zmądrzeją bardzo szybko, gdy tylko Brytyjczycy pójdą sobie z Ulsteru.

Claire siedziała cicho. Chciała, żeby zmienili temat rozmowy.

- Powiem ci, co się stanie, jeżeli Anglia wycofa swoje wojska - powiedział Philip gwałtownie. - Wybuchnie krwawa wojna domowa, w którą zostaniemy wciągnięci. I taka jest rzeczywistość, kiedy ludzie mówią o zjednoczonej Irlandii.

- W Stanach nie wyznaje się takiego poglądu - odparł Frank cicho.

- Możliwe, ale oni nie żyją tutaj. Amerykanie irlandzkiego pochodzenia ograniczają się wyłącznie do prezentowania antybrytyjskiego nastawienia. Większość z nich nie widziała Irlandii na oczy. Mam nadzieję, że prostowałeś ich opinie, kiedy wygadywali podobne bzdury! Wracając do rzeczy - jutro po południu mam czas, więc może byśmy pojechali do Meath?

- Czemu nie - zgodził się Frank. - Chciałbym zobaczyć posiadłość. Pamiętam, że dom mi się podobał.

Philip potrząsnął głową.

- To landara. Piwnice, strychy, wszystko zbyt duże na dzisiejsze czasy. Twoja babka żyła na starą modłę, więc to nie miało znaczenia. Riverstown ma odpowiednią wielkość jak na rodzinny dom, ale nawet tu Claudia pracuje cholernie ciężko. Prawda, kochanie?

- Niezupełnie. Lubię to. Tak długo, jak mam swoje polowania i nie muszę gotować, jestem szczęśliwa - roześmiała się. - Claire, a może byśmy pojechały jutro do Dublina, skoro Frank i twój ojciec wyjeżdżają? Poszłabym do fryzjera... Na Grafton Street otworzyli dosyć przyzwoity zakład.

Claire zawahała się.

- Wołałabym obejrzeć dom - powiedziała.

- Innym razem - odparł Philip. - Będziemy zajęci rachunkami i objazdem farm. Jedź z mamą do Dublina, ale nie wydaj za dużo pieniędzy.

Roześmiali się wszyscy.

- Do Meath zabiorę cię w przyszłym tygodniu, Claire - obiecał Frank.

- To ja ciebie zawiozę - powiedziała z triumfem. - Mam samochód i zdałam egzamin na prawo jazdy! Za pierwszym razem!

- Boże, miej nas w swojej opiece - wykrzyknął jej brat z powagą. - Instruktorzy

¹² Unioniści - protestanci zwolennicy utrzymania pełnych związków z Wielką Brytanią (przyp. tłum.).

musieli być ślepi i sparaliżowani, skoro dopuścili cię blisko samochodu. Ja prowadzę albo w ogóle nie jedziemy.

Młodzi przekomarzali się jak dzieci, co Philip obserwował życzliwym okiem. Jego syn zmienił się. Przeszła mu dawna agresywność. Kiedy Frank był jeszcze w Oksfordzie, ich dyskusje o Irlandii Północnej kończyły się wściekłymi awanturami. Teraz Philip czuł ulgę i był szczęśliwy, pomijając palącą złość z powodu broszki. Zrobić coś takiego po tylu latach, które u nich przepracowała, tak odplacić za życzliwość, z jaką się spotykała aż do chwili, gdy zmarła w szpitalu, który Philip osobiście opłacił.. Co za perfidna kreatura. Boże, uniósł się gniewem, co to za ludzie! Wrócił obraz Eileen stojącej w tym samym pokoju i w tym samym miejscu, w którym tego wieczoru stała Claire, także ubranej na niebiesko, z małą, tanią broszką błyszczącą na sukience. Wychodzili na przyjęcie do Claudii Hamilton. Nadal wspomnianie Eileen raniło go. Małe biedactwo, taka młoda i podatna na ciosy i tak niewiele życia miała przed sobą.

Wstali od stołu.

- Na kawę przejdźmy do gabinetu, dobrze? - powiedział Philip.

Nie chciał wracać do salonu.

*

To było bardzo szczęśliwe lato. Meczom tenisowym z przyjaciółmi towarzyszyły przyjęcia, odbyli wycieczkę do West, gdzie w małym domku Claudia trzymała sprzęt rybacki, pływali w morzu tak zimnym, że zapierało dech w piersiach, i cieszyli się konnymi przejażdżkami po farmie. Po obu farmach, Frank rzucił się bowiem w wir ulepszania swej posiadłości w Meath. Claire pojechała tam i zgodziła się z ojcem - dom był zbyt duży i wymagał modernizacji. Co, do diabła, miałby młody człowiek z objania się po takim wnętrzu? Nie chciała, by Frank wyprowadził się z Riverstown i bezczelnie odwodziła go od pomysłu osiedlenia się w Meath.

- Nie sprzedam domu - upierał się brat. - Lubię go. Jest mój, Clarry. Babcia zostawiła go mnie. Może kiedyś będę chciał w nim mieszkać.

- No, dobra - skapitulowała. - Zostaw go sobie. To nawet rozsądne.

Jednak podczas jednej z ich wędrówek po domu, oglądając pokoje, zawahał się. Claudia podjęła się trudu posortowania ubrań i rzeczy osobistych starszej pani, a jej prawnik, Hugh Lorimer, przegryzł się wraz z Frankiem przez tytuły własności gruntu i nieruchomości. Część farm była wydzierżawiona. Frank opierał się wszelkim propozycjom, by je rewindykować.

- Nikt nie zostanie przeze mnie wyrzucony z domu - powiedział. - Dosyć już było w

Irlandii podobnych praktyk.

Lorimer spojrział na niego, ale pominął tę uwagę milczeniem. Miał poczucie, że nie mógłby prowadzić spraw tego młodego człowieka, gdyby nie miał do niego odrobiny sympatii.

- Nie zamierzam też dopuścić do tego, żeby zrobił to ktoś inny - kontynuował Frank. - Nie chcę, by w tym domu zamieszkali ludzie, którzy by tak postąpili. Ustanowię zarządcę. Będę tu może spędzał kilka tygodni w roku i urządzał polowania. Jest mnóstwo możliwości. Przy okazji, co się stało z domem starego Reynarda?

Claire wzruszyła ramionami.

- Nic. Jego bratankowie sprzedali grunty miejscowemu rzeźnikowi, który pozwolił, by dom się zawalił. Jemu nie odpowiadał, a nikt go nie chciał kupić. Tata powiedział, że zerwali ołowianą blachę z dachu i sprzedali za duże pieniądze.

- Pojedziemy tam kiedyś i obejrzymy sobie chałupę - rzucił myśl Frank. - Ciekawe, czy uda się nam zobaczyć starego diabła, jak czai się pod żywopłotem!

Roześmiali się oboje.

- Och, ludzie przysięgają, że go widzieli - odparła Claire. - Nawet mama mówiła, że zobaczyła raz lisa, który się tam chował.

- Claudia jest przesądna jak wszyscy inni. Jak się nazywa ten rzeźnik? - spytał.

- Flanagan. Ma sieć sklepów w Dublinie, a sam przeniósł się na wieś. Tata mówi, że to milioner. I cholerny wandal - dodała, cytując Philipa.

- Nie sądzę - powiedział Frank. - Co Flanagan obchodzi były angielski bogacz? Dlaczego ma się przejmować tym, co stało się z posiadłością?

- Jest częścią historii - argumentowała Claire, choć niezbyt pewnie czuła się na tym gruncie. - To stary irlandzki dom, coś jak Carton - wymieniła nazwę najwspanialszego książęcego pałacu w Irlandii, który spotkał ten sam los.

- Ale nie historii Flanagan - odparł Frank spokojnie. - A jeśli nawet, to jest to ten jej fragment, który ten rzeźnik chciałby prawdopodobnie widzieć w ruinie.

Claire spojrzała na niego.

- Nie mów tego przy tacie. Co się z tobą stało, kiedy cię tu nie było?

- Poznałem drugą stronę medalu. Gdybym był na miejscu Flanagan, nie tylko zerwałbym dach, żeby deszcz padał do środka, ale wysadziłbym w powietrze całą tę cholerną budę razem ze wszystkim, co sobą reprezentuje.

- Frank! - Claire spojrzała na niego z przerażeniem.

Potrząsnął głową.

- Nie martw się. Nie zamierzam niczego takiego powiedzieć w domu. Zrobiłem to już raz, tego wieczoru, kiedy wróciliśmy z polowania, właśnie stamtąd. Pamiętasz?

- Tak odparła. - Doskonale. Była okropna awantura, bo nie chciałeś jechać do Rowden.

- Zgadza się - skinął głową. Zapytałem ojca, dlaczego poślubił moją mamę, skoro ma o Irlandczykach takie zdanie. Nigdy mi nie odpowiedział, a ja nigdy go już o to nie zapytałem. I nie zapytam. W Ameryce znalazłem wiele odpowiedzi. Chodźmy, Claire, powinniśmy już iść, bo spóźnimy się na obiad.

Do domu jechali w milczeniu. Czowała się przygnębiona i niespokojna. Życie było tak cudowne, a oni mieli tak wiele rzeczy, by się nimi wspólnie cieszyć. Dlaczego to zepsuł ponurymi słowami? Zaświtał jej pewien pomysł. Był tak przerażający, że dech jej zaparło. Frank odwrócił na chwilę uwagę od prowadzenia samochodu.

- O co chodzi?

- Frank - odezwała się. - Frank, nie wstąpiłeś do nich, prawda?

- Nie, jeśli masz na myśli IRA.

- Och - westchnęła z ulgą. - Dzięki Bogu!

- Pojechałem na zjazd do Bostonu - powiedział, znów patrząc na drogę - i niewiele brakowało, żebym się zapisał do czegoś o nazwie Przyjaciele Sinn Fein, ale nie zrobiłem tego. Postanowiłem, że najpierw wrócę do domu, urządzę się i więcej zobaczę na własne oczy.

- A porzucając nudny temat polityki - zamierzasz iść na tańce do Butlerów? - spytała.

- Możliwe - odparł. - Jeśli i wy pójdziecie. Jesteśmy zaproszeni, jak twierdzi Claudia.

- Chcą cię wyswatać z Olivią, tą grubą kluchą - stwierdziła Claire figlarnie.

Kiedy znalazła się na bezpiecznym gruncie, wrócił jej dobry nastrój.

- To bardzo ładna dziewczyna - przekomarzał się. - Jesteś zazdrosna.

- Zazdrosna? O to grube dupsko? Ma przezwisko Grzmiące Uda. Ubawiłabym się, widząc, jak z nią tańczysz.

Uśmiechnął się.

- Naprawdę chcesz iść?

Skinęła głową.

- A ty?

- Zobaczymy - odparł. Teraz on się z nią droczył. - Pogadamy o tym wieczorem. Popatrz, to biedny stary Donny. Czeka, żeby zobaczyć pociąg z Dublina.

- Stańmy - zaproponowała Claire. - Nie widziałam go całe wieki.

Donny, ze swą obsesją na punkcie pociągów, był częścią ich dzieciństwa. Kiedy

jeździli na rowerach do Naas, widywali go, jak stał na moście nad linią kolejową i wpatrywał się intensywnie przed siebie w nadziei ujżenia zbliżającego się pociągu. Frank podjechał do Donny'ego i oboje z Claire wysiedli z samochodu. Donny zobaczył ich i uśmiechnął się szeroko, mrugając zawzięcie z podniecenia. Był jednym z jedenaściorga dzieci pani Brennan, od urodzenia upośledzonym, ale nikt nie znał dokładnie jego wieku. Wszyscy wiedzieli, że jest niegroźny dla otoczenia. W dzieciństwie Claire i Frank dawali mu cukierki, które kupowali w sklepiku w miasteczku. Później Frank wsuwał mu do kieszeni trochę drobnych, a on dziękował tym swoim szaleńczym mruganiem i uśmiechem rozdziawionych ust.

- Witaj, Donny - pozdrowił go Frank. - Jak się masz?

Wybełkotał, szczęśliwy, że ma się dobrze, a potem, ku zdumieniu obojga, powiedział:

- Długo cię nie było!

- Mieszkałem w Ameryce, Donny - odparł Frank.

- Och, ach - wymamrotał Donny i skinął głową. - Ciebie też długo nie było - zwrócił się do Claire.

- Tak, ale teraz już jesteśmy w domu - uspokoiła go. - Jak twoja mamuśka?

Uśmiechnął się i znów skinął głową.

- Dobrze, dobrze. Zaraz przyjdzie. Da mi po uszach - zachichotał na tę myśl. - Ciągłe nie ma pociągu. Coś nadjeżdża - odwrócił się i nad balustradą mostu spojrział na leżące niżej tory.

Mamuśka była energiczną, roslą kobietą po sześćdziesiątce. Jej widok budził powszechną wesołość, kiedy prowadziła syna do domu na podwieczorek, trzymając go często za kołnierz.

Frank znalazł w kieszeni drobne.

- Masz Donny, kup sobie fajki.

Donny był bardzo brudny, a dłoń, która zacisnęła się na pieniądzach, czarna jak krowia racica. Po brodzie spływała mu odrobina śliny, ale oczy błyszczały z zadowolenia.

- Bóg ci wynagrodzi... Bóg ci wynagrodzi...

Obserwował ich, gdy wsiadali do samochodu, a kiedy przejeżdżali obok, pomachał im ręką. Przez tylne okno Claire widziała, że Donny wrócił do swego czuwania.

- Dziwne. Dotarło do niego, że nas tutaj nie było - powiedziała.

- Nie jest wcale taki głupi - odparł jej brat. - Gdyby w swoim czasie ktoś mu udzielił pomocy, gdyby chodził do specjalnej szkoły, to może nie byłoby z nim tak źle. Ale teraz jest już za późno. Tak długo, jak będzie widywał swoje pociągi, będzie szczęśliwy.

- To wspomniała rzecz w Irlandii powiedziała Claire. Nikt go nie niepokoi. Gdyby żył w

Anglii, zostałby aresztowany lub oddany do szpitala dla umysłowo chorych.

- Albo w Ameryce - dorzucił Frank. - Ale Irlandczycy nie boją się ani nie wstydzą upośledzonych. Dla nich są takimi samymi dziećmi Boga jak wszyscy inni, i zostawiają ich samym sobie.

- Tak powinno być - zgodziła się z nim. - Założę się, że kiedy Donny wróci do domu, mamuśka przetrzepie mu kieszenie i zabierze pieniądze.

- Na pewno - przyznał Frank i oboje się roześmiali.

„Boże dziecię”, pomyślała Claire po chwili. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby Frank tak mówił. Z pewnością nie stał się religijny... Będzie musiała się z nim podroczyć, żeby to wybadać.

Philipa nie było w domu, Claudia zajmowała się domowymi sprawami, a Claire zniknęła na górze. Frank poszedł do gabinetu i nalał sobie drinka. Nie pił wiele. Upijanie się nie pociągało go. Cieszyło go, że jest sam i ma czas, by trochę pomyśleć. Jedna whisky wystarczała, żeby się uspokoił. Nie powinien mówić z Claire tak otwarcie. To ją zaniepokoiło, a nie ma mowy, żeby mogła go zrozumieć. Nie mogłaby zrozumieć, jak bardzo Ameryka go zmieniła. Stany ofiarowały mu niezwykłą wolność - szansę przekroczenia granic własnej klasy, wykształcenia i pochodzenia. Stanowiły wyzwanie, ponieważ tam liczyły się wyłącznie sukcesy, a on osiągał je, od kiedy poszedł do angielskiej szkoły. Przez cały ten czas brzmiał mu w głowie nakaz ojca: „Nie pozwolę, byś wyrósł na irlandzkiego prostaka”. Nikt nie mógł zanegować tego, czego dokonał, ale też nikt by nie zrozumiał motywów, które nim kierowały. Nie zrobił tego dla siebie czy dla ojca, ale z powodu podobizny na wyblakłej fotografii. Z powodu tej połowy, którą w nim zawsze odrzucano, jakby była czymś wstydlivym. Po raz pierwszy w życiu znalazł się w sytuacji, w której słuchał i dokonywał własnego osądu. Nic nie mogło usprawiedliwić godnych ubolewania wypadków z przeszłości. Konieczna była zmiana postawy. Ekspiacja za grzechy przodków, jeśli to niezbędne. Pierwszym celem musi być naprawienie krzywd, jakie spotkały Irlandczyków z Północy. Na tyle Frank był przygotowany, kiedy wrócił do kraju.

Dopił whisky. Wkrótce ojciec przyjedzie ze spotkania w Dublinie i wszyscy zbiorą się, by wypić drinka przed kolacją i opowiedzieć o tym, czego dokonali minionego dnia. Frank nie zamierzał rezygnować z domu w Meath bez względu na to, jak bardzo rodzina na to nalegała. Zatrzymanie go uważał za hołd oddany zmarłej matce. Rozmowa z adwokatem uświadomiła mu, jak bardzo był jej to winien. Lorimer nie zostanie jego prawnikiem. Wprowadzi nowe porządki. Ma dom, w którym będzie się czuł wolny i do którego, po raz pierwszy w jego historii, Irlandczycy będą mogli wejść jak równi właścicielowi posiadłości.

„Nie mów tak przy tacie”... Uśmiechnął się, myśląc o siostrze zmartwionej tym, że może dojść do konfliktu pomiędzy ludźmi, których kocha. Claire nie miała wątpliwości ani nie lubiła dręczyć samej siebie. Wspaniałomyślna i otwarta, łączyła w sobie to, co w Claudii i Philipie najlepsze. Była jedyną osobą na świecie, która czyniła go szczęśliwym - wystarczyło, żeby przekroczyła próg. Ze względu na nią w Riverstown Frank zachowywał spokój, a może ona spędzi z nim jakiś czas w Meath.

Podczas kolacji oznajmił:

- Jeśli chcecie iść na tańce do Butlers Castle, pójdę z wami.
- Sylwia dała mi znać, że na weekend spodziewają się gości z Anglii - powiedziała Claudia. - Nie możemy pójść, ale jeśli chcecie, jedźcie i bawcie się dobrze.
- Będzie niezła balanga - Claire uśmiechnęła się do brata, a on się jej odwzajemnił.
- Jak zawsze, kiedy jesteśmy razem. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Grzmiące Uda.

Ani Claudia, ani Philip nie wiedzieli, z czego śmieją się młodzi.

W następnym tygodniu wyjechali samochodem Franka do Cork i na bal do Butlers Castle. Tam Claire poznała Neila Frasera.

*

Billy Cavanagh ukroił sobie grubą pajdę chleba i położył na niej plaster szynki. Mamrotał do siebie, kiedy przygotowywał herbatę i szukał musztardy, którą chciał posmarować szynkę. Nie był naprawdę głodny, ale nawyk kazał mu przygotować sobie posiłek. „Nigdy nie trać okazji do jedzenia - mówiła jego matka - kto wie, kiedy zdarzy się następna”. Siedział przy kuchennym stole. Nalał do kubka herbaty, a potem wsypał do niej cukru. Czuł się marnie. Bał się o Claire i bał się o siebie. I przeklinał Franka Arbuthnota. Dlaczego musiał być inny, czym przysporzył rodzinie tyle smutku, a na nich wszystkich sprowadził niebezpieczeństwo? „Niech go szlag” - mruknął, życząc mu śmierci za wszystko, czego Frank był przyczyną. Jak długo jej nie będzie? „Wrócę przez nocą” - powiedziała przed wyjazdem. Billy ugryzł kawałek chleba z szynką i poczuł, że kęs stanął mu w gardle. I czy nie mogła ta stara suka, pani Arbuthnot, wybrać innej chwili na odwiedzenie przyjaciół w Cork, zamiast zostawiać wszystko na jego głowie?

- Nigdy jej nie lubiłem - burknął Billy.

Stary Doyle opowiedział mu o tym, jak nastąpiła w Riverstown, kiedy przejęła majątek po śmierci tej biednej małej Ryanów. Nie słyszał, jak otwierają się drzwi, ale poczuł za plecami czyjąś obecność. Odstawił kubek z herbatą i odwrócił się bardzo wolno. Za nim stał młody Joe Burns w policyjnym mundurze i jakiś mężczyzna, którego Billy nie znał.

Cavanagh odsunął się z krzesłem od stołu tak niezręcznie, że noga uwięzła w szczelinie pomiędzy deskami podłogi. Stół zachwiał się i herbata chlusnęła na blat.

- Jesz obiad, Billy? - spytał Joe.

Cavanagh już stał, trzymając się dłońmi oparcia krzesła.

- Tak - odparł niewyraźnie, ponieważ nadal miał w ustach jedzenie.

Rzucał spojrzenia to na Burnsa, to na nieznanego. Nie słyszał, żeby pukali do drzwi, a psy nie ostrzegły go przed najściem.

Burns podszedł bliżej.

- Wiedzieliśmy, że jesteś w domu - powiedział. - Twój samochód stoi w garażu. Co zrobiłeś z tablicami rejestracyjnymi?

Billy jęknął ze strachu. Joe przemawiał do niego łagodnie, a ten drugi opierał się plecami o drzwi.

- Znaleźliśmy za to inne tablice - ciągnął policjant. - Angielskie. Ona tu była, a ty mi nie powiedziałeś, mimo że obiecałeś.

- Miałem zamiar... - zaczął Billy i urwał.

Joe odwrócił się do swego towarzysza.

- On ma słabe serce - powiedział.

- Zobaczmy, jak słabe - odparł tamten.

*

Brama Riverstown była zamknięta. Major Harvey zatrzymał samochód i wysiadł, by się co do tego upewnić. Spojrzał na drogę, ale nie dostrzegł śladu samochodu ani człowieka. Brama była zamknięta od środka na kłódkę. Bardzo dobrze znał irlandzkie zwyczaje. Kiedy rodzina wyjeżdżała z domu, główną bramę zawsze ryglowano, natomiast boczny wjazd pozostawał otwarty. Wrócił do samochodu i pojechał aż do końca drogi, która wiła się za murem posiadłości. Claire Fraser wiele mu opowiadała o starym ogrodniku, Billym Cavanaghu. Bardzo go lubiła. Czasami mówiła o nim tak, jakby był kimś w rodzaju adoptowanego ojca chrzestnego. Michael wiedział, że takie związki mogą być bardzo silne. W dzieciństwie jego Cavanaghem była pokojówka, która kochała go i rozpieszczała, jakby był jej własnym synem. Prawdopodobnie, kiedy Claire Fraser zastała bramę zamkniętą, poszła po pomoc do ogrodnika. Przejechał obok bocznego wjazdu do Riverstown, dotarł do małego domku, z którego komina wydobywał się obłok dymu z palącego się torfu, i zaparkował samochód na zakręcie drogi. Otworzył bagażnik i do kieszeni wełnianej bluzy wsunął automatyczny pistolet, na wszelki wypadek. Potem ruszył z powrotem poboczem drogi z rękami w kieszeniach. Wyglądał równie naturalnie, jak rosnące wzdłuż drogi drzewa.

Skręcił w krótki podjazd. Garaż z zamkniętymi dwuskrzydłowymi drzwiami. Psiarnia. Kiedy Harvey się tam zbliżył, żaden pies nie zawarczał. Frontowe drzwi domku były zamknięte. Cavanagh mógł dokądś wyjść. Na przykład na kolację do pubu w Clane. Michael podszedł do psiarni. Na ogrodzonym wybiegu leżał wielki mieszaniec o piaskowej maści. Był martwy, odstrzelono mu czubek łba. Obok leżał mniejszy pies. Przez chwilę Harvey stał nieruchomo. Wokół panowała absolutna cisza. Poznał ją. Bardzo specyficzna cisza. Głośniejsza od szczebiotu ptaków czy szumiącego w koronach drzew wiatru. Już z bronią w dłoni skoczył do drzwi domku i kopnął w nie. Otworzyły się z trzaskiem. Stał w kuchni.

- O cholera!

Głowę starszego człowieka przestrelono z bliskiej odległości. Na skórze nie było śladów osmalenia, więc najwyraźniej napastnicy użyli tłumika, tak samo, jak strzelając do psów. Wcześniej stary został okrutnie pobity. Pełno krwi i trochę wymiocin. Zapach śmierci i bólu. Harvey nie dotknął ciała. Wycofał się, zamykając za sobą drzwi. Garaż. Otworzył go i zobaczył to, co skazało tego biedaka na śmierć. Samochód. Angielskie tablice rejestracyjne leżące na ziemi. Claire przysłała do Cavanagha po pomoc i on jej tej pomocy udzielił. „Ile udało się im z niego wydusić - zastanawiał się Harvey - zanim go zamordowali?” Nie tracił czasu na rozmyślanie. Jeżeli Cavanagh coś wiedział i zdradził, zabójcy byli już w drodze do Kells. Cavanagh leża! tak długo martwy, że cienka plama krwi na podłodze zdążyła skrzepnąć. Harvey zaczął biec.

Jadąc, starał się ułożyć w głowie jakiś plan. Instrukcje, których mu udzielono, mówiły tylko o wydostaniu stąd Claire Fraser, ale bez stosowania przemocy czy jawnego pogwałcenia jakichkolwiek przepisów irlandzkiego prawa. Chyba że nie byłoby innego sposobu na jej ocalenie. Jechał szybko, przeskakując małe, garbate mostki, a kiedy wydostał się na prowadzącą do Dublinu autostradę, przebijał się przez leniwie pełznący sznur samochodów, które toczyły się tak powoli, jakby miały do dyspozycji cały wolny czas tego świata. Upewniając się, że w zasięgu wzroku nie ma żadnych policyjnych samochodów, przejechał na czerwonych światłach kilka skrzyżowań, sygnałem spędzając z drogi wszystkich, którzy jechali z przeciwnej strony. Znał trasę przez Navan i znał tamto miejsce. Gdyby gdziekolwiek w jego pobliżu znalazł ukryty samochód, porzuciłby ostrożność i poszedłby z automatycznym karabinem w garści. Zastrzelenie Cavanagha nie dowodziło, że nie powiedział im wcześniej o Claire. IRA nie zostawia świadków. Jedyne nadzieje w tym, że Billy nie wiedział, dokąd pojechała pani Fraser, a napastnicy zamordowali go, ponieważ sprawił im zawód. W opóźnieniu, jakie miał w stosunku do nich, Harvey widział szansę dla siebie. Oni znali jednak numery zamienionych tablic rejestracyjnych i mogli wytropić samochód Claire, kierując się

wskazówkami rozproszonych po całym kraju informatorów. Jeśli jej samochód zostanie dostrzeżony gdziekolwiek w pobliżu miasta, dowiedzą się o tym bardzo szybko.

*

Osiedle domków jednorodzinnych w Santry znajdowało się przy drodze na lotnisko. Zostały zbudowane, gdy na skutek skokowego wzrostu cen gruntu banki ochoczo pożyczają pieniądze. Dwadzieścia pięć małych domów miało kwadratowe ogródki na tyłach i od frontu, garaże i mogło się pochwalić wnętrzami zaprojektowanymi, jak twierdzono, przez architekta, chociaż ich wyposażenie było tanie, a w wielu zewnętrzna stolarka spaczyła się.

Joe Burns, jego towarzysz, dwóch innych mężczyzn i kobieta siedzieli dookoła stołu w pokoju na zapleczu piątego domku, który stał po prawej stronie pierwszego czworoboku zabudowań. Na tyłach, w ogródku, powiewał na sznurze szereg spranych chorągiewek, a przed drzwiami wejściowymi stał dziecięcy rowerek. Mężczyzna, który był z Joe Burnsem w domku Billy'ego, powiedział z dublińskim akcentem:

- Dostał, kurwa, ataku serca.

Młodszy z dwóch siedzących przy stole mężczyzn spojrzał na niego. Miał kasztanowe włosy i porządnie przystrzyżoną brodę. Wyglądał jak artysta malarz. W Burnsie budził większe przerażenie niż ktokolwiek, kogo Joe spotkał w swoim życiu.

- To dlaczego biliście go tak mocno?

- Wcale nie mocno - wrzucił ramionami. - Trzasnąłem go parę razy, a Burns też walnął go raz czy dwa. Tylko tyle, żeby nim trochę potrząsnąć. Dobrze mówię, Joe?

- Tak - zapewnił Burns.

Spojrzał niespokojnie na pozostałą trójkę. Dziewczynę widział do tej pory zaledwie trzy razy. Nie podobał mu się sposób, w jaki na niego patrzyła.

- Powiedział, że nie wie, dokąd pojechała - mówił dalej Joe. - Potraktowaliśmy go ostro, ale nie tak, żeby zaraz zabić tego starego drania. Znam swoją robotę, Sean. Mówiłem ci o jego sercu, jeszcze zanim tam pojechaliśmy.

- Przysięgam, że on nic nie wiedział - wtrącił towarzysz Burnsa. - Słuchajcie, dostał tak, że wszystko by wyśpiewał, gdyby tylko coś wiedział.

- Więc zastrzeliliście go - powiedziała dziewczyna, odzywając się pierwszy raz podczas tej rozmowy.

- Musieliśmy. Jasne, że było z nim źle, ale nie mieliśmy czasu czekać, aż umrze - wyjaśnił Joe. - Musieliśmy mieć pewność. Nie zostawiliśmy żadnych śladów. Nie znajdą go przed wieczorem, kiedy przyjdzie jego kobieta.

- Wszystko zepsuliście, durnie! - prychnęła. - Cavanagh zmienił tablice rejestracyjne

w jej samochodzie. Oczywiście, że wiedział, dokąd pojechała. Nie dowiedzieliście się niczego i zatłukliście go!

Młody mężczyzna z brodą dotknął jej ramienia.

- Uspokój się, Marie. Znamy te numery. Znajdziemy ją. Joe, wracaj na posterunek. Ty, Willie, czekaj w domu. Możesz być później potrzebny.

Kiedy tamci wyszli, odezwał się starszy z dwóch pozostałych mężczyzn. Miał ciężki ulsterski akcent i był poszukiwany po obu stronach granicy za morderstwa i zamachy bombowe. Obecni znali go pod pseudonimem Hugh Macbride.

- Ona ma rację - oświadczył. - Spieprzyli to. Moi chłopcy zrobiliby to lepiej.

- To jest moja operacja - odparł brodac. - Kiedy będę potrzebował twoich chłopaków, dam ci znać.

Ci dwaj towarzysze broni nie przepadali za sobą. Macbride był twardym facetem z Północy, bezwzględny bojownikiem zaprawionym w walce. Spędził pięć lat w więzieniu Maze - jeden jedyny raz, kiedy został schwytany. Uważał, że jego sprzymierzeńcy z południa są zbyt ulegli i pogardzał nimi. Szczególną niechęcią darzył siedzącego obok niego przy stole młodego mężczyznę, szanowanego psychiatrę, doktora Seana Fileya. Nie ufał żadnemu z tych wygodnickich rewolucjonistów, wywodzących się z klasy średniej. A najbardziej raziło jego męską dumę towarzystwo Marie Dempster, która siedziała z mężczyznami jak równa im i wygłaszała własne opinie. Kobiety z Ulsteru wiedziały, gdzie jest ich miejsce. Pełniły swoje role z heroizmem i oddaniem, ale nie mogły zasiadać w organach wyższego stopnia niż te, w których uczestniczyli ich mężowie.

- Obserwowałbym tego glinę - powiedział. - Jeśli sprawy wezmą zły obrót, może dojść do wniosku, że lepiej ratować własną skórę.

Zapalił taniego papierosa i zaciągnął się mocno. Sean Filey odrzucił ten pomysł.

- On jest w porządku. To oddany chłopak. I teraz siedzi w tym po uszy. Od morderstwa nie ma odwrotu.

Macbride tylko chrząknął. Wielu ludzi, których znał, donosiło służbie bezpieczeństwa albo RUC¹³ właśnie dlatego, że popełnili morderstwo i chcieli wyjść z tego obronną ręką. Nie da się jednak przekonać takiego faceta jak Filey. Był człowiekiem wykształconym, intelektualistą. Macbride nazywał ich papierowymi ludźmi. Był wspaniały w układaniu planów i cyzelowaniu szczegółów, lecz mało skuteczny i za słaby, by samemu je przeprowadzić. Zaledwie dwa dni temu trzymali w tym właśnie domu przywiązanego do

¹³ RUC - Royal Ulster Constabulary - policja ulsterska (przyp. tłum.).

łóżka Franka Arbuthnota, który w pułapce zastawionej przez frakcję tymczasową IRA służył za przynętę do schwywania żony angielskiego członka rządu. Porwanie dziesięciolecia. Żona Neila Fräsera więziona dla okupu. Kiedy pomyślał, jak wzrosłby prestiż organizacji, to robiło mu się niedobrze ze złości, że wszystko wzięło w łeb. Żądania, negocjacje, skupiona na nich uwaga całego świata. A potem morderstwo, dokonane jakby od niechcienia. Albo wzgardliwe milczenie, bardziej przerażające i wymowne niż zwłoki.

Przynęta jednak wymknęła się miejscowym, a Macbride został przysłany z Północy, by zapanować nad operacją, zanim skończy się ona całkowitym fiaskiem. Miał dopaść Claire Fraser, nawet jeśli jej przyrodniemu bratu udało się uciec, ale nie dano mu dowodzić tym przedsięwzięciem. Wszystkim kierował Filey. Provosi na południu byli drażliwi i uczuleni na braci z Północy. Macbride pełnił tylko funkcję zastępcy Fileya i nie należało go zrażać. Jeszcze nie. Zdusił na podłodze niedopałek papierosa i zostawił na linoleum.

- Co powiesz na odrobinę whisky? - zwrócił się do Marie w sposób, w jaki odezwałby się do którejkolwiek z kobiet w swoim domu.

- Wiesz, gdzie jest - odparła. - Sam sobie nalej.

Rzucił jej groźne spojrzenie. Pora konfrontacji jeszcze nie nadeszła. Złoży na nią raport. Kiedy go rozważą, członkowie Rady Najwyższej będą wiedzieli, co należy zrobić.

- Najpierw pójdę się odlać - powiedział.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Marie Dempster wstała.

- To zwyczajna świnią - orzekła.

Filey spojrział na nią.

- Macbride jest w porządku. Nie angielski dżentelmen, ale dobry Irlandczyk. Może i nie ma eleganckich manier, do jakich jesteś przyzwyczajona, ale walczy i cierpi za naszą Sprawę od chwili, gdy skończył piętnaście lat. Następnym razem, Marie, podasz mu whisky, kiedy o to poprosi.

Odwróciła się od niego. Była ciemnowłosą kobietą o niebieskich oczach i bladej cerze, charakterystycznej dla ludzi trawionych przez gruźlicę. Jedna strona jej ładnej twarzy była spuchnięta i posiniaczona.

- Podejrzewa mnie - stwierdziła. - I ty wiesz, że tak jest.

- Oczyszciliśmy cię z podejrzeń - odparł Filey. - Byłem tu pierwszy, a Macbride przyjął do wiadomości to, co powiedziałem.

Wzruszyła ramionami.

- On w to nie wierzy. A nawet jeśli uwierzył, to go to nie obchodzi. Mówił, że tam, u niego, by mnie zastrzelili.

- Nie jesteśmy na Północy. Jesteś bezpieczna, bo ja ci wierzę - uspokajał Sean. - Nie pozwoliłabyś uciec Arbuthnotowi. Chcesz, żeby zginął i wiem, dlaczego. Z tego samego powodu, dla którego chcesz, żebyśmy schwytali jego siostrę i żeby oboje zginęli. Bo zżera cię zazdrość.

- Zostaw mnie w spokoju! - To był krzyk bóleści. - Nie wyśmiewaj się ze mnie, ty draniu!

- Chronię cię - zapewnił. - Wybrałaś jego, a nie mnie, ale to nie ma znaczenia. Dokonałaś wielkich rzeczy dla Sprawy, Marie. Twój błąd polega na tym, że pokochałaś kogoś spoza własnego kręgu. Złapiemy ich oboje. Wtedy odzyskasz spokój. A teraz, dlaczego nie zajmiesz się telefonami? Będziemy mieli panią Fraser, nim dzień się skończy.

Przecisnęła się obok wracającego do kuchni Macbride'a, który wyjął z kredensu butelkę whisky i nalał sobie pół kubka, proponując drinka Seanowi.

- To cwana dziwka - zauważył Hugh. - Ktoś powinien wypróbować na niej pasa.

Przełknął głośno alkohol. Pogardzał Fileyem, ponieważ Sean pił tylko piwo. Macbride nigdy nie pomijał okazji, by spróbować wmusić w niego whisky.

- Dokąd poszła?

- Do budki telefonicznej, nawiązać kontakt - odparł Filey. - Jeśli żona Frasera jest gdzieś w promieniu pięćdziesięciu mil, będziemy o tym wiedzieli w ciągu trzech godzin.

Marie ośmiu rozmówcom podała przez telefon numery rejestracyjne poszukiwanego samochodu. Kładła nacisk na znaczenie sprawy i nalegała, by informatorzy dzwoniли do domu, który był ich główną kwaterą, po czym pośpiesznie do niego wróciła. Seana spotkała w holu. Miał na sobie płaszcz i wkładał rękawiczki.

- Idę na Fitzwilliam Square - powiedział jej. - Skontaktuj się ze mną natychmiast, jak tylko się czegoś dowiesz.

Rozejrzała się wokoło.

- Gdzie jest Macbride? - spytała.

Nie miała ochoty zostawać z nim sam na sam.

- Poszedł - brzmiała odpowiedź. - Zostawił numer, pod którym można go znaleźć.

Filey przerwał na chwilę.

- Masz dosyć proszków przeciwbólowych?

- Mnóstwo.

- Nie bierz za dużo, mogą wywołać senność.

- Nie martw się - jej usta wykrzywił bolesny uśmiech. - Nie przegapię telefonu.

Poszła do kuchni i przygotowała sobie herbatę. Dzięki Bogu, ten brutal Macbride

sobie poszedł. Dzięki Bogu, może chwilę posiedzieć w samotności. Kontuzjowana twarz ją rwała, a do tego wściekle bolała głowa.

Arbuthnot uderzył ją tak mocno, że straciła przytomność. Nie mogła wyrzucić z pamięci tej sceny. Ani zamkniętego pokoju na piętrze, w którym trzymano Franka, przykutego kajdankami do łóżka. Ani tego, jak ją obserwował za każdym razem, kiedy popychała w jego stronę posiłek, który mu przynosiła, ani nienawiści i pogardy w jego wzroku. Łatwo temu nieczułemu bydlakowi, Fileyowi, poddawać drobiazgowej analizie jej uczucia jakby była przyszpilonym do aksamitu owadem, którego serce zostało całkiem obnażone. Co Sean mógł wiedzieć o męce kochania Franka Arbuthnota? O tym, w jaki sposób wielka miłość mogła się w końcu zmienić w tak silną nienawiść, że Marie zaplanowała zastawienie na Franka śmiertelnej zasadzki? Sean mówił o zazdrości z kliniczną obojętnością. „To cię zabija - twierdził. - Kiedy oboje zginą, odzyskasz spokój”. Filey potrafił to zanalizować, ale nie był w stanie wyobrazić sobie cierpienia i bólu odrzucenia. Albo upokorzenia, jakiego doznawała, kiedy poddawała się żądzy, która prowadziła ją do łóżka Arbuthnota mimo świadomości, że nie obchodziło go, czy ona przyjdzie do niego, czy nie. Na szczęście Sean nigdy nie zrozumie tego, co przez lata przeżyła z Frankiem w wielkim domu w Meath, w otoczeniu zdjęć jego siostry, która drwiła z niej nawet ze ścian ich wspólnej sypialni.

- Marie, pomóż mi - głos Franka brzmiał jak echo w jej pulsującej bólem głowie. - Pomóż mi, Marie, proszę.

Tego ranka w jego oczach nie było nienawiści, tylko męka i prośba. To dlatego podeszła za blisko, opuszczając broń, zamiast trzymać ją wycelowaną prosto w więźnia. Kiedy Frank ją uderzył, pociągnęła za spust. To była ostatnia rzecz, jaką zapamiętała, zanim cios, który zadał wolną ręką, sprawił, że zatoczyła się, z hukiem upadła na podłogę i straciła przytomność. Na szczęście nadszedł Sean Filey z jednym z rewolwerowców, Williem, i znalazł ją w pokoju na górze. Arbuthnot uciekając, zabrał broń i ukradł sprzed domu jej samochód. Ale na podłodze zostały ślady krwi. Przez chwilę Marie znajdowała się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Przesłuchiwał ją nie tylko Sean, ale także ludzie z Dublina i Cork, których nigdy wcześniej nie widziała. Czowała się trochę przestraszona i nie do końca pewna kolejności zdarzeń, ale Filey ją ocalił. Była sądzona i została uniewinniona, nie mając nawet o tym pojęcia. Tylko ten z Północy, Macbride, uciekinier z Belfastu, zadawał jej bez końca pytania, a Marie powiedziała mu to samo, co sędziom śledczym z Rady Republiki. Dlaczego straż przy Arbuthnocie trzymała kobieta - nieważne, uzbrojona czy nie? To męskie zadanie, jak tego dowiodła ucieczka więźnia. Filey odpowiadał szczerze. Wiedziała, że nigdy

nie łągał. Nie skłamałby nawet po to, żeby ją ocalić. Tego rana była sama z więźniem, ponieważ facet, który pełnił straż w nocy, poszedł do domu, spodziewając się nadejścia Williego. Jego samochód zepsuł się, więc Filey musiał po niego pojechać i przywieźć na miejsce. Nie można było o to winić nikogo, poza wozem Williego, jak powiedział ktoś z poczuciem humoru. Ale nikt się nie uśmiechnął. W każdej chwili spodziewali się usłyszeć wiadomość dnia, że Arbuthnot został odnaleziony lub że skrył się pod opiekuńczymi skrzydłami policji. Radio jednak milczało na ten temat, a i telewizja nie miała żadnych wieści. Rosły nadzieje, że ten bękart został ranny i teraz życie wycieka z niego nieubłaganie, a on niezdolny, by szukać pomocy, leży w samochodzie Marie, który stoi przy jakiejś drodze. IRA ogłosiła poszukiwania. Ludzie jeździli po okolicy, telefonicznie postawiono na nogi informatorów, rozpowszechniono opis poszukiwanego i jego samochodu. Niczego nie znaleziono. Nikt nic nie widział. Arbuthnot zniknął, a jego siostra, Claire, opuściła swój dom w Anglii i była w drodze do miejsca zdarzeń.

„Nigdy jej nie dopadniemy - westchnęła do siebie Marie. - Jeżeli dotarła tak daleko i nie dała się złapać naszym ludziom, to jest już za późno. A ja nigdy nie odzyskam spokoju, ponieważ w głębi serca nie jestem pewna, czy tego ranka to nie miłość kazała mi podejść do niego zbyt blisko”.

Zadzwoił telefon i Marie skoczyła na równe nogi, sięgając po słuchawkę. Powiedziała „cześć” i podała swój numer. Po kilku zaledwie zdaniach rozmówca przerwał połączenie. Poszukiwany samochód widziano pod drzewami posiadłości w Cloncarrig. Stał tam zaparkowany przed niespełną półgodziną i nadal tam stoi. Marie drżała z podniecenia. Wybrała numer Fileya. Przełączono ją na prywatną linię. Doktor grzecznie przerwał pacjentowi, by odebrać wiadomość.

- Musi się ukrywać w dawnej posiadłości Reynarda - dobiegły go słowa Marie. - Dostaniemy ich oboje, Sean. Oboje!

- Poczynię odpowiednie przygotowania - powiedział Filey z profesjonalną łagodnością. - Proszę się nie martwić, powiadomię szpital.

Wrócił i zakończył w sposób stanowczy sesję.

- Dzwoniła chora, którą się opiekuję. Jest w ciężkim stanie - wyjaśnił. - Mam nadzieję, że mi pan wybaczy. Muszę natychmiast wyjść. Moja sekretarka wyznaczy panu inny termin. Niech się pan trzyma. I proszę się nie martwić, robi pan duże postępy - ucisnęła dłoń pacjenta.

Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły, Sean odsunął otwarte dossier chorego i swoje notatki i chwycił za telefon. Był właśnie w drodze do osiedla domków jednorodzinnych, kiedy wiadomości dotarły do Williego i dwóch zawodowców, których sprowadzono.

Polowanie się zaczęło.

*

Słońce stało wysoko na czystym jak kryształ niebie, zalewając promieniami zielone pola Cloncarrig. Z miejsca, gdzie się zatrzymała, Claire widziała, że stary dom Reynarda nie ma dachu, okna były powybijane, a po zewnętrznych ścianach piął się zielony całun chwastów. Nagle do oczu napłynęły jej łzy.

„Gdybym był Flanaganem - powiedział Frank lata temu - wysadziłbym w powietrze ten cholerny dom i wszystko, co on sobą reprezentuje!”

Nie miała pojęcia, jakie znaczenie ma ten budynek dla Flanagan, właściciela sieci sklepów mięsnych w Dublinie, kilku innych domów i gruntów. Wiedziała, co posiadłość Reynarda znaczy dla Arbuthnotów. Przyjaźń i gościnność, przyjemność, jaką dawały dobre zabawy i ten wesoły ekscentryk o lisim nazwisku¹⁴ i jasnorudych włosach, który przygotowywał się do życia po życiu. Neil w ogóle nie chwycił smaczku tej historii, kiedy ją usłyszał. Reynarda uważał za starego wariata, a ludzi opowiadających o lisie, który zniknął zawsze gdzieś przed polowaniem w Cloncarrig - za pijanych lub głupich. To takie irlandzkie, irytował się. Wszyscy tu żyją w świecie fantazji. Nic dziwnego, że w całym kraju panuje taki bałagan. Chociaż Claire była w nim szaleńczo zakochana, nienawidziła go, kiedy tak mówił, przede wszystkim dlatego, że nie rozumiał, jakie to ma dla niej znaczenie. Potem, kiedy się często kłócili, zdawało się jej, że mąż szydzi z niej rozmyślnie.

Od pierwszej wieży zbudowanej przez starego Reynarda dzieliła Claire przestrzeń dwóch pól. Kiedyś Neil przeszedł trzy mile, zadręczając ją wspomnieniami, których wcale nie miała ochoty słuchać. Duch, który nie chciał odejść. „Jakby nadal walczył o mnie z Frankiem - pomyślała - i wciskał się za nim w moje myśli”. To było przesadne i głupie, ale przedzierając się teraz przez przerośnięte żywopłoty i uwalniając od jeżynowych kolców, wspominała bal w Butlers Castle.

Zamek był teraz hotelem, a rodzina Butlerów rozproszyła się po świecie. W pokojach, które podczas tamtego weekendu zajmowali z Frankiem, w tej chwili spali turyści, a salę balową przerobiono na restaurację. Widziała foldery reklamujące hotel i przyrzekła sobie solennie nigdy więcej nie zbliżać się do niego.

Kiedy tam przyjechali, Butlers Castle przeżywał ostatni poryw świetności - bal z okazji dwudziestych pierwszych urodzin Olivii. W pokojach było chłodno i wilgotno, a do wanien lała się letnia woda, ale nikomu to nie przeszkadzało. Zamek, wiktoriańska landara

¹⁴ Reynard - imię lisa w bajkach (przyp. tłum.).

zbudowana przez Butlera, który wżenił się w duże pieniądze, zawsze był pełen ludzi. Butlerowie mieli cztery córki i jednego syna, Charlesa. Zamiast naprawić przeciekający dach, podstawiali cebrzyki, a pieniądze wydali na wielkie przyjęcie dla Olivii. Podczas kolacji Claire siedziała obok jednego z gości z Anglii. Wiedziała, że wygląda bardzo ładnie, ponieważ Frank komplementował jej suknię, a kiedy wszyscy goście zebrali się przed kolacją w holu, podchodziło do niej wielu mężczyzn, by porozmawiać. Była w wyśmienitym nastroju, przekonana, że będzie się dobrze bawić. Jak przewidywała, Franka posadzono obok Olivii. Młody, bogaty kawaler o oczach jak paciorki tego wieczoru ściągał na siebie nie tylko wzrok lady Butler.

Claire uznała to za bardzo zabawne i postanowiła, że w przyszłości podokucza mu z tego powodu. Jej towarzysz przy stole był bardzo przystojny, o czarujących manierach, nieco sztywny, ale atrakcyjny, ona zaś w naturalny sposób rozmowna i ożywiona. Anglik często się śmiał z tego, co mówiła, nie spuszczał z niej oczu i nie odezwał się nawet słowem do dziewczyny, która siedziała z drugiej strony.

- Czy zostaje pan tutaj? - spytała Claire.

- Tak, Charles zaprosił mnie na cały tydzień. Pojedziemy na ryby.

- No cóż, niczego pan nie złapie - powiedziała. - On nie przestaje mówić. Ryby omijają go na milę. Jak się poznaliście?

Charles Butler, po trzydziestce, bawił się w prowadzenie pośrednictwa handlu nieruchomościami, a od czasu do czasu wyjeżdżał do Londynu, by - jak mówił - załatwić interes, w który zainwestował pieniądze. Nie wyglądało na to, by prowadził cokolwiek, ale miał sporo przyjaciół, a Neil Fraser był jednym z nich.

- Poznaliśmy się przez wspólnych przyjaciół. Jest wielkim kpiarzem, wszystko traktuje jak żart.

- A pan nie - wtrąciła zaczepnie.

- Nie można sobie na to pozwolić, kiedy jest się politykiem.

Claire utkwiała w nim wzrok.

- Jest pan członkiem parlamentu?

- Tak, zasiadam w Izbie Gmin od pięciu lat.

- Nie jest pan na to trochę za młody?

Uśmiechnął się. Ma piękne białe zęby, zauważyła.

- Sądzę, że tak, ale zawsze chciałem zrobić karierę polityczną i wystartowałem zaraz po ukończeniu Oksfordu. I nie od razu dostałem się do parlamentu. Dopiero za trzecim razem wygrałem wybory, fuksem.

- Ale zwyciężył pan - powiedziała Claire z podziwem.

- Owszem - przyznał.

Pomyślał, że jego rozmówczyni jest jedną z najpiękniejszych dziewczyn, jakie kiedykolwiek widział. I zupełnie tego nieświadomą. Miała wielkie, jasnoniebieskie oczy i usta, które budziły w nim wielką ochotę, by je całować, nawet publicznie.

- Zawsze pan wygrywa? - spytała Claire.

- Jeżeli wystarczająco mocno czegoś pragnę - brzmiała odpowiedź.

Kiedy zagrała muzyka, wstał i porwał Claire do tańca. Rytm był staromodny, ale całkiem znośnie grany przez miejscowy zespół. Neil Fraser okazał się dobrym tancerzem. Przytulał ją coraz mocniej do siebie i Claire czuła przez włosy jego gorący policzek. Lubiała pocałunki i cieszyły ją umiarkowane seksualne pieszczoty. Pozwalała na nie młodym mężczyznom, których poznała w Szwajcarii i w Londynie. Żaden z tych związków nie był poważny, a Claire nigdy nie kusiło, by pójść z którymś z partnerów do łóżka. Miło jej było, kiedy ją adorowali, ale nigdy nie czuła się tak naprawdę podniecona. Kiedy muzyka zamilkła, Neil wziął ją pod ramię i poprowadził w stronę baru. Zauważyła, że broni dostępu do niej innym mężczyznom. Trzymał się raczej przed nią niż obok. I ciągle jej dotykał, jakby była jego własnością. Claire uznała to za dziwne i ekscytujące. Podniecał ją, więc kiedy znowu zaczęli tańczyć, szybko przyłgnęła do niego, teraz już z własnej woli.

Ponad ramieniem Neila dostrzegła Franka, który tańcząc, rozmawiał z jasnowłosą dziewczyną. Fraser nic nie mówił. Poruszał się wraz z nią, obejmując ją mocno, a ona czuła dreszcz podniecenia. To było dla niej nowe doświadczenie.

Kiedy skończyli tańczyć, powiedział:

- Chcę cię pocałować. Dokąd możemy pójść?

- Nie wiem - odparła.

- Znajdziemy coś.

Trzymając ją za rękę, przecisnął się przez grupę ludzi do pustego holu.

- Gdzie jest twój pokój? - spytał.

- Nie pójdę z tobą na górę. Wracajmy - zdecydowała Claire.

- Ale najpierw cię pocałuję. - A ona się nie opierała. Pocałunek zdawał się trwać bardzo długo, a przyjemność, którą Claire odczuła, sprawiła, że zakręciło jej się w głowie. Przerwał nagle, a ona, przez moment oglupiała, z zamkniętymi oczami szukała jego ust. Kiedy je znów znalazła, Neil zaczął pieścić jej pierś. Gdyby w tej chwili zaproponował pójście na górę, nie odmówiłaby mu. Ale nie zrobił tego.

Przestał ją całować i powiedział:

- Wracajmy, muszę ochłonać. I myślę, że ty także - dotknął jej ponownie.

- Dobrze wyglądam? - spytała.

- Wyglądasz cudownie - zapewnił ją Neil. - Do twarzy ci z tym. Chciałbym się z tobą znowu spotkać, dobrze?

- Jeśli chcesz.

- Bardzo. Czy przyjeżdżasz czasami do Londynu?

- Jadę tam we wrześniu. Na kurs gotowania.

Uśmiechnął się do niej.

- Układanie bukietów?

- Tak. Skąd wiesz?

- Zgadłem - powiedział łagodnie.

Wrócili do sali balowej. Zespół po raz pierwszy powtarzał swój repertuar i na parkiecie było niewiele par.

- Powiedz mi - poprosił Neil - kim jest ten ciemnowłosy facet, który nie spuszczał z nas oka, kiedy tańczyliśmy? Twój dawny chłopak? Jest tutaj.

Claire rozejrzała się i zaśmiała.

- Nie bądź głupi. To Frank, mój brat.

- O! - tylko na tyle zdobył się Fraser.

To dziwne, że następnego dnia Frank nie wspomniał o Neilu. Butlerowie byli katolikami i poszli na mszę, ich goście natomiast zeszli na dół na obfite śniadanie i bawili się w swoim gronie do lunchu. Po Fraserze nie było śladu. Claire poczuła się zawiedziona, kiedy dowiedziała się, że wcześniej rano wyjechał z Charlesem Butlerem do West. Mimo to radość jej nie opuszczała. Miała nieodparte wrażenie, że zdarzy się coś szczególnie miłego, i chciała porozmawiać o tym z Frankiem, poznać jego zdanie na temat Neila. Ale do momentu, kiedy po lunchu wracali do Riverstown, nie było po temu okazji.

- Zamieniłem z nim tylko dwa słowa - powiedział Frank - kiedy ty pudrowałaś sobie nos. Myślę, że zrobił na tobie spore wrażenie.

Claire zachichotała.

- Ja na nim też - przyznała. - Jest członkiem parlamentu, uwierzyłbyś? Wydaje się za młody na polityka.

- Sylvia Butler twierdzi, że Fraser to jedna ze wschodzących gwiazd Partii Konserwatywnej. Myślę, że miała go na oku ze względu na Oliwię - Frank uśmiechnął się ponuro. - Nie wydaje mi się, by jakkolwiek irlandzka dziewczyna pasowała do takiego układu. A ty jak uważasz?

- Och, nie rozumiem, dlaczego - odparła Claire.

- W porównaniu z nami ludzie pokroju Frasera żyją jak w gorsecie - stwierdził. - Mają dusze pozapinane od góry do dołu na guziki.

Zmarszczyła brwi.

- Skoro zamieniłeś z nim tylko dwa słowa, to z całą pewnością wyrobiłeś sobie właściwą opinię!

- Znam ten typ - powiedział. - I nie lubię go.

Nie kontynuowali rozmowy o Fraserze. Claire wkrótce zapomniała zarówno o Neilu, jak i o opinii brata na jego temat. Mijały tygodnie i wkrótce zaczynała w Londynie trzymiesięczny kurs, który miał ją przygotować do wytwornego sposobu zarabiania na życie, nim wyjdzie za mąż. Wszystko było tak harmonijne, jakby to lato stanowiło prezent od Boga. I tylko Claudia czuła niepokój, widząc, że jej córka i pasierb separują się od dorosłych bardziej niż wtedy, gdy byli dziećmi. Nic jednak nie mówiła, nawet wówczas, gdy Claire rezygnowała z zaproszeń ze względu na plany, jakie snuli z Frankiem. Claudia miała własne zdanie. Była mądrą kobietą, przekonaną, że sprawy najlepiej się potoczą, jeśli je pozostawić samym sobie. Claire wyjedzie wkrótce do Londynu. Nie było żadnych oznak nieszczęścia. Philip okazywał na każdym kroku, że jest zadowolony z syna, a Frank był pochłonięty sprawami związanymi z posiadłością w Meath i pełen entuzjazmu dla projektu otwarcia banku handlowego w Dublinie.

Przed upływem tygodnia Claire miała wyjechać do Londynu. Był piątek i rano zaczął się od burzy. Claudia spojrzała za okno i uznała, że raz może sobie pozwolić na lenistwo i zjeść śniadanie w łóżku. Philip pocałował ją, żegnając się przed wyjściem do swych zajęć.

- Ani słowa. Jedziemy na wycieczkę - oświadczyła Claire z głową wetkniętą w uchylone drzwi. - Nie będziemy na lunchu.

- Ty i Frank? - spytała Claudia, chociaż doskonale znała odpowiedź. - Co to za wyprawa?

Claire podeszła bliżej.

- Założyliśmy się - oświadczyła. - Postawiłam piątką, że znajdziemy kryjówkę starego Reynarda. Frank twierdzi, że to wszystko bzdura. Obejrzymy zbudowane przez Toma wieże. Poza tym założyłam się o kolejne dwadzieścia funtów, że w jednej z nich znajdziemy lisa.

- Zwariowaliście - odparła matka. - Leje jak z cebra.

Claire przyjrzała się jej.

- Nie jesteś chora, mamó? Tata powiedział, że postanowiłaś dzisiaj leniuchować.

- Nie bądź głupia. Oczywiście, że nie jestem chora. Nigdy nie choruję. - To była prawda. - Po prostu uznałam, że w tak paskudny dzień zjem śniadanie w łóżku. Zawiadom Sheenę, że nie będzie was na lunchu, dobrze, kochanie? I niech przekaże Molly, by nakryła tylko dla dwóch osób. Wiesz, jaka z niej idiotka, jeśli się jej nie powie absolutnie wszystkiego... I nie zazięb się, na litość boską! W przyszłym tygodniu wyjeżdżasz.

Claire wyszła, zamykając za sobą drzwi. Claudia z gazetą w rękach usadowiła się wygodnie na posłaniu. Poczty jeszcze nie było. Nowy listonosz zjawiał się później, ponieważ nie znał jeszcze swego rewiru.

Dawny doręczyciel odszedł wreszcie na emeryturę. Przez dwadzieścia lat objeżdżał swój okręg na rowerze, z przywiązany do siodła kijem, który mu służył do odpędzania psów. Przypominał Claudii rudowłosego skrzata, szczerzącego się jak głupi do sera i rozdziawiającego gębę za każdym razem, kiedy pojawiał się z listami, a z paczek tak się cieszył, jakby były dla niego.

Rzuciła okiem za okno. Niebo było czarne od groźnie wyglądających chmur, a deszcz zaczął o szyby dokuczliwie. Ten poranek niósł proroctwo.

*

Pokonali ostatni rów, a przed nimi wznosiła się szara, kamienna wieża, wysoka i wąska jak celujący w niebo paluch. Nie miała okien, tylko szczeliny. Nie było w niej też drzwi, za to wysoko w jednej ze ścian znajdowała się nisza. Zbyt wysoko, by mógł tam wskoczyć jakikolwiek pies myśliwski, mógł jej jednak dosięgnąć uciekający lis. Claire i Frank byli przemoczeni do suchej nitki, ale deszcz przestał padać i gorące irlandzkie słońce zaczęło osuszać ziemię. Claire brakowało tchu. Ostatni odcinek pokonali biegiem.

- No i masz! - sapnęła z triumfem. - Jesteś mi winien piąta!ka!

Roześmiał się. Mokre włosy oblepiały mu głowę. Potrząsnął nimi, by strzepnąć wodę.

- Dopiero kiedy tam wejść i przekonam się na własne oczy.

Trzy pierwsze wieże były puste, a otwory na nich namalowano, by oszukać kogoś, kto patrzy z daleka. Ale w tej wieży szczeliny rzeczywiście istniały, tak jak i malutkie wejście do niej.

- Dawaj pięć funtów! - krzyknęła Claire, kiedy Frank, szukając dłońmi i czubkami butów nierówności muru, zaczął się po nim wspinać.

- I dwadzieścia, jeśli w środku znajdziesz lisa!

Frank dotarł do krawędzi niszy.

- Mój Boże! - odkrzyknął. - Jest wystarczająco obszerna, żeby się tu zmieścił człowiek!

- Ja też wejść - powiedziała Claire i zaczęła szukać występow na kamiennym murze.

Zaskakujące, że ta wieża miała nierówną powierzchnię. Ściany pozostałych były gładkie.

Frank, który wspinał się wyżej niż Claire, skrętami ciała wśliznął się do środka. Potem wychylił się na zewnątrz i podał siostrze rękę, by jej pomóc we wspinaczce.

- Tu jest jakieś pomieszczenie. Jestem ci winien dwadzieścia funciaków.

- Chcesz powiedzieć, że znalazłeś tam lisa?

- Sądząc po zapachu, nawet więcej niż jednego. Chodź, wciągnę cię do środka.

Smród wewnątrz był tak mocny, że Claire aż dech zaparło. Potem, stojąc w cuchnącej stęchlizną ciemności, usłyszeli niski, słaby pomruk.

- Jezu! - krzyknął Frank. - Tu coś jest. Bądź cicho, Claire. Zapalę zapalniczkę.

W świetle wątego gazowego płomyka ujrzeli skulonego w kącie lisa. W ciemności płonęły czerwone oczy.

- Och, biedactwo - powiedziała Claire, odwracając się.

- Na pierwszy rzut oka widać, że zjadł trutkę - orzekł Frank. - Teraz płaci się dwadzieścia pięć funtów za skórę. Różne dranie wykładają truciznę przed lisimi norami, potem czekają, aż biedne stworzenie wyjdzie, żeby zdechnąć, a wtedy do niego strzelają. Zastrzeliłbym takiego, gdybym go na tym zdybał!

Podszedł bliżej do lisa, trzymając nad głową małe płomyk. Zwierzę zdychało. Jego bokami wstrząsały śmiertelne drgawki, a czerwone oczy śledziły ruchy mężczyzny z zapalniczką.

- Och, Frank - szepnęła Claire. - Byłoby lepiej, gdybyśmy tu nie weszli.

- Cieszę się, że to zrobiliśmy - powiedział. - Zejdź na dół i idź do samochodu. Przyjdę do ciebie za chwilę. Idź.

- Co zamierzasz zrobić?

- Skrócić jego męki - odparł. - Musiał ukryć się tu wcześniej, uciekając przed nagonką. Schronił się tutaj, żeby zdechnąć. Proszę, idź na dół.

Claire wysunęła się poza krawędź wnęki. Brat trzymał ją za rękę, aż znalazła zaczepienie dla palców stóp, po czym zeskoczyła z niewielkiej wysokości. Frank wrócił w mrok. Znowu zapalił zapalniczkę i poszukał odpowiedniego kamienia. Czerwone oczy śledziły jego ruchy.

- Biedny, stary Charlie - odezwał się łagodnie. - Bądź teraz grzeczny i nie próbuj mnie ugryźć...

Dołączył do Claire.

- Zrobiłeś to? - spytała.

- Tak. Chyba zrozumiał, że mu pomagam. Może to był stary Reynard. Przestań, nie płacz. Wygrałaś dwadzieścia pięć funtów, pamiętasz?

- Dokładnie tyle, ile bym dała za jego skórę! Chodźmy do jakiegoś pubu i napijmy się - zaproponowała. - Niedobrze mi. - Ale tam śmierdziało - objął ją ramieniem. - Miał szczęście, że tam zajrzeliśmy. Myśl o tym w ten sposób.

Frank zabrał ją do hotelu w Kells. Puby nie serwowały posiłków, a on chciał, żeby Claire coś zjadła. Incydent z lisem bardzo ją wytrącił z równowagi. Sam był nim wstrząśnięty, ale nie chciał dać tego po sobie poznać. Długo siedzieli w lokalu o jaskrawoczerwonych ścianach, popijając whisky przy barze pokrytym laminatem, udającym sosnowe drewno. Claire stwierdziła, że nie jest głodna, a Frank się nie upierał, by ją.

- Ten lis patrzył na nas niemal ludzkim wzrokiem - powiedziała. - Być może znalezienie go było nam przeznaczone. Mój Boże, a ja słyszałam, jak mówiono, że polowanie to okrucieństwo!

Po chwili dodała:

- Myślę, że nie musimy nikomu mówić o tej kryjówce. Gdyby myśliwi wiedzieli, że lis może im tam umknąć, zamurowaliby wejście do wieży.

- Dziwię się, że nie zrobili tego do tej pory - odparł Frank. - Może to jakiś przesąd? Nie chcą niepokoić starego Reynarda. Nie powiemy o tym nikomu. Nawet w domu.

- To będzie nasz sekret - potwierdziła Claire. - Ale wspaniała kryjówka! Nikt nigdy by cię tam nie znalazł.

- Nie - przyznał. - Nie znaleźliby. Co powiesz na kanapkę?

Zgodziła się, żeby mu zrobić przyjemność.

Dziewczyna za barem uznała, że tworzą cudowną parę.

Kiedy wrócili do Riverstown, było już prawie ciemno, a Claudia i Philip pili herbatę. Deszcz zaczął znów padać i zanosilo się na to, że będzie lało całą noc. Odpowiednia pora, by siedzieć w domowym zaciszu. Chociaż był dopiero początek września, w kominku płonął ogień.

- Witajcie - pozdrowił ich Philip. - Widzieliście choć jednego lisa? Mama mi powiedziała, że wybraliście się z motyką na słońce.

- Raczej z motyką na lisa - odparł Frank. - Przeszliśmy kilka mil w deszczu, więc wysuszyliśmy się w hotelu Headford. Zjedliśmy tam lunch.

Claudia podniosła wzrok.

- W holu leży poczta. Jest coś do ciebie, Claire, i list z Ameryki do Franka.

- Przyniosę - zaoferował się Frank.

Pili herbatę, a Claire bez specjalnego entuzjazmu w głosie czytała pismo ze szkoły kucharskiej. Coś kazało jej podnieść wzrok. Philip wpatrywał się spokojnie w ogień, Claudia była zajęta czajnikiem, a brat trzymał w dłoni otwarty list ze Stanów.

- To od mojego wuja - powiedział.

Philip odstawił filiżankę. Zmarszczył brwi.

- Wuja? Jakiego wuja? O czym ty mówisz?

Na twarzy Franka pojawił się lekki rumieniec.

- Wuja Ryana - odparł. - Brata mojej matki.

Zapadło milczenie, przerwane w końcu przez ojca, który powiedział z lekceważeniem:

- Istotnie, miała braci, ale nie widzę powodu, żeby któryś z nich miał do ciebie pisać.

Claudia przerwała nalewanie herbaty. Choć Frank mówił spokojnie, napięcie między ojcem a synem wyraźnie rosło.

- Píše, że kupił Pół Domu.

Claudia spojrzała na męża i nieznacznie potrząsnęła głową. Philip wytrzymał spojrzenie Franka z mocno zaciśniętymi ustami i zimnym wyrazem twarzy.

- Słyszałem o tym.

- Więc dlaczego nic mi nie powiedziałeś? - spytał Frank.

Claudia zmusiła się do wesołego uśmiechu i odparła:

- Nie łączyliśmy tego z rodziną twojej matki. Ryan to dosyć popularne nazwisko.

- Claudio - odezwał się cicho pasierb. - Jeśli jakiś Ryan z Ballymore kupił twój dawny dom, całe Kildare musiało o tym gadać. A ja jestem jedynym, który o tym nie wiedział. Dlaczego mi nie powiedziałeś? - odwrócił się od niej do ojca.

- Chwileczkę - Philip podniósł się z krzesła i wyprostował. Był wyższy od syna. - Nie masz prawa mówić w ten sposób do Claudii, rozumiesz? To się stało, kiedy mieszkałeś w Stanach. A poza tym nie byliśmy tym specjalnie zachwyceni. Nie wiem, dlaczego człowiek, który nigdy w życiu nie widział cię na oczy, nagle pisze do ciebie. Chyba tylko po to, by nas wprawić w zakłopotanie. Najlepsze co możesz zrobić, to wrzucić ten cholerny list do ognia!

Usiadł, jakby to zamykało sprawę.

- Oczywiście, że mnie widział - odparł Frank. Przyszedł tu kiedyś, gdy byłem dzieckiem. Kiedy ty byłeś w wojsku, w Anglii. Nawet nie wiesz, co jest w tym liście. Dlaczego każesz mi go zignorować? Dlaczego chociaż go nie przeczytasz?

- Philipie - odezwała się Claudia. - Mówiłam ci, że powinniśmy byli porozmawiać z Frankiem na ten temat.

- Nie wtrącaj się, proszę - powiedział oschle jej mąż. - Nie mam zamiaru czytać listu Ryana. Jeśli zakradł się za moimi plecami do mego domu, to zachował się w sposób typowy dla tych ludzi. Szkoda tylko, że nie uznał za stosowne przyjść tutaj po moim ślubie z twoją matką, Frank, zamiast odwracać się od niej jak wszyscy krewniacy.

- Wyjaśnia to - odparł syn. - Przyjeżdża tutaj w listopadzie i prosi mnie o spotkanie.

- Nie ma wątpliwości, że chce zbić jakiś kapitał na tym pokrewieństwie - stwierdził Philip sucho. - Ale to mu w niczym nie pomoże. Żaden przyzwoity człowiek w okolicy nie będzie chciał przyjąć w swoim domu Kevina Ryana. Pozwól, że coś ci o nim opowiem.

Znowu to samo, pomyślała Claire z przerażeniem. Ta sama scena, co wówczas, kiedy Francis błagał ojca, by mu pozwolił chodzić do szkoły w Irlandii. Wtedy Frank był zaledwie chłopcem, ale teraz jest mężczyzną. Tym razem się nie ugnie.

- Kiedy żyłeś w Harvardzie, w swojej wieży z kości słoniowej - mówił jego ojciec - odczuliśmy tutaj, w Irlandii, mocną reakcję na działania Kevina Ryana i jemu podobnych. Tak, jest bratem Eileen. Kimś, kto wyemigrował do Ameryki. To rynsztokowy polityk. Zrobił karierę dzięki zbieraniu pieniędzy dla Noraid na finansowanie zamachów bombowych i strzelanin organizowanych na Północy. Jest jednym z czołowych ludzi IRA i wspiera morderców, którzy w imię wolnej Irlandii zabijają niewinnych ludzi. Pytasz, dlaczego nie powiedzieliśmy ci o tym, że kupił Pół Domu? Powiem ci, dlaczego. Bo mdli mnie na samą myśl, że ktoś taki mieszka bliżej niż sto mil od nas!

- Philipie - zaprotestowała Claudia, ale było za późno.

Frank spojrzał na ojca.

- To żaden powód - powiedział wolno. - Wstydzisz się, że Kevin jest Irlandczykiem i twoim szwagrem. Zawsze wstydziłeś się i mnie, bo jestem półkrwi Ryanem. Nie obchodzi cię to, co się dzieje w Irlandii Północnej. Na własne uszy słyszałem, jak mówiłeś: Nie pozwólmy tylko, by to się rozlało tutaj, na południu. Oto twoja prawdziwa postawa. Słyszałem o senatorze Ryane, ale nie wiedziałem, że to mój wujek. I kiedy przyjedzie tu w listopadzie, zamierzam się z nim spotkać. Sam wyrobię sobie o nim zdanie.

Stali twarzą w twarz. Zdumiewające, jak ojciec i syn byli do siebie podobni w gniewie.

- Frank - powiedział Philip - ostrzegam cię. Jeśli zadasz się z takimi ludźmi, nie będziesz miał wstępu do tego domu!

- To są krewniacy mojej matki - odparł Frank. - Są moją rodziną tak samo, jak i ty. I nie masz prawa zakazywać mi żadnych spotkań. Mam własny dom, skoro nie jestem tutaj mile widziany.

- Więc się wynoś, do cholery! - krzyknął Philip.

W tym momencie eksplodowała w nim tłumiona przez dwadzieścia osiem lat niechęć. Krzyczał na Franka z nienawiścią, którą ukrywał nawet przed sobą samym. Syn był jego własnym lustrzanym odbiciem, ale miał niepokojące spojrzenie i obce zachowania podbitej rasy. Pogardzanej rasy, której nigdy nie można ufać. Odmieniec...

- Wynoś się - powtórzył i zabrzmiało to jeszcze bardziej zawzięcie, ponieważ powiedział to spokojnym, bezbarwnym, zimnym tonem.

Claire wstała. Trzęsła się.

- Tato, jeśli wyrzucisz Franka z tego domu, odejdę razem z nim!

- O Chryste! - wybuchnęła nagle Claudia, zaskakując wszystkich.

- Urządzić taką awanturę bez żadnego powodu! Rzygać mi się chce na wasz widok! Najzdrowszego człowieka byście doprowadzili do szaleństwa. - Potem odwróciła się do córki.
- A jeśli o ciebie chodzi, to w przyszłym tygodniu wyjeżdżasz do Anglii, i koniec na tym. Czas, żebyś wydorosła, a w każdym razie przestała czepiać się jego rąk! - Potem natarła na pasierba. - Twoja matka umarła podczas porodu. Nigdy jej nawet nie widziałeś. Jestem twoją jedyną matką! Wychowałam cię, Frank, i nigdy od nikogo nie usłyszałam za to słowa „dziękuję”. To także mój dom i nie pozwolę, żeby się w ten sposób rozleciał. Idę teraz na górę, a wy wszyscy możecie iść do diabła!

Trzasnęła za sobą drzwiami i wybuchnęła płaczem.

Wrażenie było takie, jakby nagle zawalił się dach. Claudia nigdy nie traciła panowania nad sobą. Była zrównoważona, zawsze gotowa dostrzec jaśniejszą stronę sprawy, zawsze rozładowywała napiętą atmosferę. Teraz ich zaskoczyła. Nigdy wcześniej Claire nie widziała, żeby matka płakała.

Philip spojrzął na syna.

- Nie chcę jej denerwować - powiedział. - Jeśli masz ochotę kumać się z ludźmi pokroju Ryana, opuść Riverstown.

- Frank, proszę - szepnęła Claire.

Nawet na nią nie spojrzął.

- Wyjadę jutro rano - oświadczył, chowając do kieszeni kopertę z listem.

6.

Pod koniec września nagle przyszło babie lato. Claire przyjechała do gorącego i dusznego Londynu w czwartek, miała więc wystarczająco dużo czasu, by przed poniedziałkowym rozpoczęciem kursu zagospodarować się we wspólnym mieszkaniu. Dni spędzone w Riverstown po wyjeździe Franka wydały się Claire najdłuższymi i najniezwyklejszymi w jej życiu. Panował ponury nastrój. Claire była wstrząśnięta tym, że ojciec zdawał się być zupełnie nieporuszony tym, co zaszło ostatnio. W jej pamięci odżyły dwa zdarzenia. Kiedy Frank żegnał się z nimi rano, po burzy poprzedniego wieczoru panował absolutny spokój.

- Jest mi przykro - powiedział Frank - że nie możemy się ze sobą zgodzić co do pewnych spraw, ale mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi - i wyciągnął do Philipa rękę.

Przez jedną przerażającą chwilę Claire myślała, że ojciec nie poda mu swojej, ale podał.

- Wielka szkoda - odparł Philip - że do tego doszło, ale to rozwiązanie uważam za najlepsze.

Był chłodny i utrzymywał dystans, jakby Frank był kimś obcym, kto rusza w drogę.

Obejmując Claire, Frank miał łzy w oczach. Przez wzgląd na brata zachowała spokój. Na krótką chwilę przylgnęła do niego, obejmując go ze wszystkich sił, jakby mówiła mu w ten sposób, że go kocha i nic tego nigdy nie zmieni. Potem Frank pożegnał się z Claudią i odjechał, następnego dnia zaś spakowano wszystkie ubrania i rzeczy osobiste, świadectwo całego dwudziestoosmioletniego życia, i odesłano do Meath.

Drugim najsmutniejszym wydarzeniem tego okropnego okresu było spotkanie z Frankiem na lotnisku, gdy Claire odlatywała do Londynu. Zawiozła ją Claudia, a on czekał przed salą odlotów. Wyglądał mizernie i szczuplej niż przed paru dniami.

- Dobry Boże - matka nie wydawała się zadowolona, że go widzi. - A to niespodzianka... - A potem, ponieważ umiała się znaleźć, przywitała się z pasierbem: - Jak się masz, Frank? Urządziłeś się już? Miałam do ciebie zatelefonować.

- Wszystko w porządku - odpowiedział i odwrócił się od niej.

Nie miał żadnego powodu, by udawać. Choć go wychowała, teraz nie czuł się już jej

dłużnikiem.

- Chciałem zobaczyć odlot Clarry. - Zwrócił się do siostry: - Pomyślałem, że to może ci poprawić humor.

Podał jej kieszonkowe wydanie dawno już wyczerpanego nakładu książki „Lady into Fox”.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Przeczytam ją podczas lotu. Pozwoli mi zapomnieć o możliwości katastrofy. Będę do ciebie pisać, Frank.

- Baw się dobrze - powiedział. - Muszę już wracać. Uważaj na siebie.

- Będę uważać - zawołała za nim.

Odwrócił się i pomachał ręką.

- Do widzenia, Claudio - pożegnał macochę, jakby łączyła ich tylko powierzchowna znajomość.

A potem ogłoszono odlot samolotu Claire, więc pocałowała matkę i pośpieszyła do wyjścia. W drzwiach sali odpraw odwróciła się, by jeszcze raz spojrzeć na Franka. Claudia dostrzegła ją, pomachała, a potem Claire zniknęła.

- Dzięki Bogu, poleciała - szepnęła do siebie bezgłośnie matka. - W najlepszym momencie.

Claudia pojechała do domu, a kiedy dotarła na miejsce, nalala sobie dużą porcję ginu z tonikiem. Nie zamierzała mówić Philipowi o tym, że jego syn był na lotnisku.

- Dzięki Bogu - powtórzyła, nalewając sobie kolejnego mocnego drinka. - Dzięki Bogu, wyjechała. A on odszedł z domu.

Następnego dnia jako kobieta praktyczna rzuciła się w wir normalnych domowych spraw. Na najbliższy weekend zaplanowała duże przyjęcie, jakby miała coś do świętowania. Zaprosiła na nie mnóstwo gości.

Podczas lotu Claire otworzyła książkę, którą dostała od Franka. Na karcie przedtytułowej brat napisał: „Niech ci przypomina o starym Reynardzie. Kochający Frank”.

Do mieszkania w Fulham pojechała ekstrawagancko taksówką, ponieważ na te trzy miesiące pobytu wiozła ze sobą bardzo dużo bagaży. Było jej gorąco, czuła się przygnębiona i już samotna. Dziewczyna, z którą Claire dzieliła mieszkanie, jej daleka kuzynka, także miała uczęszczać na kurs, ale roczny, w szkole sekretarek. Spotkały się już przelotnie któregoś lata. Claire zapamiętała ją jako pulchną osobkę, cały czas gadającą o chłopakach. Zjadły razem kolację, a potem Claire próbowała upchnąć swoje ciuchy do jednej wąskiej szafy i małej komody. Wszystko to uznała za gorsze niż pobyt w szwajcarskiej szkole.

Jej współmieszkanca miała na imię Jenny. Im więcej paplała o młodym mężczyźnie, z którym się właśnie spotyka, o przyjaciółach, skokach do barów i balangach, tym bardziej Claire czuła się samotna. A u źródeł tego wrażenia tkwiła świadomość rozłamu, jaki dotknął jej rodzinę. Po raz pierwszy w życiu Claire nie była pewna siebie i tak bardzo dała się opanować przygnębieniu, że wesołość Jennifer ją przerażała.

Kuzynka Claire wyglądała na osobę kompletnie bez polotu, uznała Jenny. W piątek wieczorem wyszła, a Claire oglądała samotnie angielską telewizję, pokazującą pełne przemocy sceny z Irlandii Północnej. Patrząc na nie, miała dziwne wrażenie, że wszystko to dzieje się bardzo blisko niej. Riverstown leżało tylko o sześćdziesiąt kilka mil od granicy. Ponieważ wszyscy zdawali sobie sprawę z zagrożenia, równie dobrze mogło to być sześćset mil. Nie mogła zapomnieć Franka i domu. Londyn i to mieszkanie wydawały się jej zupełnie nierzeczywiste. Brat musi być taki samotny, objając się po tym wielkim domu, gdzie jego jedynym towarzystwem są Mahoneyowie, którzy nim zarządzają.

Zapaliła papierosa, przełączyła telewizor na amerykańską komedię i powiedziała sobie, że spróbuje z tym gotowaniem, ale jeżeli nie będzie mogła tu wytrzymać, wróci do Irlandii i zamieszka z Frankiem. Będzie potrzebował kogoś, kto poprowadzi mu dom.

Kiedy następnego ranka zadzwonił telefon, odebrała go Jenny i po chwili waliła w drzwi sypialni Claire.

- Do ciebie! - zawołała. - Jakiś facet o zmysłowym głosie. Mówi, że nazywa się Neil Fraser.

To z jego powodu trzymiesięczny pobyt Claire w Londynie wydłużył się do całego roku. Do domu przyjeżdżała dwukrotnie, na Boże Narodzenie i na Wielkanoc, i przywiozła ze sobą Neila, by poznał jej rodziców. Frank przebywał wówczas poza Irlandią. Pisał i telefonował, a nowiny, które przekazywał, były ekscytujące. Ponieważ uruchamiając swój bank handlowy, korzystał ze wsparcia amerykańskiego kapitału, wyjeżdżał kilkakrotnie do Stanów. Jego wuj, Kevin Ryan, okazał się w tym przedsięwzięciu bardzo pomocny, przedstawił go bowiem w Bostonie wielu wpływowym osobom. Frank wyrażał się o swym krewnym tak entuzjastycznie, że Claire poczuła niepokój. Kiedy pod koniec roku zadzwoniła do brata, by powiadomić go o swych zaręczynach z Neilem Fraserem, telefon odebrała jakaś kobieta, która powiedziała, że Franka nie ma, ale chętnie przekaze mu wiadomość.

Claire została na noc u Neila. Wieczór zaczęli od seksu, który coraz bardziej ją cieszył, odkąd pozbyła się początkowego zawstydzienia. „Neil jest cudownym kochankiem” - myślała, wdychając ze szczęścia. Będzie im ze sobą bardzo dobrze. Wyciągnęła przed siebie rękę, a rubin i brylant zaręczynowego pierścionka błysnęły w świetle. Nagle jej życie stało się

ekscytujące, a okropną pustkę, powstałą po opuszczeniu przez Franka Riverstoun, wypełnił mądry, doświadczony mężczyzna, który był boski w łóżku, obsypywał ją prezentami i obietnicami wspaniałego życia we dwoje.

Dzięki Neilowi z wieloma osobami nawiązała przyjaźń i jeszcze więcej ludzi poznała. Jego ojciec był wdowcem, bardzo dla niej miłym zawsze, ilekroć przyjeżdżała do jego posiadłości. Neil miał przed sobą wspaniałe zapowiadającą się karierę polityczną i słyszała, jak mówiono, że wszystko, czego mu potrzeba do uzupełnienia publicznego wizerunku, to młodej, pięknej żony i rodziny. Była zdecydowana pomóc mu i sprawić, by czuł się z niej dumny.

Neil ziewnął i usiadł obok niej. Zawsze kochali się przy zapalonym świetle, co ją z początku onieśmiewało, ale przekonał ją:

- Połowa rozkoszy to patrzeć na ciebie, kochanie. Nie bądź taką mniszką.

A potem, by udowodnić, że to on ma rację, postępował w niezwykle wyrafinowany sposób.

- Dzień dobry, kochanie - powiedział teraz.

Uśmiechnęła się do niego.

- Cześć.

- Chrapałem?

- Jak prosię - przytaknęła.

Pociągnął ją za włosy.

- Jesteś diabolicą, wiesz o tym?

Claire podjęła grę.

- To dlaczego chcesz mnie poślubić?

Wtulił się w nią.

- Ponieważ masz najcudowniejsze cycki w Londynie. Nie mówiąc już o...

Claire wywinęła mu się, chichocząc. „Jest zabawny” - pomyślała uszczęśliwiona.

Kursy gotowania okazały się straszliwie nudne. Stwierdziła, że więcej by się nauczyła w domu od Molly. Claire rzeczywiście gotowała bardzo dobrze, a po Claudii odziedziczyła talent do układania kompozycji kwiatowych. Neil chwalił się, że jego narzeczoną może sprawić, by kilka uschniętych gałązek wyglądało jak dzieło sztuki. Lubiła gotować dla niego, ale on zbyt często upierał się, by wychodzili do eleganckich restauracji. Kilkakrotnie byli też w Izbie Gmin, ponieważ Neil chciał się z nią pokazać. Cieszyło go, że koledzy tak życzliwie reagują na widok Claire. Starszy pan Fraser wyraził niepokój z powodu jej młodego wieku.

- Ma zaledwie dwadzieścia dwa lata, Neil. Jest zbyt młoda, by właściwie spełniać swą

rolę. Jeśli ma być dla ciebie cenna, mój chłopcze, musi być bardzo taktowna i mądra. Claire to zachwycające stworzenie - dodał - ładne jak z obrazka.

- Londyn pełen jest kobiet zręcznie i taktownie zajmujących się karierami swych mężów - odrzekł Neil zdecydowanie. - Claire jest tak wyjątkowa właśnie dlatego, że nie zależy jej ani trochę, by zrobić na ludziach wrażenie i nie zważa na to, czy powie coś właściwego, czy nie. Mam nadzieję, że będę z nią szczęśliwy do końca życia, tak jak teraz, kiedy patrzę na nią przez szerokość stolika.

- Dzwoniłam do brata, żeby go zawiadomić o naszych zaręczynach - oznajmiła Claire.

- Tak? I co powiedział? - Neil przypominał sobie wyraźnie ciemnowłosego Irlandczyka, który obserwował ich, kiedy tańczyli w sali balowej Butlers Castle.

Nigdy więcej go nie spotkał, ale też nigdy o nim nie zapomniał.

- Nie zastałam go - odparła Claire. - Dziwne. Telefon odebrała jakaś kobieta. To nie była gospodyni.

- Co w tym dziwnego? Frank nie miewa dziewczyn?

- Nie takie, które pod swoją nieobecność zostawiałyby w domu. Powiedziała, że Frank jest w Stanach. Zastanawiam się, kto to.

- Skąd mam wiedzieć, kochanie? - rzekł Neil, spoglądając na zegarek.

Wyszła, zostawiając Neila przed telewizorem. Znowu zastanawiała się nad tym, kto odebrał telefon w domu Franka w Meath. Może rodzice będą wiedzieli? Tak czy inaczej, pora znowu do nich zadzwonić.

Zignorowała fakt, że Claudia telefonowała zaledwie poprzedniego wieczoru.

Słuchawkę podniósł Philip.

- Dzwoniła Claire - poinformował potem żonę. - Wołałem cię, ale pewnie byłaś na górze.

- Cholera - powiedziała Claudia. - Przykro mi, że mnie nie zastała. Wszystko w porządku?

- Tak - odparł. - Nie mówiła nic ważnego. Najwyraźniej zatelefonowała do Franka i rozmawiała z jakąś kobietą. Claire chciała wiedzieć, kim ona może być.

Claudia spojrzała na niego.

- Co odpowiedziałeś?

- Że nie mam zielonego pojęcia. To mogła być jedna z tych jego wielbicielek, którymi się otacza.

Claudia zmarszczyła czoło.

- To prawdopodobnie ta Dempster. Chyba udało się jej wkraść w jego łaski. Dla nas

nie ma to najmniejszego znaczenia. Najwyższy czas, żeby Frank miał jakąś stałą dziewczynę.

Nie obchodziło jej, z kim Frank mieszka, skoro nie z nimi pod jednym dachem, a Claire była szczęśliwie zaręczona. Rzadko omawiała z Philipem styl życia i postępowanie Franka. Claudia słyszała plotki, ale nie przekazywała ich dalej. Kochała Philipa i nie chciała go denerwować. Neil Fraser, który miał duże pieniądze i świetlaną przyszłość przed sobą, był dobrą partią dla ich córki. I, co Claudia uważała za najważniejsze, był dżentelmenem. Dzięki niemu Claire dorosła. Już teraz Claudia cieszyła się, planując huczny ślub z mnóstwem gości, a Philip stwierdził, że Neil mu się podoba, i zaaprobował go.

Philip pogrzebał w pałącym się w kominku torfie. Claudia wiedziała, że mąż zawsze to robi, kiedy gryzie się z jakiegoś powodu.

- Jesteś pewny, że u Claire wszystko w porządku?

Spojrzał na nią.

- Tak, oczywiście. Powiedziałem ci, że dzwoniła tylko po to, by spytać o kobietę, która odebrała u Franka telefon. Czy ta Molly Dempster nie jest spokrewniona z Eamonnem Dempsterem?

Claudia miała nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Chodzi o Marie, nie Molly - odparła. - Myślę, że to jego wnuczka, ale nie jestem pewna.

- A więc Frank naprawdę ciąży ku szumowinom stwierdził Philip. Dempsterowie należą do IRA od 1922 roku.

- Być może ona nie zaoponowała Claudia. - Jest córką dentysty i pracuje w jakiejś dublińskiej firmie prawniczej. Przestań grzebać w ogniu, kochanie, bo wyleci na pokój! Nie ma sensu zastanawiać się nad tym, co Frank robi. Idzie swoją drogą.

Philip odłożył pogrzebacz.

- Słyszałem różne rzeczy - powiedział wolno. - Wiesz, jacy są ludzie, nie mogą przestać gadać. Pewnego dnia ktoś w klubie zagadnął mnie, czy to prawda, że Frank otwiera irlandzko-amerykański bank handlowy, w którego radzie nadzorczej znajdzie się Kevin Ryan.

- A jest tak rzeczywiście? - spytała Claudia. - Dlaczego nie zapytasz o to Franka? Przecież rozmawiacie ze sobą. Był tutaj kilka razy, z pewnością by ci powiedział.

- Nie mam zamiaru o nic go pytać - odparł Philip zimno. - Rozmawiamy o jego farmach i prosi mnie o rady w związku z posiadłością w Meath, ale nie wychodzimy poza te tematy. Mam tylko wrażenie, że Frank rzucił się na głęboką wodę, a ja nie chcę, żeby przed ślubem Claire doszło do jakiegoś skandalu. Kiedy będzie po wszystkim, Frank może sobie robić, co chce.

Claudia westchnęła.

- Frank jest głupcem - powiedziała - skoro zadaje się z takimi ludźmi jak Dempsterowie i ten okropny wujaszek. Wykorzystają go, bo przedstawia dla nich dużą wartość. Pamiętaj, że Frank ma spory majątek. Bogaty Angol z matki Irlandki, który nie może odnaleźć narodowej tożsamości. Dzięki temu można na niego łatwo wpływać. Boże, chciałabym, żeby mu ktoś przemówił do rozumu!

- Podjąłem decyzję - oświadczył Philip wolno. - Nie zostawię mu Riverstown.

Claudia spojrzała na niego.

- Philipie! Nie mówisz tego poważnie.

- Absolutnie poważnie. Jest nieodpowiedzialny. Po ślubie Claire zmienię testament.

- Nie możesz tego zrobić - zaprotestowała. - Nie możesz wydziedziczyć własnego syna. Jest młody, może się jeszcze zmienić. Zadaje się z tymi ludźmi, ale pewnego dnia przejrzy ich i wszystko zrozumie. Nie wolno ci tego zrobić!

- Kocham ten dom - powiedział Philip. - Należy do mojej rodziny od pokoleń. Nie pozwolę, by do Riverstown przychodzili tacy ludzie, jakich Frank zaprasza do domu mojej matki. On się nie zmieni, Claudio. Nie jest jednym z nas. Nie mówmy już o tym więcej.

Byli małżeństwem od dwudziestu czterech lat i Claudia wiedziała, kiedy ma się podporządkować.

*

Kevin Ryan przyleciał do Irlandii przed samą gwiazdką. W dyplomacie miał list od swego siostrzeńca, Franka. Pokazał list Mary Rose, która stwierdziła, że jego autor musi być niezwykle ciepłą i wrażliwą osobą, skoro pisze w ten sposób. Teraz nadszedł czas spotkania i to Kevin tchórzył, odkładając podróż. Czuł niepokój, bo nie był pewny, co ma powiedzieć lub zrobić podczas spotkania z synem Eileen. Stare przesady trudno gina i dlatego obawiał się, że pewność siebie, którą zyskał w Nowym Świecie opuści go, kiedy stanie oko w oko z jednym z Arbuthnotów. Był tu w końcu, choć o miesiąc spóźniony w stosunku do pierwotnie wyznaczonego terminu. Ustalono, że po przylocie zatelefonuje do Franka do Meath. Ich rozmowa przez Atlantyk była drętwa.

Kevin zajechał najpierw do Pół Domu. Budowniczy skończyli już pracę i teraz urządzano wnętrza. Czuł zadowolenie i dumę na widok tego, co zobaczył. To była cholernie wspaniała posiadłość. Wszystkie stare urządzenia sanitarne z czasów Hamiltonów usunięto, a na ich miejsce zainstalowano błyszczące wanny, umywalki i armaturę, która działała. Kevin dał żonie wolną rękę w wydawaniu pieniędzy na dom, więc Mary Rose obchodziła dublińskie sklepy z antykami w poszukiwaniu żyrandoli Waterforda i ładnych mebli. Obrazy kosztowały

fortunę, ale był z nich dumny - irlandzkie krajobrazy, widoki gór i jezior w ciężkich ramach, piękny portret pędzla Lavery'ego, przedstawiający żonę malarza jako irlandzką wieśniaczkę. Jej cudowna twarz nawiedzała Kevina w snach. Zrobił mnóstwo zdjęć domu, by po powrocie do Ameryki pokazać je znajomym. Dzieci Ryanów były podniecone przedsięwzięciem i domagały się, by ojciec wziął je ze sobą do Irlandii. Jego brat i bratowa w oczy prawili mu komplementy, a za plecami go obgadywali. Kevin wiedział o tym, ale nie zwracał na to uwagi. Rozumiał ich uczucia - zazdrościli mu i jednocześnie byli z niego dumni. W końcu Kevin wsiadł do samochodu i pojechał do Meath, by spotkać się z siostrzeńcem. Był dużo spokojniejszy, ponieważ gdyby rozmowa kulała, mógł opowiadać o swoim nowym, wspaniałym domu.

Drzwi otworzył mu Frank. Masywna fasada w stylu angielskiego gotyku za jego plecami była dla Kevina dość zniechęcająca. A Frank zobaczył niskiego, siwego Amerykanina z owiniętym dookoła szyi szalem, dziwnie pochylonego do przodu, jakby kulił się przed zimnym wiatrem.

Pierwszy odezwał się Kevin, wdrożony przez wiele lat praktyki do radosnego ściskania dłoni obcym na progach ich domów.

- Frank, nieprawdaż? Jestem Kevin, twój wuj.

I wyciągnął do siostrzeńca obie ręce.

Ściskając w dłoniach szklaneczki z przyzwoitą porcją whisky, usadowili się w fotelach po obu stronach kominka, w którym torf płonął solidnym ogniem, rozsiewając w wielkim, starym domu miły zapach.

Frank nie odrywał od wuja wzroku. Kevin okazał się taki jak na zdjęciach, ale nie do końca. Ta sama wąska twarz, piaskowosiwie włosy i jasne oczy. Matka Franka była krucha i piękna, jej brat zaś żyłasty, skory do śmiechu, żywiołowo gestykulował. Kiedy Kevin chwycił jego dłonie, Frank poczuł rodzącą się między nimi sympatię. To, że opuści rodzinny dom było wprawdzie nieuniknione, mimo to nigdy w życiu nie był tak samotny jak ostatnio, a związane z interesami wizyty u ojca jeszcze to wrażenie wyobcowania potęgowały. Tak boleśnie odczuł odrzucenie, że ciągle odkładał spotkania z Philipem. Siedząc naprzeciwko wuja, Frank po raz pierwszy w życiu poczuł serdeczność i więzi rodzinne z tym właśnie starszym mężczyzną.

- Pamiętam, jak się zakradłem do Riverstown, żeby cię zobaczyć - powiedział Kevin. - Mary Donovan, nasza kuzynka, wprowadziła mnie przez tylne wejście. Znałeś ją, Frank?

- Tak, w dzieciństwie. Kiedy wchodziłem do kuchni, zawsze dawała mi ciastka.

- Była wspaniałą kobietą - oświadczył Kevin, zapominając, że gardził nią, ponieważ

uważał ją za niechlujną, starą plotkarę.

- Tak, rzeczywiście - przyznał Frank, przypominając sobie, jak Mary wsunęła mu do ręki broszkę jego matki, szepcząc, by nikomu o tym nie mówił.

- Byłeś samotnym, małym chłopcem - ciągnął jego wuj. - Leżałeś sam w swoim pokoju, twoja biedna matka nie żyła, a ojciec walczył za Anglię. Powiedziałem sobie, że wrócę pewnego dnia i zobaczę syna swojej siostry. Napisałem więc do ciebie. Wiesz, jesteś do niej podobny.

Było w nim coś z Eileen pomimo ciemnej karnacji Arbuthnotów, uznał Kevin. To było przelotne wrażenie. Wszystkie obawy Ryana gdzieś się ulotniły. Wróciła mu pewność siebie i panował nad sytuacją. Zapomniał wcześniej, że siostrzeniec jest na tyle młody, by mógł być jego synem. Miał w stosunku do niego ciepłe uczucia, a jakiś instynkt mu podpowiadał, że Frank równie mocno potrzebuje akceptacji jak on sam.

Kevin zastanawiał się, jakie okoliczności ślubu matki i jej śmierci zna młody człowiek. Postanowił, że z czasem oświeci go nieco w tej materii. Tego wieczoru postępował łagodnie, ponieważ wiedział, gdzie jego miejsce. Uległ namowie siostrzeńca i został na kolacji. Whisky płynęła strumieniami. Kevin nie lubił wina i nie zamierzał udawać, że tak nie jest. Dostrzegał wystawność i jednocześnie nędzę typowego domu angielskiej klasy średniej - masę srebrnej zastawy na stole i piękne szkło, a z drugiej strony dziury w zasłonach używanych przez wiele lat i ślady zacieków na gzymsach. Widział gospodynię, kucharkę, czy kimkolwiek była ta kobieta, która im usługiwała, ale czuł, że pomimo tego wszystkiego Arbuthnot jest samotny i szuka czegoś innego. Frank nie mógłby przyjąć Kevina lepiej, nawet gdyby był jego synem. Wszystko to wprawiło senatora w dobry nastrój, który był nie tylko wynikiem rozgrzewających serce drinków. Rozpoznawał we Francisie krew Ryanów, która tak odstręczała Philipa. Pomimo angielskiego akcentu i manier dżentelmena Frank był Irlandczykiem.

Kiedy Kevin wyszedł, było już dobrze po północy. Wcześniej ustalili datę przyjazdu Franka do Bostonu, by pobył nieco u Ryanów i poznał swych młodszych kuzynów. Mimo że pożegnanie było pełne afektacji, a nawet teatralności, kryło się w nim prawdziwe uczucie. Patrząc na odjeżdżającego wuja, Frank uświadomił sobie, że pod pełną fanfaronady postawą Kevina kryje się dobry człowiek.

Nie poszedł spać. Wrócił przed kominek, w którym dogasał ogień, i znów go rozpałił, a potem nalał sobie ostatnią przed snem szklaneczkę whisky. Nie czuł zmęczenia. Był podniecony. Sporo wypił, musiał to przyznać. Działanie alkoholu mogło wyolbrzymić jego wrażenia, ale nie odpowiadało za nie w całej pełni. Ryzykował, spotykając się z wujem,

rzucając na szalę rodzinę i własną przyszłość i uznał, że wygrał. Sięgnął ponad klasowymi i rasowymi podziałami irlandzkiego życia i podał rękę rodakom swej matki. Wiedział, że jest im teraz bliższy niż ojcu i macosze, tym dwojgu filistrom z Riverstown. Z ostrożnych wypowiedzi wuja dowiedział się bardzo wiele o sobie i krótkim, nieszczęśliwym życiu matki. Kryło się w nim dużo więcej tajemnic, ale z czasem pozna je wszystkie. Frank sprawi także, by zrozumiała je siostra, jedyna osoba, która się dla niego liczy. Był na dużym rauszu. Kiedy stawiał osłonę przed kominkiem i szedł na górę do łóżka, chwiał się na nogach. I czuł smutek, ponieważ w całym tym wielkim domu nie miał nikogo, z kim mógłby porozmawiać o tym, co się zdarzyło.

*

W Irlandii nie da się utrzymać niczego w sekrecie. Nie tylko więc przyjaciele Philipa z Kildare Street Club dowiedzieli się o zerwaniu pomiędzy nim a synem i o tym, że Frank przeniósł się do Meath. Także przyczyna tego stanu rzeczy była ogólnie znana. Wszystko to odebrało Frankowi sympatię przyjaciół Philipa i wywołało zainteresowanie nim innych osób, których nie znał. A zaczęło się od zaproszenia na lunch, nadesłanego przez znanego pisarza, który kupił ostatnio dom w sąsiedztwie. Pisarz był Amerykaninem o irlandzkich korzeniach i zbił fortunę na mocno erotycznych, kultowych książkach. Ponieważ był obcy, bardzo chciał nawiązać nowe znajomości, a nie wiedział, jakie intencje kierowały dublińskim literatem, który podsunął mu pomysł zbliżenia się do Franka Arbuthnota.

Była niedziela i za dziesięć dni Frank miał lecieć do Stanów. Pisarz mieszkał w wielkim georgiańskim domu, stojącym w pięknym parku. Jego żona była ładną Amerykanką, która uważała męża za geniusza i tak właśnie traktowała. Oboje opiekowali się sforą beznackich psów, przygarniętych z poboczy wiejskich dróg, na których zostały porzucone. Pisarza postrzegano jako uprzejmego ekscentryka, który tworzy świńskie powieści, i nikt nie traktował go poważnie. Nikt też się nie spodziewał, by zabawił długo w Irlandii, kiedy przestanie już być kimś nieznanym. Już wcześniej widywano tutaj takich jak on.

Przyjęcie było wystawne. Alkohol lał się strumieniami, a przyjacielska atmosfera zachęcała do rozmów. Frank, który znał tylko dwoje gości z tuzina zaproszonych, wkrótce się rozkręcił. Miał przy tym wrażenie, jakby to raczej on, a nie literat, stanowił centrum zainteresowania. Czarujący profesor historii z University College w Dublinie częstował Franka zabawnymi anegdotami i przedstawił go młodemu psychiatrze, który wrócił do Irlandii po trzech latach studiów na uniwersytecie Columbia. Lekarz miał brodę i zachowywał się powściągliwie, czym sobie Franka zjednał. Ten nowy znajomy nazywał się Sean Filey. Zdawał się żartować łagodnie z pisarza, który podczas rozmowy o roli seksualizmu w sztuce

coraz bardziej się zacietrzewiał. W trakcie lunchu Frank siedział obok dziewczyny, której nie widział wcześniej wśród gości. Była bardzo ładna, ożywiona i poświęcała mu wiele uwagi.

- Spóźniłam się, mój samochód nawala dzisiaj od samego rana - wyjaśniła.

Dodała, że mieszka w Dublinie i nazywa się Marie Dempster.

- Jesteś z tej okolicy?

Frank przedstawił swoją sytuację rodzinną i podał jej nazwę domu. Rozmówczyni otworzyła szeroko niebieskie oczy.

- Mieszkała tam stara lady Blanche Arbuthnot, prawda?

- Pani Arbuthnot - poprawił ją. - Jestem jej wnukiem.

- Naprawdę?

Uśmiechnął się do niej. Wydawała się bardzo zaskoczona.

- Tak, naprawdę. Znasz ten dom?

Marie spuściła oczy. Nagle zaczęła robić wrażenie onieśmiałej.

- No cóż, nie. Słyszałam o nim, ponieważ mój ojciec miał w pobliżu niewielką farmę.

Szczerze mówiąc, nasze nazwisko nie znajdowało się na liście gości.

„Dobry Boże - pomyślał Frank - ona się rumieni”.

- Może więc wpadłabyś go obejrzyć?

Dziewczyna spojrzała na niego. Miała piękny uśmiech i bardzo białe zęby.

- Tylko jeśli ty tam będziesz - powiedziała. - Nie jestem miłośniczką starych domów.

- Nie jest ani bardzo stary, ani zabytkowy - odparł. - Ale będę zachwycony, jeśli kiedyś mnie odwiedzisz. Zapraszam cię na lunch na przyszły weekend. Później wyjeżdżam na jakiś czas do Stanów.

Marie wyglądała na rozczarowaną.

- Nie mogę. Idę na koncert, a potem odwiedzają mnie znajomi. Lubisz muzykę?

- Nie bardzo - przyznał się. - Nie jesteśmy muzykalną rodziną. Ale będę w Dublinie w przyszły czwartek. Jeśli jesteś wolna, moglibyśmy pójść na kolację.

- Wspaniale - ucieszyła się Marie.

Tego dnia nie wróciła do swego dublińskiego mieszkania, tylko pojechała do jednorodzinnego domu, stojącego w osiedlu mieszkaniowym przy drodze na lotnisko, gdzie zaczęła na Seana Fileya. Pierwszy ruch został zrobiony.

*

Kevin oczekiwał Franka na lotnisku Kennedy'ego. Było przenikliwie zimno, a kiedy jechali drogą numer 95 do Bostonu, śnieg wirował w małych trąbach powietrznych, bawiąc się w chowanego na dachach domów.

- Wspaniale, że przyleciałeś - powiedział Kevin. - Po prostu wspaniale. Opowiedziałem o tobie Mary Rose i dzieciom, zorganizowałem też na twoją cześć wielkie przyjęcie, żebyś mógł poznać naszych przyjaciół. - Kiwnął głową w kierunku Franka i dodał: Przyjaciół, którzy będą ci niezwykle użyteczni, mój chłopcze. Dobrzy Amerykanie irlandzkiego pochodzenia i z dużą forszą. Nieźle się zabawimy podczas twego pobytu!

Philip nigdy go tak nie powitał. Frank po raz kolejny odniósł wrażenie ciepła i przynależności do rodziny, silniejsze nawet niż podczas pierwszego spotkania z Kevinem. Ryanowie mieszkali w nowoczesnym domu, w eleganckiej dzielnicy Bostonu. Wszystkie jego okna jarzyły się światłami, a kiedy obaj podchodzili do drzwi, padający śnieg tworzył wokół delikatną zasłonę. Dom stał w osiedlu ściśle nadzorowanym przez policję, wyposażonym w telewizję przemysłową i chronionym przez uzbrojonych strażników. Niemile przypominało to o przestępczości, mrocznej stronie życia w Ameryce. Bogaci i uprzywilejowani byli celami, ale przynajmniej wiedzieli, jak się mają chronić.

Kiedy drzwi wejściowe się otworzyły, na spotkanie wyszła ładna, jaskrawo ubrana kobieta i powiedziała:

- Frank? Jestem Mary Rose. Witaj w naszym domu.

I wspięła się na palce, by go pocałować.

- Wiele o tobie słyszałam - ciągnęła rozpromieniona. - Kevin po prostu nie przestawał opowiadać o cudownym przyjęciu, jakie mu zgotowałeś. A teraz wchodźcie. Drinki już czekają.

I zaniósła się perlistym śmiechem, jakby przyjazd siostrzeńca jej męża był największym wydarzeniem ostatnich lat.

Ryanowie mieli czwórkę ładnych dzieci w rozmaitych stadiach dorastania, a jedno było rudowłosą dziewczynką, która bez przerwy patrzyła na Franka i uśmiechała się. Ojciec wziął małą na kolana.

- To Eileen - przedstawił ją Kevin. - Nosi imię po twojej matce, Frank. Ma takie same rude włosy jak moja siostra i tak samo przejrzyste oczy.

- Oj, tato - dziewczynka zarumieniła się z zakłopotania.

Frank uśmiechnął się i pomyślał - „Oto prawdziwa rodzina. Chciałbym w taki sam sposób obcować ze swymi najbliższymi”. Mary Rose poszła do kuchni, a dzieci wróciły przed telewizor. Kevin nalał im obu whisky i wznosił swoją szklaneczkę.

- To dla mnie wielki dzień - powiedział cicho - ponieważ mogę gościć w swoim domu syna Eileen.

- Wspaniale, że tu jestem - odparł Frank.

Kevin usadowił się wygodniej.

- Jak idą sprawy w kraju?

- Mniej więcej tak samo. Wygląda na to, że zwycięstwo Fianna Fáil¹⁵ jest pewne. Wściekła inflacja, ale dzięki temu ceny gruntów trzymają się nieźle.

- Dobrze by było, żeby weszli do parlamentu - Kevin rozważał usłyszaną wiadomość.

- Haughey jest jednym z nas. Nie prehandluje Irlandii Północnej Brytyjczykom.

Do kolacji rozmawiali o szeroko pojętej polityce, nie zagłębiając się jednak w szczegóły. Do momentu, w którym Mary Rose podeszła do drzwi, by ich zawołać, Kevin zdążył się przekonać, że on i Frank mają ze sobą więcej wspólnego niż tylko więzy rodzinne. Być może jego gość nosił nazwisko, które pasowało do waspów¹⁶, ale sympatie lokował wyraźnie po stronie rodaków matki. Wszystko, czego było mu trzeba, to właściwego kierowania.

Przyjęcie na cześć Franka było huczne. Wystawiono bufet dla pięćdziesięciu gości. Drinki podawano według najlepszych irlandzkich tradycji. Zatrudniono znających się na swojej robocie kelnerów, a Mary Rose, w błyszczącej, czarnej, cekinowej sukni i drogiej, brylantowej biżuterii, witała gości. Byli wśród nich politycy, księża (jeden w fioletowej koloratce) i dobrze ubrane kobiety, obwieszczające sukcesy swych mężów za pomocą futer z norek i wielkiej ilości brylantów.

- Mój siostrzeniec z Irlandii. Syn mojej drogiej siostry.

Po kolacji Kevin zgromadził kilku starszych mężczyzn w pokoju nazywanym przez niego kryjówką i poprosił Franka, by do nich dołączył. Panowie mówili o amerykańskiej polityce i interesach, a dwaj goście, na których Kevin chciał zrobić największe wrażenie, wciągnęli jego siostrzeńca w dyskusję na temat bankowości i współczesnych trendów ekonomicznych. Ponad głową Franka Kevin widział ich pełne aprobaty potakiwania i pozwolił sobie na uśmiech dumy. Krewniak zdobywał zaufanie w zamkniętej społeczności bostońskich Irlandczyków.

Kevin spoglądał na swego siostrzeńca takim wzrokiem, by widać było, że jest zadowolony. Żegnając gości, miał go u boku, jakby Frank był jego synem. Obserwując to, Mary Rose poczuła się trochę zazdrosna, ponieważ uważała, że Kevin powinien poświęcić nieco więcej uwagi ich własnemu synowi, Patrickowi, który miał siedemnaście lat i potrzebował poparcia. Ale była to nieprzyjemna myśl i natychmiast odsunęła ją od siebie.

¹⁵ Fianna Fáil - radykalna partia polityczna, utworzona w 1926 r., popierana przez robotników, drobnych chłopów i klasy średnie. Działa na rzecz zjednoczenia Irlandii (przyp. tłum.).

¹⁶ WASP (White Anglo-Saxon Protestant) - biały protestant anglosaskiego pochodzenia (przyp. tłum.).

Frank okazał się czarującym młodym mężczyzną i miał wspaniałe maniery.

Pewnej nocy, pod koniec pobytu Franka w Stanach, Mary Rose usiadła na łóżku i powiedziała do męża:

- Skarbie, kiedy zamierzasz powiedzieć mu prawdę?

Kevin chciał spać, a nie rozmawiać, więc mruknął:

- Jaką prawdę? Jest późno, Mary Rose. Chcę trochę pospać.

- Kiedy zamierzasz mu powiedzieć, że jest katolikiem? - spytała. - Kevin, posłuchaj mnie. To twój obowiązek. Musisz to zrobić.

Kevin dźwignął się ociężale do pozycji siedzącej. Był zmęczony i wątroba dawała mu się we znaki, ale Mary Rose dotknęła bolesnej sprawy. Bycie pobożnym katolikiem miało dla Ryana równie istotne znaczenie jak bycie Irlandczykiem.

- Powiem mu - odparł. - Powiem, zanim wyjedzie do domu. Ale muszę wybrać odpowiedni moment, Rose. To będzie dla niego szok.

Jak zawsze w podobnych momentach, niewiele brakowało, by żona go zgałła.

- Łaska boska nigdy nie jest wstrząsem - oświadczyła. - Otworzy mu umysł i serce na prawdę. Co powiedziałyby twoja siostra, gdyby cię słyszała?

- Jezus, Rosie - mruknął, układając się znowu na boku. - Powiem mu, obiecuję.

Wcześniej prawie zasypiał, teraz jednak, kiedy Mary Rose już dawno spała, Kevin wspominał swoją siostrę, zastanawiając się, jakie naprawdę byłoby jej zdanie w tej sprawie. I w ciemności stanął nagle oko w oko z prawdą inną niż ta, którą wyznawała Mary Rose. Jego siostra poślubiła kogoś spoza ich Kościoła. Poświęciła swoją wiarę w zamian za miłość Philipa Arbuthnota i nikt nigdy nie mówił, by Eileen prosiła o ochrzczenie dziecka. Umarła, wyrażając na łożu śmierci skruchę, którą Kevin zawsze uważał za nieszczerą, nie mógł więc znać zdania siostry na temat potajemnego katolickiego chrztu jej syna. Możliwe też, że nie miałyby to dla niej żadnego znaczenia. Naprawdę liczył się tylko wpływ, jaki Kevin mógł mieć dzięki temu na swego siostrzeńca. Jeżeli istnieje coś jeszcze, co mogłoby go bardziej zbliżyć do jego irlandzkich przodków, to może właśnie ta rewelacja.

Pośród wielu informacji, które czekały na Franka po jego powrocie do domu, była także wiadomość od Marie Dempster. Przez chwilę nie mógł sobie uzmysłwić, kim ona jest, ale trwało to jedynie sekundę. Oczywiście, ta piękna dziewczyna, którą przed wyjazdem do Stanów zaprosił na obiad. Marie Dempster. Pani Mahoney zapisała wszystko starannym charakterem pisma. Panna Dempster oczekuje telefonu pana Arbuthnota zaraz po jego powrocie z podróży. Były także dwie wiadomości od Claire, która prosiła, by Frank zadzwonił na jej londyński numer. Od tego zaczął. Telefon odebrała współlokatorka siostry.

Przykro jej, ale Claire wyjechała na weekend. Tak, powtórzy, że dzwonił brat. Franka tak rozczarowała nieobecność siostry, że aż do następnego rana nie trzymał się innymi telefonami.

Jak mu się zdawało, Marie Dempster była zadowolona, że go słyszy. Miała miły głos i nie marnowała czasu na telefoniczne pogaduszki.

- Domyślałam się, że pewnie już wróciłeś - powiedziała. - Bardzo miło wspominać nasz obiad i chętnie posłuchałabym relacji z twojej podróży. Może wpadłbyś do mnie na kolację? Przygotuję coś. Masz czas w ten weekend?

Frank zawahał się. Nie był zajęty. Wrócił z Ameryki z mnóstwem wrażeń i dziwnym przekonaniem, że zaszła w nim fundamentalna zmiana. A przy tym nie miał obok siebie nikogo, z kim mógłby o tym pogadać, bo Claire dokądś wyjechała. Gdyby zastał ją w domu, gotów byłby nawet polecieć do Londynu.

- Nie - odparł. - Nie mam żadnych planów. Przyjdę z przyjemnością.

Zaprosiła go na siódmą, jeśli to nie jest dla niego zbyt wcześnie, i podała mu adres.

- Już się na to cieszę - zapewniła Marie i odłożyła słuchawkę.

Jej mieszkanie znajdowało się w budynku przy Queen Anne Street. Frank miał do pokonania pięć kondygnacji schodów. To był dobry adres, ale Marie nie miała pieniędzy na luksusy. Stworzyła przyjemne wnętrze za niewielkie pieniądze. Marie nie dowierzała Frankowi, kiedy chwalił jej lokum.

- Zasłony i pokrowce na krzesła uszyłam sama. Lubię kwiaty doniczkowe. Wydaję forszę na kwiaty i sadzonki. Przypominają mi wieś. Mam wino, chcesz?

- Wspaniale - rzekł Frank i pożałował, że niczego jej nie przyniósł.

Nie był przyzwyczajony do obcowania z niezbyt zamożnymi, samodzielnymi dziewczynami.

Nie zauważył smaku potraw, a wino było tanie i niedobre, ale Marie zadała sobie tyle trudu, że wszystko chwalił. I opowiadał o Ameryce.

Zadała mu kilka pytań z rodzaju tych, jakich się spodziewał, a potem powiedziała nagle:

- Bardzo bym chciała pojechać kiedyś do Stanów. Chciałabym tam mieszkać i dostać przyzwoitą robotę. W firmie, w której pracuję, nie ma dla mnie przyszłości.

- Dlaczego? - spytał. - To dobrzy prawnicy.

Marie pochyliła się ku niemu, a jej niebieskie oczy błyszczały ze złości.

- Ponieważ nazywam się Dempster i jestem katoliczką - odparła. - Pracuję w firmie cztery lata, Frank, a teraz zwolniło się miejsce osobistej sekretarki szefa. To ja powinnam dostać tę robotę. Jestem bardzo dobrą sekretarką... najlepszą, jaką kiedykolwiek mieli. Ale

zatrudnili dziewczynę z zewnątrz. Ma właściwe pochodzenie: Kościół irlandzki i cromwellovskie nazwisko.

Odwróciła się i przetrząsnęła zawartość torebki w poszukiwaniu chusteczki. Wydmuchała nos i odchrząknęła.

- Nie powinnam ci tego mówić. Trochę za dużo wypłam - usprawiedliwiała się - ale od wielu dni gotuje się we mnie ze złości.

- Nie dziwię się - odparł Frank. - W życiu nie słyszałem czegoś podobnego. Można się spodziewać czegoś takiego na Północy, ale tutaj...

Spojrzała na niego.

- Po pierwsze, na Północy w ogóle by mnie nie zatrudnili - zwróciła mu uwagę. - Są dumni, że stosują dyskryminację. Żaden katolik nawet nie składa podania o pracę.

Marie z jaskrawym rumieńcem na policzkach, skręcająca w palcach chusteczkę, wyglądała na bardzo wzburzoną. Wstała i weszła do dziupli, którą nazywała kuchnią.

- Wydaje mi się, że mówię przy tobie same niestosowne rzeczy - powiedziała. - Pewnie więcej się ze mną nie spotkasz.

Frankowi zrobiło się jej żal i czuł oburzenie z powodu sytuacji, w której się znalazła. Wstał, zatrzymując ją, gdy szła z powrotem do pokoju. Wyglądała na nieszczęśliwą i pełną niepokoju. Później Marie powiedziała Seanowi Fileyowi, że była to najlepsza z ról, jakie kiedykolwiek zagrała.

Frank oparł obie ręce na jej ramionach. Przez całe życie pocieszał Claire. Opiekuńczy stosunek do dziewczyny był dla niego równie naturalny jak oddychanie.

- Nie bądź niemądra - powiedział. - To normalne, że jesteś zła. Daj tym draniom wypowiedzenie. Pomogę ci znaleźć inną pracę.

Uśmiechnęła się, mruganiem powstrzymując łzy.

- Nie jesteś prawnikiem - mruknęła.

- Nie - przyznał Frank cicho - ale lada moment otworzę tutaj, w Dublinie, bank handlowy. Jeśli wytrzymasz do tej pory tam, gdzie pracujesz, to za miesiąc lub dwa będę miał dla ciebie etat.

- Naprawdę chcesz to zrobić?

Marie miała piękne niebieskie oczy, ocienione gęstymi, ciemnymi rzęsami, co wyróżniało Irlandki. Spuściła wzrok, wyglądała na onieśmiałą. Potem nieoczekiwanie objęła go i pocałowała.

- Zrobisz tak, prawda? - upewniała się. - Jesteś bardzo niezwykłym mężczyzną, Frank.

Pocałowała go ponownie, rozchylając usta. Była zbyt doświadczona i przebiegła, by

za pierwszym razem iść z nim do łóżka. Doprowadziła go do szczytu seksualnego pożądania, a potem odsuwając się, zapięła sukienkę i powiedziała, że jest jej przykro, ale nie powinna posuwać się dalej.

Tak jak się spodziewała, Frank nie nalegał. „Dżentelmen w każdym calu” - pomyślała pogardliwie, rozzłoszczona tym, że sama czuła się podniecona i nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby rzucił ją na łóżko. Musiała jednak do końca odegrać swoją rolę.

- Nie dlatego, żebym była dziewicą - powiedziała. - Po prostu nie sypiam z mężczyzną, póki nie jestem pewna.

- Pewna czego? - spytał Frank.

Pochylił się nad nią, zapinając ostatni guzik sukienki na biuście Marie. Przesunął dłoń po jej piersiach, a ona westchnęła gwałtownie.

- Pewna, czy mogę go pokochać - odparła i dodała: - Przestać mnie dotykać. To nie fair.

- Nie chcę, żeby było fair - powiedział, całując ją w szyję, ale potem odsunął się i wstał.

Obserwowała go z sofy. Przez nieuwagę kopnął pod mebel jedną z jej szpilek.

- Kiedy przyjedziesz do Meath? - zapytał. - Mówiłaś, że chciałybyś obejrzeć dom.

Wkładał płaszcz. Schylił się i wyjął spod kanapy jej buty. Marie nienawidziła go za sposób, w jaki się do niej uśmiechał. Filey ostrzegał ją, by postępowała ostrożnie. „Uważaj. To nie jeden z naszych jełopów. Arbuthnot jest mądry i doświadczony. Zarzuć haczyk głęboko”. Sean się mylił. Frank mógł być niegłupi, ale albo nie był doświadczony, albo nie dał się nabrać na jej gierki małej dziewczynki. Przejrzał ją. Żaden doświadczony mężczyzna nie wyszedłby tylko dlatego, że naopowiadała mu takich głupstw.

- Kiedy byś chciał, żebym przyjechała?

- W środę wieczorem byłoby w sam raz. Dobranoc, Marie - pożegnał ją. - Zadzwoń do ciebie jutro. Dziękuję za miły wieczór.

Nie poruszyła się. Nie chciała kolejnego pocałunku na pożegnanie, bo mogłaby zapomnieć o instrukcjach Fileya. Frank był głupcem i najwyraźniej miał ochotę połknąć haczyk wraz z nią i jej rzewną historyjką na dodatek. Marie pogardzała nim, ale też nigdy wcześniej nie pragnęła równie mocno żadnego mężczyzny. Poszła do łóżka i leżała, nie śpiąc, niezdolna opanować rozgorączkowania. Do środy pozostały całe trzy dni.

Frank czuł, że zrobił z siebie głupca tej nocy, proponując Marie pracę i niemal łądując z nią w łóżku. Pomyślał, że najmądrzej będzie odwołać środowe spotkanie. Zadzwoił do dziewczyny, ale jej telefon nie odpowiadał.

Przyznawał, że pod względem seksualnym Marie jest niezwykle pociągająca. Nagle zaapelowała do jego współczucia, budząc z uspienia wszystkie poplątane uczucia Franka. Po powrocie z Ameryki stwierdził, że życie w kraju jest jednocześnie błogosławieństwem i przekleństwem. Piękny dom w Meath był mu tyleż wychnieniem, co i wyrzutem. Babka zostawiła mu go wraz ze sporym majątkiem. To jej zawdzięczał swoją niezależność, a teraz - ze względu na obraz Blanche Arbuthnot, który odmalował przed nim Kevin Ryan - Frank nie mógł znieść w domu nawet zdjęć babki, tej zimnej, pełnej pogardy starej damy, która swym lekceważeniem doprowadziła synową do przedwczesnego porodu.

Mahoneyowie nadskakiwali mu i ich służalczość na dodatek budziła we Franku wyrzuty sumienia. Powinni być z nim na bardziej przyjacielskiej stopie - w mniejszym stopniu służący i pan, a bardziej tacy sami Irlandczycy - ale wiedział, że nic bardziej nie sprawiłoby ich w zakłopotanie, niż gdyby zaczął się z nimi spoufalać. W pustce wspaniałego domu brakowało serdeczności i kochającej się rodziny. A nade wszystko Frankowi brakowało Claire.

Uświadomił sobie, że zawsze za nią tęsknił, od kiedy ich rozdzielono, wysyłając do szkół za granicę, i potem, kiedy był w Oksfordzie, i w Ameryce. Wreszcie wrócili oboje do Riverstown i nastąpiło szczęśliwe spotkanie. Teraz to ogniwo pękło. Będą się widywać, ale już nigdy nie będzie tak samo. I nagle, w poniedziałkowy wieczór, Claire zatelefonowała do niego. Frank zapomniał zupełnie, że miał odwołać spotkanie z Marie. Claire próbowała się dodzwonić przez godzinę i przez godzinę przyprawiający o szaleństwo głos nagrany na taśmie powtarzał bez końca w słuchawce, że wszystkie linie telefoniczne do Irlandii są zajęte. Neil Fraser zabierał ją do teatru, a Claire nie chciała, by ją popędzał. Krzątająca się po mieszkaniu Jennifer powiedziała jej właśnie, że kiedy była za miastem, dzwonił do niej Frank. Wreszcie linie się zwolniły i ekscentryczny operator centrali w Meath połączył ją.

- Frank! To ja! Jak się masz? - w lustrze umieszczonym nad telefonem zobaczyła własne odbicie, które uśmiechało się do niej radośnie.

Tak dobrze było słyszeć znowu jego głos. Nie rozmawiali ze sobą od tygodni.

- Wszystko w porządku. Wspaniale, że dzwonisz. Telefonowałem, ale cię nie zastałem.

- Byłam u przyjaciela. To dosyć szczególna sprawa. Posłuchaj, on przyjdzie tutaj za chwilę i będę musiała wyjść. Chciałabym przyjechać, ale w tej chwili jestem splukana. Nie masz pojęcia, jak drogi jest Londyn. Mam ci tyle do powiedzenia! Słuchaj, mów dalej. Co u ciebie? Jak było w Ameryce?

- Interesująco - odparł. - Clarry, strasznie chciałbym się z tobą zobaczyć. Ja też mam

ci mnóstwo do opowiedzenia. Zapłaciłbym za twój bilet lotniczy, tylko nie wiem, czy przyjazd na tych warunkach nie poróżniłby cię z rodzicami. Myślę, że by się im nie spodobało, gdybym pokrył koszty przelotu.

- Nadal jest tak źle? - spytała. - Miałam nadzieję, że może sprawy jakoś się ułożyły.
Frank, czy stało się coś złego?

Nie było sensu jej oszukiwać.

- Nie. U mnie wszystko w porządku, ale chodzi mi po głowie wiele różnych rzeczy.
Może przyleciałbym do Anglii, żeby się z tobą spotkać?

Odpowiedziała natychmiast.

- Nie wygłupiaj się. Nie miałbyś gdzie tutaj spać. U nas nie da się wsadzić szpilki. Nie martw się o pieniądze, poradzę sobie. Wymknę się stąd na trochę. Nikt nie musi o tym wiedzieć. Możesz w piątek wyjechać po mnie na lotnisko? Zadzwoń i podam ci numer lotu.

- Na pewno tego chcesz? Wspaniale byłoby się z tobą spotkać.

- Przyjadę - zapewniła go Claire.

Fraser zadzwonił do frontowych drzwi domu w kilka minut po tym, jak odłożyła słuchawkę.

Tego wieczoru Neil zamierzał poprosić ją o rękę. Ale nie zrobił tego. Po spektaklu, kiedy jedli kolację w najelegantszym londyńskim klubie, Claire spytała go, czy mógłby jej pożyczyć pieniądze na bilet do Irlandii.

- Po co? Kochanie, mogę ci dać wszystko, czego zechcesz, ale dlaczego nie zadzwonisz do matki, jeśli chcesz pojechać do domu?

- Ponieważ nie zamierzam się pokazać w Riverstown - wyjaśniła. - Zatrzymam się u brata. Mówiłam ci, że poróżnił się z rodzicami i sytuacja jest nieco trudna.

Neil wzruszył ramionami. Wiedział o rodzinnej waśni, ale ledwie się trudził, by o niej słuchać. Z pewnością nie traktował sprawy poważnie. We wszystkich rodzinach ludzie się kłócą, ale potem wszystko wraca do normy. Claire nie usiłowała niczego wyjaśniać. Czowała instynktownie, że Neil by jej nie zrozumiał.

- Na pewno sprawy już się ułożyły - powiedział. - To było wieki temu, kiedy ty przyjechałaś do Londynu.

- Niestety, ta sytuacja trwa nadal i nie widzę jej końca. Nie. Może i widzę. Może stanie się coś, co pogodzi Franka z tatą.

„Na przykład moje małżeństwo” - pomyślała nagle.

- Kiedy rozmawiałam z nim przez telefon, sprawiał wrażenie, że czuje się dosyć nieszczęśliwy. Dzwoniłam do niego dziś wieczorem. Powiedziałam, że przyjadę się z nim

zobaczyć. Nie lubię cię prosić o takie rzeczy, Neil, ale do chwili, kiedy otrzymam następne kieszonkowe, nie mam w banku ani pensa. Oddam ci natychmiast, jak tylko dostanę forszę.

- Oczywiście. Dam ci, ile chcesz. Kiedy lecisz?

- W ten piątek - zobaczyła, że Neil marszczy brwi.

- Mieliśmy jechać do Miltonów - przypomniał jej. - To było zaplanowane już bardzo dawno temu. Nie wolno nam ich zlekceważyć.

- Nie mogę zawieść brata, Neil - odparła Claire cicho. - Powiedziałam mu, że przyjadę. Frank mnie potrzebuje. Do Miltonów pojedę innym razem. Bilet w obie strony kosztuje w klasie turystycznej sto dziewięćdziesiąt funtów.

Neil poczuł wściekłość. Jego przyjaciołom Jamesowi i Pru Miltonom nie można było sprawić zawodu. Milton pełnił funkcję jednego z osobistych sekretarzy premiera. Neilowi bardzo zależało na tym, by iść do nich w towarzystwie Claire. Tego wieczoru zamierzał prosić ją o rękę i zawieźć do Gloucestershire jako swoją narzeczoną. Nie można było odwołać tego spotkania. Przez tych kilka sekund, kiedy Neil się wahał, ich wspólny los stał pod znakiem zapytania.

- Neil, proszę - powiedziała. - Naprawdę martwię się o Franka. Muszę jechać.

Zbyt ją kochał, by nie dostrzec, że jest nieszczęśliwa. Ich życie wróciło na właściwy tor.

- W porządku - stwierdził. - Pojadę do Miltonów sam. Ty leć do Irlandii i pozbądź się lęków - pochylił się nad stolikiem i ujął jej dłoń.

- Pierwszą klasą - dodał.

Claire ścisnęła mocno jego rękę.

- Dziękuję, Neil. Nie zapomnę ci tego. Jesteś kochanym człowiekiem, jak mówią w Irlandii.

Odwiózł ją na Heathrow, a potem pojechał do Gloucestershire. Miltonowie byli pełni zrozumienia, kiedy kłamał, mówiąc o szwankującym zdrowiu ojca Claire, która z tego powodu niespodziewanie wyjechała do domu. Neil miał pewność, że Claire wyjdzie za niego. Nie potrafił sobie wyobrazić bez niej przyszłości. Był przekonany, że kiedy już się pobiorą, skończy się ta jej nadmierna zależność od rodziny.

Frank czekał na nią na lotnisku. Samolotem trzęsło jak na wybojach i Claire wysiadła z niego blada. Brat uściskał ją.

- Jak podróż?

- Tym cholernym pudłem rzucało w górę i w dół jak piłką - odparła. - W sąsiednim rzędzie siedziała stara zakonnica, która odmawiała na cały głos różaniec. Umierałam ze

strachu! Och, Frankie, to cudowne, że znowu cię widzę!

- Chodź - powiedział. - Jedźmy do domu.

I trzymając się pod rękę, poszli do samochodu.

Kiedy znaleźli się na miejscu, Claire usiadła, opierając się wygodnie w wielkim fotelu, i założyła ręce za głowę. W kominku buzował ogień, a brandy, tak słodka jak błogosławieństwo, czekała w pękatym kieliszku obok niej. Wszystko było miłe, irlandzkie i znajome. A naprzeciwko niej siedział Frank. Anglia i Neil zdawali się być odlegli o tysiące mil.

- Zdążyłam już zapomnieć, jaki to piękny dom - odezwała się. - Nie byłam w nim, od kiedy tam osiadłeś. Babcia miała dobry gust. Co zrobiłeś z jej zdjęciami?

- Schowałem je - powiedział cicho Frank.

Otworzyła szeroko oczy.

- Dlaczego? Chyba nie z powodu tej starej historii z twoją matką? Nie wierzę w to, Frank. Nie uwierzę, że babcia zrobiła cokolwiek, żeby ją skrzywdzić. Myślę, że ojciec wpadł w histerię i musiał znaleźć kogoś, kogo mógłby winić za jej śmierć. Powinieneś z powrotem ustawić zdjęcia. Jakby nie było, zostawiła ci wszystko, co miała.

- Zapłata za wyrzuty sumienia - odparł. - Ja także nie wierzyłem w tę historię, ale w Ameryce usłyszałem ją znowu. To prawda, Claire. Do przedwczesnego porodu doszło dlatego, że Blanche tak potraktowała moją matkę.

- O Boże - westchnęła siostra. - Co dobrego może wyniknąć z rozpamiętywania starych błędów? To było tak dawno temu, Frank! Wyjmij te fotografie i zapomnij o wszystkim.

- Mój wuj powiedział mi jeszcze coś - ciągnął. To dziwne, Claire, ale za nic nie mogę przestać o tym myśleć. W tę noc, kiedy się urodziłem, zostałem ochrzczony jako katolik.

Siostra wlepiła w niego oczy.

- Niemożliwe! Tata był tam wtedy.

- Najwidoczniej zrobiła do położna - wyraził przypuszczenie Frank. - Byłem wcześniakiem, a jeżeli dziecku grozi jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, katolicy stosują tę praktykę powszechnie. Nie trzeba wtedy księdza, żeby chrzest był ważny.

- Na litość boską! Chyba w to nie wierzysz? To zwykły przesąd, że dziecko pójdzie do piekła, jeśli umrze nieochrzczone!

- Nie - odparł. - W to nie wierzę. Ale kiedy przez całe życie wychowują cię w jednym wyznaniu, a potem człowiek się przekonuje, że jest kimś innym, to czuje się dziwnie. Tylko tyle.

Claire podniosła kieliszek brandy. To, co Frank mówił, wcale się jej nie podobało.

- Drogi bracie - powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał niefrasobliwie - jeżeli nawet tylko odrobinę zwracasz uwagę na to, co wiele lat temu zrobiła jakaś głupia starucha, to musisz zacząć się leczyć na głowę! Jakim cudem mogłeś stać się kimś innym?

Podniósł na nią wzrok, a potem zapatrzył się w ogień.

- Dzięki temu w większym stopniu jestem Irlandczykiem.

Ogień wystrzelił nagle w górę, jakby w torfie coś wybuchło.

- Wszyscy jesteśmy Irlandczykami. Przekonałam się o tym w Anglii. Nawet mama czułaby się obco, gdyby teraz wróciła do kraju. A z pewnością ja się tak czuję.

- Ja też odparł. - A spędziłem w nim większą część swej młodości. Szkoła i uniwersytet. Bardziej w domu czuję się w Stanach.

Claire dopiła brandy.

- Co się z tobą stało, Frank? Czy to Ameryka? Czy tata miał rację, kiedy mówił, żebyś nie zadawał się ze starym Ryanem? Cała ta sprawa z twoją babką... chowanie jej zdjęć... Znałeś tę historię od dziecka, więc dlaczego nagle zrobił się z tego problem? Te nonsensy o katolickim chrzcie, a on tak naprawdę odbył się w irlandzkim kościele, do którego chodziłeś całe życie. Jakie to ma znaczenie? Możesz mi powiedzieć, co się naprawdę za tym kryje?

Wstała, podeszła do niego i oparła się o poręcz jego fotela. Objęła brata ramieniem. Miała dla niego tak wiele macierzyńskich uczuć, że mogłaby pogłaskać jego ciemną, pochyloną głowę.

- Ojciec nigdy mnie nie kochał - usłyszała. - Nie potrafił spojrzeć mi w oczy. Zawsze widział we mnie coś, czego nienawidził. Próbowałem o tym zapomnieć, Clarry. Próbowałem spełnić jego oczekiwania, ale nic nie mogło go zadowolić. Z pozoru był wobec mnie w porządku, ale przy pierwszej sposobności wyrzucił mnie za drzwi.

Obrócił głowę, by na nią spojrzeć.

- Do domu, w którym wyrosłem, przychodzę mniej więcej raz na miesiąc i rozmawiamy z ojcem jak obcy ludzie, o farmie i cenie bydła. A on i tak nie może się doczekać, kiedy sobie pójdę.

- Och, Frank - mruknęła i przytuliła go mocniej. - To straszne. Nie wiedziałam, że jest aż tak źle. Miałam nadzieję, że z czasem to się naprawi. Może jeszcze tak się stanie. Wierzę, że tak będzie.

- Jak mógł kochać moją matkę, skoro takie uczucia ma dla mnie?

Claire nie umiała tego wyjaśnić. A nie był to właściwy moment, by udawać.

- Nie wiem - przyznała. - Może jesteście do siebie zbyt podobni? Może kochałby cię,

gdybyś przypominał mu Eileen? Sama nie wiem - powtórzyła.

- Żałuje tego - powiedział. - Żałuje, że ją poślubił, bo spowodował tym rozłam w rodzinie Arbuthnotów. A tak długo, jak jestem blisko, nie może zapomnieć. Nie może udawać, że do tego nie doszło. Rozumiesz? To jak widmo przeszłości. Moja matka umiera, ale mnie udaje się przeżyć. Wiele, wiele lat później wraca jej brat i kupuje dawny dom Claudii. Zaledwie parę mil dalej drogą do Naas. Dla niego to musi być męczarnia.

- Jeśli będziesz tak myślał, skończysz u Świętego Patryka - stwierdziła Claire.

- Muszę zrobić porządek ze swoim życiem. Muszę zrozumieć, kim naprawdę jestem i czego chcę. Nie oszalałem, Claire, ale czuję się tak, jakby wokół mnie panowała próżnia. Zamierzam otworzyć bank w Dublinie, mam pełno roboty na terenie majątku w Meath. Pewnego dnia odziedziczę Riverstown. Ale okazuje się, że to wszystko nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

- To dlatego, że odszedłeś z domu - powiedziała. - Masz wrażenie, że tata cię nie kocha.

Spojrzał na nią.

- A mówiąc szczerze - uważasz, że jest inaczej?

- Myślę, że w twojej obecności ojciec czuje się niezręcznie - odparła po chwili Claire.

- Jemu trudno przychodzi okazywanie uczuć. I jest bardzo uparty i dumny. Frank, kochany, mam pewien pomysł. Może porozmawiałabym z nim o tym? Nie teraz, ale kiedy następnym razem będę w domu. Być może jest równie nieszczęśliwy jak ty? Dlaczego nie miałabym spróbować?

- A nie próbowałaś już wcześniej? - spytał, a ona nie mogła zaprzeczyć.

Starła się zapomnieć o tej lodowatej uldze, z jaką Philip przyjął odejście syna z domu.

- Tak, oczywiście, próbowałam, ale to było bezpośrednio po waszej kłótni. Czas leczy rany.

- Nie Arbuthnotom - odparł.

Zamilkli oboje i patrzyli na trzaskający i tryskający iskrami ogień na kominku. Raz pogłaskała go po głowie. Nigdy wcześniej Claire nie widziała brata w takim stanie. Zawsze był silny, czuła się z nim bezpieczna. Teraz nadeszła kolej, by ona mu matkowała. „Bo tak naprawdę, Frank matki nigdy nie miał - pomyślała ze smutkiem. - Moja była dla niego miła i obowiązkowa, ale chyba nigdy go nie objęła i nie zrobiła tego, co ja teraz robię”.

- Należę brandy - zaproponowała.

- Ostatnią przed snem - zgodził się. - Zwykle wypijam kieliszek do poduszki.

Claire przyniosła mu brandy, zsunęła się na podłogę obok kominka i oparła o fotel Franka.

- Byle nie dwa lub trzy - powiedziała.

- Nie - zapewnił ją. - Co nie znaczy, że czasami mnie nie kusi.

Spojrzał w dół na nią, na jej jasne włosy połyskujące w różowym świetle ognia i na piękną twarz, ściągniętą niepokojem o niego. Pomyślał: „Byłoby wspaniale, gdyby mogła tu zostać. Cały dom by ożył”. Zamiast tego powiedział:

- Już wystarczająco dużo mówiłem o sobie. Teraz chciałbym usłyszeć, co ty porabiasz.

Coś dokuczliwie kołatało mu się po głowie. Coś, co powiedziała podczas ich krótkiej rozmowy przez telefon. Ktoś szczególny w jej życiu?

Przez moment Claire się wahała, a potem podjęła decyzję.

- Pamiętasz tego faceta, którego poznałam w Butlers Castle? Tego angielskiego posła? Zmarszczył brwi.

- Tak, pamiętam.

- Spotykam się z nim często w Londynie - ciągnęła Claire. - Wydaje się bardzo zaangażowany.

- Na pewno - odparł Frank. - O ile mnie pamięć nie myli, to był już całkiem nieźle napalony tamtej nocy. A ty?

- Nie wiem - zawahała się. - Kiedy pojechałam do Londynu, czułam się bardzo nieszczęśliwa. Byłam niemal gotowa wrócić do domu. A potem on się odezwał i zaczął zabierać mnie ze sobą w różne miejsca i przedstawiać różnym ludziom. Jest bardzo miły - dodała. Nagle pomyślała: „Nie powiem, że z nim sypiam. Frank byłby niezadowolony. Ciekawa jestem, czy o to zapyta”.

- Masz dopiero dwadzieścia dwa lata - powiedział. - Na litość boską, nie śpiesz się. Mówiłem ci, że on mi się nie podoba.

Westchnęła.

- Wiem, że mówiłeś.

- To cholerny Angol. Baw się dobrze, ale nie angażuj zbytnio. To nie jest facet dla ciebie - ostrzegwał.

Claire nie spierała się. Nie zamierzała okłamywać brata, ale też nie chciała bardziej go denerwować. Był uprzedzony do Neila, choć go w ogóle nie znał. Jeżeli ona zdecyduje się poślubić Frasera, Frank w końcu się z tym pogodzi. A skoro Neil nie poprosił jej do tej pory o rękę, to po co teraz robić z tego wielkie halo?

- Twoim domem jest Irlandia - powiedział Frank. - Nigdzie indziej nie będziesz

szczęśliwa.

7.

Marie Dempster była zdenerwowana. Czekaając na Seana Fileya, odpalała jednego papierosa od drugiego. Spóźniał się, co mu się raczej nie zdarzało. Był punktualny i dosyć sztywno trzymał się swoich zwyczajów. W końcu Filey wszedł do domu stojącego przy drodze na lotnisko i zawołał:

- Marie!

- Tutaj jestem - odpowiedziała.

Sean wszedł do saloniku i skrzywił się.

- Popatrz tylko, jak nadymiłaś! Nie możesz rzucić tego wstrętnego nałogu? Wolałbym nie widzieć twoich płuc.

- To moje płuca i będę palić, bo tak mi się podoba - odparła Marie ze złością.

Nie chciał się z nią sprzeczać. Zdjął płaszcz i rękawiczki, odwinął szalik z szyi i wszystko to ułożył równo na oparciu krzesła. Marie wyglądała na zdenerwowaną i zirytowaną. Zastanawiał się, co poszło nie tak podczas jej randki z Arbuthnotem. Pierwszy wieczór zakończył się sukcesem. Triumfowała, kiedy zdawała mu z niego relację. „Może jest nieco zbyt pewna siebie” - pomyślał wtedy. Ostrzegał ją przed nadmiernym pośpiechem. Z Arbuthnotem należało postępować ostrożnie.

- Kawy? - spytał.

Wstała, najwyraźniej niechętnie.

- Zaparzę - powiedziała wciąż zezłoszczona.

Poszedł za nią do kuchni. Wolał to pomieszczenie od bezbarwnego i dusznego salonu. Kuchnia to przytulne miejsce, jego rodzina zawsze się w niej gromadziła.

- Napijmy się tutaj - zaproponował.

Zanim zadał pierwsze pytanie, dał Marie czas, żeby się uspokoiła.

- Co zaszło w środę?

- Nic - odparła bezbarwnym tonem. - Pojechałam do niego do domu, pogadaliśmy o tym i owym, zjedliśmy kolację i pożegnał się ze mną.

- Skąd ta zmiana? - Filey przeszył ją wzrokiem.

Marie potrząsnęła głową.

- Nie mam pojęcia. Był bardzo uprzejmy. Prawdziwy dżentelmen, tak jak to mówiłeś,

ale myślami krążył gdzieś daleko. Próbowałam ściągnąć go do siebie na ten weekend, ale powiedział, że przyjeżdża do niego siostra z Anglii i zamierza go z nią spędzić.

Marie spodziewała się, że Arbuthnot zatrzyma ją na noc, dzięki czemu przypieczętowałyby korzyści, które uzyskała podczas ich pierwszego spotkania, po powrocie Franka z Ameryki. Filey to wiedział, czuł, że z powodu tego odtrącenia jest wściekła i zdezorientowana.

- Nie mogę do niego dotrzeć - mówiła dalej. - To tak, jakby zaciągnął przede mną zasłonę. Nie wiedziałam, czy mam być nachalna, czy skorzystać z tego pretekstu i udawać, że poprzedni nasz wieczór w ogóle się nie zdarzył.

Odepchnęła od siebie pusty kubek.

- Powinam się wtedy z nim przespać - dodała. - Załatwić go od razu.

- Nie sądzę - odparł Filey. - Mówiłem ci, że na to potrzeba czasu. Arbuthnot ma na głowie problemy rodzinne. Czy powiedział, po co przyjeżdża jego siostra?

- Nie. Nie wyglądało też na to, żeby jej wizyta miała związek z jakimiś kłopotami. Był w dobrym nastroju.

Filey dostrzegł, że Marie spuściła oczy i zastanowił się, jakim cudem mogła być zazdrosna o Arbuthnota, skoro ledwo go знаła.

- Zadzwoń do niego i spróbuj jeszcze raz - powiedziała. - Siostra powinna już była wyjechać. Pokazał mi jej zdjęcie.

- Ładna? - spytał Filey z odrobiną okrucieństwa.

Odpowiedź zaskoczyła go.

- Piękna. Bardzo jasna blondynka. W ogóle do niego niepodobna. Nigdy byś się nie domyślił, że są spokrewnieni.

Otworzyła torebkę i wyjęła papierosa.

- Wiesz, Sean, zastanawiałam się.

- Nad czym?

- Nad tym, żeby go zwerbować - wyjaśniła. - Kiedy o tym rozmawialiśmy, wyglądało to wspaniale, ale kiedy siedziałam w jego domu, pomyślałam sobie: czy to naprawdę zadziała? Frank jest z innego świata, jest jednym z tamtych. Och, oczywiście, bawi go bycie Irlandczykiem, ale według mnie to tylko zwykła zachcianka. Wielki, romantyczny gest. On uwielbia to... to, co jest w nim irlandzkie, ale ile w tym prawdy? A nawet jeśli do nas dołączy, czy będziemy mu mogli zaufać?

Filey spojrział na nią.

- Wyznaczyliśmy Arbuthnotowi rolę, którą musi dla nas odegrać - powiedział cicho

Sean. - Poza tym niczego więcej się nie dowie. Zaufamy mu na tyle, na ile to będzie konieczne. Potrzebujemy jego banku. Właśnie dlatego, że Arbuthnot jest jednym z nich. Jeśli z jakichś powodów podoba mu się grać komedię, Bóg z nim. Tak długo, jak będzie robił to, czego chcemy, nie obchodzą mnie jego pobudki. Jesteś zniechęcona, Marie. Otrząśnij się z tego. Ten wielki dom cię speszył, prawda? - spytał łagodnie.

- Trochę - przyznała. - On też inaczej się zachowywał. Był częścią tego domu. Widziałam, jak na mnie patrzyła ta stara suka, gospodyni, kiedy podawała nam kolację. Wiedziałam, że się zastanawia, co tutaj robi ta mała zdzira z Dublina?

Sean wyciągnął rękę i położył na jej dłoniach. To był gest przyjacielski, chociaż Filey żałował czasami, że on i Marie nie sypiają już ze sobą.

- Nie dzwoń do niego - polecił. - Ja to zrobię. Zaprosiłem przyjaciół na weekend. Przyjdzie pewien poeta i będzie czytał swoje wiersze. Arbuthnot przyjmie zaproszenie, Marie, i ty tam będziesz. Reszta należy do ciebie.

*

Fraser przyjechał po Claire na lotnisko. Podała mu wprawdzie godzinę przylotu, ale się go nie spodziewała. W Izbie Gmin toczyła się ważna debata. Poniedziałek to okropny dzień, powiedział jej, ale przyjedzie po nią, jeśli tylko zdoła. Neil stał przy wejściu do sali przylotów. Podbiegł do Claire, wziął jej niewielki bagaż i pocałował ją.

- Witaj, kochanie. Samochód czeka przed budynkiem. Chodź, musimy się pośpieszyć.

To miłe, że zjawił się, by odebrać ją z lotniska. Czasu miał bardzo mało, ponieważ musiał zdążyć na głosowanie w parlamencie.

- Jak ci minął weekend? - spytała.

Czuła się szczęśliwa, widząc Neila. Podczas jazdy tak mocno ścisnęła mu ramię, że samochód omal nie zjechał z drogi.

- Przyjemnie - odparł. - Miltonowie byli zawiedzeni, że cię nie poznali. Powiedziałem, że za dwa tygodnie przyjedziemy do nich na lunch. Zachowywali się bardzo miło i myślę, że znajomość z Jamesem okaże się przydatna. A jak twój brat?

- Dosyć nieszczególnie - powiedziała Claire. Ma taki mętlik w głowie, że byś nie uwierzył!

Spojrzał na nią szybko.

- Mętlik? Co masz na myśli?

Byłe nie skandal. Nie teraz, kiedy zamierza przedstawić Claire ludziom, na których mu zależy.

- Och, wszystko mu się poplątało - ciągnęła, nie rozumiejąc, dlaczego Neil jest tak,

zaniepokojony. - To wszystko wina mojego cholernego ojca. Frank czuje, że nie pasują do siebie. W dodatku zawsze miał bzika na tym punkcie, że jego matka była Irlandką, i dlatego uważa się za innego niż my. Nie mogę mu tego wyperswadować. Gdyby tata był normalnym ojcem, nie zwracałby na to najmniejszej uwagi!

Neil ukrył ulgę. To nie skandal i nic więcej nie miało dla niego znaczenia. Pomijając tę jedną rzecz, nie rozumiał ani w żąb, o czym Claire mówi.

- Moja matka dała z siebie bardzo dużo, ale prawdopodobnie nie okazywała Frankowi zbyt wiele uczucia. Nie jest wylewna, chyba że chodzi o chorego konia. Nie... To nieprawda, potrafi być cudowna. Po prostu niepokoję się o Franka, a kiedy jestem w Anglii, mam świadomość, że nic nie mogę zrobić w tej sprawie. Nieważne. To cudownie znowu cię widzieć! I tak się cieszę, że po mnie przyjechałeś. Jak długo będziesz w parlamencie?

- Kilka godzin. Jeśli masz ochotę posłuchać debaty i zaczekać na mnie, to mogę cię wprowadzić na galerię dla widzów.

- Nie, dzięki, raczej poczekam w domu.

Zdjął na moment rękę z kierownicy i położył na jej udach.

- Tęskniłem za tobą - powiedział. - I brakowało mi tego.

- Mnie także - odparła Claire.

Seks z Neilem był tak ekscytujący, że Claire zapomniała o wszystkim innym. Miała nadzieję, że dzisiaj pozwoli jej zapomnieć o Franku, przynajmniej do rana. Przeniosła dłoń Neila z powrotem na kierownicę.

- Patrz na drogę - skarciła go i oboje się roześmiali.

Podrzucił ją do mieszkania w Fulham, a potem wrócił do Westminsteru. Nie mógł uwierzyć, że kryzys tożsamości brata wart był zrezygnowania z tak niezwykle ważnego spotkania z Miltonami. Ale Claire jest osobą zdecydowaną, ma bardzo silną wolę. Neilowi podobała się w niej ta cecha, chociaż czasami była dokuczliwa. Claire zmieni się z pewnością po ślubie. Kiedy raz zerwie z Irlandią, zapomni o wszelkich tego rodzaju nonsensach.

*

Filey mieszkał z rodzicami. W rodzinie było ich pięcioro. Sean był najmłodszym z synów, jedynym, który poszedł w ślady ojca - ukończył medycynę. Brian Filey wykonywał zawód lekarza od czterdziestu siedmiu lat. Uważał, że syn jest bardzo zdolny i ma duże możliwości, chociaż skrycie sądził, że sporo we współczesnej psychiatrii to kompletne bzdury. Niemniej jednak był z niego dumny, a matka kochała syna do szaleństwa. Mieli nadzieję, że Sean znajdzie sobie miłą dziewczynę i wkrótce się ożeni. Był jedynym samotnym członkiem rodziny. Fileyowie mieli wygodny dom, wybudowaną na przełomie stuleci willę w

starym stylu. Spędzili w niej całe swe życie. Sean zajmował górne piętro. Przyjęcie zaplanował na trzy tygodnie z góry, ale miał w zanadrzu inne terminy, gdyby zaproponowany nie odpowiadał Frankowi Arbuthnotowi. Wśród gości spodziewał się młodego poety, zdobywającego swą poezją szerokie uznanie, i grupki ludzi, co do których miał nadzieję, że zabawią się czymś innym.

Rozmawiając z Arbuthnotem, Filey zachowywał się przyjacielsko i swobodnie. Przypomniał mu, że poznali się w domu amerykańskiego pisarza. Pozwolił sobie na łobuzerski dowcip na temat wydatków literata, co Frank skwitował śmiechem i przyjął zaproszenie. Poezja go nie interesowała i przerażeniem napawała go myśl, że może być częściowo napisana po celtycku, ale lubił Seana. Frank uznał, że skoro zamierza zostać Irlandczykiem, powinien wydostać się z kręgu Angoli, rozmawiających wiecznie o polowaniach i cenach gruntu, a zintegrować się z Irlandczykami - intelektualistami, pisarzami i artystami, którzy nie bywali nigdy zapraszani do Riverstown ani do domu babki Blanche.

Po przybyciu na miejsce Frank czuł się skrępowany pomimo wysiłków Seana. Został przedstawiony wszystkim gościom, którzy doskonale się znali i zamieniwszy z nim kilka słów, odchodzili. Poeta okazał się brodatym człowiekiem w zniszczonym ubraniu. Mówił ze śpiewnym akcentem z Cork. Frank ocenił, że brodacz nie jest szczególnie młody, ale miał na głowie sporo włosów, a twarz nie zdradzała wieku właściciela. Podał Frankowi mięką dłoń, prześlizgnął się po nim wzrokiem i spojrzał na kogoś innego. Dwadzieścia minut po Arbuthnocie zjawiała się Marie. Była zdyszana i zarumieniona, co czyniło ją jeszcze ładniejszą.

- Przepraszam, Sean - usłyszał, jak się usprawiedliwia - ale mój samochód znowu odmówił posłuszeństwa. Musiałam wziąć taksówkę. Bałam się, że zaczęliście beze mnie.

Spojrzała na Franka i uśmiechnęła się, ale nie podeszła do niego od razu.

Niespodziewanie dla siebie ucieszył się, że ją widzi. Powinien był zadzwonić do niej po ich wspólnej kolacji, ale przyjechała Claire i zupełnie o tym zapomniał. Podeszedł do Marie. Trzymała w ręku kieliszek wina. Sean zaopatrzył bufet w wino i piwo, a także w kanapki z szynką i ciasto owocowe. Jego matka zaoferowała pieczone na zimno, ale Sean nie przystał na jej propozycję. Większość osób zjadła coś przed przyjściem.

- Witaj, Marie - pozdrowił ją.

- Cześć, Frank. Nie wiedziałam, że tu będziesz. Co u ciebie?

- W porządku.

- Powinnam ci była podziękować za wspaniały wieczór - powiedziała. - Masz cudowny dom.

Usiedli obok siebie na nieco twardych, małych krzesłach, a poeta zajął w stosunku do gości pozycję centralną i zaczął czytać na głos z książki swoje wiersze. Zamilkli. W pokoju było dwadzieścia osób i wszyscy siedzieli tak cicho, jakby uczestniczyli w pogrzebie. Literat czytał przepięknie. Język jego poezji był bardzo obrazowy i pełen oryginalnych pomysłów. Frank spodziewał się raczej, że będzie się nudził, tymczasem wiersze oczarowały go i gdy pierwsza część recytacji dobiegła końca, dołączył do gromkich oklasków.

Ze swego miejsca za plecami zebranych Filey uważnie przyglądał się Arbuthnotowi. Sam doskonale znał te wiersze. Wzruszyły go, kiedy słyszał je pierwszy raz. To dobrze, że Frank też uległ ich urokowi. Tematem tej poezji była Irlandia. Wiersze mówiły o pięknie i smutku, o tęsknocie, rozwadze i o miłości głębszej niż ta, która łączy mężczyznę i kobietę.

- Podobały ci się? - spytała go Marie.

- Tak, jest znakomity. Wstyd mi, że nigdy wcześniej o nim nie słyszałem - odparł Frank.

- Odkrył go Sean. Nie tylko grzebie w ludzkich mózgach, ale jest także wielkim mecenasem irlandzkich artystów. Przyszli dwaj krytycy literaccy, jeden z „Irish Independent”, a drugi z „Cork Examiner”. Ich recenzje ukażą się w jutrzejszej prasie. To pomoże naszemu poecie. Zabawne, w szkole nigdy nie lubiłam poezji, ale ta mi się podoba. Ona wręcz śpiewa, prawda? - uśmiechnęła się do niego.

- Ale to są smutne pieśni zauważył Frank.

- Bo Irlandia to smutny kraj odparła Marie. - Jaka inna nacja może się pochwalić bohaterką narodową o imieniu Deirdre Bolesna¹⁷?

Spojrzała na zegarek.

- Muszę już iść, Frank. Mógłbyś mnie podrzucić do domu? To nie jest ci tak bardzo nie po drodze, a mój samochód znowu strajkuje.

- Musisz kupić nowy - powiedział. - Oczywiście, że cię podwiozę.

Przed drzwiami domu na Queen Anne Street Marie odwróciła się.

- Wejdz na chwilę na kawę - zaproponowała.

Nie mógłby odmówić, nawet gdyby chciał. A nie chciał.

W mieszkaniu zamknęła drzwi wejściowe, zrzuciła płaszcz i objęła Franka za szyję. Pocałowała go, dotykając językiem jego warg.

- Nie miałam zamiaru wychodzić dziś wieczorem - odezwała się - ale teraz jestem

¹⁷ Deirdre of the Sorrows - bohaterka najslawniejszej celtyckiej opowieści miłosnej, znana z późnośredniowiecznej epopei (przyp. tłum.).

zadowolona, że to zrobiłam.

Do domu w Meath Frank wrócił dopiero rano. Marie zatelefonowała do Fileya podczas przerwy na lunch.

- Został u mnie - oznajmiła rzeczowo. - I mam się z nim spotkać dziś wieczorem. Myślę, że jest nasz.

- Grzeczna dziewczynka - pochwalił ją Sean. - Teraz doprowadź do tego, żeby wylali cię z pracy. Nie pozwól mu zapomnieć, że obiecał ci pracę w swoim banku.

Odłożył słuchawkę, a Marie wróciła do stolika w małym barze, w którym jadła lunch. „Grzeczna dziewczynka”. Stręczyłby własną siostrę, gdyby to miało służyć jego celom. Przypomniała sobie słowa Fileya: „Niech cię wyleją” i „Pamiętaj, że obiecał ci robotę”. „Zrobię nawet więcej - pomyślała Marie. - Będę pracowała w jego banku i skończy się na tym, że wprowadzę się do niego. W ten sposób naprawdę będę miała go w garści. A jeśli w dodatku Frank mnie uszczęśliwi, to nie mam nic przeciwko temu”...

*

- Gdyby tylko Frank był tutaj - westchnęła Claire - niczego więcej by mi nie brakowało. Jaka szkoda, że nie mógł wrócić na moje zaręczyny.

Claudia zapaliła papierosa. Przygotowania do wielkiego przyjęcia zaręczynowego i mającego się odbyć na wiosnę wesela kosztowały ją sporo nerwów. Teraz spojrzała ostro na córkę i zmarszczyła brwi.

- Zawiadomiłaś go telegraficznie - powiedziała. - Mógł się postarać przylecieć w porę. Przy okazji - nie daj Neilowi poznać, że to się nadal ciągnie. Mam wrażenie, że rzygać mu się chce na sam dźwięk imienia Franka.

Claire odwróciła się. Stosunek jej matki do pasierba był teraz otwarcie wrogi, jakby Claudia poczuła się uprawniona do okazywania długo skrywanej niechęci. Neil zszedł po schodach w samą porę, by powstrzymać narzeczoną przed powiedzeniem czegoś niestosownego.

- Wyglądasz świetnie, kochanie. Prawda, Claudio?

- Myślę, że wybrałyśmy właściwą suknię - okrasila odpowiedź uśmiechem.

„Mama bardzo lubi Neila” - pomyślała Claire.

- Zdaje się, że goście już się schodzą. Czyńcie honory domu, nikt tu nie przychodzi z mojego powodu. A, oczywiście, twój ojciec zniknął jak zawsze, kiedy zaczyna się przyjęcie. Pójdę go poszukać. Nie znosi witania się z gośćmi.

Neil objął Claire w talii.

- Wyglądasz na wkurzoną. Pokłóciłyście się z Claudio?

- Nie. Matka czasami działa mi na nerwy, to wszystko. Nadchodzi stary Fred King. Ma cudowną stadninę w Kilcock. Jest bardzo fajny, polubisz go.

Witając się ze starym człowiekiem, z osiemdziesiątką jak obszył na karku, sękatym jak bezlistne drzewo, Neil szczerze wątpił w to, że się z nim zaprzyjaźni. Po chwili starzec znikł w tłumie ludzi. Claire wymieniała ich nazwiska, a on ścisnął im dłonie i przyjmował gratulacje, okazując - miał nadzieję - stosowną radość. Wszyscy byli bardzo mili i bardzo serdeczni, ale nie mógł nie zauważyć badawczych spojrzeń, jakimi obrzucano go od stóp do głów. Zjawiała się Claudia i poprowadziła ich do pomieszczeń, w których przygotowano bufet i gdzie goście dostali drinki, więc hałas podniósł się wkrótce ponad bezpieczny poziom. „To irlandzki establishment” - pomyślał Neil, obserwując mężczyzn w krawatach szkół, które niegdyś kończyli, i pułków, w których służyli, oraz kobiety, pasujące do każdej angielskiej posiadłości wiejskiej. Ludzie tego samego pokroju co goście w Butlers Castle, gdzie poznał Claire, pominawszy fakt, że teraz miał do czynienia z pokoleniem ich rodziców. Stał obok Claire z drinkiem w dłoni, zagadywany przez podchodzących kolejno gości. Nagle zaanektowała go czterdziestoparoletnia kobieta o szczurzym spojrzeniu, z długą cygarniczką w stylu lat trzydziestych w dłoni. Nie mógł sobie przypomnieć nazwiska rozmówczyni.

- A więc zabiera pan Claire na stałe do Anglii? - odezwała się.

- Tak, kupujemy dom w Gloucestershire, w pobliżu Tetbury.

- Znam Tetbury - stwierdziła. - Bywałam tam u Huntów. On umarł, a ona uciekła z mężczyzną tak młodym, że mógłby być jej synem. A skoro przy dzieciach jesteśmy, to bardzo mi żal Philipa. Najpierw ten wstrętny Frank odplacił mu się tak brzydko, a potem pan się zjawia i kradnie mu jedyną córkę.

Spojrzała na Neila z jawną złośliwością.

- To nie będzie dla pana bardzo przyjemne mieć szwagra sympatyzującego z IRA, prawda?

- Proszę mi wybaczyć - przeprosił ją. - Muszę odszukać Claire.

Odwrócił się plecami i zaczął się przepychać przez tłum gości. Podeszedł do narzeczonej i ujął ją za łokieć.

- Kochanie, kto to jest ta okropna stara krowa w zielonej sukni, ta z cygarniczką?

Claire spojrzała we wskazanym kierunku.

- Min Harding - odparła. - Jest wstrętna. Nie mam pojęcia, dlaczego ktokolwiek ją zaprasza. Co ci powiedziała?

Neil zawahał się. Sympatyk IRA... To nie może być prawda. Claire nigdy mu o czymś takim nie wspominała. Postanowił nie psuć wieczoru. Oczywiście, że to nieprawda.

- Och, nic takiego. Po prostu pomyślałem sobie, że to wstrętna, stara krowa.

- Bo tak jest - zgodziła się Claire. - To najbardziej bezczelna kłamczucha. Powie wszystko, co jej przyjdzie do głowy.

Neil natychmiast poczuł ulgę.

- Wspaniałe przyjęcie - stwierdził.

- Tak. Cieszę się, że jesteś zadowolony. Wiem, że to dosyć ciężka próba spotkać tych ludzi wszystkich naraz, ale oni umierali z chęci poznania cię, a do wesela pozostało jeszcze dużo czasu. Żałuję tylko, że nie ma tutaj Franka.

Zdziwił się, że go to zabolalo, chociaż mówiła to już tyle razy.

- No cóż, ja ci będę musiał wystarczyć - powiedział.

Claire uśmiechnęła się i znów poczuł się szczęśliwy.

- Myślę, że jakoś to zniosę - odparła.

Trzy tysiące mil dalej, po drugiej stronie Atlantyku, Kevin Ryan podejmował siostrzeńca lunchem w bostońskim klubie, mieszczącym się w pięknym wiktoriańskim budynku w starym stylu i na zewnątrz, i w środku. Na swój sposób stanowił zwierciadlane odbicie klubów dla dżentelmenów, do których irlandzkim imigrantom nie wolno było wchodzić. Było w nim mnóstwo solidnych mahoniowych boazerii, ciężkich mebli i wielka, mroczna restauracja ze wspaniałą kuchnią. Przynależność do niego świadczyła, że się jest akceptowanym przez irlandzko-amerykańską oligarchię, która reprezentowała zarówno biznes, jak i politykę. Kevin bardzo się napracował, by go przyjęto do klubu, a teraz był jednym z jego najznamienitszych członków. Pochylił się nad stolikiem w kierunku Franka.

- Otwórzmy bank w tym samym tygodniu, w którym z rodziną zasiedlę Pół Domu - zaproponował. - To będzie dla nas podwójna korzyść, Frank. Wszyscy przyjdą!

Przyjrzał się uważnie swemu siostrzeńcowi. Pomimo szerokiego uśmiechu na ustach, jego oczy były trochę węższe niż zwykle.

Frank nie był sobą. Tak powiedziała Mary Rose, a ona miała nosa do takich spraw. Kobiety mają intuicję, bo Bóg w swej mądrości poskąpił im rozum. Ale nie powinno się ich lekceważyć z tego powodu. Frank wyglądał na zmęczonego i miał worki pod oczami, jakby nie spał tej nocy. Wydawał się nieobecny duchem, co Kevina niepokoiło. Nie chciał, żeby siostrzeniec wymknął mu się w ostatniej chwili.

- Frankie - rzekł Ryan - nie słyszysz ani słowa z tego, co mówię. Co cię martwi? Możesz mi powiedzieć?

Frank przez chwilę nie odpowiadał. Odebrał telegram, w którym Claire zawiadamiła go, że zamierza wyjść za Neila Frasera. Nie mógł w to uwierzyć. Tekst był długi, pełen

entuzjazmu i czułych słówek, ale jego istota przyprawiła Franka o mdłości. Tracił ją dla tego pompatycznego durnia. Przypomnił sobie moment, kiedy widział go, jak obejmuje Claire na parkiecie w Butlers Castle, a teraz ją miał i wywoził na stałe do Anglii. Bezwiednie zmiął i podarł telegram, który mówił, że rodzice są zachwyceni z powodu jej zaręczyn. Urządzają party, a Claire nalega, żeby Frank przyjechał do domu. Nawet nie spojrzął na datę. Miałby iść na wielkie przyjęcie wydane dla ich przyjaciół, by zobaczyć Claire u boku Frasera? Nie, przyznawał przed sobą Frank, nie mógłby stawić temu czoła. Niech sobie celebują to, co okaże się nieszczęśliwym małżeństwem. To wiedział.

- Frank - nalegał Ryan. - Co się stało?

Frank skupił uwagę na Kevinie, którego życzliwe spojrzenie dostrzegł i poznał ze sposobu, w jaki wuj zadzierał głowę, że jest czymś zaniepokojony. Czemu mu nie powiedzieć? Dlaczego się nie zwierzyć?

- Claire, moja siostra, wychodzi za mąż - odparł w końcu.

*

- Wychodzę dziś wieczorem oświadczył Kevin. - Mam spotkanie w interesach. Zajmij się nim. Rose. I nie czekaj na mnie. Mogę wrócić bardzo późno.

Spotkanie odbywało się w wielkim prywatnym domu dwadzieścia mil za miastem i skończyło się po północy. Uczestniczyło w nim pół tuzina mężczyzn zamkniętych w pokoju na parterze. Na stole znajdowały się cygara i whisky. Z sześciu zgromadzonych dwaj byli prominentnymi obywatelami amerykańskimi irlandzkiego pochodzenia, którzy poznali Franka Arbuthnota podczas jego pierwszego pobytu w Stanach. Przewodniczył mężczyzna między czterdziestką a pięćdziesiątką. Nie był Amerykaninem i wjechał na teren Stanów Zjednoczonych na podstawie fałszywej wizy.

Zebrani omawiali problemy według ustalonego wcześniej porządku, a potem skupili się na nowym Bostońsko-Irlandzkim Banku Handlowym, którego otwarcie zaplanowano na przyszły miesiąc. Za to przedsięwzięcie odpowiadał Kevin Ryan, który złożył na jego temat długie i szczegółowe sprawozdanie. Uczestnicy spotkania wyłożyli na ten cel pieniądze, co dało im osiemdziesiąt procent udziałów, pozostałe dwadzieścia finansuje Frank Arbuthnot. Kierujący zebraniem nie-Amerykanin urodził się w Downpatrick, ale ostatnie pięć lat spędził pod przybranym nazwiskiem w Republice Irlandii.

- To zmienia postać rzeczy - oświadczył. - Skoro szwagier Arbuthnota jest torysowskim¹⁸ członkiem parlamentu, to nie wiem, czy nie istnieje ryzyko, że będzie mówił

¹⁸ Torysi - historyczna nazwa Partii Konserwatywnej (przyp. tłum.).

siostrze rzeczy, które ona może przekazać dalej.

Spojrzał po obecnych. Jeden z polityków, współzałożyciel banku, skinął głową.

- Istotna uwaga - zgodził się.

Kevin zebrał się w sobie, by ruszyć do walki. Spodziewał się, że czołowy przywódca Provisional podejmie ten problem.

- Mylisz się, Joe - rzekł Ryan. - Mojemu siostrzeńcowi niedobrze się robi na myśl o tym małżeństwie. Spędziłem z nim cały dzień. Wiem, co sądzi na ten temat. A powiem ci, że był bardzo związany ze swoją przyrodnią siostrą. Teraz ona go zdradziła, tak to widzi. To jeszcze bardziej zbliży Franka do nas. Już powiedział, że jestem dla niego jak ojciec. I powiem wam - to małżeństwo jest darem niebios. Przetnie ostatnie więzy, jakie go łączą z rodziną.

Popatrzył kolejno po obecnych. Wszyscy znali Kevina i ufali mu. Przez wiele lat udowadniał, że jest przebiegłym i zręcznym towarzyszem walki.

- Gdybym mu nie wierzył - ciągnął Kevin - pierwszy bym powiedział, żeby dać sobie z tym spokój i zająć się kimś innym.

- Nie ma nikogo innego - zauważył lider Provosów. - Arbuthnot jest człowiekiem, którego potrzebujemy jako przykrywkę. Ktoś z naszej strony byłby od razu podejrzany. Dublin nie jest ślepy na to, co się dzieje. Więc potrzebujemy właśnie jego. Ale czy on musi o tym wiedzieć? Jak tylko bank zostanie otwarty, będziemy mieli tuż obok niego wtyczkę, prawda?

- Wnuczkę Eamonna Dempstera - powiedział Kevin. - Wszyscy wiemy, co Dempsterowie uczynili dla wolności Irlandii. Będzie pracowała u mojego siostrzeńca. Można powiedzieć, że są ze sobą blisko.

Pozwolił sobie na szelmowski uśmiezek.

- Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby ją kiedyś poślubił. Ale wracając do pytania: czy musi wiedzieć? Odpowiadam - tak. Uważam, że nie udałoby się nam przeprowadzać przez ten bank kwot, o jakie nam chodzi, tak, by nie zwrócić jego uwagi. Zgodzisz się ze mną, Pat?

- Tak - potwierdził starszy mężczyzna. - Musimy mu zaufać. Musimy go zwerbować, żeby się stał jednym z nas. Nie zamierzam wkładać w ten interes miliona dolarów, jeśli nie będą odpowiednio spożytkowane dla wsparcia Sprawy.

- Zostaw to mnie - odezwał się Kevin. - Jestem z Frankiem tak blisko jak nikt inny. Najpierw niech się odbędzie ślub jego siostry. Przystąpi do nas i zacznie dla nas pracować. Ręczę za to.

- Musi się zadeklarować do lipca - powiedział człowiek z Ulsteru.

Kevin skinął głową.

- Zrobi to - zapewnił. - Złoży przysięgę, zanim bank zostanie otwarty.

*

- Och, Frank. Tak się cieszę, że cię widzę. Dlaczego nie przyszedłeś do nas na przyjęcie?

- Tkwiłem po uszy w interesach - odparł.

Nigdy wcześniej nie okłamywał Claire, ale pewne rzeczy zmieniły się, jeszcze nim związała się z innym mężczyzną. „Prawda jest pierwszą ofiarą rozłąki”. Gdzieś to przeczytał, ale nie wyobrażał sobie wówczas, że mogłoby go to dotyczyć. Spotkanie się w Dublinie, a nie w Riverstown, w ich domu, wydawało mu się bardzo dziwne, ale to był jego pomysł, a Claire z nim nie dyskutowała. Siedzieli w foyer hotelu Royal Hibernian, gdzie zarezerwował stolik na lunch. Był środek tygodnia i hotel trzeszczał w szwach. Pomyślał, że siostra zeszczuplała.

- Wysłałem wam telegram bronił się. - Przyjęcie się udało?

Claire łyknęła drinka. Gin z tonikiem, który nazywała „gt”, jak nauczyła się w Anglii. Nie słyszał wcześniej tego określenia. Drażniło go.

- Tak, było wspaniale. Przyszli wszyscy zaproszeni, ale brakowało mi ciebie. Tak naprawdę nie chodziło o sprawy bankowe, prawda?

Nagle już nie musiał kłamać.

- Nie umiesz udawać, Frank. Znam cię.

- Właśnie dlatego nie przyleciałem. Nie mogłem w to uwierzyć. Nie mógłbym udawać, że się cieszę. Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? Nikt cię przecież nie popędza. Zawsze możesz zerwać te zaręczyny.

- Nie - odparła. - Mieszkam z nim od pół roku. Nie chciałam ci tego mówić, ale naprawdę wiem, co robię. Chcę wyjść za Neila. Nikt mnie do tego nie zmusza.

- Kochasz go? - spytał z ociąganiem. - To coś więcej niż tylko seks.

Na chwilę położyła swoją dłoń na jego ręce. Zabłyszczał zaręczynowy pierścionek od Neila.

- Naprawdę go kocham - powiedziała. - Jesteśmy ze sobą bardzo szczęśliwi. Także poza łóżkiem. - I to jest cudowne. Psuje mi radość jedynie to, że ty i Neil nie zgadzacie się ze sobą.

- No więc załatwmy to. Skoro go kochasz, nie usłyszysz ode mnie na ten temat ani słowa więcej. I tak długo, jak będzie ci z nim dobrze, między nami dwoma nie będzie zgrzytów.

- Teraz naprawdę jestem szczęśliwa - stwierdziła Claire.

A Frank wiedział, że będzie musiał ukrywać swoje uczucia.

- Chodźmy na lunch - zaproponował. - Opowiesz mi wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Widzę, że aż cię rozsadza chęć podzielenia się nimi ze mną.

To był długi lunch. Frank zamówił szampana, a wielu spośród siedzących w ich pobliżu biznesmenów zazdrościło mu takiej oszałamiającej dziewczyny. Dowiedział się wszystkiego o sukni ślubnej Claire, o jej druhnach i kwiatach. Pomimo pustki, którą czuł w sercu, siostra sprawiła, że wciągnęło go jej opowiadanie i śmiał się razem z nią, jakby rysowała najszcześniejszą przyszłość także dla niego.

- Zostaniesz głównym mistrzem ceremonii - zapowiedziała. - Druzbą Neila będzie jego przyjaciel ze szkoły, ale z Anglii zjawi się niewielu gości. Neil powiedział, że boją się przyjechać do Irlandii! Możesz w to uwierzyć?!

Frank nie podjął tematu, a Claire mówiła dalej.

- Czterystu gości. Tata będzie splukany. Za to mama jest w swoim żywiole. Można by pomyśleć, że to jej wesele, a nie moje!

- Wyobrażam sobie - powiedział.

Rozumiał aż nazbyt dobrze. Claudia musi być zachwycona, mając w perspektywie Frasera za zięcia. Matka Claire da z siebie wszystko i doprowadzi do perfekcji najmniejszy szczegół przedsięwzięcia. Zastanawiał się, jakie ojciec ma zdanie na temat Neila. Oczywiście, nigdy go o to nie zapyta.

- Myślę, że mogłoby to naprawić wasze stosunki z tatą - rzekła Claire ku jego zaskoczeniu.

- Niby czemu? - spytał Frank.

- Ponieważ czuje się szczęśliwy i dlatego ostatnio jest dużo miłszy. Myślałam, że będzie się wściekał i miał dosyć całego tego zamieszania, ale we wszystko się włącza. Frank, kochany, zdobądź się na wielki wysiłek wobec niego i zobacz, co to da. Możesz się zdziwić!

- Spróbuję - powiedział łagodnie, by jej nie rozczarować.

- A tak przy okazji. Co ja słyszę? Jest jakaś dziewczyna, z którą mieszkasz w Meath? - zapytała Claire, gdy już jechali z powrotem. - Wydaje mi się, że kilka razy odebrała telefon, kiedy do ciebie dzwoniłam.

- Lubię ją - odparł Frank. - Dobrze nam ze sobą. Od lipca będzie pracować w moim banku.

- Jest ajryszką, prawda? I nie urwij mi głowy za to, co powiedziałam!

- To Irlandka - potwierdził Frank spokojnie. - I katoliczka. Jej dziadek walczył u boku

Michaela Collinsa¹⁹. Nie można już być bardziej Ajryszką!

- Czy to poważne? Mam na myśli to, że zamierzasz pogodzić się z ojcem. Dostanie szafu, jak o niej usłyszysz.

- Ty chcesz uładzić moje sprawy z ojcem, a nie ja. I to nie jego sprawa. I jej, i mnie odpowiada ten układ, ale to wszystko.

- Ona też tak uważa?

Ruszył ostro po zmianie świateł na skrzyżowaniu.

- Nigdy jej nie powiedziałem, że ją kocham. Żadna ze stron nie ma jakichkolwiek zobowiązań.

- Poznam ją? - spytała Claire po chwili.

- Nie widzę potrzeby - odparł Frank. - Ale wiesz, czego bym chciał? Żebyś poznała mojego wuja, Kevina Ryana, kiedy przyjedzie następnym razem do Irlandii. Tata i Claudia nie muszą o tym wiedzieć.

- Frank, jeśli chcesz, żebym się z nim spotkała, to naturalnie. Nie mam ochoty niepokoić przed ślubem rodziców, ale nie jestem dzieckiem, któremu trzeba mówić, kogo może widywać, a kogo nie. Po prostu zadzwoń do mnie, kiedy Ryan tu będzie.

Na chwilę Frank odwrócił się do niej, a potem znowu spojrzął na drogę. Prowadził ostro, często nadmiernie ryzykując. Jedynie to mogła mu zarzucić.

- Wuj jest dla mnie bardzo dobry - powiedział. - Trochę nieokrzesany typ, ale spodoba ci się. Bardzo dużo o tobie słyszał.

*

Marie Dempster spojrzała na zegarek. Lunch z siostrą musiał mu zająć popołudnie. Była piąta, a Frank nie wracał.

Marie tęskniła za nim podczas jego długiego pobytu w Stanach. Wyjeżdżając, oznajmił jej, że może zapraszać znajomych i ma traktować dom jak swój własny. Nie chciał, by teraz, gdy nie pracowała, nudziła się czy czuła samotna. Nie powiedział jednak, że on będzie się czuł samotny bez niej. Myśląc czasami o pobycie Franka u Ryanów, zapomniała, że jest z nimi skoligacona. Nienawidziła ich za to, że mają go dla siebie, a ona siedzi w Irlandii i ma nadzieję, że Frank od czasu do czasu będzie telefonował.

Sean był z nią w ścisłym kontakcie. Czasem kusiło ją, by się z nim przespać, jakby chciała ukarać Franka za to, że ją opuścił, ale wiedziała, że Filey odrzuciłby propozycję. To

¹⁹ Michael Collins (1890-1922) - irlandzki działacz niepodległościowy i polityk. Zginął w wojnie domowej 1922-1923 (przyp. tłum.).

było skończone. Liczyło się wyłącznie miejsce, jakie zajęła w życiu Arbuthnota. Zdaniem Seana Marie odnosiła wielkie sukcesy. I był to w stanie analizować z takim spokojem, jakby miał wodę zamiast krwi, co stwierdzała z wściekłością. Może i znał najdrobniejsze niuanse seksualnych zachowań i motywacji, ale nie miał pojęcia o miłości. A to właśnie miłość stawała się problemem Marie. Nie namiętność, jak wybuch wulkanu, ale okrutna tortura duszy, którą było nieodwzajemnione uczucie. Żałowała czasem, że nie jest z Frankiem w ciągu dnia, ale miał obowiązki w Dublinie i zajmował się farmami. Kiedy był na miejscu, miała przynajmniej co robić, mogła prowadzić mu dom, jakby była jego żoną, i poganiać tych leniwych starych służących, którzy przywykli do owijania sobie swojego pana wokół palca. Ale kiedy Frank wyjeżdżał, Marie czuła się nieszczęśliwa. Gdy zostawił ją samą po wspaniałej nocy, jaką ze sobą spędzili, i poszedł na długi lunch z siostrą, ogarnęła ją zazdrość.

Poszła na górę, wykapała się, włożyła ładną sukienkę i zrobiła staranny makijaż. Teraz korzystała z jego pieniędzy, kupując sobie drogie stroje i kosmetyki. Chodziła też do najlepszych dublińskich fryzjerów i wizażystek. Na swój prowincjonalny sposób była ładną dziewczyną. Teraz czarującą, a nawet piękną. Frank czuł się przy niej szczęśliwy, wiedziała o tym. Uważał ją za bardzo atrakcyjną kobietę i satysfakcjonującą kochankę. To też wiedziała. Ale nie zdobyła jego serca. Po miesiącach życia z nim Marie wiedziała, że jej rywalka nie da się pokonać zwyczajnymi metodami. Innej kobiecie mogłaby stawić czoło i wygrać, ale w żaden sposób nie mogła konkurować z siostrą. W jego sypialni znajdowała się fotografia obojga na plaży w West. Obejmowali się ramionami, śmiali się. Typowe wakacyjne zdjęcie, które zostało powiększone i oprawione w ramkę, zamiast być schowane w albumie. Portret, wykonany w atelier, to inna sprawa. Zajmował zaszczytne miejsce na fortepianie w salonie. Marie nienawidziła obramowanej bardzo jasnymi włosami, gładkiej i uśmiechniętej twarzy z fotografii. Teraz Claire wychodzi za mąż i zamieszka w Anglii. Marie pokładała w tym oddaleniu pewną nadzieję. Kiedy Frank nie będzie miał siostry tuż za miedzą, zapomni o niej. Jak dotąd jednak nie zapomniał i nie był w tej chwili z Marie, ponieważ wyniosło go z domu.

Zeszła na dół wystrojona dla niego jak dziwka, którą, pomyślała, w istocie była. Z chęcią wybiegłaby mu na spotkanie, ale wiedziała, że ani to, ani jej wygląd, nie ma dla Franka najmniejszego znaczenia. Szósta. Zaklęła głośno. Wejdzie przyjazny i będzie wyglądał, jakby nie wiedział, że Marie rozsada złość, której nie śmie okazać. Była nie tylko zazdrosną kochanką, która może sobie pozwolić na urządzenie scen, lecz także częścią konspiracyjnego planu. Czasami pocieszała ją myśl o tym, że Frank jest oszukiwany, a ona należy do spisku. Jednak kiedy kochanek brał ją w ramiona, nic więcej nie miało dla niej znaczenia i była o krok od powiedzenia mu całej prawdy o Fileyu i jego wspaniałym wujku, Kevinie. Gdyby

tylko sama mogła uwierzyć, że uda im się potem żyć razem! Ale Marie wiedziała, że także dla niej byłby to koniec. Miała Franka dla siebie wyłącznie dzięki temu, że został wplątany w ich intrygę. Inaczej się nie dało.

Otworzyła drzwi do salonu. Pokój płonął w świetle zachodzącego słońca. Marie zaparło dech ze złości. Ile razy mówiła tej starej suce, żeby opuszczała rolety, bo inaczej meble spłowieją. Odwróciła się i pobiegła do pomieszczeń gospodarczych. Jak przypuszczała, Mahoneyowie siedzieli przy kuchennym stole, pijąc kolejną z nieskończonej liczby filiżanek herbaty. Stary był w koszuli z rękawami, brudny po pracy w ogrodzie. Marie wysłała go do warzywnika, a on kopał i gracował ziemię w milczącym proteście bólu krzyża i reumatyzmu. Ignorując Mahoneya, Marie zwróciła się do jego żony:

- Dlaczego nie opuściłaś rolet? Nie widzisz, że słońce zalewa pokój?

Stała z jedną ręką na klamce, drugą, zaciśniętą w pięść, trzymała na biodrze.

- Właśnie szłam to zrobić - tłumaczyła się Bidy Mahoney.

Odsunęła się od stołu i ukochanej herbaty.

- Jeszcze przed chwilą padało - pospieszył jej na odsiecz mąż.

Przepracował dla Arbuthnotów i takich jak oni całe życie i nigdy nie słyszał, by ktokolwiek odezwał się do jego żony w ten sposób. Dempsterówna krzyczała na nią jak jakaś cholerna handlarka ryb.

- Nie lżyj! Idź i zrób to natychmiast. Zapomnisz o tym jeszcze raz, a poskarżę się na ciebie panu Arbuthnotowi!

Zapadła cisza. Widziała ich podniesione ku sobie twarze, a w nich lekceważenie, którego nie śmieli wyrazić inaczej, jak wymigując się od pracy i okazując nieposłuszeństwo na tyle, na ile mogli sobie pozwolić za plecami Franka.

- Będę zaciągać rolety - obiecała Bidy.

Ominęła Marie, poruszając się z powolnością, która doprowadzała do szału, i z może bardziej jeszcze wkurzającym dostojeństwem. Marie spojrzała na nią z nienawiścią.

- Lepiej porozmawiaj z nią - warknęła do Mahoneya - albo oboje stąd wylecicie!

A potem trzasnęła kuchennymi drzwiami z taką siłą, że zabrzęczały stojące na kuchennym stole filiżanki.

Mahoney siedział cicho. Byli sownie opłacani i dobrze im się wiodło u pana Franka. Póki nie sprowadził tej małej dublińskiej dziwki, mieli idealną pracę. Nie zamierzał siedzieć, przyglądając się beczynnie, jak takie coś wrzeszczy na jego żonę. Dopił herbaty.

Marie usłyszała, że Frank wchodzi do domu. Otworzył drzwi salonu i zobaczył ją uśmiechniętą, z drinkiem w dłoni.

- Witaj - powiedziała. - To musiał być udany lunch.

Podszedł i usiadł obok niej.

- Niezły - przyznał. - Poukładałem sobie pewne rzeczy. To najważniejsze.

Wyglądał na spokojnego i zrelaksowanego. Jej nadzieje na kłótnię prysły. Wiedziała bardzo dobrze, że Frank był zły z powodu ślubu Claire. Filey rozumiał jego podejście - to naturalne, że Arbuthnotowi nie podobał się pomysł, by mieć za szwagra członka angielskiego establishmentu, ale prywatnie Marie zastanawiała się, czy w całej Irlandii znalazłby się choć jeden mężczyzna, którego Frank uznałby za godnego swej siostry.

- A więc idziesz na wesele? - spytała.

Spojrzał na nią zaskoczony, a potem zobaczył w jej oczach coś, co mu się nie spodobało.

- Oczywiście - odparł. - Powiedz mi, jak spędziłaś dzień.

Temat Claire został zamknięty.

- Na zwykłych problemach z Bidy - powiedziała.

*

Claudia siedziała przy biurku i sprawdzała, kto odpowiedział na zaproszenia ślubne. Swoje przybycie zapowiedzieli niemal wszyscy zaproszeni goście. Niewielka grupa z Anglii miała zostać umieszczona u sąsiadów. Pomimo dwukrotnych ponagleń telefonicznych dostawcy od Thomasa Browna z Dublina nie przysłali jeszcze menu. Usłyszała pukanie do drzwi i powiedziała z roztargnieniem:

- Proszę.

Na progu stanęła Bidy Mahoney w odświętnym kapeluszu i najlepszym płaszczu.

- Dobry Boże! - krzyknęła Claudia. - Bidy? Co ty tutaj robisz? Wejdz.

- Przepraszam, że pani przeszkadzam, madam. Jim podwiózł mnie do państwa. Czeka w holu.

Claudia odeszła od biurka.

- Siadaj. O co chodzi?

- Wyrzucono nas z Meath - oznajmiła Bidy.

Claudia widziała, że stara kobieta jest bliska łez. Odprawieni. Zajmowali się tamtym domem od niemal piętnastu lat, od śmierci Blanche Arbuthnot. Claudia zrobiła się czerwona ze złości.

- Wylał was? - spytała. - Nie mogę w to uwierzyć! Dlaczego?

- Mieszka z nim teraz pewna kobieta - powiedziała Bidy zakłopotana.

- Wiem - odparła Claudia ponuro.

- Skarżyła się na nas, madam. Pewnego dnia wpadła do kuchni, wrzeszcząc na mnie jak potępieniec dlatego, że zapomniałam coś zrobić, a potem pan Frank posłał po nas i powiedział, że mamy tę Dempster traktować z należytych szacunkiem albo nie będzie dla nas miejsca w Meath. Więc Jim powiedział mu, że ona krzyczała na mnie, a jego zwymyślała z powodu warzywnika tak, że w nocy nie mógł spać z nerwów. Mój mąż to spokojny człowiek i wziął to sobie bardzo do serca.

- Nie wątpię - przyznała Claudia.

- Ale to nic nie dało - ciągnęła Biddy. - A ta dalej pakowała truciznę do ucha pana Franka, a on uznał, że najlepiej będzie, jeśli poszukamy sobie innego miejsca.

- Boże Wszechmogący! - wybuchnęła Claudia. - Chyba stracił rozum! Na pewno tak powiedział?

- Nie, dał nam miesięczne wypowiedzenie i podarunki. Okazał się dosyć wspaniałomyślny. Ona przez cały następny dzień uśmiechała się jak kot do spyrki. Bez słowa robiliśmy swoje. A potem pan Frank wyjechał na noc, a ona przysłała i kazała się nam pakować i wynosić zaraz następnego rana. Więc odeszliśmy. To było właśnie dzisiaj. Ze względu na to, jak do nas mówiła, Jim nie zostałby ani chwili dłużej. Ma swoją dumę.

- Macie dokąd pójść? - spytała Claudia.

- Dopóki nie znajdziemy sobie nowego miejsca, zostaniemy u mojej siostry - odparła Biddy. - Chciałam tylko, żeby poznała pani prawdę, zanim dotrą tutaj jakieś kłamstwa. Jak znam tę Dempster, to diabła tam dostaniemy, a nie referencje. Powie panu Frankowi, że jak tylko wyjechał, porzuciliśmy pracę i mieszkanie.

- O to się nie martw. Ja wam dam opinię. Innej nie będziecie potrzebować - zapewniła Claudia. - Macie jakieś pieniądze, Biddy?

- Tak. Razem z wypowiedzeniem pan Frank dał nam czek. Na jakiś czas wystarczy. Przykro mi z tego powodu, madam. Wszystko dlatego, że ona tam zamieszkała. Póki jej nie było, nie padło między nami a panem Frankiem ani jedno złe słowo. Dempsterówna go zmieniła. Nie jest już tym samym człowiekiem.

Wstała i wyciągnęła do niej rękę, którą Claudia uścisnęła.

- Najwyraźniej się zmienił - przyznała skoro pozwala wpływać na siebie takiej kreaturze.

- Jest takie stare przysłowie, madam - powiedziała Biddy, odwracając się w drzwiach.

- Jeśli się kładziesz spać z psami, to wstajesz z pchłami!

Claudia nie powiedziałaaby tego lepiej.

Remont Pół Domu dobiegł końca. Zawieszono ostatnie zasłony, obrazy wisiały na swoich miejscach, a Kevin nie mógł się nachwalić żony. Obejmował Mary Rose w tali i ścisnął podniecony.

- Jezu, to najwspanialszy dom w Kildare! Teraz ci dranie dostali to, na co zasługują - rozejrzał się wokoło i roześmiał. - Kto by pomyślał, że syn starego Jacka Ryana będzie mieszkał w czymś takim, co?! Pamiętam, że kiedy wyjeżdżałem do Ameryki, ojciec powiedział do mnie: „Kevin, jeśli opuścisz własny dom, do niczego nie dojdiesz. Będę teraz musiał oddać twój udział w farmie Shamusowi”. Nie chciał tego zrobić, Rose. Wolał mnie niż jego. Ciekaw jestem, co by powiedział, gdyby mógł nas teraz zobaczyć.

- Byłby z ciebie dumny - zapewniła go Mary Rose.

„Ten dom - pomyślała - znaczy dla Keva więcej niż zasiadanie w Senacie Stanów Zjednoczonych. Irlandzkie korzenie głębiej wrastają w ojczystą glebę”.

- To wszystko twoja zasługa - ciągnęła.

- I twoja, kochanie.

Raczej rzadko używał tego słowa poza nieczęstymi chwilami, kiedy uprawiali miłość, a i wówczas bardziej służyło ono podniecaniu niżli czułości.

- To ty sprawiłaś, że dom tak wygląda. Wbrew mnie samemu - dodał łobuzersko, a Rose uśmiechnęła się do niego.

- Wydamy przyjęcie! - zapowiedział Kevin. - Ściągniemy tutaj wszystkich!

- Z pewnością nie zaprosisz tych snobistycznych protestantów, co? Nie do naszego domu!

- Jasne, że nie! Co ty sobie myślisz? Że lałbym drinki w gardła Arbuthnotów z Riverstown i ludzi ich pokroju? Niedoczekanie skurwysynów!

- Kevin, bez takich słów - zaprotestowała.

- Kiedy na ich określenie nie ma lepszych - stwierdził.

Mary Rose zganiała samą siebie.

- Och, Kev, zupełnie zapomniałam, że mam ci coś powiedzieć, taka byłam dziś rano podniecona. Dzwonił Frank. Chce przyprowadzić swoją siostrę, żeby cię poznała. Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć.

Zmarszczył brwi i powiedział szybko:

- Po co on to robi? Dlaczego mam się z nią spotykać?

Po chwili poprawił się:

- Nic nie powiedziałaś, Rose, prawda? Nie chcę go zrażać.

- Oczywiście, że nie - odparła. Mówiłam ci, że Frank kocha swoją siostrę.

Powiedziałam tylko, że oddzwonisz.

Kevin pochylił głowę jeszcze niżej niż zwykle. Mary Rose dobrze знаła ten jawny wyraz niepokoju. Kevin przypominał sobie, jak się przechwalał przed pięcioma mężczyznami w Bostonie: „To małżeństwo jest dla nas błogosławieństwem. Przetnie ostatnią nić, łączącą Franka z Arbuthnotami”. Wyglądało na to, że nie miał racji.

- Niech ją przyprowadzi - zdecydował. - Nie musimy jej nadskakiwać, będziemy po prostu uprzejmi. Nic nam się nie stanie, jeżeli mu pokazemy, że nie mamy wobec niej żadnych uprzedzeń. Ty zadzwoń, Rosie. Powiedz Frankowi, że jestem zajęty i zaproponuj, by przyjechali jutro na drinka. Ich wizyta nie potrwa długo.

Potem przeprosił żonę i zatelefonował do gabinetu Seana Fileya. Kevinowi szczególnie zależało na zaproszeniu dwóch członków parlamentu na przyjęcie, a Filey ich dobrze znał. Im więcej poparcia zdobędzie dla nowego przedsięwzięcia finansowego, tym łatwiej mu będzie zainteresować prawdziwych, wielkich inwestorów bankowych. A to znaczy, że w przyszłości łatwiej będzie ukryć wielkie sumy pieniędzy, które będą przekazywane z Ameryki.

Na Bliskim Wschodzie czekał na opłacenie dużej ładunek broni i amunicji. Transakcja ta byłaby pierwszą tajną operacją finansową nowego banku i Kevin miał zamiar sprawić, by to Frank Arbuthnot odpowiadał za jej przeprowadzenie. Kiedy raz wystąpi jako skarbnik armii provosów, już nigdy nie będzie mógł się wycofać ze zobowiązań na rzecz Sprawy.

*

Nigdy w życiu Claire nie czuła się bardziej nieswojo. Kusiło ją, by powiedzieć o wszystkim Claudii, a nie wymykać się potajemnie na spotkanie z Ryanem i kłamać, że jadą z Frankiem do Dublina wybrać dla niej prezent ślubny. Potem uznała, że lepiej będzie nie narażać się na kłótnię z matką. A z całą pewnością doszłoby do awantury. Claudia była przewrażliwiona i cierpiała na coś, co Philip nazywał gorączką ślubną. On sam był wyrozumiały wobec jej zmiennych nastrojów i radził Claire to samo. Kiedy córka przypominała, że to ona jest panną młodą, więc ma większe prawo do hysterii, śmiał się tylko. Twierdził, że Claire ma w sobie zbyt wiele z Irlandki, by przejmować się tym, że przygotowania idą jak po grudzie. Wychodziła na jaw cała angielska krew jej matki - to był największy problem.

Rankiem w dniu, kiedy Claire miała potajemnie spotkać się z Kevinem, Philip ofiarował jej georgiański naszyjnik Blanche z prośbą, by włożyła go do sukni ślubnej. Jego matka nie dała większości rodzinnej biżuterii Eileen Ryan, zatrzymała ją, ale była zbyt uczciwa, by nie zapisać klejnotów synowi w testamencie. Claire nie potrafiła spojrzeć ojcu w

oczy, kiedy pocałował ją i wręczył wielką, skórzaną kasetę, mówiąc:

- To mój prezent ślubny dla ciebie, kochanie.
- Och, tato! To wspaniale! Jesteś pewien, że tego chcesz?
- Absolutnie - odparł Philip.

W ciągu ostatnich stu lat wszystkie oblubienice z rodu Arbuthnotów nosiły ten naszyjnik w dniu ślubu. Jego córka jest ostatnia. Nie powiedział tego. Claire czuła się okropnie, jak oszustka. Wyszła na spotkanie z bratem i pojechali do Pół Domu, do którego dostali się przez tylną bramę.

Frank natychmiast zauważył, że coś jest nie tak. Opowiedziała mu o naszyjniku.

- To moja wina - odezwała się Claire. - To tchórzostwo z mojej strony, że ich okłamałam. Powinnam szczerze powiedzieć, dokąd idę.

- Nie, nie powinnaś - nie zgodził się z nią Frank, zjeżdżając na pobocze drogi.

- Posłuchaj, nie musimy tam iść. Poprosiłem cię o to, bo uwielbiam wuja i chciałem, żebyś go poznała. Może i ty polubiłabyś Kevina. Ale nie powinienem był cię w to mieszać. Przepraszam, Clarry. Zapomnijmy o tym.

- Nie - zaprotestowała Claire. - Jak się nad tym zastanowić, to cała ta sprawa jest cholernie głupia. Dlaczego nie miałbyś się przyjaźnić z bratem własnej matki? Dlaczego nie miałabym spędzić pół godziny w jego towarzystwie, nie czując się jak kryminalistka?

- Ponieważ to jest Irlandia - odparł. - My i oni. Z tym właśnie walczę. Ale ty nie musisz. Niedługo zamieszkaż w Anglii i żadna z tych rzeczy nie będzie cię dotyczyła.

- Teraz grasz na moim poczuciu winy - stwierdziła Claire. - Oczywiście, że będzie mnie obchodziło wszystko, co się tutaj dzieje! Myślisz, że nie przejęłam się tym, że musiałeś opuścić Riverstown i rzadko rozmawiasz z rodzicami? Och, jedź już, na litość boską, bo się spóźnimy!

Wbrew oczekiwaniom Claire Ryan był niski, miał ostre rysy, a dziwna szyja sprawiała, że przypominał żółwia wystawiającego łeb ze skorupy. Jego żona była Amerykanką w każdym calu, bardzo uprzejmą i dosyć wobec niej chłodną. Uścisnęły sobie dłonie, wymieniając zdawkowe grzeczności i komunikując sobie pozawerbalnie wzajemną wrogość. Claire nauczono dobrych manier. Wiedziała, jak się zachować w tak nieobiecującej sytuacji i jak dobrze w niej wypaść. Pochwaliła dom i jego urządzenie, które uważała zresztą za dosyć wulgarne, i unikała choćby wzmianki o tym, że jej matka mieszkała tutaj w czasie swego pierwszego małżeństwa.

Gospodarze traktowali Franka jak swoją własność, co Claire drażniło, a on sam był najwyraźniej na bardzo zażyłej stopie z obojgiem Ryanów. W delikatny sposób wyłączyli ją z

towarzystwa. Claire wyczuwała silny, podskórny prąd skierowany na nią, jakby Kevin Ryan wygrał bitwę, o której istnieniu ona w ogóle nie wiedziała. W końcu Claire wstała, gotowa do wyjścia, ponieważ niechęć państwa Ryanów złościła ją i niepokoiła ze względu na Franka, który z powodu więzów krwi był przekonany, że senatorstwo są mu przyjaźni.

- Dziękuję za pokazanie mi domu - zwróciła się do Mary Rose. - Jest cudowny. Jestem przekonana, że będziecie w nim szczęśliwi.

Ryan miał zimną, suchą rękę, która tylko na bardzo krótko spoczęła w jej dłoni, kiedy się z nią żegnał. Swego siostrzeńca objął.

- Wkrótce się spotkamy, Frank. Pamiętaj o przyjęciu.

Gdy odjeżdżali, Claire widziała stojących obok siebie Ryanów, a kiedy skręcali za róg i przejeżdżali przez boczną bramę, żona senatora pomachała im, jakby była postacią z hollywoodzkiego filmu.

- Czuli się trochę skrępowani z twojego powodu - odezwał się Frank. - Normalnie są bardzo serdeczni.

Claire wyglądała przez okno.

- Z pewnością. On mi się nie podoba, Frank. I nie ufam mu.

- Jesteś uprzedzona, to wszystko - odparł. - W każdym razie dzięki, że ze mną przyjechałaś. Ważne, że im się spodobałaś. Kevin powiedział mi to, kiedy wychodziliśmy.

- Więc się myślę. Taką mam nadzieję. Dokąd jedziemy? To nie jest droga do domu.

- Mamy wybrać dla ciebie prezent ślubny. Tak powiedziałaś w domu - przypomniał - więc tak zrobimy.

- Jedynym podarunkiem, jakiego chcę od ciebie, jest to, żebyś pogodził się z tatą.

- Powiedziałem ci, że spróbuję. Ale nie oczekuję cudu. Pomyślałem sobie, że spodobałoby ci się jakieś szkło Waterforda.

- Brzmi obiecująco - orzekła Claire.

Do oczu napłynęły jej łzy. Pierwszy raz w życiu Frank potraktował ją tak oschle, i to dlatego, że powiedziała, co sądzi o tym nieprzyjemnym człowieku i jego lodowatej żonie. Czuła się zraniona i zakłopotana. Nie chciała jechać z nim do Dublina i wybierać szkła Waterforda ani żadnego innego prezentu ślubnego. Chciała wrócić do Riverstown. A najbardziej ze wszystkiego chciała być z Neilem.

*

- No i co? - spytała Mary Rose, kiedy weszli do domu. - Co o niej sądzisz?

Kevin tylko prychnął.

- Gdybym ci powiedział, naskoczyłabyś na mnie za używanie ordynarnych słów -

odparł. - Jest typową przedstawicielką swojej klasy i swego rodzaju. Przydałby się jej solidny kop w dupę. Dajmy temu spokój, na litość boską, i nalejmy sobie przyzwoitego drinka, żeby zapomnieć, że w ogóle tu była.

Nalał sobie taką porcję whisky, że Mary Rose się skrzywiła.

- Wcale mi się nie spodobała - stwierdziła. - Bardzo się różni od Franka. - On jest taki serdeczny i kochający. Nikt by nie powiedział, że są przyrodnim rodzeństwem. Napiję się wódki z lodem, kochanie. Nie za dużo.

- Tak, Frank jest inny - przyznał Kevin. - A to dlatego, że jest synem mojej siostry. To dobry chłopak. Nie martw się o niego.

Westchnęła cicho.

- Gdyby tylko jeszcze zaczął chodzić do kościoła - powiedziała. - Modłę się o to co wieczór.

Kevin wypił od razu całą ćwiartkę whisky.

- Przyjdzie na to czas - pocieszył ją. - Sama to powiedziałaś. Łaska boska jest przy nim.

8.

W wieczór poprzedzający ślub Claire w Riverstown odbyła się rodzinna kolacja na dwadzieścia trzy osoby. Przyjechał ojciec Neila, który wywarł na wszystkich dobre wrażenie. Philip polubił go. Claudia zaczęła się uspokajać, niczym generał, który widzi rychłe zwycięstwo. Dublińscy dostawcy zostali obłaskawieni, dekoratorzy stworzyli w kościele cuda, a z wielkiego namiotu ustawionego na głównym trawniku zrobiono altanę pokrytą kwiatami i liśćmi. Wszystko trwało w stanie zawieszenia przed mającym się rozegrać nazajutrz spektaklem i w całym domu panowała atmosfera podniecenia. Poddał się jej nawet Philip, który zanim zjawiała się reszta rodziny, podjął pułkownika Frasera butelką starego szampana, przeznaczonego na specjalne okazje. Przez kilka chwil rozmawiali uprzejmie, a potem dołączył do nich Frank. Ojciec przedstawił go.

- To mój syn, Frank Arbuthnot, pułkownika Fraser. Przyniosę ci kieliszek. To dosyć niezwykły szampan.

Pułkownik uśmiechnął się.

- Słyszałem, że jest pan bankierem - powiedział kurtuazyjnie.

Miał jasne oczy i krzaczaste, przyprószone siwizną brwi. Było w nim podobieństwo do Neila - taki sam sposób mówienia, który sprawiał, że cokolwiek Fraser powiedział, brzmiało jak wojskowa komenda. Pułkownik był wdowcem. Dla Claire jedna osoba mniej, by się z nią borykać, pomyślał Frank.

- Tak - odparł. - W przyszłym miesiącu otwieram w Dublinie bank handlowy. Z kapitałem amerykańskim.

- Och, to musi być dobry interes. Teraz pewnie przeżywa pan trudne chwile. Pański ojciec mówił mi właśnie, że ta zaraza z Północy sączy się dalej na południe. Rozboje, kradzieże i tak dalej. Mam nadzieję, że pański bank będzie dobrze zabezpieczony.

- Nie sądzę, żebym miał się czego obawiać - odpowiedział Frank spokojnie i dodał: - To znakomity szampan.

W pokoju zjawiała się Claudia, podeszła do niego w swój energiczny sposób i pocałowała go szybko w policzek.

- Witaj, Frank. Widzę, że masz już drinka. Nalej i mnie, kochanie. Claire już schodzi na dół. Musimy skończyć tę butelkę, zanim nadciągną hordy. Nie można marnować szampana

z sześćdziesiątego czwartego roku na dalszych krewnych.

Roześmiała się serdecznie, a pułkownik Fraser do niej dołączył.

Frank podszedł do siostry i chwilę się jej przyglądał. O wizycie u Kevina Ryana i późniejszej, niezbyt miłej, milczącej podróży do Dublina zapomnieli, jakby się nigdy nie zdarzyły.

- Wyglądasz wspaniale - oświadczył.

Chciał objąć ją i trzymać tak, jakby znowu byli dziećmi, ale nie mógł tego zrobić na oczach wszystkich obecnych.

- Frank, kochany, to cudownie, że jesteśmy dziś wszyscy razem. Popatrz, co mi dał tata - dotknęła naszyjnika z brylantów.

- Myślałem, że założysz go dopiero jutro - powiedział.

Poprowadziła go ku rodzicom.

- Neil dał mi cudowny sznur pereł. Prosił, żebym je włożyła zamiast brylantów. Tacie to nie przeszkadza, prawda? - wsunęła ramię pod rękę Philipa i uśmiechnęła się.

- Oczywiście, że nie - zapewnił ją. - Są wspaniałe. Trzy idealnie dobrane sznury. Jesteś bardzo rozpuszczaną dziewczyną.

Pułkownik Fraser promieniał. Im lepiej poznawał swoją przyszłą synową i jej rodziców, tym bardziej mu się oni podobali. Brat był oschły, Neil nie mówił o nim wiele. Najwyraźniej młody Arbuthnot nie bywał w Riverstown zbyt często. „Claire jest taką piękną panną młodą - pomyślał pułkownik. - Mój syn ma dużo szczęścia, że zdobył taką żonę. Zwłaszcza, jeśli ma zamiar awansować w swojej partii”.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła Sheena z błyszczącymi z podniecenia oczami i uróżowanymi policzkami i zaanonsowała:

- Przyjeżdżają samochody, madam.

Wyszli do holu, by powitać gości.

Claire była bezwstydnie szczęśliwa. Wszyscy ją całowali, zachwycali się jej suknią i ślubnym prezentem od Philipa, a po kolacji Claire popędziła na górę i z powrotem na dół, by pokazać wszystkim perły od Neila.

Frank był rozczarowany, kiedy stwierdził, że wyznaczono mu miejsce przy stole daleko od siostry, ale odrzucił podejrzenie, że to Claudia postanowiła odseparować ich od siebie, uznając je za wytwór wyobraźni. Gdyby tylko pan młody był inny. Gdyby ten ślub znaczył, że Claire zostaje w Irlandii. Nie wystarczy jej spojrzeć na tego starego, pompatycznego durnia, by zobaczyć, że jego syn będzie taki sam? Nie, nie widziała tego. Frank jeszcze raz zmusił się do ukrycia prawdziwych uczuć i do zaakceptowania rzeczy

nieuchronnych. Claire była taka szczęśliwa. Nie miał żadnego prawa, by mieć jej radość. Ale dlaczego ma jutro włożyć te przeklęte perły zamiast klejnotów, które były rodzinną schedą? To naruszenie zwyczaju spowodowało, że jego gniew nie mijał. Kiedy oglądał sznury pereł, udało mu się szepnąć do Claire:

- Claire, nie znasz tego przesądu? Perły wróżą łyzy. Do ślubu powinnaś włożyć naszyjnik od ojca.

- Nasłuchałeś się bzdur od Sheeny i Molly - zarzuciła mu. - Płaczcie moje oczy! Nie bądź głupi, Frank. Poza tym mam tę broszkę z szafirami, którą dostałam od ciebie. Na szczęście.

- Naprawdę? To bardzo miło z twojej strony.

„Och, Boże - pomyślała - Frank jest taki nieszczęśliwy i w dołku”.

- Idąc kościelną nawą, będę niosła część ciebie - powiedziała cicho. - Kocham Neila, ale to nie zmieni niczego między nami. Zawsze będziesz moim najlepszym przyjacielem.

Philip obserwował ich z sofy, szepcząc od czasu do czasu jakieś słówko kuzynce Alice, która przyjechała z Cork. Jakim cudem Claire może mieć na punkcie brata takiego kręcka? Nie rozumiał tego. Nie pojmował nawet, jakim sposobem jego syn mógł zdobyć tak wielką jej lojalność i uczucie. Patrzył teraz na niego i przyznawał w duchu, że Frank nigdy - ani jako dziecko, ani jako dorosły - nie wydawał mu się sympatyczny. Nigdy też nie uważał syna za pokrewną duszę. Ze względu na zaręczyny Claire Philip jeszcze bardziej ukrywał niechęć do Franka i pogardę dla niego. Ale od pojutra nie będzie już trzeba więcej udawać. Philip widział się ze swymi prawnikami i poczynił odpowiednie zmiany w testamencie. Gdyby umarł tej nocy, Riverstown będzie bezpieczny od zakusów syna.

W wieczór poprzedzający ślub Neil i jego drużba zatrzymali się w hotelu Lawlera. Łamiąc tradycję, pan młody spotkał się z Claire podczas rodzinnego obiadu i dał jej prezent. Z początku Neil czuł się onieśmielony i niepewny. Znalazł się w obcym środowisku, chociaż przyjaźnie i życzliwie do niego nastawionym. Arbutnotowie byli bardzo ze sobą zżyci, mieli wiele powiązań i wywodzili się z podobnych środowisk. I było ich bardzo wielu. Kuzynów, przyszywanych wujków, stryjecznych babek.

Fraserowie nie mieli tak licznych zaplecza rodzinnego, a przyjaciół mogli policzyć na palcach. Na czas po ich powrocie z podróży poślubnej Neil zaplanował już wielkie przyjęcie w Izbie Gmin, które powinno pomóc jego politycznej karierze i zadośćuczynić towarzyskim zobowiązaniom. Nie mógł się doczekać ceremonii ślubu i przyjęcia, po których będzie mógł zabrać Claire ze sobą. Naszyjnik z pereł nie był rodzinną spuścizną. Dziadek Neila, wywodzący się z klasy średniej człowiek interesu, zrobił spory majątek, ale nie mógł nawet

marzyć o wydaniu tysięcy ciężko zarobionych funtów na biżuterię dla żony. Neil widział stary, brylantowy naszyjnik Arbuthnotów i poczuł się kimś gorszym, ponieważ nie mógł ofiarować Claire niczego w rodzaju tych klejnotów. Słyszał w Irlandii ludzi, którzy mówili z drwiną o nowobogackich, i miał wrażenie, że chodziło im najprawdopodobniej o takich jak on.

Nie dbali o majątek. Byli najmniej materialistycznie nastawionymi ludźmi, jakich znał. Pieniądze służyły im do kupna dobrego konia albo opłacenia zakładów w Curragh. Pomagały utrzymać wielkie domy, których nikt nie był w stanie ogrzać ani właściwie się nimi opiekować. Ale te domy nie były symbolami statusu właścicieli, więc jeśli musiały zostać sprzedane, nikt z tego powodu nie rozpaczał. Wszystko to bardzo ich różniło od ludzi w Anglii. W tym niefrasobliwym towarzystwie wiktoriańskie wartości nagrodzono by wybuchami śmiechu. Neil odkrył, że ostre picie to bardzo ciężkie wyzwanie. I nie lubił pogody tak zmiennej, że słońce pokazywało się na krótko pomiędzy ulewami, przeświecając przez deszczowe, ciężkie chmury.

Ale nic nie mówił Claire. Nie chciał powiedzieć ani zrobić niczego, co mogłoby zburzyć cudowną harmonię, jaka pomiędzy nimi panowała. Zrobił wysiłek, by stosunki z jej bratem ułożyć na bardziej przyjacielskiej stopie, ale mu się nie udało. Jeden rodzinny lunch w Riverstown nie wystarczył, by przedrzeć się do wnętrza Franka. Spotkanie było doświadczeniem nieprzyjemnym. Neil nie był zbyt wrażliwy na panujące wokół nastroje, ale chłód, jaki panował między ojcem a synem, i bolesny niepokój, który okazywała Claire, powodował, że robiło mu się niedobrze. I wywoływał zniecierpliwienie. Uważał, że im wcześniej Claire wydobędzie się z tego toksycznego otoczenia, tym lepiej.

Tamtego poranka Neil obudził się w hotelu i za oknem zobaczył jasnoniebieskie niebo. Od ślubu dzieliło go zaledwie kilka godzin, a o ósmej wieczorem powinien siedzieć z Claire w samolocie lecącym do Paryża. Następnego dnia mieli lot do Cannes. Poprosił ją, by do ślubu włożyła perły. Sam nie wiedział, dlaczego to dla niego takie ważne. Zaprzeczyłby, gdyby mu powiedzieć, że żądanie było skierowane przeciwko jej rodzinie. Jeśli przełamie się i przeciwstawi tym idiotycznym irlandzkim przesądom na temat pereł i łez, Neil uzna, że Claire zrobiła kolejny krok ku wyzwoleniu się, przez co rozumiał zależność od niego. Ale i temu by również gorąco zaprzeczył.

- Oczywiście, że je włożę, kochanie padła jej natychmiastowa odpowiedź. - I tę małą, niebieską broszkę, którą podarował mi Frank. Będę miała coś od dwóch mężczyzn, których kocham najbardziej na świecie.

Potrzebował jednak jej gorącego pocałunku, by w to zapewnienie uwierzyć.

*

Marie Dempster stała na końcu tłumu, który zgromadził się na zewnątrz kościoła w Naas. Poprzedniej nocy bardzo źle spała. Ciemne okulary były w tej sytuacji tyleż dobrodziejstwem, co i próbą zamaskowania się. Nie było potrzeby, by po ślubie siostry Frank pozostał w Riverstown. Ryzykując wywołanie kłótni, Marie przypomniawszy mu o tym, w jaki sposób został stamtąd wygnany, o odrzuceniu i upokorzeniu, które go spotkało dlatego, że odmówił podporządkowania się ojcu i wyparcia się rodziny ze strony matki. Frank nie przejrzał zamiarów Marie. Sądził, że robi mu wymówki z powodu słabości, którą okazał i kompromisu, ale jej atak odbił się i trafił w nią rykoszetem.

- Claire nie jest tak zawzięta jak ty - powiedział i Marie momentalnie się wycofała. - To jest ślub mojej siostry. Nie pozwolę, by cokolwiek zepsuło jej ten dzień. Ma nadzieję, że pogodzę się z ojcem. Nie wierzę w to, ale przez ten jeden wieczór będziemy wszyscy razem pod jednym dachem. Możesz uważać to za zdradę, ale dla mnie to są dobre maniery. A teraz zostawmy już ten temat.

Marie przestraszyła się, że posunęła się za daleko. Nie wspominała o tym więcej, tylko wsiadła do samochodu i pojechała do Naas zobaczyć ten słynny ślub i siostrę Franka. Wyszła z kościoła w białej sukni i stała przed nim na schodach uśmiechnięta, a Marie ukryta w tłumie przez mgnienie widziała jej postać. To był psychiczny masochizm, ale Marie nie mogła się od tego powstrzymać. Spadł przelotny deszcz i pojawiły się groźne chmury, niesione lekkim wiatrem. W miarę jak dołączali do niego przechodnie, tłum przed wrotami kościoła stawał się coraz bardziej zbity. „Irlandczycy uwielbiają śluby i pogrzeby” - pomyślała Marie. Świetny pretekst, by się gapić - panna młoda lub trumna. Zagrzmiała muzyka organowa i ludzie, głównie kobiety i dziewczęta, zaczęli wyciągać szyje. Kiedy Claire z nowo poślubionym mężem pod rękę wyszła z kościoła, właśnie zaświeciło słońce.

Oficjalny fotograf robił zdjęcia, wołając na druhny, by wysunęły się do przodu. Claire i Neil stali przez kilka minut, uśmiechając się i pozując do fotografii. Panna młoda nie widziała kobiety w szalu na głowie i w ciemnych okularach. To nie był dobry omen. Potem nowożeńcy wsiedli do wielkiego samochodu przystrojonego festonami wstążek i wyjechali z machającego rękami tłumu. Marie odwróciła się i odeszła, zanim gapie zaczęli się rozchodzić. Nie chciała ryzykować, że Frank ją zobaczy.

Przyjęcie trwało jeszcze długo po tym, jak państwo młodzi znaleźli się w drodze na dublińskie lotnisko. Goście nie przestawali zachwycać się wspaniałością ślubu i wyglądem panny młodej. Claudia wypiła sporo szampana. Była zmęczona i szczęśliwa. Triumfowała. Claire wyszła za mąż i od tej pory wszystko będzie dobrze. Spojrzała na pasierba i jej

uśmiech zgasł. Jego władza została złamana. Dzięki Bogu. Dzięki Bogu, nie będzie musiała więcej udawać. Frank właśnie ruszył w jej kierunku. Claudia rozejrzała się w poszukiwaniu Philipa, ale nigdzie go nie widziała. Wokoło nich stało mnóstwo gości, którzy liczyli na to, że zostaną zaproszeni na kolację. Claudia miała nadzieję, że Frank nie będzie jednym z nich. Podeszedł bliżej.

- To był wspaniały ślub, Claudio - powiedział. - Nie wiem, jak ci się udało tak nadzwyczajnie to wszystko zorganizować.

- W końcu wszystko zagrało - upiła łyk szampana. - Uważam, że nabożeństwo było niezwykle, a Claire wyglądała jak marzenie. Neil jest taki miły. Będą razem bardzo szczęśliwi.

- Mam nadzieję - rzekł Frank cicho. - Nie widzę nigdzie ojca, a chcę się pożegnać.

Claudia uniosła brwi. Frank nie spostrzegł, że jego macocha jest pijana.

- Och, musisz się tak śpieszyć? No cóż, to był bardzo długi dzień. Philip jest tam, rozmawia z pułkownikiem Fraserem. Do widzenia, Frank.

Nie pocałowali się ani nie podali sobie rąk.

- Do widzenia, Claudio.

- Wychodzi pan? - spytał pułkownik Fraser. - Co za szkoda. To był niezwykły dzień.

Piękny ślub.

Uścisnął dłoń Franka i powtórzył:

- Wszystko było po prostu nadzwyczajne.

Philip zawahał się. Nie chciał zatrzymywać syna na kolacji, ale nie mógł też pozwolić, by odejście Franka wprowadziło w zakłopotanie ojca Neila.

- Na pewno nie możesz zostać? Przygotowaliśmy bufet dla wytrwałych gości.

- Nie, dziękuję - odparł Frank. Mam inne plany. Wkrótce się spotkamy, tato. Do widzenia, pułkowniku.

- Miły chłopak - uznał Fraser. - Jest między wami duże podobieństwo. Pewnie będzie następny w kolejce?

Philip zignorował tę uwagę. Widział, jak Frank przeciskał się przez tłum gości, zatrzymywał czasem, by zamienić z kimś kilka słów i w końcu opuścił namiot. W tym momencie Philip zrozumiał, że stracił córkę i poczuł nagły smutek.

- Idę po coś do picia - oświadczył pułkownikowi Fraserowi.

Odszedł i znalazł dwie rzeczy, które go uspokajały, gdy był zmartwiony. Whisky i Claudię.

Lot z Dublina do Paryża przebiegł gładko. Neil trzymał Claire za rękę, czując pod palcami jej ślubną obrączkę. Była teraz jego żoną. Zaczęło się ich wspólne życie. Przycisnął mocno kolano do uda młodej pani Fraser, szepcząc jej do ucha, że nie może doczekać się chwili, gdy znajdą się w hotelu. Tak bardzo jej pragnął! Wszystko w niej go podniecało. Czuł się tak, jakby jeszcze nigdy dotąd ze sobą nie spali, a nadchodząca noc miała przynieść zupełnie nowe doznania. Claire pozwalała, by Neil jej dotykał, gdy nikt tego nie widział. Jej ciało oblewała gorąca fala erotycznego podniecenia. Wspaniały dzień. Dzień pełen radosnych wspomnień, które będzie smakować jeszcze długi czas. Kochała Neila tak bardzo, jak bardzo chciała znaleźć się z nim w łóżku. Będą doskonale szczęśliwi.

„Biedny Frank - pomyślała Claire. - Będzie za mną tęsknił, ale może znajdzie sobie kogoś. Kogoś naprawdę niezwykłego, kto mu wszystko wynagrodzi. Jak tylko wrócimy do Anglii, poproszę go, żeby przyjechał do nas na kilka dni”.

*

Frank nie wrócił do Meath. Uruchomił silnik samochodu i pojechał w kierunku bramy wychodzącej na Sallins Road. Zatrzymał się przy wyjeździe, a potem skręcił w prawo. Stracił Claire.

Kiedy siostra podeszła do niego, żeby go pocałować na pożegnanie, zauważył na jasnoczerwonym żakiecie małą szafirową szpilkę, która wcześniej zdobiła jej ślubną suknię. Na głowie miała przybrany kwiatami kapelusz, który ukłuł go w policzek. Frank nie zapomni nigdy tej chwili, ponieważ zmieniła na zawsze jego życie. Bardziej zasadniczo niż opuszczenie Riverstown. Miłość do Claire była dla niego zawsze kotwicą. Uczucie nie osłabło, ale istniał inny rodzaj miłości i ten dał jej Neil. Będą mieli dzieci, nowe życie, dom poza Irlandią, więc to może ich rozdzielić. Pomimo wszelkich obietnic Claire, że nic się między nimi nie zmieni, Frank wiedział, że od tej chwili wszystko będzie inaczej. Jechał wolno drogą do Sallins, a kiedy zbliżył się do mostu kolejowego, zwolnił na widok znajomej postaci Donny'ego, pochłoniętego wypatrywaniem pociągu, który nie nadjeżdżał. Frank nie zatrzymał się, a Donny go nie zauważył.

Jechał dalej, mając już teraz pewien cel. Uświadomił sobie, że ostatnia uwaga ojca była gafą. Philip nie był nigdy małostkowy. „Mamy tutaj bufet dla wytrwałych gości”. To freudowskie przejęzyczenie, jeśli wierzyć w takie rzeczy. Przyjaciół Franka, Sean Filey, wytłumaczyłby to na swój - psychiatry sposób, który miałby uśmierzyć piekący ból. Frank nie miał ochoty oglądać Fileya ani Marie starającej się ukryć zazdrość. Włączył migacz i skręcił w lewo, w bramę wjazdową Pół Domu, którego światła błyszczące w oknach na parterze sprawiały, że wyglądał przyjaźnie.

Drzwi wejściowe otworzył mu Kevin.

- Frankie! - zawołał. - Gość w dom, Bóg w dom. Wchodź, wchodź!

- Możesz mnie poczęstować drinkiem? - spytał po prostu Frank.

Kevin zauważył, że Frank ma na sobie garnitur i zorientował się, że siostrzeniec musiał przyjechać prosto z weselnego przyjęcia w Riverstown.

- Możesz zostać na kolacji i przenocować, jeśli chcesz - powiedział Ryan.

Drzwi zatrzasnęły się za nimi. Było już dosyć późno, kiedy Kevin zapytał Franka, czy nie chciałby, żeby zatelefonował do Marie Dempster i ją zaprosił. Poza tym, czy nie pora, by poznały się z Mary Rose? Frank nie protestował. Zapomniał, że Marie była w Meath, niemal zapomniał o ślubie i ojcu, który pozwolił mu odjechać, a zaproszeni zostali „wytrwali” pieczeniarze. Był pijany i wdzięczny za to Kevinowi. Ale nie aż tak nietrzeźwy, by plątał mu się język lub zawodziły nogi. Najlepsze określenie jego stanu to - znieczulony. Tak mawiają Anglicy, a potem wybuchają pustym śmiechem. Nienawidził ich. Nienawidził człowieka, który zabrał mu Claire. Nienawidził macochy, ponieważ popierała ten związek. I nienawidził ojca, bo nie był dla niego choćby w połowie tak dobry jak wuj Kevin. Ale już go to nie bolało.

- Uważasz, że powinna tutaj przyjechać? - szepnęła Mary Rose do męża. - Mieszkają razem, w porządku, ale nigdy nie wprowadził jej do towarzystwa.

Kevin uśmiechnął się. Wiedział, o co chodzi żonie, ale tę mieszaninę snobizmu i pruderii uważał za śmieszną. Był już w dodatku po kilku kieliszkach.

- To jego dziewczyna - powiedział. - Dzisiejszej nocy jej miejsce jest przy nim. Ukoi go.

Puścił oko do Mary Rose i pomyślał: „A ty sprawisz ulgę mnie, czy ci się to podoba, czy nie. Dziś w nocy rozgrzejemy łóżko, a dom w przyszłym tygodniu”.

- Jesteśmy rodziną, Rose. To nasz krewny, a ona jest wspaniałą dziewczyną. Zatelefonuję do niej. Powinna być w domu.

Powitał Marie w holu. „Jezu - pomyślał, patrząc na nią - ten Frank to szczęściarz!”

- Twój chłopak trochę wypił - oznajmił jej Kevin. - I nie ma się co dziwić. Po wielkim ślubie Arbuthnotów przyjechał z miną zbitego psa. Idź i zajmij się nim. Jeśli chcesz, możecie przenocować tutaj.

- Nie, dziękuję, senatorze - odparła Marie oficjalnym tonem i bez cienia serdeczności w głosie. - Zabiorę go. Lepiej mu będzie ze mną we własnym domu.

Ryan spojrział na nią, teraz już bez podziwu. Zimna, butna cipa. Jej także należałby się solidny kop w dupę.

- Rób, jak uważasz - odparł. - Jest w salonie razem z moją żoną.

Marie Dempster nie przyjęła drinka. Ucisnęła dłoń małej Amerykanki, zastanawiając się, jakim cudem ktoś tak filigranowy mógł się zakochać w prostaku pokroju Kevina Ryana. Potem pomogła Frankowi stanąć na nogi, a on, wsparty na jej ramieniu, wyszedł z domu i wsiadł do samochodu. Jego wóz zabiorą później, jeżeli gospodarzom to nie przeszkadza, postanowiła. Frank zasnął podczas jazdy. Rzuciła na niego okiem. Kiedy spał, wyglądał bezbrinnie. Pijani budzili w niej obrzydzenie, ale w nim nie było pijackiego mazgajstwa ani braku godności tylko smutek, który spowodował, że chciała go kochać i być szczęśliwa. Pomyślała: „Może teraz to się stanie”. Tamta wyjechała. Może Frank spojrzy na mnie teraz innymi oczyma.

*

Następnego ranka Claudia obudziła się z bólem głowy. Philip był już na nogach. Zawołała go.

- Kochanie, kąpiesz się?

Drzwi się otworzyły i jej mąż wyszedł z łazienki.

- Nie. Nie będziesz już spała? Pewnie jesteś wykończona po wczorajszym dniu.

Uśmiechnęła się.

- Jestem trochę zmęczona. I mam cholernego kaca. Ale czy ten ślub nie był ogromnym sukcesem?

Philip usiadł obok niej na brzegu łóżka.

- Tak, to było wspaniałe wesele. Wszystko dzięki tobie. Mądra staruszka - pochylił się i pocałował ją. - Brak mi jej, a tobie? Ciągle czekam, że wejdzie i powie nam dzień dobry.

Claudia chwyciła jego dłoń.

- Ja też. Kiedy się obudziłam, zaraz pomyślałam: muszę spytać Claire, jak się jej podobało. To głupie. Ale ona jest taka kochana.

- Najważniejsze jest to - powiedział Philip - że będzie z Neilem szczęśliwa. To dobry człowiek. Trochę sztywny i zbyt angielski, ale Claire go zmieni. Muszę przyznać, że wyglądała jak z obrazka.

Claudia spojrzała na zegarek.

- Kiedy Sheena przyniesie herbatę? Ta dziewczucha wiecznie się spóźnia! Ale wszyscy świetnie się spisali, prawda? Harowali jak Murzyni, żeby przygotować przyjęcie na czas. Ci cholerni dostawcy z Dublina doprowadzali mnie do szału.

Philip uśmiechnął się. Od samego początku Claudia wypowiedziała wojnę dostawcom, a do batalii dołączyła się dla zabawy służba, która biegała co chwila do pani ze

skargami na fachowców z miasta. Wszystkich bawił widok zmagania Claudii, więc dolewali oliwy do ognia.

Westchnęła i opadła z powrotem na poduszki.

- Musimy odwieźć Jacka Frasera na lotnisko. Jak tylko wypiję herbatę, zaraz wstanę. Pułkownik jest bardzo miły, kiedy się go bliżej pozna. I zachwycony Claire.

- Powinien być. Był uprzejmy nawet w stosunku do Franka.

- Co zamierzasz zrobić w jego sprawie? - spytała.

- Chodzi ci o testament? To już załatwione.

Claudia usiadła prosto z szeroko otwartymi oczami.

- O mój Boże! - krzyknęła. - Chcesz powiedzieć, że zmieniłeś zapis? Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- Miałaś na głowie inne sprawy odparł Philip. - Klamka zapadła. Papiery są podpisane, poświadczone i zamknięte w sejfie u Huntera. Riverstown zapisałem tobie. Bez żadnych warunków.

Claudia przygryzła wargę. Zaboląło, więc ją puściła.

- Myślę, że nie powinieneś być tego robić - odezwała się. - Frank jest twoim jedynym synem. Nie mogłeś powołać jakiegoś zarządu albo obwarować testamentu jakimiś dodatkowymi warunkami?

- Nie - powiedział Philip bezbarwnym tonem. - Warunków, którymi mógłbym obwarować przejęcie przez niego Riverstown nie uznałby żaden irlandzki sąd. Tak uważa Hunter. Zostawiam dom i wszystko inne tobie, kochanie. Mam nadzieję, że zapiszesz posiadłość synowi Claire, jeśli będzie go miała. Ale nie musisz. Frank nie może walczyć z tobą o spadek, bo jesteś moją żoną i masz do wszystkiego prawo.

- O Chryste - westchnęła znowu Claudia. - Co będzie, kiedy on się o tym dowie? Co mi, do diabła, powie?

- Zamierzam osobiście go o tym powiadomić - odparł Philip. - Nikt nie będzie cię winił. Podjąłem decyzję. A jeśli Frank zechce wykopać topór wojenny, to będzie miał do czynienia ze mną.

Po jego wyjściu Claudia zapaliła papierosa. Philip nie znosił, kiedy paliła w łóżku. Wszystko, co powiedział, brzmiało spokojnie i rozsądnie, ale wiedziała, że to pozory. To cios wycelowany w serce jej pasierba. Zastanawiała się, na ile ona sama jest gotowa uszanować decyzję Philipa. Nie lubiła Franka. Może gdyby nie miała Claire, kochałaby go nawet bardziej niż własne dziecko. Poza tym widziała, że brat i siostra stają się sobie coraz bliżsi, zamiast się od siebie oddalać. To ją niepokoiło, a nawet przerażało. Bolała ją głowa, więc zgasła

papierosa.

Nie chciała spadku, który należał się Frankowi. Riverstown nie był jej potrzebny. Zakładała, że gdyby Philip umarł przed nią, mogłaby się stąd wynieść, a do domu wprowadziłby się Frank. Nie lubiła pasierba, ale nie chciała go skrzywdzić. Pomyślała, że Philip zostawił jej jednak pewien wybór. „Jeżeli nic nie powiem, uznała, wszystko może być nadal w porządku. Jest jeszcze dużo czasu, jeśli tylko Frank będzie rozsądny. Potem mogę mu po prostu oddać ten dom”. Pocieszyła się tą myślą. Poza tym znała swego męża. Do zmiany raz podjętej decyzji ani ona, ani żadna inna siła na świecie nie mogłaby go zmusić. Wstała i zaczęła szukać aspiryny.

9.

Piętnastego lipca otwarciu Bostońsko-Irlandzkiego Banku Handlowego towarzyszy! lunch i wieczorne przyjęcie. Lunch zarezerwowano dla amerykańskich inwestorów i przedstawicieli irlandzkich przedsiębiorstw. Obecni byli prezes Banku Irlandii, prezesi Zjednoczonych Banków Irlandzkich i członkowie parlamentu z obu partii politycznych. Wszystko przygotowała Marie, wynajęła także kelnerów i dostawców. Została mianowana osobistą sekretarką Franka i jego asystentką. Nie uczestniczyła w lunchu, bo był przewidziany tylko dla mężczyzn, ale zajmowała miejsce u boku Franka podczas wieczornego przyjęcia.

Wśród zgromadzonych w głównym holu pięknego, georgiańskiego budynku przy Merrion Square był i Sean Filey. Stał w towarzystwie jednego z dyrektorów z Bostonu i obserwował wspaniałe dekoracje z kwiatów, wyszkolonych kelnerów i Marie, która poruszała się bezkolizyjnie między gośćmi i pozdrawiała znajomych, a innych pytała, czy im niczego nie brakuje. „Zmieniła się - pomyślał Filey. - Przyzwyczaiła się do nowego stylu życia tak szybko, jak potrafią to tylko kobiety”. Wspaniale ubrana dziewczyna, pełniąca rolę hostessy na użytek najwyższych przedstawicieli świata irlandzkiego biznesu i polityki, już niewiele miała wspólnego z niedawną przeciętną dublińską sekretarką. Marie wyglądała na szczęśliwą i pewną siebie. Aktorka, rozkoszująca się odgrywaniem roli gwiazdy. Jedynie Filey zdawał sobie sprawę, że jej widownią jest tylko jeden mężczyzna. Marie zaczynała mieć obsesję na punkcie Franka Arbuthnota. Wszystko, co robiła, miało na celu zdobycie jego aprobaty i przywiązanie go do siebie. Grała także przed Fileyem, udając, że Frank znajduje się pod jej wpływem.

- Porozmawiam z nim - powiedziała, kiedy spotkali się w domu przy drodze wiodącej na lotnisko. - Zrobi to, jeśli go o to poproszę.

Filey nie dał się oszukać. Poza zbudowaną przez Marie Dempster fasadą dostrzegł ukrytą niepewność. A przede wszystkim widział brak emocjonalnego zaangażowania ze strony Arbuthnota. Owszem, był szczodry. Marie miała czerwonego mercedesa, cenną biżuterię, a nawet futro z norek, najwyższy symbol statusu burżuazji. Frank był miły i uważający. Filey widywał ich wystarczająco często razem, by zauważyć, w jaki sposób Arbuthnot traktował Marie. Obdarzał ją tego rodzaju szacunkiem, który mężczyzna okazuje niekochanej przez siebie kobiecie właśnie dlatego, że jej nie kocha. I w głębi ducha, uważał

Sean, Marie wiedziała o tym. Jego rozmyślania przerwał stojący obok niego Amerykanin.

- Mamy diabelnie dobre otwarcie. Kevin obiecał i Kevin dotrzymał. Jak zawsze - spojrzał na Fileya, uśmiechając się szeroko.

To był wielki sukces. Gazety i telewizja poświęciły przedsięwzięciu wiele uwagi. Nowy bank handlowy cieszył się w Irlandii sporym poparciem, a jego amerykańscy udziałowcy byli ludźmi majątymi i z towarzyskiego świecznika. Pośród nich był i Kevin Ryan, ale chował się w cieniu, odmawiając udzielania wywiadów, czym rozczarował tych, którzy mieli nadzieję, że w dyspucie politycznej stanie po stronie mniejszości katolickiej w Irlandii Północnej. „Przebywam w kraju jako osoba prywatna” - oświadczył senator. Niedługo potem wrócił do Stanów Zjednoczonych, więc zainteresowanie nim stopniowo wygasło.

Pod koniec września Frank Arbuthnot dołączył do swego wuja w Bostonie. Marie została w Irlandii. Była zajęta finalizowaniem transferu pieniędzy z Bliskiego Wschodu przez Rzym do Lucerny. Przygotowywała wszystko na moment, gdy Frank zorganizuje kanał przerzutowy do klientów banku. Ładunek broni miał zostać wysłany z Holandii w chwili uiszczenia całej kwoty.

W Meath zatrudniono nowych służących. Zostali znalezieni przez Fileya, który polecił ich Frankowi. Sean był raczej przeciwny temu, by szukała ich Marie. „Bardzo solidne i uczciwe małżeństwo - powiedział Filey. - Ich młodszy syn popadł w kłopoty, ponieważ bawi się w górach w wojsko. To tylko dzieciaki udające patriotów” - zapewniał, ale chłopak dostał sześć miesięcy odsiadki, a jego ojciec stracił pracę. Faktycznie syn Broganów został skazany za posiadanie materiałów wybuchowych. Był niebezpieczny - miał na koncie dwa rozboje.

Pieniądze dotarły do celu, a ładunek broni trafił do Ulsteru przez port rybacki. W następnym półroczu znacznie wzrosła liczba ataków zbrojnych na stacjonujące tam oddziały brytyjskie.

Frank Arbuthnot był w te sprawy zaangażowany i nie mógł mieć nadziei na uwolnienie się od nich. Jego życie zostało podporządkowane pewnej rutynie. Trzy razy do roku latał do Stanów Zjednoczonych w sprawach związanych z prowadzeniem banku. Raz zabrał ze sobą Marie i polecieł na Florydę na urlop. Przez pięć dni w tygodniu pracowali razem przy Merrion Square.

W Santry, w domu stojącym przy drodze na lotnisko, odbywały się regularnie tajne narady. Frank nie wiedział, że Marie go oszukuje, kiedy twierdzi, że w tym czasie odwiedza rodziców lub spotyka się z przyjaciółmi. Pewnego razu zaproponowała podczas zebrania, by włączyć Franka do Rady. Jim Quinlan, starszy stopniem oficer Provisionals, spojrzał na nią i odparł spokojnie:

- Nie. Arbuthnot przystał do nas, ponieważ odrzuciła go własna rodzina. Nadal jednak jest jednym z nich. Nigdy nie ufałem żadnemu cholernemu Angolowi i nigdy nie zaufam.

Quinlan był człowiekiem surowym, pracował jako strażnik w ochronie kolei.

Filey nie protestował, ale potem powiedział jej:

- Głupio postąpiłaś, Marie. Jimowi nie spodobał się twój pomysł. Poleciał mi, żebym z tobą pogadał.

- Dzięki Frankowi mają w tym roku więcej pieniędzy, niż ich dostali, od kiedy zaczęły się kłopoty - zaoponowała. - Frank całą duszą i sercem pracuje dla Sprawy.

- Tak jak my wszyscy - odparł Filey. - A przy okazji, kiedy znów jedzie do Anglii?

Zaczerwieniła się.

- Co to ma z tym wspólnego?

- Nie obchodzi cię to? - spytał. - Nie przeszkadza ci, że zostajesz sama, kiedy on leci, żeby się z nią spotkać?

Marie odwróciła się od niego.

- Dlaczego miałoby mnie niepokoić, że spędzi kilka dni z siostrą? Claire jest jedyną rodziną, jaka mu pozostała.

- Cieszy mnie, że nie jesteś już o nią zazdrosna - powiedział Filey. - W każdym razie, Jim ma rację. Ufamy Frankowi na tyle, na ile musimy. I ani trochę bardziej. Twoim podstawowym obowiązkiem jest Sprawa, Marie. Tylko dlatego jesteś z Arbuthnotem. Pamiętaj o tym.

Ze spotkania wyszła pierwsza, by zdążyć do domu przed Frankiem, i dzięki temu Jim Quinlan mógł porozmawiać z Seanem na osobności.

- Powiedziałaś jej to bez ogródek?

- Tak. Nie wydawała się dotknięta. To rozsądna dziewczyna. - Podał Quinlanowi ogień.

- Miej na nią oko - rzekł oficer, zaciągając się dymem. Rozsądna czy nie, mieszka z tym bękartem. Nie chcemy, żeby się zanadto zaangażowała w ten związek. Tak na wszelki wypadek, gdybyśmy zmienili zdanie co do Arbuthnota.

- Nie martw się o Marie zapewnił go Sean. Ręczę za nią.

Marie pojechała do domu w Meath. Kiedy dotarła na miejsce, nalała sobie wódki z tonikiem, kopniakiem zrzuciła buty i zapadła się w sofę. Była panią tego domu i kochanką jego właściciela. Mogła zrobić, co chciała, wydać, ile chciała, zmieniać, co chciała, a Frank nigdy nie oponował. Ale zdjęcie Claire Fraser w srebrnej ramce stało niewzruszenie na fortepianie. Pewnego razu Marie zdjęła je stamtąd, a Frank to zauważył już przed upływem

pięciu minut od wejścia do salonu.

- Nie ruszaj go! - wybuchnął.

Nigdy już nie powtórzyła tego błędu, ale nienawiść do tej uśmiechniętej podobizny wzrosła w niej do tego stopnia, że nie siadała w miejscu, skąd mogła ją widzieć. „To ci drań, ten Sean - myślała Marie, próbując wódki o ostrym smaku. - Włożył nóż w ranę i zakręcił nim. »Nie przeszkadza ci, że zostajesz sama, kiedy on jedzie się z nią spotkać?« Nie przeszkadza!». Te wyjazdy doprowadzały ją niemal do szaleństwa, a najgorsze ze wszystkiego było to, że musiała ukrywać swe uczucia. Wbrew temu, co z okrucieństwem powiedział Filey, Marie nie przestała być zazdrosna. Wprost przeciwnie, stała się nawet bardziej zazdrosna i mniej pewna siebie niż kiedykolwiek wcześniej. Frank został całkowicie odrzucony przez ojca, siostra mieszkała w Anglii, reszta rodziny izolowała się od niego. W tej sytuacji powinien zwrócić się ku Marie i odpowiedzieć na jej miłość. Lecz tak się nie stało. Dawał jej pieniądze i obsypywał prezentami, ale chociaż spali ze sobą i razem pracowali, nigdy nie powiedział, że ją kocha. „Tego Filey nie wie” - pomyślała Marie złośliwie. A teraz ta dziwka, jego siostra, urodziła pierwsze dziecko i Frank zabukował już bilet, by polecieć do Anglii z gratulacjami.

Usłyszała, że otwierają się frontowe drzwi i podniosła się szybko, szukając butów. Opróżniła szklaneczkę i odstawiała na tackę. Kiedy Frank ją zawołał, wyszła mu na spotkanie do holu. Uśmiechnęła się i pocałowała go. Frank objął ją ramieniem. Pozory uczucia, które okazywał, wywoływały w niej raczej ból niż nadzieję.

- Witaj - powiedział. - Jak twoja matka?

- Dobrze - skłamała Marie. - Ucieszyła się na mój widok. Poplotkowałyśmy sobie zdrowo, a ona to uwielbia. Miałaś dużo pracy?

Skinął głową. Wsunęła mu rękę pod ramię i pociągnęła do pokoju, w którym na kominku płonął ogień.

- Byłem dosyć zajęty.

- Tęskniłeś za mną? - spytała kokieteryjnie.

Uśmiechnął się.

- Jakżebym mógł? Przez całe popołudnie pani Warren siedziała mi na kolanach!

Roześmiała się dźwięcznie. Pani Warren to najbrzydsza i najgrubsza z sekretarek Franka. Odpowiedź była dowcipna, ale nie taka, o jaką Marie chodziło: „Oczywiście, kochanie, tęskniłem za tobą”.

- Należę ci drinka.

Frank rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Nie chcę.

Odwróciła się, nie spuszczać z niego oka. Do walki z nim pozostała jej tylko jedna broń. I coraz częściej jej używała. Przekręciła klucz w drzwiach.

- Jeśli nie chcesz drinka - powiedziała, podchodząc i siadając mu na kolanach - to co powiesz na to...

I położyła jego rękę na swojej piersi.

*

- Kochanie - rzekł Neil Fraser. - Wspaniała z ciebie dziewczyna.

Trzymał Claire za rękę. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego.

Pomyślał, że wygląda piękniej niż kiedykolwiek dotąd, ale jest bardzo zmęczona i blada. Delikatność, którą promieniowała, głęboko chwyciła go za serce, równie mocno jak widok synka.

- Jest słodki, prawda? - spytała. - I nie trwało to długo.

- Przykro mi, że nie zostałem do końca. Nie mogłem znieść ostatniego stadium, widoku twojego cierpienia - podniósł jej dłoń do ust.

- Nie bądź głuptasem, kochanie - powiedziała łagodnie. - To nie było takie straszne.

Claire nie zgodziła się na znieczulenie. Upierała się, by w pełni przeżyć doświadczenia związane z porodem pierwszego dziecka. I to, i ucieczka Neila z sali, nie zjednało im ginekologów.

- Jesteś zadowolony, że to chłopiec? Wiem, że chciałeś mieć syna, chociaż nigdy tego nie mówiłeś.

- Po prostu cieszę się, że mamy zdrowe dziecko - odparł Neil. - Czekać na dole, myślałem cały czas o tym, że obchodzi mnie tylko to, by nic ci się nie stało. Jestem z ciebie taki dumny. I tak bardzo cię kocham.

Widziała łzy w jego oczach i była tym zaskoczona. Wyobrażała sobie, że Neil będzie dumny i zadowolony jak każdy ojciec pierwszego dziecka, na dodatek syna. Nigdy dotąd nie widziała męża równie wzruszonego. Naprawdę ją kochał. Bardziej niż niemal dwa lata temu po ślubie. Nawet kiedy wymiotowała w czasie ciąży, była niezgrabna i traciła nad sobą panowanie, Neil zadziwiał ją cierpliwością i troską, którą jej okazywał. „Mam ogromne szczęście - myślała Claire. - Powinnam tryskać radością, ale jej nie czuję. Kiedy zabrali ode mnie dziecko, nie było mi wcale przykro. Czuję się tylko potwornie zmęczona. To wszystko było sporym szokiem. Radość pewnie przyjdzie jutro”.

- Jesteś szczęśliwa? - spytał Neil bardzo ożywiony. - Prawda, kochanie? To nie było dla ciebie zbyt bolesne?

- Nie - odparła. - Oczywiście, że nie. Telefonowałeś już do wszystkich?

Skinął głową.

- Jak tylko się dowiedziałem. Ojciec jest zachwycony. Zadzwoiłem też do Claudii i Philipa. Są wzruszeni. Przylatują jutro.

- Powiadomiłeś Franka? - zapytała po chwili.

- Nie miałem czasu. Jak tylko skończyłem rozmawiać z Claudią, przyszedłem prosto do ciebie. Zadzwoię później.

- Nie kłopotz się tym - ścisnęła dłoń męża. - Sama z nim porozmawiam. Idź do domu, kochanie. Byłeś tu całą noc.

- Nic mi nie jest - odparł Neil. - Ale ty czujesz się zmęczona, prawda?

- Trochę - przyznała Claire.

Pochylił się nad nią i pocałował.

- Dziękuję ci - powiedział cicho. - Będzie wspaniałym małym facetem. Teraz zaśnij, a jutro odwiedzę cię w porze lunchu.

Gdy szedł do drzwi, odwróciła się, odprowadzając go wzrokiem. Zanim je zamknął, zatrzymał się i pomachał jej nieśmiało. Potem Claire została sama. Po całym tym gwałtownym przeżyciu czuła się odrętwiała i zszokowana, ale nie powiedziała tego Neilowi. Tak bardzo się o nią niepokoił. Niemal czuł się winny z powodu jej cierpienia. A jaki szczęśliwy! To bardzo wzruszające. Dziecko było słodkie. „Biedne maleństwo - pomyślała Claire - nie będzie miało lekko”. Jej rodzice będą się trząść nad swoim pierwszym wnukiem. Obdzwoi wszystkich znajomych. Krewni w całej Irlandii będą wznosić toasty za zdrowie ich potomka. Strzelające korki szampana i gratulacje. Ale nikt z nich nie powie ani słowa jej bratu. Wyciągnęła rękę i nacisnęła dzwonek. Pielęgniarka zjawiała się niemal natychmiast.

- Dzień dobry, pani Fraser. Jestem siostra Adams. Właśnie zaczęłam dyżur. Jak się pani czuje?

Pielęgniarka pomyślała, że położnica ma szarą twarz i wygląda na wyczerpaną. Musiała przeżyć trudne chwile. Te wariatki i ich naturalne porody!

- Jest pani pewnie trochę zmęczona - powiedziała, nie spodziewając się uzyskać odpowiedzi.

- Proszę mi podłączyć telefon - poleciła Claire.

Dziesięć minut później rozmawiała z Frankiem, który był w Irlandii.

- Zostałeś wujkiem - oznajmiła. - Zdrowy chłopczyk... Czuję się dobrze. No cóż, to nie było zbyt zabawne. Nie miałabym dziecka, gdybym mogła temu zapobiec. Nie, oczywiście, czuję się dobrze... Nie płaczę... Frank, kiedy przyjedziesz? Chciałabym, żebyś był

przy mnie - po jej twarzy płynęły łzy, mocząc poduszkę. - Neil jest niemożliwie przejęty. Wszyscy są przejęci, tylko nie ja. Czuję się bardzo otępiała. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie, mama i tata przylecą jutro. Nie obchodzi mnie to. Chcę, żebyś ty przyjechał. Będziesz ojcem chrzestnym, pamiętaj. Co słyhać w Irlandii? Pozdrów ją ode mnie.

Chwilę słuchała tego, co mówił Frank. Przez całe jej życie był w pobliżu i spieszył ze słowami otuchy. Nie rozumiała dlaczego, ale jeszcze nigdy nie potrzebowała go tak bardzo jak teraz, a brat znajdował się po drugiej stronie Morza Irlandzkiego. W dodatku w telefonie trzeszczało, co utrudniało rozmowę. Pielęgniarka otworzyła drzwi.

- Myślę, pani Fraser, że powinna pani postarać się zasnąć.

Claire nie miała siły spierać się z nią. Zmuszenie jej do przyniesienia telefonu już było sporym wysiłkiem.

- Muszę kończyć - powiedziała do słuchawki. - Zawiadam mnie, kiedy przylecisz. Tak, będę. Do widzenia, Frank, kochany.

Posłusznie pozwoliła siostrze poprawić poduszki i ułożyła się do snu. Zamknęła oczy. Jej mąż był zachwycony. Jej rodzice są przejęci. Miała synka. Z oczu ciekły jej łzy. Czowała się samotna, tęskniła za domem i była obojętna na wszystko.

*

Marie przysłuchiwała się tej rozmowie telefonicznej. Pośpieszyła z gratulacjami, ale Frank wydawał się nie zwracać na nie uwagi.

- Coś jest nie tak powiedział.

W duszy Marie pojawił się płomyk nadziei.

- Och, nie. Twojej siostrze nic się nie stało, prawda? Chodzi o dziecko?

- Z dzieckiem wszystko w porządku - odparł zniecierpliwiony. - Ale wygląda mi na to, że z Claire nie jest najlepiej. Mógłbym przysiąc, że płakała podczas naszej rozmowy.

Zmarszczył czoło.

- Och, nie martwiłabym się tym - rzekła Marie. - Wiele kobiet płacze po porodzie. To całkiem normalne.

Wzruszyła ramionami, jakby nie było się czym przejmować. Frank spojrział na nią.

- Nie Claire. Znam swoją siostrę. Lepiej będzie, jeśli polecę do Londynu już dzisiaj.

- Jeżeli jest w depresji - odezwała się po chwili Marie - to z pewnością jej mąż jest jedynym człowiekiem, który powinien się tym zająć.

Frank nie odpowiedział. Nie miał pojęcia, czy dlatego, że jest zły, czy dlatego, że jego kochanka dotknęła bolącej rany. „»Lepiej będzie, jeśli polecę do Londynu już dzisiaj«». Na rany Chrystusa - krzyknęła w duchu Marie - jeśli wymaga, żeby ktoś się nią zajął, to przecież

ma męża, ojca i matkę. Dlaczego to ty masz tam pędzić?”

- Masz rację - odezwał się nagle Frank. - Oczywiście, masz rację. Ale ona mu nie powie. Przed nim będzie robiła dobrą minę do złej gry. Mamy kuzynkę, która zapadła na depresję poporodową. Leczyła się trzy lata. Porozmawiam z Neilem.

Frank poleciał do Londynu dziesięć dni później. Claudia i Philip dopiero co stamtąd wrócili, a Claire miała zostać wypisana ze szpitala do domu. Czowała się już dużo lepiej. Dzięki szybkiej reakcji lekarzy na ostrzegawczy telefon Franka opuściło ją dojmujące uczucie nieszczęścia. Nie wiedziała, dlaczego Neil spędzał z nią tyle czasu ani czemu dziecko jest z nią tak długo, podczas gdy pielęgniarka siedzi w pokoju i plotkuje z nią. Widziała swoich rodziców, ale nie dostrzegała, że są zmartwieni, ani nie zauważała, że całe dnie mijają jej na płaczu bez wyraźnego powodu. W separacie było tyle kwiatów, że wazonny musiano ustawiać na podłodze, a na noc wynosić na korytarz. Neil ofiarował jej broszkę z rubinami, która musiała kosztować majątek.

Claire czuła się lepiej, ale wciąż pytała, kiedy zjawi się brat. Nie widziała przy tym grymasu złości na twarzy męża, gdy za każdym razem temu pytaniu towarzyszyło więcej łez. Aż w końcu przyjechał. Drzwi otworzyły się i zamiast Neila, lekarza czy siostry szpitalnej, w pokoju pojawił się Frank z wielkim bukietem kwiatów opakowanych w celofan. Pigułki i terapia odnosiły skutek, ale gdy go zobaczyła, ostatnie chmury zniknęły i Claire roześmiała się ze szczerzej radości. Zadzwoiła, żeby przyniesiono jej dziecko, i trzymając je w ramionach, po raz pierwszy była prawdziwie wzruszona swoim macierzyństwem.

Frank orzekł, że dzieciak jest wspaniałym facetem, a Claire mówiła bez przerwy o porodzie. Wreszcie mogła wyrzucić z siebie prawdę i nie musiała udawać, że nie było jej to nienawistne i że się nie bała. Słuchał, siedząc obok niej i trzymając palec w zaciśniętej piąstce śpiącego dziecka.

W końcu Claire wyplakała się i powiedziała:

- Omal mnie nie rozniosło, kiedy dusiłam to wszystko w sobie.

A Frank zrozumiał, że niebezpieczeństwo minęło. Kiedy wyszedł z jej pokoju, spotkał Frasera. Podali sobie dłonie. „Neil wygląda starzej niż podczas naszego ostatniego spotkania na kolacji w londyńskim hotelu” - pomyślał. W oczach miał coś, czego nawet nie starał się ukryć.

- Jak ona się czuje? - spytał.

- Teraz już dobrze - odparł Frank. - Ale nie śpieszyłbym się z kolejnym dzieckiem.

- Powiedziano mi to samo - rzekł Neil wolno. - Jestem pewien, że twoja wizyta bardzo jej pomogła. Jutro Claire wraca do domu. Może zostałabyś na kilka dni? Wiem, że chciałaby

tego.

- To bardzo miło z twojej strony, Neil. Jeżeli uważasz, że to mogłoby pomóc Claire, byłbym zachwycony, ale nie chcę ci przeszkadzać.

- Ani trochę. Przyjedź na kolację.

Odwrócił się, kładąc dłoń na klamce.

- A więc do zobaczenia - powiedział i wszedł do pokoju żony.

Zobaczył jej rozjaśnioną twarz i po raz pierwszy od chwili narodzin dziecka poczuł lekkość w sercu. Z Claire było dużo lepiej. Wyciągnęła do niego ramiona, czuła jak dawniej. Ale ulga, jakiej Neil doznawał, mieszała się z nowym bólem. Robił dobrą minę do złej gry, gdyż miał świadomość, że w tej najważniejszej chwili jego żona zwróciła się o pomoc do brata. Po tylu wspólnie przeżytych latach i po urodzeniu dziecka Claire nadal nie należała bez reszty do niego.

*

Dziecko zostało ochrzczone w starym normańskim kościele w Gloucestershire. Claire wyglądała na zdrową i szczęśliwą, kiedy trzymała - na użytek zgromadzonych na zewnątrz fotografów - dziecko w ramionach. Rodziców chrzestnych było czworo: Frank, kuzyn Hamiltonów, daleki krewny Neila i gwiazda tego kwartetu, wpływowy torysowski członek Komitetu 1922. Claudia i Philip zatrzymali się na weekend u ojca Neila. Dzieckiem, któremu nadano imiona Peter Francis Hugh, zajmowała się energiczna młoda niania.

Jego wujek przebywał wówczas w Stanach, ale przysłał telegram i piękny srebrny irlandzki kufel. Frank słusznie postąpił, nie przylatując z Ameryki. Claire zaakceptowała jego decyzję, a Neil poczuł w duchu ulgę. Dzięki temu nie było powodu do zakłopotania ani okazji, by ten dzień zepsuć. Neil uważał za nieprawdopodobne, że Philip wydziedziczył syna z powodu różnicy poglądów politycznych. Irlandia to jeden wielki kocioł nieporozumień i uprzedzeń, które dla Frasera nie miały najmniejszego sensu. Arbuthnotowie nie rozmawiali ze sobą, a Neil wcale nie chciał, by chrzest jego syna stał się okazją do rodzinnej konfrontacji.

Po wakacjach spędzonych w Portugalii Claire była w znakomitej kondycji. „Jest jeszcze piękniejsza” - pomyślał z dumą Neil, obserwując ją na tle słonecznego angielskiego ogrodu. Była opalona, znowu szczupła i zyskała nową, dojrzałą pewność siebie. Jego koledzy z parlamentu twierdzili, że Claire jest idealną żoną dla pnącego się w górę polityka. Teraz, gdy jego życie osobiste zmieniło się w rutynę - żona, dziecko, dom na wsi i londyńskie mieszkanie w pobliżu Division Bell - Neil zaczął intensywnie koncentrować się na swojej karierze. Claire była pełna entuzjazmu. Ich życie seksualne było satysfakcjonujące, jak zawsze. Nie istniało nic, co Neilowi mogło przeszkodzić w karierze. To był najlepszy sposób,

by zapomnieć, że pomimo wszystkiego, co dobre, od chwili przyjścia na świat dziecka pomiędzy małżonkami pojawił się jakiś rozdźwięk. Widząc Claire ożywioną i śmiejącą się w towarzystwie przyjaciół, Neil zastanawiał się czasami, czy nie zauważają oni subtelnej zmiany, jaka zaszła w ich związku.

Ktoś obcy krył się za uśmiechem pojawiającym się na zawołanie, a trzymał się z daleka podczas gorących, namiętnych nocy. Neil zdawał sobie sprawę z jego istnienia nawet tego szczególnego dnia, kiedy świeciło słońce, a jego syn popiskiwał w ramionach Claire jak zadowolone pisklę. Neil gardził litowaniem się nad sobą. Lekiem na wątpliwości była praca.

Od dnia chrztu syna Fraser kierował się nowymi priorytetami. Miał zamiar awansować w hierarchii Partii Konserwatywnej. Kiedy został wiceministrem, jego dziecko miało osiemnaście miesięcy.

A trzy miesiące później w „The Times” pojawiło się zdjęcie jego szwagra, Franka Arbuthnota, przemawiającego w Nowym Jorku z ramienia Noraid. Na trybunie w tle znajdowało się kilku najbardziej znanych stronników IRA w mieście.

Neil miał pewność, że Claire je widziała. Czekał na jej komentarz, ale nie odezwała się na ten temat ani słowem. Zjadła z nim lunch w Izbie Gmin i wytrwała w parlamencie całe posiedzenie, podczas którego przemawiał. Była tam, ale nie z nim. Zachowywała się tak, jakby uchylała się od przyjęcia do wiadomości tego, jakie znaczenie dla politycznej kariery Neila musi mieć publiczne wystąpienie jej brata. Po debacie jego minister wziął go prywatnie na słówko. W Izbie oczekuje się, powiedział, że dziś po południu Neil zdecydowanie odetnie się od poglądów szwagra. W związku z tą sprawą w prasie mnożą się rozmaite pytania. Neil odpowiadał ostrożnie. Określił brata Claire jako niezrównoważonego psychicznie ekscentryka, którego nie należy traktować poważnie. Minister odparł, że uważa podobnie, niemniej Neil powinien ostro skrytykować pana Arbuthnota. Z całą pewnością opozycja skorzysta z okazji, by podnieść kwestię bezpieczeństwa państwa, a wpływowa frakcja prounionistyczna w jego własnej partii i sami posłowie z Ulsteru będą napadać na niego, póki Neil nie przekona ich, że i on, i jego żona przecięli wszystkie więzy, łączące ich z jawnym wrogiem Wielkiej Brytanii. Słowa „pańska żona” zostały wymówione z naciskiem. Neil powiedział, że oczywiście, Claire podziela jego pogląd na tę sprawę i na pewno podtrzyma wszystko, co on powie.

Podczas jazdy do domu na obiad, a przed powrotem do Izby Gmin zastanawiał się, jak ma poruszyć z nią tę kwestię. Nie musiał niczego wymyślać, ponieważ gdy tylko otworzył drzwi mieszkania, rozległ się dzwonek telefonu. To był Philip.

- Widzieliśmy dzisiaj prasę - powiedział teść. - Oboje z Claudią jesteśmy

wstrząśnięci. Chcemy, żebyś wiedział, jak nam cholernie przykro. To musi być dla ciebie bardzo niezręczne, Neil.

- Owszem - przyznał. - Pojawiło się wiele komentarzy.

- On zwariował - powiedział Philip ze złością. - Tak powiem, jeśli mnie ktoś spyta. Cały dzień gotowało się we mnie na myśl o tym, jakie to musi być dla ciebie kłopotliwe.

- Muszę wygłosić wieczorem oświadczenie - oznajmił Neil. - Mam nadzieję, że to rozumiecie. Muszę powiedzieć bez owijania w bawełnę, co sędzę o Franku i o tym, co zrobił. Problem w tym, że nie wiem, jak Claire to przyjmie.

- Chcesz powiedzieć, że ona może go popierać? Na litość Boską, daj ją do telefonu, żebym przemówił jej do rozumu! To niewdzięczność z jej strony!

Neil odwrócił się i zobaczył Claire stojącą w drzwiach. Na chwilę przysłonił dłonią mikrofon.

- To twój ojciec. Chce z tobą rozmawiać.

Potrząsnęła głową.

- Jeśli o Franku, to nie chcę z nim mówić. To dlatego dzwoni, tak? - spytała cicho.

- Tak - odparł Neil.

- Powiedz, że mnie nie ma odwróciła się i wyszła z pokoju.

To była ich pierwsza poważna kłótnia. Z początku Neil był rozsądny, spokojny i obiektywny. Zapytał, dlaczego przemilczała coś, co - jak wiedziała - musi mieć poważny wpływ na jego polityczną karierę. Nie czekał długo na odpowiedź, ponieważ poznał po wyrazie twarzy Claire, że żadnej mu nie udzieli. Opisał jej rozmowę z ministrem i poinformował o jego poleceniu, któremu za kilka godzin będzie musiał sprostać. Zaczął krzyczeć, bo pusty wzrok i milczenie żony spowodowały, że stracił nad sobą panowanie.

- Nawet twój ojciec jest po mojej stronie - powiedział Neil z wściekłością - a ty nie raczyłaś z nim porozmawiać!

- Nienawidzi mojego brata - odezwała się Claire nagle. - Weźmie stronę każdego, kto jest przeciwko Frankowi. Oczywiście, że Philip zadzwonił. I co zrobił? Wygłaszał frazesy i bredził. Nie, nie miałam zamiaru go słuchać. Po tym, jak się dowiedziałam, że nie zapisał Frankowi Riverstow, nie dopuszczę by rozmawiał ze mną o Franku. Powiedziałam to Philipowi.

Neil zrobił krok w jej stronę.

- Claire, czy ty nie rozumiesz? Nie mówimy tutaj o rodzinnych niesnaskach, tylko o mojej karierze politycznej! Wszystko, co Frank robi, trafia rykoszetem we mnie. Brat mojej żony okazał się jawnym poplecznikiem frakcji tymczasowej IRA! Czy mam ci przypomnieć,

że dwa miesiące temu pięciu brytyjskich żołnierzy zostało zabitych w zasadzce w Irlandii Północnej? Muszę publicznie potępić Franka w Izbie Gmin.

Neil przestał mówić i starał się uspokoić. Prosił Boga, by pozwolił mu nie stracić panowania nad sobą i nie krzyczeć na żonę.

- Spodziewam się, że poprzecz moje stanowisko - powiedział. - Muszę oświadczyć, że oboje odrzucamy wszystko, co Frank mówił i co wspiera. Inaczej nie będę mógł utrzymać mojej pozycji.

Neil odwrócił się i poszedł przygotować sobie drinka. Ręce mu się trzęsły. Usiłował zapanować nad sobą.

- Nalać ci czegoś?

- Nie, dziękuję - odparła Claire. - Zamierzasz więc wygłosić oświadczenie. Jeśli chcesz mnie włączyć, nie zaprotestuję. Mam nadzieję, że to wystarczy.

Usiadł, stawiając na stoliku szklaneczkę z nietkniętym drinkiem.

- Czy ja cię w ogóle nie obchodzę? Nie interesuje cię to, że jego działania stawiają mnie w cholernie trudnej sytuacji? Nie - Neil pokręcił z wolną głową. - Nie, nie obchodzi cię. Franka zawsze stawiasz na pierwszym miejscu, prawda?

Czekał pełen obaw, że Claire powie coś, co wszystko między nimi zniszczy, ale nie zrobiła tego. Podeszła i usiadła obok niego.

- Oczywiście, że mnie obchodzisz i rozumiem, co to dla ciebie znaczy. Kiedy zobaczyłam dziś rano gazetę, nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Nie możesz tego pojąć? Pomyślałam: Mój Boże, Frank powiedział to publicznie! Jak Neil zareaguje? Nie mogę go potępić, Neil, bo wiem, co on czuje. Nie zgadzam się z jego poglądami, ale rozumiem, dlaczego Frank uważa, że ma rację.

- Zakładając, że zapytano by cię o to wprost - odezwał się Neil - co byś powiedziała?

- Że nie mam nic do dodania do oświadczenia mego męża.

Podniósł swoją szklankę.

- Nie byłoby źle, gdybyś na kilka dni zniknęła z Londynu - odezwał się po chwili. - Jedź do Gloucestershire. Nie rozmawiaj z dziennikarzami.

Poczuł przyływ bólu i rozczarowania.

- Byłoby dobrze, gdybyś wieczorem zjawiała się w Izbie. Wzmocniłoby to wymowę mojego oświadczenia.

Claire wstała. Zrozumiał, że mówił na próżno.

- Nie przyjdę - powiedziała. - Nie mogę siedzieć w parlamencie i słuchać, jak lżą mojego brata i przedstawiają jako zdrajcę. Nie zrobię tego nawet przez wzgląd na twoją

karierę. Pojadę dziś do domu. Dopóki burza nie ucichnie, poradzisz sobie lepiej beze mnie.

Gdy Neil wygłaszał oświadczenie, które następnego dnia znalazło się w nagłówkach gazet, Claire znajdowała się w drodze na wieś. Jego wystąpienie było jednym z najostrzejszych ataków na IRA i stosowane przez nią metody, jakie kiedykolwiek słyszano w Izbie Gmin. Neil Fraser poprawił swą reputację. Kiedy przyjechał w weekend do domu na wieś, po raz pierwszy od początku ich małżeństwa po niemal tygodniu rozłąki nie spali ze sobą.

10.

Frank zrozumiał, o co chodzi, jak tylko ją zobaczył. Do pubu w Gloucestershire Claire dotarła pierwsza i kiedy się podniosła na powitanie, jej stan ujawnił się w całej pełni.

Potem siedli obok siebie w zacisznej mrocznej salce. Podeszła kelnerka, pytając, czy przed lunchem życzą sobie drinka. Rodzeństwo nie widziało się blisko trzy miesiące. Frank nie wspominał o Neilu. Przyjechał na wieś, by zobaczyć się z Claire. Zmieniali miejsca spotkań. Czasami był to Londyn, ale wówczas Frank niepokoił się o to, że Claire może zostać rozpoznana. Nie chciał jeszcze bardziej komplikować jej życia małżeńskiego. A problemy pojawiły się już za pierwszym razem, gdy Claire powiedziała Neilowi parę miesięcy po głośnej sprzeczce, że widziała się z Frankiem. Później spotykała się z bratem w tajemnicy przed mężem.

- Claire, jesteś w ciąży!

- Wiedziałam, że zauważysz - rzekła z uśmiechem. - Owszem, w piątym miesiącu.

- Dlaczego? - spytał. - Dlaczego na to pozwoliłaś? Powiedziano wam, że nie powinnaś mieć więcej dzieci. Na litość boską, co z niego za mąż?!

- Neil narobił tyle samo hałasu, co ty w tej chwili - zganiała go siostra. - Mówił nawet o usunięciu ciąży, ale szybko wybiłam mu to z głowy. Chcę tego dziecka, Frank. Wiem, co robię. Nie będzie tak, jak za pierwszym razem.

Potrząsnął głową.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ nie zamierzam się tym razem wygłupiać i upierać przy naturalnym porodzie. Wszystko pójdzie gładko. Tak czy inaczej, Peter nie może rosnąć jako jedynak. Potrzebny mu brat albo siostra. Pamiętasz, ile radości przeżyliśmy wspólnie w dzieciństwie?

- Oczywiście, że pamiętam - odparł łagodnie. - Ale my rośliśmy dziko. Nie tak jak tutejsze dzieci.

- Rzeczywiście. Mam dobrą piastunkę, ale jak tylko urodzę, zamierzam się jej pozbyć. Jest zbyt ostra dla Petera, a ja połowę czasu spędzam w Londynie. Musisz mi znaleźć jakąś miłą dziewczynę z naszej okolicy i przysłać ją tutaj, Frank. Możesz to zrobić?

Nie powiedział jej, że miła irlandzka niania w domu angielskiego wiceministra może przyprawić ludzi z ochrony o atak serca. Nie chciał pogłębiać rozłamu, który już istniał. Był

tylko niespokojny i zły dlatego, że wystawiała swoje zdrowie na ryzyko. Kochający mąż nie zdawałby się na przypadek, tylko uważał, by Claire na pewno nie zaszła w ciążę.

- Dobrze się czujesz? Nie masz mdłości?

- Nie mam - odparła. - Tym razem jest zupełnie inaczej. Może to dziewczynka. Nie patrz tak, Frank. Jestem pod opieką mojego lekarza i ginekologa. Wszystko będzie dobrze. Poprzednim razem miałam niewielki atak depresji poporodowej, ale kiedy do mnie przyjechałeś, wszystko minęło. Powiedz mi, co w domu?

Mówiąc „dom”, miała na myśli Irlandię. Żadne z nich nie wspominało o Riverstown, żeby nie zepsuć tych kilku godzin, które dla siebie mieli.

- Mniej więcej jak zwykle - odparł. - Tak naprawdę nic się nie zmienia. Drożyzna, wściekła inflacja. Finansujemy poszukiwania ropy, żeby nas z tego wyratowała. Możesz sobie wyobrazić Irlandię zamienioną w arabski szejkanat?

Claire roześmiała się.

- Poczęstujesz mnie papierosem? Dzięki.

Zapalił go jej.

- Jak sprawy?

Spojrzała na niego.

- Między mną i Neilem? Raz dobrze, raz źle. Dlatego pomyślałam, że kolejne dziecko to niezły pomysł. Chyba nie damę mężowi zbyt wiele szczęścia.

- Chcesz powiedzieć, że to on nie uszczęśliwia ciebie - zauważył Frank. - Dlaczego nie odejdziesz, zanim nie jest za późno?

- Masz na myśli, żeby go zostawić? Nie bądź głupcem, Frank. Nigdy nie opuszczę Neila. Pomijając już kwestię Petera i ciąży, to co miałabym robić?

- Wrócić do kraju, do którego należysz - rzekł wolno. - Zacząć wszystko do początku. Zaopiekowałbym się tobą. Znalazłabyś sobie kogoś innego, jednego z naszych. Przemyślałem to. Życie jest zbyt krótkie, żeby być nieszczęśliwym. Neil dałby sobie z tym radę.

Zgasiała papierosa.

- Nie powinnam tego mówić - Claire odsunęła krzesło. - Nie proponuj mi, bym go opuściła. Nie mogę tego zrobić i nie chcę. Kocha mnie i nie zamierzam złamać mu serca.

- Myślisz o tym, że to zaszkodziłoby jego karierze - odciął się.

- Nie w dzisiejszych czasach - zlekceważyła przypuszczenie Claire.

- Połowa polityków w tym kraju jest rozwiedziona lub powtórnie żonata. To nie Irlandia. Tego typu sprawy nikogo tu nie obchodzą. Chodź, siądźmy do lunchu i pogadajmy o czymś przyjemnym. Chcę poznać wszystkie nowiny - kogo widziałeś i co kto robi.

Pod koniec posiłku powiedziała:

- Frank, muszę cię o coś spytać. Jesteś pewien, że masz rację, popierając teraz Provosów? Ostatnio robili okropne rzeczy. Naprawdę uważasz, że to właściwa droga?

Zawahał się. Nikt oprócz Claire nie pytał go o to. Nikt inny też nie przyjąłby odpowiedzi, jakiej udzielił.

- Myślę, że to nie w porządku posuwać się tak daleko, jak oni to robią. Na pewno nie. Ostatnio mam bardzo poważne wątpliwości. I powiedziałem to.

- Frank, czy możesz takie rzeczy mówić otwarcie? - spytała powoli. - Czy to bezpieczne? A co, jeśli ktoś pomyśli, że zmieniasz drużynę?

- O tym nie ma mowy - zaprotestował. - Wierzę w Zjednoczoną Irlandię. Chcę zobaczyć, jak armia brytyjska opuszcza Ulster. Tam toczy się wojna. Cokolwiek spotyka angielskich żołnierzy w Irlandii Północnej, to jest uczciwa gra.

Pochylił się ku niej.

- Mój sprzeciw budzi mordowanie cywili. Powiem ci coś.

- Co?

- Byłem u katolickiego księdza.

Claire zamurowało.

- Nie wierzę. Po co?

- Zostałem ochrzczony jako katolik - odparł. - Wiesz o tym. Poszedłem porozmawiać ze starym ojcem Gormanem.

Claire знаła proboszcza z Sallins, miłego człowieka, który był spowiednikiem wszystkich służących w Riverstown, jak daleko sięgała pamięcią.

- Na litość boską, Frank! Co mu powiedziałeś? Musiał uznać, że straciłeś rozum!

Ta odruchowa reakcja wywołała jego uśmiech. Jeden z Arbuthnotów w saloniku księdza z Sallins!

- Był trochę zaskoczony - przyznał. - Wypiliśmy razem po filiżance herbaty. Opowiedziałem mu o swoim katolickim chrzcie.

- Chyba nim wstrząsnęło - wyraziła przypuszczenie Claire.

Nie rozumiała, dlaczego ta sprawa tak bardzo ją irytuje.

- Wstrząśnięty nie był - odparł Frank. - Wiesz, że zawsze patrzyliśmy z góry na katolickich księży. Ja też. Ojciec nazywał ich bagiennymi ludźmi, ale stary Gorman by cię zaskoczył. Siedział i pozwalał mi mówić.

- O czym?

- O moich odczuciach w stosunku do Irlandii i o trudnościach, jakie mam z

samookreśleniem. Zapytałem go, czy jego zdaniem powinienem zapoznać się z doktryną katolicyzmu, żeby sprawdzić, czy mi to pomoże.

- Założę się, że podskoczył z radości! - ironizowała.

- Nie, nie skakał. Powiedział, że jeśli jestem tym naprawdę zainteresowany, z radością udzieli mi wskazówek. Ale nie zrobi tego, dopóki popieram przemoc, którą się stosuje wobec moich rodaków. To są jego słowa, Claire. W kościele Chrystusa nie ma miejsca dla ludzi z rękami splamionymi krwią.

Zapadła cisza, a po chwili Frank dodał:

- Nigdy więcej do niego nie wróciłem. Ale dotarło do mnie to, co chciał mi przekazać. Zupełnie nie to, czego oczekiwałem.

- Ja też bym się tego nie spodziewała - odezwała się Claire. - Frank, nie wolno ci się zagłębiać w te wszystkie bzdurne przesady. W jaki sposób ojciec Gorman może stawiać czoło problemom kogoś takiego jak ty?

- Myślę, że znakomicie dał sobie radę - powiedział łagodnie Frank.

- Och, gdybym tylko tu nie mieszkała! - wykrzyknęła. - Gdybym była blisko, nawet do głowy by ci nie przyszło zrobić coś takiego! Już sobie wyobrażam te plotki!

- Nie będzie plotek - rzekł Frank. - Żaden ksiądz nie złamie tajemnicy spowiedzi. Nie patrz na to w ten sposób. Na pewno znasz mnóstwo ludzi, którzy chodzą do psychoterapeutów.

- Tu nie ma żadnego porównania. Jeden to lekarz, a drugi szarlatan! - spostrzegła wyraz twarzy brata. - Przepraszam, nie chciałam tego powiedzieć. To dlatego, że nie potrafię traktować poważnie twojego zainteresowania rzymskim katolicyzmem.

- Oczywiście, że chciałaś to powiedzieć, bo tak zostałaś wychowana. Ja też. Bycie protestantem jest warunkiem przynależności do establishmentu. Pamiętam, jak nasz ojciec powiedział o kimś, kto zmienił wyznanie: „Żaden dżentelmen w Irlandii nie jest katolikiem”. Pomyślałem wtedy: dlaczego nie? A dlatego, że katolicyzm jest religią rdzennych Irlandczyków, kościołem wieśniaków. Ciągłe to samo - oni i my. Powinnaś starać się spojrzeć na to bez uprzedzeń i nie powtarzać starych komunałów.

Claire szukała czegoś w torebce. Miała lzy w oczach.

- Frank, kochany - powiedziała. - Tak mi przykro. Jestem nietaktowną idiotką. Nigdy więcej nie powiem czegoś takiego.

Uśmiechnął się, a ona poczuła się natychmiast rozgrzeszona.

- Ależ tak, powiesz.

Przed pubem pomógł jej wsiąść do samochodu. Nachylił się do okienka.

- Uważaj na siebie. I, na litość boską, nie martw się o mnie. Wiem, czego chcę, i wiem, co robię. Napisz, dobrze?

- Napiszę, obiecuję.

Spojrzała na niego. Pożegnanie zawsze było bolesne. Bolało jeszcze długo, kiedy była już w domu.

- Chciałabym... - zaczęła, a potem urwała.

- Czego byś chciała? - podjął.

Uruchomiła silnik.

- Żebyśmy nie mieszkali tak daleko od siebie.

Frank pomachał ręką, patrząc za odjeżdżającym samochodem. Nie zauważył dwóch mężczyzn, którzy siedzieli w fordzie stojącym na parkingu. Nie wiedział, że zjawili się zaraz po jego przyjeździe na spotkanie z siostrą. Jeden z nich zapisał w notesie godzinę odjazdu Claire, a potem pojechali za Frankiem do Londynu. Każdy krok Arbuthnota był obserwowany, ale ważne okazały się jedynie spotkania z żoną wiceministra, któremu trzeba będzie o tym powiedzieć wcześniej czy później.

*

Kiedy na świat przyszła jego córka, Neil podróżował po Bliskim Wschodzie, by rozeznac się w sytuacji politycznej. Poród odbył się dwa tygodnie przed terminem. Claudia przyleciała do Anglii natychmiast, jak się tylko o tym dowiedziała. Zjawiała się sama, ponieważ Philip wyszedł niedawno z ciężkiego przeziębienia i nie czuł się jeszcze dobrze. „Nie jest już taki młody - powiedziała córce - ale na szczęście obyło się bez komplikacji”. Neil przysłał kwiaty i telegram, ale nie mógł przerwać podróży. Poród przebiegł spokojnie i pomyślnie, a Claire lubiła karmić córeczkę. Pierwszego dziecka nie mogła karmić piersią.

Przyjemnie było mieć przy sobie Claudię, która wprowadziła się do domu w Gloucestershire i wszystkim się zajęła. Kiedy więc pięć dni później Claire wypuszczono ze szpitala, zastała u siebie nową nianię i matkę, która zarządzała ich gospodarstwem tak sprawnie, jakby niczego innego w życiu nie robiła.

- Wylałam tamtą dziewczynę - oznajmiła Claudia. - Złapałam ją na tym, że biła Petera za jakieś drobne przewinienie. Kazałam się jej spakować i wynosić do diabła, zanim wrócisz do domu. Ta nowa jest bardzo miła. Biedny mały, nie wolno nam dać mu odczuć, że jest odtrącany z powodu nowo narodzonego dziecka. Musisz mu okazać tym więcej uwagi.

- Ty zajmujesz się nim za nas obie - powiedziała Claire. - Jesteś cudowna. To wspaniale znowu być w domu. Nienawidzę szpitali. Tak okropnie śmierdzą.

Claudia zabawi w Gloucestershire aż do powrotu Neila, potem wyjeżdża, oświadczyła,

i nic nie mogło zmienić jej postanowienia.

- Ostatnia rzecz, którą chciałby zobaczyć mężczyzna po powrocie do domu, to stercząca przed nim teściowa. Teraz jesteście idealną rodziną, kochanie. Przyjmij moją radę i poprzestań na tym. Dwójka dzieci to dość. Masz parkę gołąbków. Lucy jest taką małą, słodką drobiną, prawda? To imię znakomicie do niej pasuje. Pewnie będzie podobna do Neila kubek w kubek!

Z Irlandii nadszedł list, a wraz z nim do domu dostarczono olbrzymi kosz kwiatów. Przesłał je Frank, ale Claudia tego nie skomentowała. Jej pasierb nie był wart nawet słowa. Jakikolwiek sprzeciw wobec życzenia Philipa, by nie oddawać synowi Riverstown, nie wchodził w grę. Claudia uważała postępowanie Franka za absolutnie nikczemne. Na własny użytek nazywała go zdrajcą. Dzięki Bogu, że Claire została ponownie szczęśliwą matką ślicznego dziecka i że ma tak wspaniałego męża, który naprawdę wspinał się po szczeblach władzy. Już teraz obiecano mu stanowisko ministra, jeśli torysi zwyciężą w następnych wyborach. Pewnego dnia Neil może zasiąść w fotelu premiera, powiedziała Philipowi.

Kiedy Claudia wróciła do Riverstown, Philip leżał w łóżku. Powiedział jej, że podczas spaceru w ogrodzie dostał zawrotu głowy. Billy pomógł mu wrócić do domu, a lekarz zalecił wypoczynek. Philip twierdził, że nie ma powodu do obaw. Wiedząc, jak bardzo mąż nie lubi chorować, Claudia nie robiła zamieszania. Przyjęła jego wyjaśnienie i porozmawiała z lekarzem za plecami Philipa. Omdlenie było oznaką kłopotów z sercem.

Claudia nie chciała martwić Claire i w pierwszym odruchu zwróciła się po pomoc do zięcia. Był miły i uspokajał ją. Nie powie niczego Claire, jeśli ojcu się nie pogorszy. Uważał bardzo, by po urodzeniu drugiego dziecka niczym nie zakłócić równowagi psychicznej żony. Jeśli tylko będzie potrzebny... Claudia obiecała, że zatelefonuje. Philip robił, co mu kazano, i wypoczywał, aż uznał, że może wstać i co dzień trochę popracować. Wyglądał na znużonego, ale nie na chorego. Claudia uspokoiła się.

Dwa lata później Philip umarł we śnie.

*

- Nie uwierzysz, ale on zamierza pójść na pogrzeb!

Sean Filey wiedział, że Marie ma gwałtowny charakter, ale tym razem to było coś innego. Oczy z wściekłości miała jak szparki. Wyglądała okropnie.

- To jego ojciec - rzekł. - Oczywiście, że pójdzie. Czemu się tym przejmujesz?

Ale bardzo dobrze wiedział, dlaczego tak się zachowywała. Tak długo karmiła się zazdrością, że ogarnęła ją ona bez reszty i ogłuchła na jakiegokolwiek argumenty.

- Jego ojciec - przedrzeźniała Seana. - Ojciec, który go wydziedziczył i przez całe

życie traktował jak gówno. Powinien skakać z radości, że ten stary drań gryzie ziemię!

Z emocji wrócił jej irlandzki akcent.

- Może się cieszy - rzekł Filey. - To, że Frank idzie na pogrzeb, wcale nie znaczy, że mu przykro. Wciąż jednak nie rozumiem, co to ma wspólnego z tobą?

Utkwiła w nim wzrok, a potem powiedziała coś, co go zaskoczyło:

- Uważam, że powinien napluć na ten grób, jeśli duszą i ciałem jest z nami! I powiem ci, co to ma wspólnego ze mną - nie ufam mu.

- Co ty, do diabła, mówisz? - spytał Sean, cedząc słowa.

Opadła głębiej w fotelu.

- Słyszałam, jak mówił, że nie powinniśmy atakować cywili. Słyszałam dużo więcej. On zaczął mieć wątpliwości, Sean.

Podniosła głowę i spojrzała mu śmiało w oczy.

- Od kiedy je ma? - spytał Filey cicho. - Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś?

Nie bała się. Zapędziła się dużo dalej, niż miała zamiar, bo zaślepił ją gniew, ale to, co powiedziała, było prawdą. Pomyślała gorzko: „Dlaczego miałabym go kryć? Dlaczego - po wczorajszym dniu - miałabym oszukiwać swoich, żeby ochraniać jego skórę?”.

- Chciałam mieć pewność - odparła Marie. - Zauważyłam, że się zmienił po tym, jak nasi zastrzelili Mountbattena²⁰. Stał się ponury, w ogóle nie był sobą. Otworzyłam butelkę, żeby to uczcić, ale Frank nie wypił ze mną.

Filey nie zareagował, a i Marie siedziała w milczeniu. Niech ma za swoje. O tym, że Frank zaczyna się wahać, powinna była ostrzec Fileya wiele miesięcy wcześniej. „Wczoraj nastąpił rozłam - pomyślała. - Wczoraj, kiedy powiedziałam mu, że jest zerem, skoro wdzięczy się do rodziny. Odkrył karty. Chce trzymać za rękę tę sukę, swoją siostrę.

O to tu chodzi?”.

- Nadal przelewa fundusze - odezwał się w końcu Filey - więc w dalszym ciągu jest użyteczny. Ale jak długo jeszcze? To jest pytanie. Będę musiał zdać raport Radzie. Poproszą cię, żebyś to powtórzyła.

Spojrzał na nią i zapytał:

- To prawda, co? Nie oskarżasz go z powodów osobistych?

Wstała.

- Jeśli tak uważasz, to ufaj mu dalej, aż wszystkich nas załatwi. Wychodzę. Zrób, co

²⁰ Lord Louis Francis Mountbatten (1900-1979) - kuzyn królowej Elżbiety II; admirał i polityk (przyp. tłum.).

chcesz, ale nie możesz powiedzieć, że cię nie uprzedzałam.

Kiedy wyszła, Filey został sam w domu na osiedlu. Zrobił sobie filiżankę herbaty. Marie jest chorobliwie zazdrosna. Takie uczucie może tak bardzo spacyć osobowość człowieka, że przestaje dostrzegać prawdę spoza kłamstw. Albo nie odróżnia zemsty od lojalności. Sean nie mógł się jednak nie zgodzić, że Arbuthnot źle reagował na wiadomości o przypadkowych cywilnych ofiarach na Północy. Pogardzał Frankiem. Widział w nim słabość, a nie człowieczeństwo. W trakcie rozpaczliwej walki nie ma miejsca na skrupuły. Nic, poza zdecydowanym, bezlitosnym działaniem, nie doprowadzi ich do celu. Jak w każdej innej wojnie, tak i w tej zdarzają się niewinne ofiary. Ale jeśli Marie ma rację i zmiana w nastawieniu Arbuthnota jest zasadnicza, to coś należy z tym zrobić. Bezpieczniej będzie dać wiarę jej wątpliwościom i zorganizować spotkanie z Jimem Quinlanem.

Marie pojechała zobaczyć się z matką. Dzięki pieniądzom, które dawał jej Frank, była szczodra dla rodziny. Od jej ostatniej wizyty u matki minęło już sporo czasu - tym Marie tłumaczyła sama przed sobą fakt, że nie jedzie prosto do Meath. Tak naprawdę, nie mogła zapomnieć niechęci we wzroku Franka ani wściekłego trzaśnięcia drzwiami, kiedy opuszczał sypialnię i szedł spać do innego pokoju. „Odczep się od mojej siostry! Jeśli jeszcze raz powiesz na nią choćby jedno złe słowo, to wylecisz stąd i nigdy nie wrócisz!”

Matka Marie była zadowolona z jej odwiedzin, ale zrobiła się podejrzliwa, kiedy córka została dłużej niż zwykle.

- Co się stało z tym twoim ekstrachłopakiem? - dopytywała się.

- Wszystko w porządku - odparła Marie ponuro.

Pani Dempster dobrze znała córkę.

- Nie pokłóciłaś się z nim, co? Za cholerę nie znajdziesz równie hojnego faceta jak on. Jezu, spójrz tylko na swoje ciuchy i ten wielki samochód!

Chciała, żeby matka zamilkła. Kochała ją, ale gadanina starej kobiety i jej prostactwo działały Marie na nerwy. Tak jak i dom, w którym się urodziła. Teraz był jej obcy. Tanie meble, krzykliwy dywan we wszystkich kolorach tęczy, kupiony za jej ostatni czek. Nic nie zmieniało pragnienia Marie Dempster, by odesłać pokolenie matki do lamusa historii Irlandii. Chciała widzieć kraj dumny i zjednoczony, ostatecznie uwolniony od ciemności.

W dolnej części kuchennego kredensu znalazła butelkę ginu. „Stara lubi od czasu do czasu golnąć sobie kielicha w ciągu dnia” - pomyślała Marie, przygotowując drinka. Musiała wracać. Musiała stawić czoło Frankowi i spróbować naprawić szkody, które wyrządziła wczorajsza kłótnia.

- Prawda jest taka - powiedziała do siebie na głos - że nie potrafię sobie wyobrazić

życia bez niego.

Jej matka mogła mówić, że ten wielki dom i służba czekają na swoją panią, ale tak nie było. To Marie chciała Franka.

Nigdy jej nie poślubi. Małżeństwo to burżuazyjny przesąd. Mogła bez tego żyć. Ale nie bez niego. A najbardziej ze wszystkiego potrzebowała Franka w łóżku. To był głód, który się z czasem tylko pogłębiał. Dręczyło ją to i czyniło z niej niewolnicę, ponieważ jej potrzeba bycia z nim rosła, jego zaś słabła. Dopięła gin i skrzywiła się.

- Lepiej już jedź - powiedziała matka. - To niedobrze, żeby mężczyzna wracał do pustego domu.

Kiedy Marie otworzyła drzwi domu w Meath, Franka nie było. Zawsze czuła, gdy znajdował się w pobliżu. Zawołała i pani Brogan pośpieszyła na jej spotkanie do holu.

- Gdzie jest pan Arbuthnot?

- Wyjechał do Kildare - odparła służąca. Telefonował, by powiedzieć, że wróci na kolację.

Marie skinęła głową i odwróciła się. Broganowie musieli słyszeć poprzedniej nocy ich kłótnię. Poszła na górę do sypialni. „Kildare”. Powiedziała to głośno. Tamta przyjechała na pogrzeb, o to szło. Zjawiła się siostrunia, a on pojechał się z nią spotkać. Marie usiadła przed toaletką. Jednym ruchem zmiotła na podłogę wszystkie słóiczki i buteleczki. Wiele z nich się roztrzaskało. Marie wyglądała na wycieńczoną, była blada, a pod oczami miała ciemne kręgi po nieprzespanej nocy.

Bardzo przez niego cierpiała. Frank przez wiele lat torturował ją swoją miłością do kogoś innego. Patrząc w lustro, jakby stała oko w oko z własną duszą, nie mogła się pozbyć strasznej myśli - kochała Franka, ale chciała go skrzywdzić i pojechała do Seana. Jeżeli jej się powiedzie, jeśli jej uwierzą, wszystko może się zdarzyć. To może przynieść ulgę. Śmiertelną udrękę, ale jednocześnie i ulgę.

- Panna Dempster jest na górze - powiedziała pani Brogan, kiedy tylko Frank wszedł do domu. - Prosiła, żeby pan tam przyszedł.

Dzień upłynął mu na przygotowaniach do pogrzebu ojca. Claudia była dużo bardziej wstrząśnięta śmiercią Philipa, niż chciała się do tego przyznać. Neil nie przyjechał, ponieważ nawet kilkugodzinny pobyt w Irlandii mógł być dla niego niebezpieczny. Frank czuł, jak bardzo Claudia by chciała, żeby to zięć zajął się wszystkimi sprawami, a nie on. Claire przylatywała tylko na jeden dzień i zaraz wracała. Na przekór sobie Frank był pełen smutku. Kochał ojca, który nigdy nie kochał jego, i był zaskoczony tym, że może go opłakiwać. Zupełnie zapomniał o Marie. Poprzednią noc spędził w innym pokoju, a kiedy następnego

dnia rano zszedł na dół, już jej nie było. Pamiętał tę przyprawiającą o mdłości scenę. Marie wybuchnęła nagle. Zatruta zazdrością rzygała jadem na jego rodzinę i napadała na Claire, której nigdy nie widziała na oczy. Teraz była tu z powrotem. Uznał, że lepiej będzie pójść na górę i przekonać się, co można ocalić z ich związku. Podejrzewał, że jeśli o niego chodzi, to niezbyt wiele.

Kiedy Frank wszedł do sypialni, Marie wybiegła mu naprzeciw, rzuciła mu się w ramiona i błagała o wybaczenie. Cóż mógł zrobić. Ale oparł się jej wysiłkom, by zaciągnąć go do łóżka. A ona, siedząc naprzeciwko Franka w pięknej jadalni, zrozumiała, że całkowicie straciła nad nim władzę.

*

Podczas pogrzebu Philipa nie padało, więc uczestnicy ceremonii nie kryli się pod czarnymi parasolami jak w hollywoodzkich filmach. Świeciło słońce, a nabożeństwo było pełne dostojności, którego dodał poruszający fragment Pisma Świętego i ulubiony hymn Philipa „Wytrwałość przy mnie”. Kościół pękał w szwach, a po pogrzebie na cmentarzu w Naas uczestnicy pochówku wrócili do Riverstown, gdzie czekał na nich lunch. Wszyscy tłoczyli się wokół Claudii i mówili, jakim wspaniałym człowiekiem był Philip i jak bardzo im go będzie brakowało. W zabawnych opowieściach i anegdotach o zmarłym więcej było emfazy niż smutku. Kwestia czuwania przy zwłokach sprowadziła rozmowę na ten anglo-irlandzki zwyczaj. Wdowie bardziej potrzebne jest to, by ją rozweselać. A i zmarły też wolałby raczej, żeby jego przyjaciele dostali solidnego drinka i śmiali się, wspominając go, niż pogrążali się w smutku. Goście byli uprzejmi w stosunku do Franka, ale nie serdeczni. Zdradził klasę swego ojca i jego życiowe przekonania.

Lunch przeciągnął się do późnego popołudnia. Wieczorem Claudia wybierała się do przyjaciół w Cork. Nie mogła zostać sama w domu, a Claire odlatywała do Londynu. Kiedy wyszli ostatni goście, Claudia podeszła do Franka. Pomimo makijażu wyglądała bardzo mizernie i staro. W czasie pogrzebu nie płakała. Nie była osobą, która by publicznie okazywała uczucia.

- Dziękuję, że wszystko załatwiłeś - odezwała się. - Pogrzeb był świetnie zorganizowany, a stary Greenway wygłosił wspaniałą mowę. Twój ojciec byłby zadowolony. Przyszło tyle ludzi... To było miłe.

- Przykro mi, że nie żyje - powiedział Frank. - Przykro mi, że tak wiele źle się między nami ułożyło, ale chciałbym, żebyś wiedziała, że gdybyś czegoś potrzebowała, to jestem w pobliżu.

Claudia chciała, by Frank sobie poszedł. Miał odwieźć na lotnisko siostrę. Claire cały

dzień robiła wrażenie spiętej i milczała. Claudia nie chciała rozmawiać z pasierbem o jego ojcu. Dom pełen był Philipa, jakby jego duch nadal w nim przebywał.

- Frank. Wiesz, że nic ci nie zapisał, ale jeśli jest w Riverstown coś, co chciałbyś mieć, to mi powiedz. Jakieś obrazy... - nie dokończyła.

- Dziękuję. To bardzo miłe, że o tym pomyślałaś, ale nie chcę niczego.

- Zastanów się - nalegała Claudia. - Może jeszcze zmienisz zdanie. A teraz, jeżeli Claire ma zdążyć na samolot, to naprawdę powinniście już jechać.

W samochodzie siostra zdjęła czarny kapelusz. Jej blond głowę otoczyła słoneczna aureola.

- Czuję się odrętwiała - wyznała. - Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie mogę uwierzyć, że nigdy więcej go nie zobaczę.

- Nie wolno ci się smucić - powiedział Frank. - Ojciec nie chciałby tego. Świata za tobą nie widział.

Odwróciła się do niego.

- Kochałam go, Frank, ale to nigdy nie było to samo, co czułam do ciebie. Jeśli Claudia zapisze mi Riverstown, od razu oddam dom tobie.

- Nie przyjąłbym go - odparł łagodnie - ale wiedziałem, że tak powiesz. Mam swój własny dom i jestem w nim szczęśliwy. Nawiasem mówiąc, Claudia pożyje ze sto lat, więc nie ma potrzeby martwić się na zapas.

- Jakie masz plany?

- Nic specjalnego. Jestem bardzo zajęty. Na jesieni lecę do Stanów.

Claire spojrzała na niego.

- Nie zamierzasz chyba przemawiać na kolejnym mityngu, co?

Nie odpowiedział.

- Nie możesz się wyrwać, Claire? Z przyjemnością obwiozłbym cię po Wschodnim Wybrzeżu.

- Nie sądzę, żeby Neilowi spodobał się ten pomysł - odparła. - Żyjemy w tak cholernie zwariowanym świecie! Ja nie mogę wrócić do własnej ojczyzny. Mogę tylko wpaść z krótką wizytą i to w tajemnicy, jakbym była kryminalistką. A ty nie możesz zatrzymać się u mnie ze względu na polityczną karierę mego męża! Spotykamy się na kilka godzin, ukrywamy się w pubach, a przez telefon rozmawiamy wtedy, kiedy Neila nie ma w domu! Mam tego dość, Frank. Mam dosyć jego przyjaciół i fałszywego życia, jakie prowadzimy. Jestem doskonałą żoną ministra, mam przepisową dwójkę dzieci i przepisową posiadłość w Cotswold z basenem i barbecue na brzegu. Czasami czuję, że oddałabym duszę za odrobinę irlandzkiego

bałaganu i szaleństwa!

Zwolnił, skręcając na lotnisko.

- Więc zostaw to - powiedział. - Przywieź dzieci tutaj. A przede wszystkim nie powinnaś była wychodzić za niego.

- Nie mogę. Nie powtarzaj tego bez przerwy.

Nie otworzyła drzwiczek samochodu. Dopiero teraz zauważył, że jej oczy są pełne łez, których nie kryła.

- Po śmierci taty i tych wszystkich zmianach czuję się taka zagubiona! I nic nie może mi tego wynagrodzić. Ani Neil, ani nawet dzieci. Nie wysiadaj, pożegnaj się ze mmi tutaj. Nie chcę, żebyś mi machał w sali odlotów.

Objął ją ramieniem.

- Wytrzymaj oczy - powiedział. Do widzenia, Claire. Ty wynagrodziłaś ojcu wszystko. Pamiętaj o tym i nie smuć się. Zadzwońię za kilka dni. W jakiej porze najlepiej?

- Wszystko jedno odparła. Skończyłam z udawaniem.

Wysiadła z samochodu i nie odwracając się, przebiegła przez drzwi prowadzące do budynku portu lotniczego.

*

Trzej mężczyźni spotkali się w Santry, w domu przy drodze na lotnisko: Sean Filey, jego zwierzchnik Jim Quinlan i Hugh Macbride, który przyjechał z Irlandii Północnej. Filey zwołał zebranie, by omówić sprawę Franka Arbuthnota.

Macbride był zniecierpliwiony. Miał ważniejszy problem i przekradał się przez granicę nie po to, by wysłuchiwać ich kłopotów.

- Na miłość boską - przerwał. - Jeśli ten bękart zaczyna tchórzyć, to nie siedźcie i nie gadajcie o tym, tylko go załatwcie!

- Jeżeli to zrobimy, źródło pieniędzy dla ciebie szybko wyschnie - stwierdził Filey chłodno.

Macbride walnął pięścią w stół.

- Po to tu właśnie jestem! Brakuje nam funduszy. Po zabójstwie Mountbattena Ameryka przykręciła kurek.

- Tylko na pewien czas - odparł Quinlan. - Dajmy im kilka miesięcy. Opinia publiczna musi się uspokoić. Noraid wznowi przekazywanie dla nas gotówki.

- Nie mamy tyle czasu - warknął Macbride. - W ciągu ostatnich trzech kwartałów straciliśmy dwa magazyny z bronią, a nie przychodzi żadna forsa. Musimy zastopować nasze operacje.

Przypalił papierosa zapalką potartą o podłogę.

- Zaproponowano nam wielki ładunek - ciągnął. - To nowy dostawca i chce pieniędzy z góry.

- Będzie musiał poczekać - stwierdził Filey. - To nie potrwa długo.

- Nie poczeka - powiedział Macbride bezbarwnym tonem. - Ma innych odbiorców. Potrzebuję stu tysięcy funtów i muszę je mieć pod koniec czerwca, inaczej ta transakcja nas ominie i stracimy dużo więcej niż tylko broń. Przyjechałem tutaj, by poprosić was o te pieniądze.

- Zwariowałeś? Skąd, na Boga, mamy wziąć sto tysięcy? - natarł na niego Quinlan.

Macbride spojrzał na niego.

- Z tego samego źródła, z którego czerpaliśmy je do tej pory - odparł. - Rabując jeden z waszych zasobnych dublińskich banków.

Zapadła długa cisza. Potem odezwał się Filey:

- Dlaczego przyjechałeś z tym do nas? Nie macie banków w Ulsterze?

- Mamy cholerne warunki - odparował Macbride. - Trzeba by armii, żeby się do nich dostać. Wydoiliśmy tę krowę do sucha, mówię ci. Tutaj wam się uda.

Nastąpiła kolejna chwila milczenia. Przerwał je Quinlan.

- Jeśli to zrobimy, będziemy potrzebowali Arbuthnota, żeby ukrył pieniądze i wyprał je.

Macbride zdusił niedopałek. Zakasłał, odchrząknął i przełknął. Sean był pewien, że u siebie splunąłby na podłogę.

- Przyszła pora, żeby rozważyć wątpliwości, jakie wobec niego mamy - oznajmił.

- Mamy wątpliwości, czy nie, to i tak Arbuthnot jest jedyny - odciął się Quinlan. - Nie możemy ryzykować, że nasi ludzie zostaną schwytani z pieniędzmi na granicy. Pójdzie to normalnymi kanałami i zapłacimy twojemu człowiekowi w Monte Carlo.

- Dostarczysz tam forszę? - spytał Macbride.

- Dostaniesz pieniądze - obiecał Quinlan. - To, jak i gdzie, pozostaw nam.

Spotkanie się skończyło i Filey zaproponował Quinlanowi, że podrzuci go do centrum Dublina.

- W ile z tego, co powiedziała ci Marie, wierzysz, Sean? - spytał Quinlan. - Pamiętam, że chciała, żeby przyjąć go do Rady. Możemy mu zaufać w tej sprawie?

Sean zastanowił się nad odpowiedzią. Żaden z nich nie chciał rozważać zbyt wielu szczegółów tej kwestii w obecności Macbride'a, dla którego jedynym remedium na wszelkie kłopoty była kula.

- Myślę, że Marie ma częściowo rację, ale tylko częściowo. Frank nie udaje, że podobają mu się nasze metody postępowania. Jest miękki, ponieważ ludzie jego pokroju mogą sobie na to pozwolić. Z wyjątkiem chwil, kiedy czują się zagrożeni. Ze mną jednak jest szczerzy i sam o tym mówi. Uważam, że możemy mu zaufać jeszcze przy jednej dużej operacji. Potem... - wzruszył ramionami.

Podrzucił Jima Quinlana na Heuston Station i pojechał do swego gabinetu przy Fitzwilliam Square.

*

Służbowy samochód Neila zabrał Claire z lotniska Heathrow. Minister został zatrzymany w Londynie i przyjedzie później pociągiem, powiedziano jej. „To śmieszne - pomyślała - wszystko robi źle i nawet o tym nie wie”. A ile razy starał się zrobić coś dobrego, to zawsze w nieodpowiedni sposób i z niewłaściwego powodu. Czowała się zmęczona i pusta. Jeśli Neil przyjedzie późno, Claire nie zje kolacji i położy się do łóżka. Kiedy jednak dotarła do domu, drzwi salonu zastała otwarte, a w środku zobaczyła majora Harveya w towarzystwie jej syna, Petera, który, już w piżamie, trzymał gościa za rękę.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu - powiedział zamiast powitania Michael. - Neil prosił mnie, żebym spędził u was kilka dni. Niespodziewanie dostałem urlop. A Peter chciał zaczekać ze mną na twój powrót.

Claire podeszła i pocałowała syna, który chciał, żeby go podnieść i uściskać. Albo Peter przybrał na wadze, albo ona była bardzo zmęczona.

- Tak się cieszę, że tu jesteś - zwróciła się do Harveya. - Neil, oczywiście, nic mi o tym nie powiedział. Wiesz, gdzie byłam?

- Wiem - odparł cicho. - Przykro mi. Dobra, stary, nie uduś matki. Idź, nie zrób mi zawodu. Obiecałeś, że pójdziesz do łóżka, jeśli tylko przekonam Iris, żeby pozwoliła ci ze mną zostać.

Obserwowała malca, który szczęśliwy wdrapywał się po schodach.

- Ma kręcka na twoim punkcie, Michael - powiedziała Claire. - Zrób nam po drinku, a potem zdejmę tę okropną czerń. Czy Neil będzie na kolacji?

- Tak, dzwonił jakieś pół godziny temu. Pytał, czy już przyjechałaś.

- Były korki - wyjaśniła Claire.

Lubiła Harveya, ale teraz nie mogła położyć się do łóżka. Nie po to, by spać, ale żeby płakać, gdyby chciała, i w samotności postarać się wziąć w garść, by rano stawić czoło codzienności, gdy zapuka do drzwi.

Zauważyła, że Michael nalał jej drinka mocniejszego niż zwykle. Usiadł i powiedział:

- Neil był bardzo zmartwiony, że nie mógł wziąć udziału w pogrzebie.

- Nie powinien się tym przejmować - odparła. - Nie może pojechać do Irlandii nawet na kilka godzin, bo ryzykuje, że ktoś rzuci w niego bombę. A ja nie mogę zostać na noc u matki. Musiała wyjechać do przyjaciół. Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo jestem tym wszystkim zmęczona. Porozmawiajmy o czymś innym.

„Nie wybaczy mu tego - pomyślał Harvey. Znam Irlandczyków.

Zawsze będzie mu to wypominała, bo gdyby rzecz się miała na odwrót, to ona by zaryzykowała i pojechała z nim. Biedny dureń, jest bez szans. Dla kobiet najważniejsze są sprawy osobiste. Tak jak były nimi dla mojej żony. Ale proszę bardzo, pogadajmy o czymś innym”.

Kiedy zjawił się jej mąż, oglądali w telewizji komedię. Na ile Neil mógł to ocenić, Claire była dosyć spokojna. Dzięki Bogu za Harveya.

Kiedy między małżonkami narastało napięcie, okazywał się dobrym buforem. I Neil mógł z nim pogadać. Wydawało się, że lubi Neila i rozumie go na swój sposób. Większość mężczyzn rzuciwszy okiem na jego żonę, wzięłyby jej stronę.

Po kolacji Claire przeprosiła ich i poszła do łóżka. Obaj mężczyźni zostali na dole i rozmawiali. Nie o prywatnych sprawach, lecz o szerszych problemach, dotyczących światów, w których się obracali. Gdy Neil wszedł na górę, jego żona już spała. Zachowywał się cicho, żeby jej nie obudzić, chociaż najbardziej pragnął wziąć ją w ramiona, wypytać o pogrzeb i pocieszyć, ponieważ wiedział, jak głęboko czuła się zraniona. Ale właściwa chwila umknęła, jak to się często ostatnio zdarzało, i w rezultacie Claire odsunęła się od niego jeszcze bardziej. Kiedy następnego ranka obudzili się obok siebie, uśmiechnęła się do niego promiennie, oddaliła wszelkie jego pytania, mówiąc, że wszystko jest w najlepszym porządku, i zamknęła się w łazience, by uciąć wszelkie rozmowy.

Wieczorem Michael Harvey słyszał, że telefonowała do brata w Irlandii. Wszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Jego dwudniowy niespodziewany urlop nie był ani niespodziewany, ani nie był urlopem.

Ktoś musiał powiedzieć ministrowi, że jego żona spotyka się w tajemnicy z Frankiem Arbuthnotem, kiedy ten przyjeżdża do Anglii. W tej sytuacji wybór Harveya jako przyjaciela, któremu Neil Fraser ufał, był oczywisty. Teraz Michael widział, że Claire ułatwia mu zadanie.

Wszedł do ogrodu, gdzie siedział Neil, paląc cygaro w ciepłe zmierzchu.

Pogadali chwilę, a potem Harvey zapytał:

- Ile jej powiedziałaś o tym, co się dzieje?

- To poufna sprawa, rozumiesz? - powiedział Neil wolno. - Nic. A ona nie pyta. Nie

interesuje jej to. Nigdy nie posunie się dalej.

- Nie celowo - odparł Harvey.

- Nie rozumiesz - Neil spojrzął na niego. - To nie jest tego rodzaju związek.

- Tak czy owak, na twoim miejscu byłbym nieco ostrożniejszy. Zdziwiłbyś się, w co ludzie potrafią wdepnąć, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. On może posunąć się dalej lub nie, ale ty nie możesz ryzykować.

Neil palił w milczeniu. Harveyowi było bardzo przykro z jego powodu. Nigdy nie podejrzewał, że Claire mogłaby oszukiwać męża. Z całą pewnością był to dla niego szok.

- Mówisz, że się nie ukrywała, kiedy teraz dzwoniła do niego? - spytał Neil po chwili.

- Wcale. Myślę, że chciała, żebym to słyszał. Prawdopodobnie chce, żebyś ty też o tym wiedział. To dobry znak, wierz mi.

- Skoro tak twierdzisz - Neil dokończył cygaro. - Nie jestem pewien. Myślę raczej, że przekazuje mi w ten sposób jakiś sygnał.

Harvey spojrzął na niego bystro.

- Co masz na myśli? Jaki sygnał?

- Że od tej pory będzie absolutnie samodzielna. Powinienem był pojechać na ten pogrzeb. Powinienem był kazać ludziom z ochrony obstawić go i pojechać z nią. Próbowali powstrzymać ją przed tym krokiem, ale nie było mocnych. Popełniłem cholerny błąd, Mike.

Harvey zgadzał się z nim, ale nie powiedział tego.

- A co by się stało, gdyby cię namierzyli i uderzyli? Założę się, że IRA miała awaryjny plan na wypadek, gdybyś pojawił się w Riverstown. Zamachowcem mógłby być nawet jakiś niedoświadczony dzieciak, który by powiedział, że zrobił to dla Irlandii. Ktoś gdzieś ma cię cały czas na oku, Neil, i czeka tylko, żebyś postawił tam nogę. Jeśli Claire cię wini z tego powodu, to nadszedł czas, żeby przedstawić jej nagie fakty. Myślałem, że zrozumiała to po ostatniej zawierusze, kiedy porwano facetów w Liverpoolu. Nie chciałbyś, żebym jej o tym przypomniał? W końcu dlatego tutaj jestem.

- Dzięki, ale nie. Obawiam się, że tym razem nie przejdziemy przez to bez awantur. Ona wszystko widzi w perspektywie skrzywionej przez krytycyzm brata.

Harvey przypomniał sobie tę noc, kiedy słuchał kłótni Fraserów. Był wtedy na służbie jako ich ochroniarz i ich sprawy osobiste nie były obiektem jego zainteresowania. Teraz jednak nie potrafił zachować obiektywizmu. Znał i lubił oboje, ale jego sympatie przechylały się coraz bardziej na stronę męża. Dzięki Bogu, on sam nie jest już żonaty.

*

- Dlaczego mnie okłamywałaś?

Claire nawet nie mrugnęła. - Musiałam. Kiedy powiedziałam ci o dwóch ostatnich spotkaniach, mało cię krew nie zalała.

- Po jego przemówieniu w Nowym Jorku przypomniał jej.

- Po twoim wystąpieniu w Izbie - skontrowała - kiedy mówiłeś o Irlandczykach jak o bandzie morderców i terrorystów. Bardzo zyskałeś w oczach członków swojej partii, ale jak myślisz, jak ja się czułam?

Odwrócił się od niej.

- Nie wiem - odparł. - Już zupełnie nie wiem, ani co czujesz, ani co myślisz. Ale nie okłamuj mnie następnym razem, kiedy będziesz miała zamiar spotkać się z nim. Powiedz mi o tym. To mi zaoszczędzi kłopotu.

- W porządku. A ty powiedz swoim szpiclom, żeby mnie więcej nie śledzili. Boże, jak tylko o tym pomyślę...!

- To nie są moi szpicle. Śledzą twego brata, bo jest wrogiem naszego kraju i z ręki tych, których on popiera, zginęło mnóstwo ludzi. Sam jestem zagrożony, pamiętaj o tym. Spotykaj się z nim, jeśli musisz, ale nie stawiaj mnie w sytuacji durnia, który o niczym nie wie!

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi pokoju. Nie powiedział jej, że jego informatorem był Michael Harvey.

11.

Przygotowania do napadu na filię Banku Irlandii przy Kildare Street zabrały dwa miesiące. Quinlan wybrał ten właśnie oddział, ponieważ w piątkowe przedpołudnie opancerzona furgonetka przywoziła utarg z dużej liczby wielkich sklepów i przedsiębiorstw. Porwanie furgonu lub zaaranżowanie napadu z użyciem broni podczas transportu pieniędzy było niemożliwe, ponieważ w czasie rozładowywania pieniędzy samochód i bank miały silną eskortę policyjną. Środki bezpieczeństwa były o wiele za silne, zdecydowano więc wysłać wczesnym popołudniem do banku trzech mężczyzn. W sejfach powinna się znajdować pokaźna gotówka, przygotowana na weekendowe wypłaty. Trzej napastnicy mieli szybko zgarnąć pieniądze i równie szybko zniknąć.

Quinlan ustalił, że bank będzie przez miesiąc regularnie obserwowany. Zająli się tym mężczyźni wytypowani do dokonania napadu, poznali więc wnętrze, wyjścia na ulicę, a także kierownika sali i szefa kasjerów. Quinlan zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Wybrał ludzi z przeszłością kryminalną. Dwa lata wcześniej jeden z nich dokonał uwięzionej powodzeniem kradzieży pieniędzy na wypłaty w Limerick, kiedy miejscowa IRA była zupełnie bez funduszy.

Sean Filey wiedział o napadzie, ale nie uczestniczył w jego przygotowaniu. Nie był człowiekiem akcji. Jego zadanie polegało na obserwowaniu za pośrednictwem Marie i Broganów poczynań Arbuthnota i dopilnowanie, by Frank postępował właściwie, póki pieniądze nie znajdą się w rękach IRA i nie wylądują w Bostońsko-Irlandzkim Banku Handlowym. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił Filey, było rozmówienie się z Kevinem Ryanem i poproszenie go, by odwołał przyjazd Franka do Stanów. Gdyby natomiast Kevin przyleciał do Irlandii, byłaby to wielka pomoc dla całego przedsięwzięcia. Jego siostrzeńcowi potrzebne jest moralne wsparcie. Kevin wysłuchał propozycji i powiedział, że się zastanowi. Gadka o moralnym wsparciu miała tylko jedno znaczenie - Frank się wahał. Kevin nie był tym zdziwiony. Nawet Mary Rose czuła się oburzona panującą w Irlandii Północnej przemocą i faktem zamordowania kuzyna królowej Anglii. Kevin podporządkował się opinii publicznej i odwołał zaplanowany objazd z odczytami. Pobyt w Irlandii teraz mógłby się okazać korzystny nie tylko dla Franka, ale i dla niego. Jego akumulator również wymagał podładowania. Zatelefonował do Fileya, by mu powiedzieć, że przyjeżdża i zostanie kilka

tygodni w Pół Domu. W tym czasie naprostuje poglądy siostrzeńca.

*

Panowała cudowna wiosna. Ziemia okryła się soczystą zielenią, a chmury białego majowego kwiecia obsypały żywopłoty. Była to pora roku, którą Frank lubi! najbardziej. Dafodilie w Riverstown musiały olśniewać kolorami, a wezbrana rzeka zalać brzegi, utrudniając połów pstrągów. Pomyślał o rodzinnej posiadłości. Bez względu na to, co powiedział Claire, dom babki Blanche nie mógł zastąpić tego, w którym wyrósł.

Poza tym ciążyła mu obecność Marie. Frank nie tęsknił za powrotami do domu i wspólnymi wieczorami spędzonymi na udawaniu, że nic się w ich związku nie zmieniło. Marie działała mu na nerwy, bo była spięta i nieszczerą. A przede wszystkim widział, że czuła się bardzo nieszczęśliwa i że to on był tego przyczyną. Chciał z nią zerwać, ale nie wiedział, jak to zrobić. Spali ze sobą, ponieważ nadal go podniecała, lecz potem czuł pustkę zaprawioną odrobiną obrzydzenia do samego siebie. Marie musiała uznać, że po tylu spędzonych razem latach nic się pomiędzy nimi nie zawiązało, a większość tego, co ich łączyło - umarła. Dla niego, stwierdził, ale nie dla niej. Na tym polegał jego dylemat.

Była połowa maja. Wracali razem z Dublina.

- W Curragh otworzyli fantastyczną restaurację - odezwała się nagle Marie rześkim, pełnym afektacji głosem. - Powiedziała mi dzisiaj o niej jedna z dziewczyn. Może pojechalibyśmy tam na kolację?

Nie czekała na jego odpowiedź.

- Dobrze by nam obojgu zrobiło, gdybyśmy wyszli dokądś wieczorem. Zbyt dużo czasu spędzamy w domu. I mam ładną nową kieckę, w której chcę ci się pokazać.

Starła się tak bardzo, że nie miał serca jej odmówić. Może będzie sposobność, żeby z nią porozmawiać?

- Czemu nie? Zadzwoń i zarezerwuj stolik.

Marie położyła dłoń na jego kolanie i pogłaskała je.

- Jesteś dla mnie taki dobry powiedziała. - Psujesz mnie, Frank. Kiedy przyjedziemy do domu, ja trochę rozpieszczę ciebie.

Zeszła po schodach i zatrzymała się, żeby mógł podziwiać jej sukienkę. Marie była na pewno ładną kobietą i mężczyźni się za nią oglądali. Dzięki Frankowi i swej pracy poznała wielu wpływowych ludzi, nie miałyby więc żadnych kłopotów ze znalezieniem sobie innego mężczyzny. Gdyby była wolna, lecieliby na nią jeden przez drugiego.

- Wyglądasz bardzo ładnie - ocenił uprzejmie. - W zielonym jest ci do twarzy. Nie jest za jasny.

- Zieleń dla Irlandii - powiedziała, a kiedy szli do samochodu, przywarła do jego ramienia.

Pojechali przez Clane główną drogą do Naas. Gdy zbliżyli się do mostu, Frank zwolnił.

- Dlaczego się zatrzymujesz?

- Tam stoi Donny. Powiem mu tylko „cześć” i dam kilka szylingów.

- Kto to jest Donny? - spytała Marie.

- Stary facet, który uwielbia stać na moście i obserwować nadjeżdżające z Dublinu pociągi. Przychodzi tutaj, odkąd tylko pamiętam. Kiedy byliśmy z Claire dziećmi, dawaliśmy mu w niedzielę cukierki.

Podjechał do krawężnika. Marie zmarszczyła brwi. Ujrzała brudasa w dziurawym swetrze, przechylnego przez barierę mostu.

- Donny! - zawołał Frank i tamten się odwrócił.

Miał wodniste oczy i wyraz twarzy idioty. Uśmiechnął się szeroko i pomachał ręką. Frank otworzył drzwiczki.

- Chodź i przywitaj się - powiedział Frank do niej. - To go uszczęśliwi.

Wysiadła niechętnie. Miała piękne nowe pantofle na obcasie, a wokół było brudno. W towarzystwie tego półgłówka Frank wydawał się w swoim żywiole. Zawołał ją znowu i przedstawił:

- Donny, to jest panna Dempster, moja przyjaciółka.

Donny spojrzał na nią i znów się uśmiechnął, a po brodzie pociekła mu strużka śliny.

- Witaj, Donny - powiedziała Marie szybko. - Frank, kochanie, spóźnimy się.

- Gdzie jest Claire? - usłyszała pytanie głupka. - Kiedy wróci?

- Wkrótce - zapewnił go Frank. - Jak tam mama?

- A, Trzyma się dobrze. Nie masz papierosa?

Czekał z pochyloną na bok głową i wyciągniętą bardzo brudną dłońią.

- Nie mam - odparł Frank. - Ale weź funta. Kup sobie paczkę. Trzymaj się.

- Niech cię Bóg błogosławi - podziękował Donny. - Za chwilę będzie jechał pociąg.

Frank wszedł do samochodu. Marie była już w środku.

- Biedak - powiedział. - Żyje po to, żeby oglądać pociągi. Nie jestem nawet pewien, czy je widzi, czy nie. Lubi czekać.

Marie skrzywiła się.

- Jest brudny. Po co mu dajesz pieniądze? Przepije je w pubie.

- Donny nigdy w życiu nie był w żadnym pubie - zaoponował. - Wszystko, co ma z

życia, to pociągi i parę papierosów. Jest nieszkodliwy. Wszyscy w okolicy go znają.

- Na widok takich ludzi robi mi się niedobrze - przyznała. - Myślę, że nie jest aż tak prosty, jak mówisz. Nie mogę znieść idiotów, budzą we mnie odrazę.

Frank spojrział na nią we wstecznym lusterku. Miała zaciśnięte usta z opuszczonymi kącikami, a na twarzy wyraz obrzydzenia. Przy wszystkich swoich politycznych przekonaniach nie miała serca dla bezbronnego dziecka natury. „To dlatego nigdy jej nie pokochałem - pomyślał nagle. - Nie ma w niej miłosierdzia”.

Wiedział, co się stanie, kiedy wróca do domu. Stała przed schodami i wspierała się, by go pocałować. Jej język szukał drogi do jego ust. Odsunął się.

- Marie - powiedział cicho - nie jest dobrze. Wiesz o tym.

Cofnęła się o krok.

- Dlaczego tak mówisz, Frank? Zawsze między nami jest wspaniale. Pozwól, że ci to udowodnię dziś w nocy. Daj mi spróbować.

Potrząsnął głową.

- Usiądźmy. Nadeszła pora, żeby o tym porozmawiać.

Podał jej drinka. Była bardzo błada i milcząca.

- Spędziliśmy ze sobą cudowne chwile - przerwał ciszę - ale to nie będzie trwać wiecznie. Oboje jesteśmy zmęczeni. Wiem, że ty może nawet bardziej niż ja. Nasz układ nie działa, Marie.

- Nie kochasz mnie - powiedziała bezbarwnym głosem. - To jedyny powód.

- Nigdy nie mówiłem, że jest inaczej - przypomniał jej. - Wiedziałaś o tym od samego początku.

- Och, jasne. Słyszałam, co wtedy mówiłeś - głos Marie był pełen goryczy. - Miałam jednak nadzieję, że coś się zmieni. Kłopot w tym, że jesteś zakochany w swojej siostrze.

Frank ani drgnął. Czekala, spodziewając się, że pójdzie na noże, ale nic się nie stało. Po chwili powiedział:

- Chcę, żebyś się jutro stąd wyprowadziła. Jeśli potrzebujesz więcej pieniędzy, niż ci dałem, dostaniesz. I od jutra nie pracujesz już w banku.

Wstał, odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą cicho drzwi.

Marie została sama, porzucona w ciszy. Nie było kłótni ani obrzucania się wzajemnie zniewagami i wymówkami. Mogłaby stawić im czoło, może mogłaby coś ocalić. Może by ją uderzył, nie miałyby nic przeciwko temu. Zamiast tego spotkała ją chłodna odprawa, jakby była służącą. Dał jej wypowiedzenie. Nie tylko z domu, ale i z pracy. Za jednym zamachem została odcięta od wszystkiego. Sean Filey będzie chciał wiedzieć, dlaczego do tego doszło.

Poczuła tak gwałtowny przypływ nienawiści, że zrobiło jej się niedobrze. Przez chwilę miała wrażenie, że wymiotuje.

Starła się zdobyć jego serce, tymczasem jedynie śmiertelnie zraniła samą siebie. Na górze Frank rozebrał się i poszedł spać do innego pokoju. Nie wiedział, co budzi jego większe obrzydzenie - Marie czy on sam, dlatego że się z nią zadawał. Jutro już jej tu nie będzie, a kiedy zniknie, w jego życiu zajdzie fundamentalna zmiana. Jej częścią była awersja do Marie.

Nie pojechała do matki. Spakowała trochę swoich rzeczy i powiedziała Broganom, że jedzie odwiedzić krewnych w Galway. Zauważyli rozmiary bagażu i uznali, że to będzie długi pobyt. Nie mogła zabrać wszystkiego na raz. Zgromadzone przez lata ruchomości wymagały kufra. „Frank był szczodry” - pomyślała z wściekłością, patrząc na szafy wypełnione ciuchami, dziesiątkami par butów i pudłami kapeluszy. Poza tym futro z norek, modna kurtka ze srebrnych lisów i pełne bielizny szuflady. Przyśle po to później, a teraz musi wydostać się z tego domu i mieć chwilę na obmyślenie planu, który wyjaśniłby Fileyowi i jego przełożonym, dlaczego straciła stanowisko w banku. To, że rozpadł się jej osobisty związek, obchodziło ich w dużo mniejszym stopniu. Jednak praca to była inna para kaloszy. Jak miała wytłumaczyć fakt, że została wywalona z roboty? Jeżeli tamci dojdą do wniosku, że sama jest sobie winna, nie pochwalą jej za to. Musiała znaleźć inny powód, coś, co oddali od niej oskarżenia, a obarczy nimi Arbuthnota. Od tej pory myślała o nim „Arbuthnot”, już nie „Frank”. Nienawiść do niego przynosiła jej ulgę. Chciała się tylko przekonać, o ile to uczucie będzie mniej bolesne od kochania go. Teraz miała okazję ulżyć własnej męce, raniąc Franka. I to dawało jej dziką satysfakcję. Zapłaci. Zapłaci za odrzucenie i obraźliwy sposób, w jaki ją odprawił, pokazując, jak niewiele dla niego znaczyła. W sytuacji, kiedy każdy inny mężczyzna podniósłby na nią rękę za to, co powiedziała, dla Franka nie była warta nawet porządnej awantury.

Najpierw jednak musiała wynieść się od niego i zastanowić, jak ocalić samą siebie. Ta myśl powróciła, kiedy jechała swym eleganckim, sportowym bmw, które Frank kupił jej na gwiazdkę. Musi być jakiś sposób, żeby ukarać także i siostrunię. Trzeba znaleźć jakąś metodę, by zemścić się i na niej, zwłaszcza teraz, kiedy Claire będzie się zdawało, że zatriumfowała nad Marie.

Zjechała z drogi prowadzącej do Dublina i wynajęła pokój w podmiejskim hotelu. Pozostała tam cały dzień, a wieczorem zatelefonowała do Seana Fileya. Wcześniej opracowała w najdrobniejszych szczegółach swoją wersję wydarzeń.

*

Kevin przyjechał do Pół Domu z Mary Rose i najstarszym synem, Patrickiem. Był

zadowolony, że jest w kraju. Piękny dom zawsze go cieszył. Zamieszka tutaj, kiedy przejdzie na emeryturę, nie ma dwóch zdań. Nie powiedział tego Mary, ale teraz, po śmierci brata, stało się to łatwiejsze. Uważał, że ta rodzina to kłopot. Zazdrościli im i - jak można się było tego spodziewać - obgadywali ich za plecami, a Mary Rose brała to sobie do serca. Ta jego mazgajowata szwagierka miała im wszystko za złe, ale teraz, kiedy Shamus umarł, Kevin nie zaprzętał sobie nią więcej głowy. Synowie brata zajmowali się farmą, a niezamężna córka prowadziła dom. Kevin chciał, by jego syn poznał to miejsce i ich przyjaciół. Patrick sprawił Kevinowi przyjemność, kiedy oglądając fotografie, powiedział, że muszą to być nadzwyczajni ludzie. Kiedy dorósł, młody Ryan nie okazał się nazbyt mądrym młodym człowiekiem, ale był solidny. Miał za sobą pieniądze ojca i biznes dziadka, więc da sobie radę w życiu. Jego matka uważała, że to najlepszy chłopak na świecie. Napomknęła kiedyś na temat stanu kapłańskiego, ale Kevin błyskawicznie wybił jej to z głowy. Córka zakonnica to jedna sprawa, ale jego najstarszy syn ma do przejęcia interes. Nie mówiąc już o tym, że pewnego dnia odziedziczy Pół Domu.

Jednym z pierwszych, którzy zatelefonowali do senatora zaraz po przyjeździe, był Sean Filey. Rozmowa była krótka.

- Mamy kłopoty z twoim siostrzeńcem - powiedział Sean. - Widziałeś się już z nim?

- Jestem tu dopiero od dwóch dni warknął Kevin.

Nie lubił Fileya. Nie czuł się swobodnie w towarzystwie intelektualistów. Prawdę mówiąc, podejrzewał, że psychiatrzy analizują zachowanie każdego poznanego człowieka. Nie lubił także ludzi brodatych, ponieważ uważał, że brody służą temu, by coś ukryć. Przeczytał to gdzieś i święcie w to wierzył.

- Co, do diabła, rozumiesz przez kłopoty?

- Wyrzucił Marie z domu i z banku. Jest w niebezpiecznym nastroju. A właśnie teraz bardzo go potrzebujemy. Tylko ty możesz na niego wpłynąć. Musi wytrwać jeszcze trochę.

Kevin zawahał się. Nie brzmiało to dobrze. Także dla jego siostrzeńca. A on uwielbiał Franka.

- Zadzwoń do niego - powiedział. - Zostaw to mnie.

I powtórzył swoją przechwałkę:

- Jestem dla niego jak ojciec.

*

- To cudownie znowu cię widzieć, Frank - Mary Rose zadarła głowę i spojrzała na niego.

Pomyślał, że się bardzo postarzała od jego ostatniej wizyty. Cieszył się, że widzi

Ryanów. Byli jego rodziną. W ich towarzystwie zawsze się odprężył. Podczas rozmowy Kevin zachowywał się serdeczniej niż zwykle.

- Tęskniliśmy za tobą, Frank. Wchodź.

Nie śpieszył się z przystąpieniem do rzeczy. Siedzieli długo przy lunchu. Potem wino i łagodne przekomarzanie się całej czwórki wprowadziło Franka w miły nastrój. W końcu Kevin dał znak żonie i synowi, że chce zostać z siostrzeńcem sam. Męska rozmowa, jak to nazywała Mary Rose. Wyślizgnęła się z pokoju, zabierając ze sobą Patricka.

- Słyszałem - zaczął Kevin - że na Północy źle się dzieje.

Jego bystre oczy dostrzegły zmianę wyrazu twarzy gościa.

- Tutaj także - powiedział Frank.

Nagle zaczął mówić:

- Dlaczego zabili Mountbattena? Dlaczego wysadzili tę łódź, zabijając tylu niewinnych ludzi?

Kevin trzymał język za zębami, a Frank mówił dalej, marszcząc brwi. Było oczywiste, że jest zmartwiony.

- Czy nie rozumieją, że nie zdobędą poparcia opinii publicznej? Szczerze mówiąc, uważam zastrzelenie ludzi z RUC na oczach żon i dzieci za coś okropnego.

- Coś się zmienia - spojrzał na wuja. To, co na Północy było wojną o wolność i sprawiedliwość, coraz bardziej staje się eskalacją terroru.

- Wiem, co czujesz, Frank - odparł rozsądnie Kevin - ale przyjrzyjmy się faktom historycznym. Walka na Północy trwa od lat. Ludzie w Wielkiej Brytanii i w Ameryce przyjmują wiadomości o tym bez mrugnięcia okiem. Nie zajmują już pierwszych stron gazet. Jakiś katolik biedaczysko zostaje wyciągnięty z łóżka i zamordowany przez oranżystów²¹, a informacja o tym znajduje się za każdym razem o kilka cali niżej na coraz dalszych stronach gazet. To nie w porządku, że zabija się ludzi na oczach ich rodzin, ale naszych rodaków spotyka to od lat. Teraz odpłacają tym skurwysynom taką samą monetą! A jeśli chodzi o zabicie tego Mountbattena i innych - no dobra...! - Ryan rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć, że to było konieczne, aczkolwiek jest godne ubolewania. - Nie chcemy w Irlandii takich jak on. Taki zamach znakomicie służy naszym celom, ponieważ pokazuje, że możemy uderzyć w każdego, o każdej porze i w dowolnym miejscu!

- Po tych wszystkich zabójstwach i poświęceniach - powiedział Frank powoli - nie wydaje mi się, byśmy się posunęli choćby o krok naprzód.

²¹ Oranżyści - irlandzka partia protestancka, założona w 1795 r. (przyp. tłum.).

- A ja uważam, że tak - odparł jego wuj. - A z powodu przelanej krwi i cierpień naszych ludzi nie wolno nam zrezygnować z raz obranej drogi. Musimy zwyciężyć, nie rozumiesz tego?

- Rozumiem bardzo dobrze - odpowiedział Frank. - I chcę tego tak samo jak wszyscy inni. Nie podobają mi się tylko metody. Pomagałem naszej Sprawie i nadal będę to robił. Wkrótce nadejdzie wielka wpłata. Zamierzam to załatwić. Nic nie zmieni moich zobowiązań, ale jeśli zobaczę coś równie obrzydliwego jak tamte zbrodnie, będę mówił otwarcie, co o tym myślę.

- Szczera rozmowa ze mną, Frank, to jedna sprawa. Ale byłbym ostrożny z rozpuszczaniem gęby gdzie indziej. W tej chwili przeżywamy trudne chwile i nic dobrego dla ciebie nie wyniknie, jeśli zaczniesz obnosić się ze swoim krytycyzmem - uprzedził Ryan.

- Czy to ostrzeżenie? - spytał Frank. - Jeżeli tak, to ja go nie przyjmuję.

- Ach, nie bądź takim skończonym durniem! - Kevin zmienił ton. - Po prostu daję ci dobrą radę, to wszystko. Co u Marie? Chciałem, żebyś przywiózł ją z sobą, ale pomyślałem potem, że musimy mieć trochę czasu dla siebie.

- Rozstaliśmy się - oświadczył Frank. - I nie pracuje już w banku.

- Szkoda. Uważałem ją za miłą dziewczynę. Wszyscy myśleliśmy, że pewnego pięknego dnia zostanie twoją żoną. Czy jej odejście z banku nie stawia cię w nieco niezręcznej sytuacji?

- Nie. Byłoby o wiele bardziej krępujące, gdyby Marie została. Następną transakcję mogę przeprowadzić bez czyjejkolwiek pomocy.

- Miałaś ostrą przeprawę? - spytał Kevin, by zweryfikować wyjaśnienia Fileya. - Musiała być niezła chryja, kiedy rozstawaliście się po tylu latach?

Frank nie miał ochoty walczyć tego tematu. Nie chciał myśleć o Marie.

- Zabezpieczyłem ją finansowo - powiedział tylko. - Nie martw się o nią.

Kevin obruszył się. Poznawał ten sposób zamykania tematu. Przez chwilę ustami syna przemawiał Philip Arbutnot.

- Co to za następna duża wpłata, Frankie? - zapytał, jakby także stracił zainteresowanie Marią Dempster.

- Sean mówi, że sto tysięcy - odparł siostrzeniec. - Mają wpłynąć pod koniec przyszłego tygodnia.

Ryan zadał Frankowi pytanie, które ten już wcześniej postawił Fileyowi.

- To kupa forsy. Skąd pochodzi?

Otrzymał taką samą odpowiedź jak Frank.

- Myślę, że lepiej tego nie wiedzieć - powiedział siostrzeniec. - Nie pytam o szczegóły. Im mniej ktoś wie, tym bezpieczniej dla reszty. Ale dostanę gotówkę i umieszczę ją na nowym koncie w banku, skąd będzie ją można przelać, jak tylko się dowiem, dokąd ma trafić.

Ryan wstał. Prywatna rozmowa dobiegła końca. Uznał, że nieco rozładował sytuację. Przynajmniej taką miał nadzieję ze względu na siostrzeńca, któremu był bardzo oddany. Wolałby, żeby przestroga, której udzielił wcześniej, miała ostrzejszą formę, ale liczył się z nastrojem Franka. Gdyby Arbuthnot odmówił zajęcia się pieniędzmi, których się spodziewali, mógł ściągnąć na wszystkich prawdziwe nieszczęście. Sama myśl o tym napęniała Kevina trwogą. Poklepał siostrzeńca po ramieniu.

- Gdyby moja siostra mogła spojrzeć na ciebie z góry - powiedział - byłaby z ciebie bardzo dumna. Przejdźmy się trochę. Słońce pięknie świeci, a jest kilka rzeczy koło domu, które chciałbym ci pokazać.

Kiedy Frank odjechał, Kevin zapadł się w fotel i włączył telewizor. Mary Rose uznała, że mąż jest ponury i zirytowany. Gdy tylko samochód Franka zniknął z podjazdu, opadła z niego maska jowialności. Wiedziała, że quizu telewizyjnego, którego odgłosy szemrały w tle, Kevin nie znosi. „Może chce pogadać” - pomyślała.

- Wydaje mi się, że Frank jest zmęczony - odezwała się. - Czy ciężko pracuje? Może byśmy go zaprosili na Boże Narodzenie na Florydę?

- Może - mruknął Kevin. Podniósł na nią wzrok. Marie odeszła. - Taaa, jasne, zaprosimy go. Dobry pomysł.

Siadł głębiej w fotelu i patrzył w ekran. Pieniądze będą pod koniec tygodnia. Może dobrze by było zaprosić siostrzeńca do Stanów dużo wcześniej niż dopiero na gwiazdkę. Możliwie szybko. Tam jest mnóstwo pięknych dziewczyn. Frank musi się oderwać od polityki.

- Nie mogę patrzeć na to gówno - powiedział Kevin do Mary Rose.

Wstał i nalał sobie whisky. Mogła sprawić, że przestanie się martwić.

*

W dzień, na który zaplanowano napad, Sean Filey był od rana w klinice imienia Świętego Patryka, gdzie zajmował się trzema prywatnymi pacjentami. Jim Quinlan miał służbę na Heuston Station. To on układał wykaz dyżurów, więc mógł wyznaczyć się do pociągu relacji Dublin - Cork. Marie Dempster czekała w domu w Santry. O wyznaczonym czasie miała pojechać do Sallins. Wynajmowała teraz mieszkanie nieopodal Howth Harbor. Miejsce było spokojne, z ładnym widokiem na morze. Tego poranka siedziała, słuchając

radia, paliła papierosy i piła mocną kawę. Nie była tak starannie umalowana ani elegancko ubrana, jak to miała ostatnio w zwyczaju. Dzinsy, koszula i przepaska we włosach. Lśniące bmw zostawiła w Howth, a tutaj, na zewnątrz, czekał wypożyczony ford escort.

Frank był w swoim biurze i rozmawiał z klientem, który, jako wspólnik przedsięwzięcia, chciał zaciągnąć pożyczkę na założenie zakładów ceramicznych w Wicklow. Wyglądało to obiecująco. Frank słyszał gdzieś w tle wyjące syreny, ale nie zwrócił na nie uwagi.

W sali obsługi klientów filii Banku Irlandii przy Kildare Street leżał zastrzelony jej kierownik. Jakaś dziewczyna krzyczała histerycznie. Policja otoczyła kordonem miejsce zdarzenia, a obsługę banku zgromadziła w pomieszczeniach na zapleczu. W powietrzu wisiał gryzący zapach kordytu - wynik oddanych strzałów. Skradziony renault 5 zginął w ruchu ulicznym. Zmierzał w stronę Heuston Station. Oprócz kierowcy było w nim trzech mężczyzn, którzy zdjęli już z głów kominiarki, broń położyli na podłodze auta, a wypchaną pieniędzmi walizkę schowali w bagażniku. Słyszeli policyjne syreny. Jeden z nich obejrzał się i patrzył przez tylną szybę. Nikt nic nie mówił. Kierownik banku niepotrzebnie zgrywał bohatera, zamiast robić to, co mu kazali. Został zastrzelony, zanim zdążył dotknąć przycisku uruchamiającego alarm.

Renault zatrzymał się przed dworcem kolejowym. Jeden z mężczyzn spojrzał na zegarek. Wysiedli bez pośpiechu. Jeden wytaszczył walizkę z bagażnika. Natychmiast pojawił się tragarz.

- To na razie. Dzięki za podwiezienie! - na użytek bagażowego zawołał do kierowcy któryś z pasażerów odjeżdżającego samochodu.

Mężczyźni weszli na dworzec i zbliżyli się do kasy. Jeden kupił trzy bilety do Cork, a dwaj pozostali czekali, strzegąc walizki. Wyglądali na bardzo przeciętnych, spokojnych podróżnych. Jeden z nich kupił gazetę i otworzył na stronie sportowej. Na pociąg czekało wielu ludzi. Trzej mężczyźni, każdy z biletem w garści, przeszli przez barierkę. Najwyraźniej nie mieli ze sobą nic wspólnego. Wsiedli, jak tylko pociąg podjechał i poszli na jego koniec. Tam spotkali się z Quinlanem.

- Chodźcie za mną - polecił.

Otworzył wagon brekowego. Mężczyzna z walizką rozejrzał się.

- Mielśmy kłopoty. Pierdolony kierownik. Declan zastrzelił go.

Quinlan nie zareagował.

- Zamknę was tutaj i otworzę pięć minut przed Sallins. Wiecie, co dalej robić.

Powodzenia.

Wyszedł. Mężczyzna zwany Declanem gmerał w kieszeni, szukając papierosa. Ręce mu się trzęsły.

- Żadnego palenia! - usłyszał wydany ostrym tonem zakaz.

Nie wolno im zostawić żadnych niedopałków ani spalonych zapalek. Zachował się jak idiota, zdejmując rękawiczkę. Teraz włożył ją znowu i usadowił się na jakiejś skrzynce. Zastrzelenie kierownika banku zdenerwowało go. Nie po raz pierwszy zabił człowieka, więc kiedy pozbędą się pieniędzy i będą czysti, nie poświęci temu wydarzeniu nawet jednej myśli. W wagonie znajdowały się worki pocztowe. Starszy facet o kryminalnej przeszłości, który od wielu lat był na liście płac Provosów, myślał przez chwilę, ale postanowił nie wystawiać na próbę szczęścia, które im dotychczas sprzyjało. Byli bezpieczni, mieli forszę i zostaną sowicie opłaceni. Poza tym uważano ich za stronników Republiki. Znowu popatrzyli na zegarki. Podnieśli walizkę. Stali, kiwając się lekko w takt ruchu pociągu, a o oznaczonej godzinie Quinlan otworzył drzwi wagonu i obrzucił całą trójkę szybkim spojrzeniem.

- Przygotujcie się - powiedział i zniknął.

Wyszli na korytarz. Wiejski krajobraz gnał do tyłu. Sallins było tuż-tuż. Quinlan wyliczył to idealnie. Kiedy pierwszy wagon przejechał pod mostem kolejowym, szarpnął za hamulec bezpieczeństwa. Koła zazgrzytały na szynach, a pociągiem zaczęło targać, ponieważ gwałtownie wytracał prędkość. Quinlan pobiegł do kabiny maszynisty. Gdy dotarł na miejsce, pociąg niemal stał.

- Cholerni dranie! - zawołał. - Widziałem ich, jak pociągnęli za hamulec...

Donny słyszał, że coś nadjeżdża. Z początku nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu i wychylił się poza poręcz mostu, osłaniając dłonią ucho. Usta półgłówka rozciągnęły się w szerokim, pełnym zachwyty uśmiechu. Podskakiwał w miejscu, ściskając obiema rękami poręcz i z podniecenia wydawał ciche okrzyki.

- Pociąg - mamrotał. - Jedzie pociąg z daleka...

Była pierwsza trzydzieści i reszta mieszkańców Sallins jadła lunch albo siedziała przy drinkach w barze Cargilla. Sklepy były zamknięte. Była pora irlandzkiej sjeisty, tyle że bez palącego słońca. Donny zobaczył cudowny obraz zbliżającego się wielkiego pociągu, który - ku jego zaskoczeniu i radości - zaczął zwalniać. Pociąg na trasie Dublin - Cork nie stawał na tej malutkiej stacji, tylko przejeżdżał z impetem, ukazując Donny'emu w przelotnym mgnieniu swoje piękno. A teraz pociąg stawał. Niemał się zatrzymał, zmniejszając prędkość tak, że prawie pełzał i Donny widział lśniące dachy jego cudownych wagonów wślizgujących się wolniutko pod most. Była to najbardziej emocjonująca chwila w jego życiu. Nawet nie wiedział, że się z podniecenia zoczył. Przez krótki moment myślał, że pociąg zatrzyma się

zupełnie, ale już po chwili z tej strony mostu, po której stał, widział tylko jego koniec. Znow zaczął nabierać prędkości. Donny odwrócił się z chichotem, by śledzić go wzrokiem, a gdy zniknął gdzieś w perspektywie torów, spojrzął w przeciwnym kierunku i zobaczył trzech mężczyzn wspinających się po schodach z peronu na most.

Wyskoczyli z ostatniego wagonu, gdy pociąg niemal zupełnie zahamował. Z okien wychylały się głowy pasażerów, którzy patrzyli przed siebie, by poznać powód, z jakiego maszynista włączył hamulce. Nikt nie widział mężczyzn, wyskakujących z wagonu pocztowego. Quinlan powinien wrócić i zamknąć drzwi, a wtedy cały incydent zostanie przypisany wybrykom nastolatków, którzy pociągnęli za hamulec bezpieczeństwa, i nie zostanie powiązany z napadem w Dublinie.

Ale na moście był świadek, który widział napastników opuszczających pociąg.

- Declan!

To był rozkaz. Declan wsadził jedną rękę do kieszeni płaszcza i pokonał kilka ostatnich stopni na most. Donny gapił się na niego. Nadal się uśmiechał i mamrotał do siebie. Nie widział noża. W szale wściekłości i strachu Declan dźgał nim Donny'ego, trzymając go za obszarpany sweter. Donny nawet nie krzyknął, chociaż ostrze zagłębiało się w osierdzie i płuca. Zanim zdążył się czegokolwiek przestraszyć, pierwszy, podstępny cios w serce odebrał mu życie. Umarł z cudownym obrazem pociągu pod powiekami.

Donny upadł jak kłoda w rozlewającą się wokół niego kałużę krwi. Trzej mężczyźni odeszli, zostawiając go tak. Trochę dalej, po drugiej stronie mostu, zobaczyli zaparkowanego na drodze forda, a w nim na miejscu kierowcy kobietę. Otworzyła drzwi po stronie pasażera, licząc, że wstawią walizkę, z którą ona odjedzie.

- Zawieź nas do następnego miasteczka - usłyszała.

Zanim zdążyła zaprotestować, wcisnęli się do auta, zatrzasnąwszy drzwi.

- Widział nas, cholera - usłyszała wyjaśnienie. - Na litość boską, ruszaj!

Uruchomiła silnik i ruszyła gwałtownie. Ostrem tonem polecono jej zwolnić.

- Jedź normalnie. Do Naas. Tam przesiądziemy się do autobusu.

Marie spojrzała na siedzącego obok niej mężczyznę. Zaczynała drżeć. Świadek. O Boże, poszło źle.

- Kto was widział?

- Jakiś stary facet na moście. Nic nie powie. Stań tutaj.

Gdy tylko podjechała do krawężnika, wysiedli. Starła się nie widzieć pozostałych, cały czas patrzyła przed siebie. Walizka leżała na tylnym siedzeniu forda. Sto tysięcy funtów w banknotach. Słyszała w radiu wiadomości z ostatniej chwili. Zamordowano kierownika

banku. Teraz zginął kolejny człowiek. Marie była w stanie trzeźwo myśleć dopiero, kiedy walizka została ukryta, samochód zamknięty w garażu, a ona sama znalazła się z powrotem w domu. Dzięki whisky nalanej do filiżanki od kawy minęła jej trzęsionka i wówczas dotarło do niej, że świadkiem na moście musiał być głupek z Sallins, Donny.

Sąsiedzi otaczali kołem matkę Donny'ego. Ktoś przyniósł kilka butelek guinnessa. Przyszli dwaj bracia zabitego i obie zameżne siostry. Oszołomione przygotowywały herbatę i sprzątały filiżanki z kuchennego stołu. Patrzyły niespokojnie na matkę, która była dla nich wszystkich ostoją. Ojciec umarł wiele lat temu z przepicia i zgryzoty, zostawiając na jej głowie wychowanie pięciorga drobiazgu, jak mówiła. Jedno z nich niespełna rozumu... Donny, nieszkodliwy biedak, zadżgany w biały dzień na moście w Sallins.

Przez długi czas jego matka siedziała, zakrywając twarz fartuchem niczym kirem i oplakiwała syna, jak wszystkie irlandzkie matki od początku świata. Potem uspokoiła się trochę i przyjęła szklankę guinnessa. Policjanci przyszli i wyszli. Znała ich całe życie. Jeden z nich zostawił na brzegu kominka dwa funty. Ciało Donny'ego zabrano. Padały ledwo zrozumiałe dla niej słowa: „autopsja” i „śledztwo”. Ale rozumiała, że to było morderstwo. Kiedy jedna z córek nachyliła się i wyszeptala jej do ucha, że na zewnątrz czeka pan Arbuthnot z Riverstown i pyta, czy może wejść, matka Donny'ego zamarła. Gdy tylko Frank wszedł do pokoju, wybuchnęła płaczem. Sąsiedzi zgromadzili się za jej plecami. Pan Arbuthnot osobiście przyszedł do takiego domu! Starsza siostra Donny'ego wytarła ręce o spódnice i zapytała, czy gość życzy sobie herbaty. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego, mówiła potem wszystkim.

Frank znał Irlandię. Powiedział: „Dziękuję, tak, jeśli herbata jest gotowa, chętnie wypiję filiżankę”.

- Pani Brennan - zaczął łagodnie. - Usłyszałem o Donnym w wiadomościach. To dla pani straszny cios.

Patrzył na jej pomarszczoną, zniszczoną twarz. Splecione na podołku dłonie były spracowane i wykręcone przez artretyzm. Odkąd Donny zaczął wystawać na moście, przychodziła codziennie i przyprowadzała go z powrotem do domu, besztając przez całą drogę. Ale przez te wszystkie lata dbała o niego i cierpliwie znosiła swoje brzemie.

Frank pochylił się do przodu i powiedział:

- Ktokolwiek to zrobił, zostanie schwytany. Proszę się nie martwić. Zapłacą za to. Donny nigdy w życiu nikogo nie skrzywdził.

- Był dobrym chłopakiem - odparła, a łzy płynęły jej po twarzy. Wycierała je zmiętym fartuchem. - Muchy by nie skrzywdził. Kto to zrobił, panie Arbuthnot? Kto zabił to biedne

boże dziecię?

Frank nie odpowiedział. Na dubliński bank dokonano napadu, podczas którego doszło do zabójstwa. Pamiętał, że wczesnym przedpołudniem słyszał syreny. Skradziono sto tysięcy. Kierownika sali zastrzelono na miejscu, kiedy usiłował włączyć alarm.

Zanim Frank wyszedł z biura, radiowe wiadomości zaczęły łączyć napad z incydentem na trasie pociągu Dublin-Cork, w którym ktoś uruchomił hamulec bezpieczeństwa w pobliżu Sallins. A tam znaleziono miejscowego głupka, zasztyletowanego na moście. I kiedy Frank patrzył w twarz matki Donny'ego, już wiedział, że dostanie przez telefon wiadomość o pieniądzach na transport broni, które są gotowe do odebrania.

- Nie martw się niczym zwrócił się do brata Donny'ego, który pracował w miejscowej rzeźni i nie tylko utrzymywał żonę i czwórkę dzieci, ale jeszcze pomagał matce. - Będę się z tobą kontaktował. Będą potrzebne pieniądze na pogrzeb. Dopatrzę tego. Wasza matka nie będzie musiała pożyczać. Powiedz jej to.

- Powtórzę - wymamrotał tamten. - Powiem na pewno. Ma jakieś pieniądze na czarną godzinę, ale to wszystko.

Kiedy Frank pożegnał się i opuścił dom, długo patrzył za nim. Sallins mówiło o tej wizycie przez wiele lat.

Frank pojechał z powrotem do Meath. Na spotkanie wyszła mu pani Brogan. Jej męża widział w półmroku kuchni.

- Czy to nie straszna wiadomość? - powiedziała. - Ten biedny człowiek zastrzelony w Dublinie.

- Tak - zgodził się. - Okropne.

Frank wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Usiadł i włączył telewizor, by obejrzeć najświeższe wiadomości. Pani Brogan wróciła do męża.

- Widziałeś jego twarz? - spytała. - Biała jak prześcieradło. Chyba nie podobają mu się napady na banki, zbyt blisko jego interesów.

- To wygląda na sprawkę naszych chłopaków, Mary - powiedział Brogan.

- Też tak mówię - potwierdziła. - Niech im szczęście sprzyja. Zmówię modlitwę, żeby nie zostali złapani.

*

- Nic nie rozumiesz! - Marie podniosła głos. - Zatrzymał samochód, żeby dać temu staremu brudasowi forszę! Będzie szalał z tego powodu!

- Ciszej - powiedział Sean. - Nie musisz krzyczeć. Nie spodoba mu się to. I co zrobi? Frank zgodził się przyjąć pieniądze i wypłacić je dostawcy w Monako. Tkwi w tym po same

uszy. Na litość boską, uspokój się, kobieto! Tracisz panowanie nad sobą. - Sean odwrócił się od niej. Marie poszła za nim.

- On nas sprzeda - powiedziała. - Wyda nas wszystkich. Kupi za to nietykalność.

- Może w Dublinie - odparł Filey ale nie u nas. Wie, co spotyka kapusiów. Pokrzyczy sobie, ale nie odważy się na nic więcej.

- Nie boi się nas - stwierdziła gorzko Marie. - Nigdy nie widział tej strony naszego działania. Nie zachowujemy się tak, jak on uważa, że powinniśmy postępować. I nigdy nie trzymał ze strachu przed kimkolwiek języka za zębami. Arbuthnot to nie biedny prostak z Cork, którego można zastraszyć prymitywną groźbą przestrzelenia kolan. Znam go - ciągnęła. - Znam go lepiej niż ty czy ktokolwiek inny. Powiedziałam ci, dlaczego straciłam pracę i czemu się rozstaliśmy. Stałam w obronie tego, co robimy, a on na mnie nawrzeszczał. Mordercy, tchórze. Tak nazywa naszych ludzi na Północy. Ale nie chciałeś tego wiedzieć, Sean. Postawiłbyś raczej wszystko na jedną kartę, niż mnie posłuchał!

Obrócił się do niej. Nigdy nie tracił panowania nad sobą, ale tym razem puściły mu nerwy.

- Wiem, że mi mówiłaś! - krzyknął. - Wiem, że kryłem cię przed Quinlanem i resztą, ale nie wierzyłem ci i nadal nie wierzę! Jesteś zazdrosna, bo Arbuthnot cię nie pokochał. A teraz, ponieważ ma cię dość, chciałabyś go widzieć martwego! Ale nie zabiję go dla twojej przyjemności. Nie, póki się nie przekonam, że stanowi dla nas realne zagrożenie. Teraz ja krzyczę - powiedział z rozdrażnieniem.

- Wypróbuj go - nalegała. - Poproś Franka, żeby przyjął te pieniądze. Zobaczysz, co ci powie!

- Zamierzam to zrobić - odparł Filey. - W poniedziałek jadę do Meath. A teraz zamknij się. Mam dość.

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Usłyszała silnik samochodu i pisk opon, kiedy wyjeżdżał na drogę. Znała Seana. Bał się, ale nie chciał się do tego przyznać. Plan obrabowania banku nie powiódł się w stu procentach. Zginęło dwóch ludzi - jeden, bo był odważny i głupi, a drugi, ponieważ znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Opinia publiczna wrzała. W mediach oskarżano IRA. Przypadkowo pojawiły się dowody, które łączyły zamordowanie idioty w Sallins z uciekającymi bandytami. Zabójcy obawiali się, że głupek mógłby ich zidentyfikować, ale jeśli nie schwyta się choćby jednego z nich, udowodnienie czegokolwiek będzie niemożliwe. Podejrzenia mogły paść na Quinlana, jednak Marie nie martwiła się o niego. Był zbyt doświadczony, by dać się w to wrobić, a po

trzydziestu latach pracy na kolei nie miał w aktach ani jednej nagany. Pieniądze ukryto w domu przy drodze na lotnisko. W ciągu dwóch dni nikogo nie aresztowano, a w śledztwie nie nastąpił przełom. W miejscowych pubach i klubach zbierano pieniądze dla matki Donny'ego. Ludzie zamieszani w napad byli bezpieczni, jeśli nie liczyć zagrożenia, jakim był Frank Arbuthnot.

*

W poniedziałek, jak zwykle, Frank wszedł do biura swego banku w Dublinie. Pracownicy zauważyli, że szef ma zaciśnięte usta i wygląda, jakby był nieobecny duchem, a głowę zaprzętało mu coś bardzo skomplikowanego. W ciągu przedpołudnia zajmował się interesami i przyjął zaproszenie do Royal Hibernian na lunch z dwoma pośrednikami. Poleciał sekretarce odwołać wieczorne spotkanie z doktorem Fileyem w Meath. Wyjaśnił, że musi zostać w mieście z powodu spraw służbowych. Przeczytał doniesienia prasowe i wysłuchał najnowszego biuletynu informacyjnego. W związku z piątkowym napadem nadal nikogo nie schwytano. Nie było żadnych wskazówek. Strażnik z pociągu zeznał, że widział nastolatka, który pociągnął za hamulec bezpieczeństwa, a potem uciekł korytarzem. Nie udało mu się go złapać. Skradziony w dzień napadu samochód został znaleziony w bocznej uliczce przy nabrzeżu. Dzięki badaniom kryminalistycznym na podłodze przed tylnymi siedzeniami wykryto ślady prochu ze świeżo wystrzelonych naboju. Bagażowy z Heuston Station przypomniał sobie, że widział tego dnia podobny samochód i wysiadających z niego mężczyzn, ale nie potrafił powiedzieć ani ilu ich było, ani podać rysopisów. Nie udało się ich schwycić.

Zadzzwonił Kevin Ryan. Frank nie odebrał telefonu. Nie chciał rozmawiać z wujem. Nie chciał spotkać się z Fileyem, ponieważ wiedział, że zbliża się chwila podjęcia decyzji.

Nie dotknie tych pieniędzy, dopóki ludzie odpowiedzialni za zabicie Donny'ego nie zostaną ukarani przez własną organizację, a jemu nie przedstawi się dowodów, że tak istotnie się stało. Jeśli odmówią, zastanowi się, co powinien zrobić.

Wyjechał z Dublina i skierował się do Riverstown. Claudię zastał w gabinecie. Nie widzieli się od pogrzebu Philipa. Postarzała się. Ale nic więcej się nie zmieniło. Na widok Franka poczerwieniała ze złości.

- Co tu robisz, do diabła?

- Przyszedłem zobaczyć się z tobą w sprawie Donny'ego.

- Donny'ego? O co ci chodzi? Dlaczego wpadasz tutaj, nie uprzedzając mnie telefonicznie?

- Ponieważ wiedziałem, że nie chciałabyś się ze mną spotkać. Claudio, chcę coś zrobić

dla jego rodziny.

Zobaczył gorycz na jej twarzy.

- Dlaczego nie zatroszczą się o nich twoi przyjaciele z IRA? - natarła na niego. Przecież to oni zabili tego biedaka.

- Nie ma na to dowodów powiedział Frank. Sam czuł, że argument jest marny.

Claudia wzruszyła pogardliwie ramionami.

- Bzdura - warknęła. - Wszyscy w Sallins wiedzą, że to oni. Dlatego nikt się nie wychyla. Kiedy bagażowy z dworca zorientował się, że nie chodzi o zwykły napad, nie był w stanie podać nawet z grubsza opisu tych facetów. Rzygać mi się chce, Frank, kiedy słyszę, jak mówisz o pomaganiu tej rodzinie. Ty i twoje przemówienie w Nowym Jorku, kiedy publicznie poparłeś tych krwawych morderców! Czego właściwie chcesz? Oczyszczyć swoje sumienie za pieniądze?

- Chcę wyznaczyć nagrodę za informacje, które mogą pomóc w schwytaniu sprawców - oświadczył. - Jeśli zaproponujemy odpowiednio wysoką kwotę, ktoś zdecyduje się donieść bez względu na to, kto jest sprawcą. Zawsze tak jest. Chcę też ustanowić fundusz dla pani Brennan i chciałbym, żebyś się przyłączyła, Claudio, i nakłoniła przyjaciół do wniesienia udziału.

- Łatwo powiedzieć. Dajmy im wystarczająco dużo pieniędzy, a zdradzą najbliższych i najukochańszych - odparła z pogardą. - Dlaczego nie poprosisz swego uroczego wuja, żeby zrobił coś w tej sprawie? Powiedz mu, żeby sięgnął do kiesy. Założę się, że usłyszysz cholernie krótką, acz treściwą odpowiedź! Chciałabym, żebyś sobie już poszedł - odwróciła się do niego plecami.

- Więc nie pomożesz?

- Nie - odparła. - Przykro mi z powodu Donny'ego, ale nie mam ochoty, żeby wrzucono mi przez okno bombę do domu, płacąc w ten sposób za poprawienie ci samopoczucia.

Spojrzała znowu na Franka.

- Jeśli twoje działania mają przykre skutki, to najwyższy czas coś zmienić. Jesteś jednym z nich. Zrób z tym coś.

- Zamierzam. Kierownik banku miał żonę i troje dzieci. Chodzi mi nie tylko o Donny'ego.

Frank wyszedł z gabinetu i opuścił dom Claudii. Stała w oknie, patrząc, jak wsiada do samochodu i odjeżdża. Nagle przypomniała sobie przebłysk przeczucia sprzed wielu lat, kiedy on i Claire siali obok siebie, uśmiechając się bez troski. Teraz ogarnęło ją takie samo

przecucie tragedii. Było tak silne, że usiłowała otworzyć okno i zawołać go, ale zatrząsk trzymał zbyt mocno, a po chwili samochód Franka zniknął.

Następnego ranka w całym Sallins szeptano jedną wiadomość. Frank Arbuthnot nie tylko przyszedł do matki Donny'ego i zapłacił za pogrzeb jej syna, ale był w domu pani i powiedział, że zamierza wyznaczyć wysoką nagrodę za informacje, które by pomogły schwycić sprawców morderstwa. Pani nie chciała w tym uczestniczyć. Mądra kobieta, zgadzali się wszyscy. Wtrącanie się do takich spraw nie przyniesie nikomu nic prócz kłopotów.

Relacja na ten temat dotarła do Seana Fileya za pośrednictwem Burnsa, który usłyszał o wszystkim na posterunku policji. Joe nie miał odwagi skontaktować się z Quinlanem, który podejrzewał, że jest obserwowany. Filey musiał sam załatwić tę sprawę. Gdyby się okazało, że siostrzeńcowi Kevina może coś grozić z ich strony, Sean nie mógłby zaufać Ryanowi także. Senator już interweniował, ale nie na tyle skutecznie, by pokonać wstrząs, który Frank przeżył w związku ze śmiercią tego idioty z Sallins. Kiedy Arbuthnot odwołał ich spotkanie, Filey przez dwa dni cierpiał z niepewności. Wymówka Franka nie była prawdziwa. Sean starał się w nią uwierzyć tylko dlatego, by stłumić własne lęki. Uznał, że lepiej będzie zachować spokój i zdać się raczej na rozum niż na przeczucia. Postanowił nie popędzać Arbuthnota i nie zdradzać się z żadnymi podejrzeniami. Potem odebrał telefon od młodego Burnsa i wówczas zrozumiał, że musi działać. Zadzwoił do pani Brogan.

- Czy spodziewa się pani dziś wieczorem pana Arbuthnota w domu?

- Tak - padła odpowiedź. - Będzie na kolacji. Po południu telefonował do mnie z biura.

- To dobrze - rzekł Filey. - Jadę do was.

12.

- To, o co prosisz, nie jest możliwe.

- Ja nie proszę - powiedział Frank Arbuthnot - tylko żądam. Chcę, żeby ludzie, którzy zamordowali Donny'ego Brennana zostali za to ukarani. I chcę na to dowodu, Sean. Nic innego nie załatwi tej sprawy.

Ponieważ stali, Filey zdał sobie sprawę z różnicy wzrostu. Po raz pierwszy w trakcie długiej znajomości z Arbuthnotem Sean czuł się przez Franka przytłoczony. Nigdy wcześniej nie stracił inicjatywy, a teraz odebrał mu ją człowiek, którym do tej pory manipulował i pogardzał. Poddał go nawet na własny użytek, dla zabawy, analizie, dzięki której wyjaśniał, że brak miłości i poczucia przynależności wpędziły Franka w ciasno związaną przez niego, Fileya, sieć. Nienawidził go i wiedział, że tę nienawiść nosił w sobie od samego początku ich znajomości.

- Naprawdę chcesz mnie przekonać, że życie jednego starego durnia jest dla ciebie ważniejsze od naszego zwycięstwa na Północy?

- Nie ma żadnego zwycięstwa na Północy - odparował Frank. - Jest tylko kolejny ładunek broni, który oznacza więcej zabójstw i więcej przemocy. Nie obchodzi cię, kto na tym cierpi. Wszystko, co widzisz, to jeden stary, niepotrzebny nikomu idiota. Mam rację?

- Nie, to zbytnie uproszczenie - zaprotestował Sean. - Życie każdego człowieka jest ważne. Ale ofiary są nieuniknione. Wiesz o tym. Zaakceptowałeś to. Ten wypadek naruszył jedynie twoje wspomnienia z dzieciństwa, kiedy obdarowywałeś Donny'ego słodyczami co niedziela. To sentymentalne rozczulanie się nad samym sobą, Frank. Na litość boską, bądźże rozsądny! Musieli to zrobić. Mógłby ich zidentyfikować!

- Donny nie byłby w stanie zidentyfikować własnej matki - powiedział Frank cicho. - Nie musieli go zabijać, Sean. Nic tego nie usprawiedliwia. Zastrzelili także tego biedaka w banku. Wiem, chciał włączyć alarm. Ale czy zabijanie z zimną krwią nie ma granic? Czy morderstwo zawsze jest słuszne tylko dlatego, że w jakimś sensie jest częścią walki o wolność Irlandii?

Przez chwilę Filey nie odpowiadał. Przegrał spór, wiedział o tym. Złożył broń.

- Tak - odparł. Zrobimy to, co musimy, cokolwiek to będzie.

- A więc nie możecie już na mnie liczyć usłyszał w odpowiedzi. - Dla mnie to jest

zbyt wygórowana cena. Znajdźcie kogoś innego, by załatwił sprawę tych pieniędzy. Nie dotknę ich.

- Łamiesz przysięgę - rzekł Filey spokojnie. Chyba to rozumiesz?

- Tak. Ale nie musisz się bać, że pójde na policję. Są inne sposoby, żeby pomóc im złapać tych bydlaków. Nie zdradzę ciebie ani nikogo, z kim pracowałem. Możecie być tego pewni.

- Słowo honoru? - spytał Sean zimno. Jak obietnica, którą złożyłeś, przystępując do nas. Słowa wierności, uświęcone krwią naszych ojców i dziadów... Ścierpl z nienawiści i dygotał. Arbuthnot zamierzał wyznaczyć nagrodę za informacje o zabójcach, ale jego zdaniem to nie była zdrada.

- Nie podjąłem tej decyzji bez poważnego namysłu - ciągnął Frank. - Ale już nie jest mi po drodze z tym, co reprezentujecie. Chcesz drinka przed wyjściem?

- Nie piję ze zdrajcami - oświadczył Filey.

- Tylko z mordercami! - padła odpowiedź, kiedy otwierał drzwi.

W pokoju zrobiło się bardzo cicho. Na kominku stał piękny zegar po babce Blanche, którego tykanie brzmiało w tej ciszy jak wystrzały. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - zawołał Frank.

- Czy mogę podać teraz kolację, kiedy ten pan wyszedł? - spytała pani Brogan.

- Dziękuję, Mary. Za dziesięć minut, jeśli można.

- Oczywiście, to potrawka, nie zepsuje się - i wyszła, uśmiechając się.

Frank zapalił papierosa. Otworzył butelkę wina i poszedł do jadalni. Nareszcie sam, po tylu latach z Marie. W domu panował błogi spokój, a puste łóżko było miłsze od objęć, w które wpadł. Podszedł do telefonu i zadzwonił do Anglii. Usłyszał głos siostry.

- Claire? To ja. Muszę ci coś powiedzieć. Myślę, że będziesz z tego zadowolona...

A kiedy zadawała mu pełne niepokoju pytania, zastanawiał się nad jakimś dowcipem, którym mógłby ją uspokoić.

- Zawsze mogę się zaszyć w naszej kryjówce. Pamiętasz Reynarda?

Pożegnał się słowami: „Niech cię Bóg błogosławi” i odłożył słuchawkę. Nie ośmiela się go tknąć. Mogą rozmawiać o tym między sobą, ale nie odważą się. Wrzucił niedopałek papierosa do pustego paleniska kominka i poszedł do jadalni, by samotnie zjeść kolację.

*

Filey nie przerywał jej. Pozwolił Marie mówić, wypełniać konkretnymi szczegółami plan. Nie mogła usiedzieć spokojnie. Chodziła po kuchni, a dla podkreślenia pewnych kwestii robiła pełne napięcia przerwy. Była zarumieniona i miała jasny wzrok. Obserwując ją, Sean

pomyślał, że jej podniecenie jest niemal seksualne. Mimo to wszystko, co powiedziała, miało sens. Zabicie Arbuthnota było remedium oczywistym.

- Jeśli go porwiesz - powiedziała Marie - ona przyjedzie tutaj i będzie starała się go odnaleźć.

- Naprawdę uważasz - spytał Sean - że jego siostra podejmie takie ryzyko?

- Jestem tego pewna. Słyszałam ich rozmowy telefoniczne. Czytałam listy, które do niego pisała. Nie pokazałaby ich mężowi! Obchodzi ją tylko kochany Frank. Przyjedzie. A wszystko, co jest nam potrzebne, to rozgłos.

Sean wyobraził sobie Marie jako alegorię szpiegującej latami zazdrości.

- Czy ty mu w ogóle coś powiedziałaś? - spytał.

Zatrzymała się, patrząc Fileyowi w twarz.

- Tak - przyznała. - Dlatego mnie wyrzucił. Taka jest prawda, Sean.

- Tak myślałem. Teraz to nie ma znaczenia. Arbuthnot zwrócił się przeciwko nam. Nie mogę w to wciągnąć Quinlana, ale pogadam z Macbridem.

- Po co? - spytała. - Dlaczego ma wściubiać do tego nos? Mamy dosyć własnych ludzi. Możemy trzymać tutaj Arbuthnota, dopóki jej nie dorwiemy. Jezu, nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć jego minę!

Usiadła i trzęsącymi się rękami zapaliła papierosa.

Oszalała, pomyślał Filey. Zaczęła wariować z zazdrości. Jest zdolna do wszystkiego.

- Muszę w to włączyć Macbride'a - powiedział. - Przemycenie pieniędzy na Północ jest dla naszych chłopaków zbyt ryzykowne. Macbride musi się sam zorganizować. Najlepszym rozwiązaniem będzie łódź. Poza tym on ma kontakt z dublińską Radą. Może cały czas informować Quinlana. Pogadam z nim. My zastanówmy się nad miejscem i czasem porwania.

- Rozkład jego dnia znam na wylot. Mogę to opracować - zaproponowała. - Będziemy potrzebowali kogoś, kto przygotuje pokój na górze.

Do następnego ranka okno w pomieszczeniu na piętrze zostało zamalowane na białą. Do wnętrza wstawiono łóżko, a na drzwiach zamontowano solidną kłódkę.

Macbride zadał tylko jedno pytanie.

- Ile mamy czasu?

- Niewiele. Zrobimy to natychmiast, jak tylko będziemy gotowi.

- Nie zwlekajcie za bardzo. W każdej chwili może zmienić zdanie i pójść na policję. - Potem dodał: - Powodzenia. To byłby niezły połów, gdybyśmy schwytali jego siostrę.

Na tyłach Bostońsko-Irlandzkiego Banku Handlowego znajdował się parking. Wznosiły się nad nim pozbawione okien ściany. Teren był oznakowany jako miejsce prywatne, na którym zarezerwowano trochę miejsca dla wyższych urzędników firmy. Frank Arbuthnot wjeżdżał tutaj codziennie o dziewiątej trzydzieści rano. Jak powiedziała Marie Dempster, można było według niego regulować zegarek.

Wszystko zostało wyliczone co do minuty. Brogan zatelefonował, że jego pan wyjechał do Dublina. Czarny peugeot 505 krążył w pobliżu banku do dziewiątej dwadzieścia, kiedy to skręcił w pasaż prowadzący na parking i stanął na jednym z dwóch wolnych miejsc przeznaczonych dla gości z zewnątrz. Nieznany samochód nie powinien więc wzbudzić niczyjego zainteresowania. Filey chciał, by porwać Franka po zamknięciu banku, ale Marie twierdziła, że nie zawsze zjawia się o tej samej porze po lunchu i wieczorem po pracy w domu. Przedpołudnie było najodpowiedniejsze. Marie ręczyła za punktualność Franka. Tylko nie mogła być pewna, czy dubliński ruch uliczny lub czynnik ludzki nie pokrzyżuje ich planu. Gdyby na parkingu nie było wolnych miejsc, mieliby mniej niż pięć minut na schwywanie ofiary i ucieczkę. Przedyskutowali inne możliwości i odrzucili je.

Meath było poza dyskusją. Broganowie nie mogli zostać wciągnięci w policyjne śledztwo. Byli lojalni do szpiku kości, ale nie dość roztropni, by sprostać przesłuchaniu. Porwania należało dokonać w Dublinie i to bez szamotaniny. Z tego właśnie powodu odrzucono pomysł urządzenia zasadzki na drodze. Arbuthnot powinien przyjechać do banku, wysiąść z samochodu i wtedy zniknąć.

Poranek był bardzo deszczowy. Frank dotarł do centrum miasta, spojrzał na zegarek i przeklął w duchu korki. W deszczu Dublin wyglądał ponuro, a wody Liffey marszczyła ostra, niezbyt mocna bryza. Drwiły z niego stojące przy drodze tablice reklamowe: „Jedź z Loughlin Holidays do słonecznego Cork”. Z plakatu machała do niego uśmiechnięta rodzina na tle błękitnego nieba. Kawalek dalej zobaczył stojak z gazetami, osłoniętymi przed deszczem płachtą przezroczystej folii, spod której mignął mu nagłówek: „Napad. Nadal żadnych śladów”.

„Nie zdradzę ciebie ani nikogo, z kim pracowałem”, obiecał Fileyowi. I pełne pogardy pytanie Seana: „Słowo honoru?”. Frank spodziewał się wybuchu złości, był przygotowany na gorycz i wymówki, ale nie na nienawiść. I nie było to uczucie świeżo zrodzone przez tę sytuację, lecz musiało tkwić pod powierzchnią tego, co Frank uznawał za przyjaźń od początku ich znajomości. Na skrzyżowaniu zmieniły się światła i pojechał dalej. Tyle rzeczy poświęcił i zniszczył w pogoni za ideałem. „Jeżeli coś takiego jak ideał w ogóle istnieje”, pomyślał z rosnącym powątpiewaniem. Albo może jego poszukiwania donikąd go nie

zaprowadziły.

Skręcił w pasaż prowadzący na parking. Była dziewiąta czterdzieści. Nieźle, biorąc pod uwagę uliczny ruch i pogodę. Wszystkie miejsca postojowe były zajęte. Nawet nie zauważył czarnego peugeot. Sięgnął za siebie po dyplomatkę, wysiadł i zamknął na klucz drzwiczki samochodu. W tym momencie z peugeot wysiadł Willie i podszedł do Franka. Spotkali się o kilka stóp od czarnego samochodu. „Bez niepotrzebnego ryzyka - mówiły instrukcje Fileya. - Nie wyjmuj broni. Jest facetem, który może ci narobić kłopotów. Niech Pat zajdzie go od tyłu”.

- Dzień dobry - odezwał się Willie w swoim nosowym, dublińskim dialekcie, uśmiechając się szeroko. - Pan Arbuthnot, jak sądzę?

Frank przystanął.

- Tak.

Skulony pomiędzy samochodami Pat wyprostował się i uniósł krótką maczugę, którą walnął Franka w tył głowy. Willie podtrzymał padające bezwładnie ciało. Odskoczyła klapa bagażnika peugeot, a dwaj mężczyźni dźwignęli ogłuszonego Franka i wrzucili go do środka. Willie zatrzaskał bagażnik.

- Mamy drania - powiedział. Teraz zrobi małą przejażdżkę.

Wsiedli do samochodu. Zaskoczył silnik i odjechali.

*

Na miejscu wzięli go na górę. Wcześniej Willie zatrzymał się na mało uczęszczanej drodze za Dublinem i razem z Patem związali nieprzytomnemu ręce, i założyli opaskę na oczy. Nie mieli odwagi zakneblować jeńca w obawie, żeby się nie udusił. Spoza zasłony w oknie Marie obserwowała ich przyjazd. Franka widziała krótko, kiedy go wnoszono przez drzwi wejściowe, a potem słyszała szuranie i szamotaninę z opierającym się więźniem na wąskich schodach. Willie wepchnął Frankowi do ust brudną szmatę, żeby nie krzyczał, zanim nie znajdzie się bezpiecznie w pokoju, Marie stała bardzo cicho, a serce waliło jej z wielkiego zdenerwowania.

Wygnał ją po tylu latach. Zabrał jej wszystko, co miała do ofiarowania, a przede wszystkim gwałtowną, zawłaszczającą miłość, i wyrzucił jak śmieć. Teraz zamierzała mu za to odpłacić. Nic już dla niej nie znaczyło, że Frank zdradził ich polityczne przekonania. Marie była w stanie myśleć tylko o tym, że Arbuthnot jest pod kluczem w pokoju nad nią - teraz na jej łasce, tak jak często ona była na jego. Zastanawiała się, czy Frank poniży się tak bardzo, by błagać o łaskę? Nie, uznała, dla siebie tego nie robi. Ale poczekaj, bratku. Zaczekaj, aż postawimy cię twarzą w twarz z siostrzyczką. Wtedy dumny Arbuthnot zacznie skamleć, a

Marie będzie się temu przyglądała.

Willie rozciął więzy na dłoniach Franka i jeden jego nadgarstek zatrzasnął w kajdankach przypiętych do kolumny łóżka. Wyciągnął brudny knebel z jego ust i zerwał z oczu taśmę. Pat stał z tyłu i trzymał więźnia na muszce. Willie spojrzął w dół na Arbuthnota.

- A teraz posłuchaj mnie, ty skurwysynu - warknął. - Otwórz tylko jadaczkę, żeby zawołać o pomoc, a znajdę się tutaj migiem i wbiję ci zęby do gardła! Jak będziesz cicho - zero, kurwa, kłopotów. Albo, jak mi Bóg miły, pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś!

Potem wyszedł, a za nim Pat, który zatrzymał się na chwilę w drzwiach i opuszczał powoli broń, z rozmysłem celując we Franka. Nie powiedział słowa. Patrzył tylko, ale ten wzrok wystarczył za wszystko. Był bardziej przerażający niż groźby Williego. Później więzień został sam.

Kiedy Frank dostał w głowę, poczuł przejmujący ból. Teraz usiadł prosto i pokój zawirował mu przed oczami. Pochylił się i poczuł mdłości. Prawą rękę miał przykutą do kolumny ciężkiego i solidnego łóżka.

Frank opadł do tyłu na posłanie i zamknął oczy. Nie pamiętał niczego sprzed momentu, w którym ocknął się w ciasnej przestrzeni, czując, że jest związany i ma zasłonięte oczy. „Świadomość - pomyślał - to ból głowy. To dlatego mnie mdli i nic nie pamiętam. Siedź cicho. Nie możesz nic zrobić. Siedź cicho. Nie zabili cię. Pamiętaj o tym. Najpierw będą czegoś od ciebie chcieli”. Powoli uspokoił strach, który groził, że przerodzi się w panikę. Jesteś słaby i w szoku. Jedyłą twoją nadzieją jest czas. Niedługo dowiesz się, dlaczego cię tutaj przywieziono. Potem będziesz mógł zacząć z nimi walczyć.

- Pat nieźle przywalił mu w łeb powiedział Willie.

Sean Filey spojrzął na beznamiętnego młodego człowieka, który siedział przy kominku i czyścił sobie zapałką paznokcie. Napotkał jego niewzruszony i wrogi wzrok.

- Może mieć wstrząs mózgu - rzekł Sean.

- Może - zgodził się Willie. - Kiedy wyszliśmy, słyszałem, że rzyga. W każdym razie, parę dni będzie siedział cicho.

Filey wstał.

- Musicie ustalić kolejność dyżurów przy nim. Marie zajmie się jedzeniem i będzie tylko wchodzić i wychodzić, a jeden z was będzie go trzymał na muszce. Wpadnę jutro. Uważajcie na siebie.

Pierwszej nocy straż objął Pat. Po południu poszedł na górę, otworzył na chwilę drzwi i spojrzął na leżącego na łóżku mężczyznę. Więzień leżał na plecach, oddychał i wyglądał na pogrążonego we śnie. Przez szczeliny niedomkniętych powiek Frank dostrzegł niewyraźną

postać. Okna zachlapane wapnem litościwie zaciemniały pokój. Światło raziło go w oczy, ból głowy nieustannie pulsował, ale mdłości minęły. Drzwi zamknęły się i Frank usłyszał kroki schodzącego po schodach mężczyzny. Leżał nieruchomo. Chciał zasnąć.

Zbudził go pełny pęcherz. Ktoś był w międzyczasie na górze i zostawił w kącie zapaloną lampę, ale zbyt daleko, by mógł do niej sięgnąć. Obok łóżka stał nocnik, rolka papieru toaletowego, dzbanek z wodą i blaszany kubek. Ulżenie sobie okazało się przedsięwzięciem trudnym i poniżającym. Przykuwając go do łóżka, Willie nie wziął pod uwagę, że Frank jest mańkutom. Położył się i nasłuchiwał. Bolała go głowa, ale kiedy poruszał się lub siadał, nie czuł już zawrotów. Zesztywniało mu wyciągnięte nienaturalnie ramię. Leżał i słuchał. Na podłodze nie było dywanu, tylko gołe deski, a w pokoju niczego więcej oprócz łóżka, lampy i nocnika. Pod sobą słyszał szmer głosów. Usiadł raz jeszcze i spojrzał na podłogę. Była cienka. Współczesne budownictwo, nie to, co w starych domach o grubych stropach. Tutaj sufit nie był dźwiękoszczelny. Co prawda Frank znajdował się ponad głowami swych prześladowców, ale dobiegał go tylko cichy odgłos rozmów. Nie potrafił rozróżnić słów. Gdyby udało mu się zrobić dziurkę w desce podłogi, miałby wówczas szansę coś usłyszeć. Nie miał niczego, co mógłby wykorzystać, żeby zrobić otwór, ponieważ opróżnili mu kieszenie. Poczł, że zalewa go wielka fala wściekłości, a potem bezradności, która doprowadziła go do łez.

Nocny sen przerywały mu ataki panicznego lęku. Budził się przekonany, że otwierają się drzwi jego więzienia, a na progu staje ten facet z mordem w oczach. Kiedy jednak późnym rankiem drzwi się naprawdę otworzyły, zobaczył uśmiechniętą Marie Dempster z tacą w dłoniach, osłanianą przez rewolwerowca, który mu się śnił.

- Jak się masz, Frank? - spytała. - Przyniosłam ci śniadanko.

*

Alarm podniesiono po południu. Kiedy pomimo późnej pory Frank nie zjawił się w pracy, dziewczyna, która zastąpiła Marie na stanowisku sekretarki, zatelefonowała do Meath, ponieważ na szefa czekali klienci. Powiedziano jej, że pan Arbuthnot wyjechał do Dublina o zwykłej porze. Starszy doradca inwestycyjny poradził jej skontaktowanie się z policją i szpitalami, żeby sprawdzić, czy Frank nie miał jakiegoś wypadku. W banku zjawił się detektyw razem z posterunkowym, wysłuchał szczegółów, obejrzał samochód i poszedł spisać raport.

Po zapoznaniu się z wydrukiem komputerowym na temat Francisca Hugh'a Arbuthnota szef policji uznał za stosowne zwrócić się do służb specjalnych. Wiadomość o zniknięciu Franka pojawiła się następnego dnia w porannych wiadomościach telewizyjnych i w

popołudniowej dublińskiej prasie. „Zniknięcie bankiera” krzychały nagłówki czarnym, tłustym drukiem. „Pan Frank Arbuthnot, znany współwłaściciel banku handlowego, zniknął wczoraj rano zaraz po tym, gdy wysiadł ze swego samochodu na parkingu Bostońsko-Irlandzkiego Banku Handlowego. Pan Arbuthnot opuścił swoją posiadłość w Meath o ósmej trzydzięci rano i od tej pory słuch o nim zaginął. Coraz liczniejsze są głosy, że mógł zostać porwany. Arbuthnotowie są zamożną rodziną z Kildare”... Sean wyłączył telewizor.

Czarnego peugeota 505 skradziono o świcie poprzedniego dnia w Wicklow, a porzucono o milę od domu właściciela. Sean kazał Williemu zostawić w wozie puste puszkę po coca-coli, papierki z cukierków i zmiętą paczkę po tanich papierosach. Samochód miał opuszczone wszystkie szyby, a drzwi zostały uszkodzone młotkiem. Rozwścieczonemu właścicielowi policja powiedziała, że to był typowy zabór dokonany przez młodzież, by się przejechać, i szczęściem dla niego zniszczenia są niewielkie. Z bagażnika nic nie zginęło i nikt więcej nie zajmował się tą sprawą. Arbuthnot zniknął, jakby zapadł się w bagno. I to właśnie w moczarach miał skończyć, jak tylko dostaną w swoje ręce Claire Fraser. Jeśli Marie się myliła i siostra Franka nie przyjedzie, zostanie stracony jako zdrajca, ku przestrodze innych.

Rozgłos był właśnie taki, jakiego chcieli. Wiadomość o zniknięciu Arbuthnota pojawiła się w dziennikach radiowych BBC o szóstej i dziewiątej, a o dziesiątej w telewizji. Filey śledził informacje i w radiu, i w telewizji. Prezentowane przez nie opinie były odmienne, ale ze względu na cel, jaki przyświecał ich grupie, to było nawet lepsze. „Istnieją obawy, że szwagier brytyjskiego ministra przemysłu i handlu, Neila Frasera, został porwany sprzed swego banku w Republice Irlandii. Pan Frank Arbuthnot, członek wpływowej anglo-irlandzkiej rodziny i prezes Bostońsko-Irlandzkiego Banku Handlowego w Dublinie, zniknął po opuszczeniu swego domu w Meath”.

Billy Cavanagh oglądał wiadomości w RTE. Był tak krańcowo przerażony tym, co usłyszał, że siedział zgarbiony na krześle, gapił się w telewizor i mamrotał bez końca swoje „Jezuniu”. W Sallins wrzało od rozmów o nagrodzie, którą Arbuthnot zamierzał ofiarować za wydanie sprawców zabójstwa Donny’ego. Wiele osób twierdziło, że lepiej by zrobił, pilnując własnego nosa. Inni mówili jeszcze gorsze rzeczy.

W Riverstown Claudia widziała ten sam program. Obejrzała go, wyłączyła dźwięk i długi czas siedziała nieruchomo. „Jeśli twoje działania mają przykre skutki, to najwyższy czas na zmiany” - powiedziała podczas ich ostatniego spotkania. Teraz wyglądało to na ponure proroctwo. Wkrótce rozdzwonił się telefon. Odebrała go. Trzem kolejnym rozmówcom powiedziała to samo.

- Tak, przerażające. Ale jeśli kryje się za tym IRA, to Frank jest sam sobie winien. Mam tylko nadzieję, że ta sprawa nie sprowadzi kłopotów na resztę rodziny.

A potem był telefon, którego najbardziej się obawiała - z Gloucestershire, od córki.

Claire pojechała z dziećmi na przyjęcie urodzinowe, w którym uczestniczyła dwudziestka chłopców i dziewczynek. Trzyletnia Lucy była towarzyska i chodziła za wszystkimi chwiejnym krokiem, bo chciała przyłączyć się do zabawy, natomiast Peter trzymał się matki. Był nieśmiałym dzieckiem i Claire musiała pochlebstwami nakłaniać go do udziału w rozmaitych grach towarzyskich. Po pewnym czasie, gdy się rozruszał, bawił się już sam. Hałas na przyjęciu był przeraźliwy, ogłuszał. Jubilatka, która tego dnia kończyła siedem lat, podzieliła tort i przy wtórze okrzyków zachęty zdmuchnęła świece. Były baloniki i upominki dla każdego uczestnika zabawy. Claire niezbyt dobrze знаła rodzinę gospodarzy i wiedziała, że jej dzieci zaproszono, ponieważ Fraserowie byli wysoko notowani na towarzyskiej giełdzie.

W drodze powrotnej do domu dzieci gaworzyły na tylnym siedzeniu, bawiąc się swoimi zbyt drogimi prezentami. Claire przypominała sobie proste podarunki z czasów jej własnego dzieciństwa, kiedy paczka kredek wystarczyła, by sprawić wielką przyjemność. Włączyła radio pod koniec wiadomości i wysłuchała prognozy pogody. Ciepło, wiatry południowo-wschodnie, najwyższa temperatura dwadzieścia stopni Celsjusza.

Zapowiadał się miły weekend. I wreszcie choć raz dom nie będzie pełen ludzi. Neil planował przyjęcia na wiele tygodni naprzód i miał długą i urozmaiconą listę gości, w większości związanych z jego polityczną karierą. Claire czuła się zmęczona znośnieniem przez lata tego, co nazywała „weekendami promocji Neila Frasera”.

Zaprowadziła dzieci na górę do ich pokoju. Dziewczyna, którą Claudia zaangażowała po urodzeniu się Lucy, nadal u nich pracowała. Uszczęśliwione dzieciaki pobiegły jej naprzeciw.

- Przyjdę powiedzieć im dobranoc, kiedy będą wykąpane - powiedziała Claire.

Wróciła na dół, naląła sobie kieliszek wina i z podwiniętymi nogami usiadła na sofie. Włączyła radio, czekając na serwis informacyjny BBC o szóstej.

Po otrzymaniu wiadomości przez telefon Neil jechał wolno do domu. Z powodu rodzinnych powiązań o zniknięciu szwagra został powiadomiony jeszcze przed tym, nim sprawa przedostała się do publicznej wiadomości. Kiedy w salonie zobaczył Claire, natychmiast poznał, że już o tym słyszał. Widział jej bladą, zmizerniałą twarz i pośpieszył w jej stronę.

- Och, kochanie. Wiem, wiem. Nie płacz - objął ją ramionami.

Odsunęła się od niego, jakby był kimś obcym.

- Umrę, jeśli coś mu się stanie - powiedziała. - To IRA. Ostrzegałam go, błagałam. Och, mój Boże, mój Boże...

- Claire, na litość boską - prosił Neil - nie załamuj się! Prawdopodobnie się znajdzie. Mógł wyjechać dokądś, nic nikomu nie mówiąc. Nie doprowadzaj się do takiego stanu, zanim nie poznamy więcej szczegółów!

- Łatwo ci mówić! Zabiją go! Wiem, że to zrobią!

Nie mógł uspokoić żony. Nie mógł przemówić jej do rozsądku. Cokolwiek do niej mówił, odbijało się jak groch od ściany. W końcu powiedział:

- Zostań tutaj. Pojadę do Londynu. Może się czegoś dowiem. Mogą mieć więcej informacji.

Po raz pierwszy robiła wrażenie, że słucha.

- Pojedziesz? Zrobisz to? Och, jedź, na miłość boską!

Kiedy wrócił, Claire była już spokojniejsza, jakby jej rozpacz się wypaliła. Na twarzy miała plamy, a łzy niepowstrzymanym strumieniem wciąż płynęły z jej oczu. Dał żonie swoją chusteczkę i objął ją. Tym razem nie odsunęła się.

- Rozmawiałem z ludźmi, którzy znają wszystkie szczegóły - powiedział. - Wygląda na to, że Frank został porwany. Być może dla okupu.

Nie wspominał o innych ewentualnościach.

„Mogli go zamordować. Ostatnio bardzo wspierał Provosów. Jeżeli do jutra nie znajdą ciała, to może mamy do czynienia z porwaniem dla okupu. Przez wzgląd na panią Fraser miejmy taką nadzieję”.

Claire wysłuchała go, wytarła oczy, a potem odezwała się:

- Zadzwoń do mamy. Muszę porozmawiać z kimś, kto mnie rozumie. Mówiłam mu, żeby się wycofał.

Neil milczał. Mieli przed nim kolejną tajemnicę. To nie była odpowiednia chwila, by o to zapytać.

- Wybiorę numer - zaproponował. - Chcesz trochę brandy na uspokojenie?

- Nie, dzięki - potrząsnęła głową Claire. - To tylko szok. Już minął. Martwiłam się o Franka od czasu jego ostatniego telefonu. Już mi lepiej. Przepraszam, że urządziłam taką scenę. Nie najlepiej to znoszę. Przestraszyłam się.

Tak bardzo chciał być łagodny i pocieszyć ją. Chciał zapomnieć, jak bardzo nienawidził szwagra i starał się nie myśleć o tym, że Frank dostał to, na co naprawdę zasługiwał. „Być może Claire zna moje uczucia”, pomyślał. Możliwe, że dlatego znowu

zamknęła się w sobie. „Chcę porozmawiać z kimś, kto mnie rozumie”. Zraniło go to. Na moment wziął w nim górę egoizm i poczuł gniew. Claudii nie będzie wcale przykro. Miała do Franka taki sam stosunek jak Neil. Podszedł do aparatu i wybrał numer.

- Nie płacz - powiedziała jej Claudia. - To nie pomoże, że będziesz się denerwować. Wszyscy musimy mieć nadzieję, że to tylko nieporozumienie. Frank może się odnaleźć. Powinnaś się uspokoić i myśleć o Neilu i dzieciach, kochanie. Przed chwilą byli tutaj policjanci i obiecali mi powiedzieć, jak tylko się czegoś dowiedzą. Nie martw się, prawdopodobnie nic mu nie jest.

- Nieprawda, mamó - odparła Claire. - I ty o tym wiesz.

Claudia odezwała się po chwili:

- Frank przyjechał do mnie po tym, jak zamordowano tego biedaka, Donny'ego. Muszę przyznać, że mówił dosyć niebezpieczne rzeczy. Chciał wyznaczyć nagrodę za informację, która mogłaby doprowadzić do schwytania sprawców zabójstwa. Powiedziałam, że to zrobiła IRA. I on też doskonale o tym wiedział. Nie chciałam mieć z tym nic wspólnego, ale znasz Franka. Od lat nie słuchał nikogo z nas.

- Zadzwoił do mnie, żeby powiedzieć, że zrywa z nimi - powiedziała Claire. - Mamó, przyjeżdżam.

Claudia usłyszała z dalszego planu Neila, który powiedział bardzo głośno: „Nie!”.

- Ani się waż! - ostrzegła ją Claudia ostro. - To głupie gnać tutaj, zostawiając męża i dzieci. I z pewnością niebezpieczne. Poza tym nie możesz zatrzymać się w Riverstown. Sama zastanawiam się nad tym, czy stąd nie wyjechać. Daj mi Neila, kochanie, chcę z nim porozmawiać.

- Nie - zaprotestowała Claire zdecydowanie. - Nie dam go. Połączylibyście się przeciwko mnie. Biedny Frank. Mój biedny brat. Wszyscy mają go w nosie! Ja jedna - nie!

I odłożyła słuchawkę. Neil podszedł do niej.

- Na litość boską, Claire, kochanie!

- Wiem, co zamierzasz powiedzieć - odparła. - Ale nie mów tego, proszę. Nie dzisiaj. Nie zniósłabym, gdybyśmy się pokłócili. Wystarczy mi rozmowa z matką. Nie mogę przestać o tym myśleć. Są bezlitośni, Neil. Oni nie zabiją go tak, po prostu. Jeżeli uważają, że ich zdradził, będą go torturować.

- A zdradził? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Nie rozmawialiśmy o nim - przypomniała mu. - A jeśli już, to zawsze się kłóciliśmy. Frank dzwonił kilka dni temu. Powiedział, że skończył z IRA. Chciałam, żeby wyjechał z Irlandii i przyjechał do nas. Zapytałabym cię o pozwolenie, gdyby się na to zgodził. Ale nie

chciał przyjechać. „Nie ruszą mnie”, powiedział. Och, Neil, tak bardzo się boję, że obudzę się rano i usłyszę coś strasznego!

- Nie usłyszysz - zapewnił ją. - Nasi ludzie powiedzieli dziś wieczorem, że brak wiadomości to dobra wiadomość. Zwykle mają rację.

W łazience były proszki nasenne. Neil nalegał, by zażyła jeden. Leżał obok niej, nie śpiąc. Słyszał, jak oddycha przez sen, i brzmiało to tak, jakby płakała we śnie.

„Jeśli Frank nie żyje, prawdopodobnie ją stracę - pomyślał. - Nigdy się z tym nie pogodzi. A jeśli żyje, czeka nas w związku z jego porwaniem długi koszmar. Bóg jeden wie, co się zdarzy”...

Claire obudziła się wcześniej od męża i włączyła radio, by wysłuchać porannych wiadomości. Zniknięcie Franka nie zajmowało już czołowych miejsc biuletynów informacyjnych. Claire leżała oparta o poduszki. Po nocnym odpoczynku łatwiej jej było racjonalnie myśleć. Zeszłej nocy, zszokowana, zachowała się histerycznie. „Brak wiadomości będzie dobrą wiadomością”, twierdził Neil. Dzień się dopiero zaczynał. Minie sporo czasu, zanim koszmar stanie się dziennikarską wiadomością. „Znaleziono martwego bankiera”. Wzdrygnęła się i odegnała od siebie tę myśl. Co Frank powiedział, kiedy ostatnio rozmawiali? Jak dawno to było? Tylko kilka dni temu, ale jej się wydawało, że to już całe wieki. „Nie ruszą mnie”. Tak, ale jeszcze coś... „Zawsze mogę zamelinować się na kilka dni. Pamiętasz Reynarda?” Odwróciła się, chwytając Neila za ramię.

- Obudź się! Och, obudź się, kochanie! Na litość boską!

Zerwał się przestraszony, ale już na pierwszy rzut oka wiedział, że nie chodzi o złą wiadomość.

- Być może nic mu nie jest - powiedziała Claire. - Możliwe, że się ukrył! Jeżeli był zagrożony, to tak właśnie zrobił! Och, Neil, jest jakaś szansa. Jeżeli wciąż go nie znaleziono, a ci brutalnie nie żądają okupu ani nie komunikują się z rodziną, to ta szansa jest bardzo duża! On nawet coś takiego mówił! Wczoraj wieczorem byłam w takim stanie, że zupełnie o tym zapomniałam.

- No cóż, może to i jest wyjaśnienie. Jeżeli uważał, że go śledzą, to ma ono sens. Ale gdzie Frank mógł się ukryć?

Spojrzała na swoje dłonie. To był ich sekret, Franka i jej. Nie powinna zdradzać go Neilowi. Odrzuciłby ten pomysł, uznając go za jedno z irlandzkich dziwactw, a ona nie zniosłaby tego. Jeżeli odbierze jej tę ostatnią nadzieję, Claire nigdy mu nie wybaczy.

- Nie powiedział mi - odparła.

Marie postawiła tacę na łóżku. Był poranek drugiego dnia przetrzymywania więźnia. Frank nie odezwał się dotąd słowem ani nie odpowiadał na jej szyderstwa. Jego milczenie doprowadzało Marie do szaleństwa. Chciała wyprowadzić go z równowagi, chciała, żeby ją przeklinał, obrażał - cokolwiek, byle tylko nie patrzył na nią z taką pogardą, jakby była pyłem u jego stóp.

Willie zastąpił groźnego Pata. Jeden zostawał na noc, drugi pełnił straż w ciągu dnia. Marie mieszkała u siebie w Howth, skąd przyjeżdżała, by gotować strażnikom i dręczyć psychicznie więźnia.

- Wczoraj odwiedziła mnie policja drażniła się z nim. - Powiedziałam, że nie widzieliśmy się już kilka tygodni. I że jest mi bardzo przykro, ale nie mam zielonego pojęcia, gdzie się możesz podziewać.

Willie miał powyżej uszu sterczenia z bronią w drzwiach, kiedy Marie dokuczała więźniowi i szydziła z niego. Marnowała czas Williego, a w dodatku jej wysiłki nie robiły wrażenia na tym ponurym draniu, Arbuthnocie.

- Zostaw go - mruknął Willie.
- Chcę iść do ustępu - powiedział do niego Frank.
- Skorzystaj z nocnika!
- Jest pełny.

Willie nagle zwrócił głowę w kierunku Marie.

- To masz pecha. Chodź - rozkazał.

Frank nie liczył na to, że zaprowadzą go do łazienki, ale warto było spróbować. Nie mógł unieść ramy łóżka. Kajdanki były wyszukane. Nie otworzyłyby ich nawet, gdyby miał coś cienkiego i ostrego. Za pomocą widelca, którym pozwolono mu jeść, udało mu się jednak zrobić niewielką szczelinę między deskami podłogi. Nie próbował zatrzymać sztućca, ponieważ natychmiast by to zauważyli. Przechylił się przez krawędź łóżka, zgiął w pół i drążył otwór w drewnie. To było trudne, ponieważ widelec był marną wytłoczką z blachy, która łatwo się wyginała. Szczelina była wąska i nie dosyć głęboka, by Frank mógł dobrze słyszeć rozmowy z pokoju pod nim. Nasłuchiwał kroków oprawców, którzy schodzili po schodach, a potem zajął się delikatnym wydłubywaniem drzazg.

Życie toczyło się według schematu. Dwa razy dziennie Marie przynosiła tacę z jedzeniem. Miał dziesięć minut na zjedzenie, a potem wchodził Willie lub groźny Pat i zabierał ją. Smród z nocnika wywoływał mdłości. Naczynie opróżniano dopiero w nocy, a przez cały dzień stało pod łóżkiem.

Jadł szybko. Dostał plaster nieświeżej szynki z pajdą chleba posmarowaną zjełczałą

margaryną.

- Niestety, to nie jest *haute cuisine*²² - powiedziała Marie, kalecząc francuskie słowa i uśmiechając się sztucznie. - Ale niczego innego nie dostaniesz!

Był głodny. Czuł się lepiej, a ból głowy dolegał mu już tylko trochę. Nie wolno mu jednak było okazać, że jest silniejszy. Kiedy tamci wchodzili, leżał, udając, że śpi. Wieczorem, jeśli znowu dadzą mu widelec, może posunie pracę na tyle, że będzie mógł zrozumieć, o czym jego oprawcy rozmawiają na dole.

Ale nadszedł wieczór, a Marie się nie zjawiała. Pat przyniósł rondel zupy z puszki i łyżkę. Jej tępego końca nie dało się wsunąć pomiędzy deski podłogi.

*

Minął piątek, a potem sobota. Claire spędzała czas przed telewizorem, śledząc wszelkie wiadomości. Mąż zapewniał ją, że zostaną o wszystkim poinformowani, zanim cokolwiek przedostanie się do mediów, ale ona upierała się, by co godzinę słuchać wiadomości radiowych. Neil zajmował się dziećmi. Przyprowadził je do Claire, ale ona nie była w stanie cieszyć się nimi. Pod koniec tej długiej, męczącej niedzieli powiedziała:

- Przepadł bez śladu. Och, Neil, jak mogę go znaleźć?

- Nie możesz - odparł. - Po prostu musisz być cierpliwa i nie upadać na duchu.

Miał tylko nadzieję, że jej optymizm jest uzasadniony. Prywatne dochodzenie, przeprowadzone dzięki ich stosunkom w Dublinie, nie potwierdziło teorii Claire. Wręcz przeciwnie. Skoro w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od chwili porwania nie zażądano okupu, to Arbuthnot z pewnością został stracony przez swych dawnych towarzyszy z IRA. Mogli zdecydować, że los zdrajcy ma być nieznanym, i dlatego ciało Franka spoczęło na dnie jednego z prastarych, głębokich bagien. Któraś z czołowych niedzielnych gazet na drugiej stronie przedstawiła historię życia zaginionego bankiera. Frank Arbuthnot został w niej przedstawiony w taki sposób, że Claire podarła pismo w bezsilnej złości.

- Stek kłamstw! Te brednie o milionerach i dawaniu pieniędzy Provosom. Boże, nigdy w życiu nie słyszałam takich wstrętnych oszczerstw!

- Ja też nie jestem tym bardzo zachwycony - powiedział jej mąż.

Claire zbyła go.

- Nie chcę cię zranić, Neil, ale przestań choć na pięć minut myśleć o swojej cholernej karierze! Możesz to dla mnie zrobić? Wszyscy wiedzą, co sądzisz na temat Irlandii. Wystarczająco często o tym mówiłeś. Przedstawili mojego brata jako jakiegoś zbira! - Potem

²² *Haute cuisine* - w języku francuskim: wyszukana kuchnia (przyp. tłum.).

dodała: - Och, proszę, nie! Lucy i Peter, wracajcie do Iris, skarby, mamusię boli głowa. Nie, Lucy, powiedziałam nie. Idź do swojego pokoju. Gdzie, do diabła, jest Iris?

I wtedy po raz pierwszy Neil stracił cierpliwość.

- Nie trzeba zabierać stąd dzieci. One nie rozumieją, co się dzieje. Doprowadziłaś Lucy do płaczu.

- Tylko dlatego, że mnie nie słucha. I nie mów do mnie przy nich w ten sposób.

Neil wyprowadził dzieci i wezwał opiekunkę. Potem wrócił do pokoju. Claire paliła papierosa. Od czwartku wieczorem kopała niemal bez przerwy i niewiele jadła.

- Claire - odezwał się. - Powinniśmy trzymać się razem. Wiem, że jesteś zdenerwowana, ale nie pozwolę traktować w ten sposób dzieci. Dla większości matek byłyby pociechą.

Powoli odwróciła się do niego. Wyglądała źle, ale w tej chwili czuł zbyt wielką złość, by mu to sprawiało przykrość. Nic nie miało dla niej znaczenia poza jej przyrodnim bratem. Nic! Neil był o krok od wybuchu.

- W takim razie dowiedz się, że postanowiłam jechać do Irlandii!

Czuł, że do tego dojdzie.

- Nie możesz - zaprotestował. - To szaleństwo. Kategorycznie ci zabraniam.

- Bo to by źle wyglądało w gazetach, co? To znaczy niekorzystnie dla ciebie?

Wziął się w garść.

- Owszem, to byłoby bardzo nie na miejscu, ale nie to jest najważniejsze. Nie chcę, żebyś jechała do Irlandii, bo może ci tam grozić prawdziwe niebezpieczeństwo. Jeśli nawet jest tak, że ja cię już nie obchodzę, nie wolno ci tego zrobić ze względu na Petera i Lucy.

- Nie zostanę tutaj - powiedziała cicho Claire. - Nie mogę siedzieć w domu i nie wiedzieć, co się dzieje z moim bratem. Jeżeli mnie kochasz, Neil, nie możesz tego ode mnie wymagać.

- Kocham cię, ale liczę, że na pierwszym miejscu postawisz naszą rodzinę - oświadczył. - Wybierz sobie z głowy wyjazd do Irlandii. Twoja matka powiedziała ci to samo.

- Claudia nie jest matką Franka - odparła Claire. - Jestem jedyną osobą na świecie, która go kocha. Jedyną, jaką ma. Nie rób z tego sprawy, proszę, Neil.

- Sprawa już jest. I to ty robisz z tego problem. Frank wdzierał się pomiędzy nas przez dziesięć lat naszego małżeństwa. Mam tego dość. Jeżeli teraz nas opuścisz, to na zawsze!

Nie odpowiedziała. Przeszła obok niego, opuszczając pokój. W poniedziałek rano Neil przed wyjazdem do Londynu nie widział się z żoną. Claire odwiozła dzieci. Lucy chodziła do przedszkola w miasteczku, a Peter do miejscowej szkoły podstawowej. Każde z nich objęła i

uściskała.

- Przykro mi. Byłam wczoraj w okropnym stanie. Miałam po prostu straszną migrenę i zrzędziłam.

Peter spojrział na nią. Zachowywał się czasem w szczególny sposób, z nieśmiałością, która przypominała jej Franka, gdy był bardzo młody.

- Pobawisz się z nami, mamó, kiedy wrócimy do domu? Nie jedziesz do Londynu, żeby zostać z tatą, co?

- Pobaw się z nami - poprosiła piskliwie Lucy, by nie być gorsza od brata.

„Nic jej nie zniechęca” - pomyślała Claire z uśmiechem. Na moment zawahała się. Ale tylko na chwilę. Oskarżenie Neila zabolalo ją, bo częściowo było prawdziwe. Zobaczyła zaniepokojoną twarz syna i zmieniła plany. Jeszcze jeden dzień. Była im to winna.

- Nie jadę do Londynu - powiedziała. - Pobawimy się w specjalną grę i zjesz dzisiaj ze mną kolację, Peter. Ty nie, kochanie, dla ciebie to zbyt późno. Może następnym razem.

Jeden dzień więcej dręczącej niepewności, by udowodnić sobie, że kocha własne dzieci. Jeden dzień, który skończy się jak inne. Żadnych nowych doniesień, głośiły biuletyny informacyjne. Nikt nie żąda okupu. Żadnych nowych wskazówek.

We wtorek rano wynajęła w firmie Broadway samochód i wyjechała do Liverpoolu, by zdążyć na nocny prom do Dublina.

*

Kevin Ryan odleciał do Ameryki miesiąc wcześniej, niż to planował. Spakował się i opuścił Pół Domu z Mary Rose i Patrickiem. Żadne z nich nie zapytało go o powód. Z gazet nagłówki krzyczały o zniknięciu jego siostrzeńca. Mary Rose miała zaczerwienione oczy. Nie rozmawiali podczas jazdy na lotnisko, a kiedy Patrick zaczął zadawać pytania, Kevin odwrócił od niego głowę. Gdy siedzieli już w samolocie, przypięci pasami do foteli, Mary Rose spojrziała z boku na męża. Byli małżeństwem od trzydziestu lat, a ona nadal próbowała zrozumieć człowieka, który o kimś z własnej krwi i kości powiedział: „ Ten wredny bękart okazał się zdrajcą. Zasługuje na najgorsze. I koniec na tym! Ani słowa więcej, niech to szlag! Rose, zamknij się, mówię ci!”. Przez moment gotów był ją uderzyć - widziała jego zaciśniętą pięść.

Następnego ranka powiedział:

- Jedziemy do domu. Wrócimy tutaj, kiedy już będzie po wszystkim.

Był jej mężem, ale o pewnych sprawach lepiej, żeby kobiety nie wiedziały. Musiała to zaakceptować. Wiele czasu spędziła na modlitwach za Franka Arbuthnota, gdziekolwiek się znajdował. Kiedy w samolocie sprawdzano silniki, przez głowę Mary Rose przemknęła

niewiarygodna myśl: „Nigdy więcej nie chcę widzieć Irlandii”. A potem wsunęła dłoń do kieszeni i zaczęła odmawiać różaniec.

Kevin Ryan wyglądał przez niewielki iluminator na uciekające w tył strzępy szarych chmur, które na wysokości ponad jedenastu tysięcy metrów nagle ustąpiły pełnemu słońcu błękitowi nieba. Senator czuł w ustach gorycz, jakby miał w nich żółć, której nie mógł wypluć. Wydawał się sobie zgorzkniały i stary. A czekało go jeszcze składanie wyjaśnień. Nie znał większej hańby niż zdrada członka rodziny. Musiał wzbudzić w sobie złość, bo to pomagało wytrzymać ból.

*

Widelec dostał znowu w niedzielę. Był wbity w gulasz z puszki. Frank nie mógł się doczekać, kiedy brutalny Willie sobie pójdzie. Po jego odejściu natychmiast klęknął obok łóżka i zabrał się do wyskrobywania kolejnych wiórów drewna ze szczeliny pomiędzy deskami podłogi. Tym razem z rozpaczy stał się nieostrożny. Pociął krawędzie sztućca, ale zrobił sporych rozmiarów otwór. Nie miał czasu na nic więcej. Przełknął połowę chłodnawej brei z talerza i zabrał się do prostowania zębów blaszanego widelca. Marie nie pokazała się. Był za to wdzięczny losowi. Talerz zabrano bez słowa i więzień został sam aż do wieczora. Frank położył się na podłodze i usiłował powiększyć otwór palcami. Udało mu się oderwać kilka drzazg drewna. Jedna wbiła mu się pod paznokieć. Wyciągnął ją i pracował dalej. Mijały godziny. Palce miał otarte do krwi, ale szczelina poszerzyła się.

Zabrali mu zegarek, więc stracił poczucie czasu. Usłyszał jakiś hałas i wczuł się z powrotem na łóżko. Skrępowane kajdankami ramię zdrętwiało od ucisku metalowej obręczy na nadgarstek. Usłyszał, że drzwi się otwierają. Mrugał i przecierał oczy, udając, że spał do tej pory. Stała w drzwiach. Za nią majaczyła nieodłączna, niewyraźna postać. Odległe światło z korytarza błyszczało na wycelowanej broni.

- Przyniosłam ci kolację - oświadczyła Marie. - Mam nadzieję, że nie tęskniłeś za mną zanedo.

Podeszła do niego, trzymając przed sobą tacę. Frank poczuł nagle, że chce kopnąć Marie, gdy tylko znajdzie się w jego zasięgu, i postać jej tacę prosto w twarz. Ale to tylko sprawiłoby jej radość. Dowiódłby, że mu w końcu dopiekła. Za jej plecami zobaczył rewolwerowca Pata na straży.

- Willie mówi, że nie zjadłeś lunchu - zatrzymała się i skarciła go.

Unikał wzroku Marie, nie widział więc, jak robi się czerwona ze złości.

- Odpowiadaj, bydlaku, kiedy do ciebie mówię! Nie dostaniesz dziś wieczorem nic do żarcia!

Nie mógł na to pozwolić.

- Nie zabieraj tego - poprosił. - Jestem głodny.

Zawahała się, a na jej ustach pojawił się lekki uśmiezek.

- Jesteś głodny? Gotów porozmawiać ze mną w końcu, co?

Musiał grać na czas. Musiał jeszcze raz dostać widelec.

- Dlaczego to robisz?

- Ponieważ jesteś pieprzonym zdrajcą, który zwrócił się przeciwko nam z powodu tego zasmarkanego głupka z Sallins - odparła ostro. - Tyle dla ciebie znaczy cała Irlandia - brudny, stary zasmarkaniec. A ty jesteś gotów sprzedać w zamian za niego naszych chłopców! Masz, bierz swoją kolację! Mam nadzieję, że się udławisz!

Rzuciła tacę w nogach łóżka. Potem wyszła, a drzwi zamknięto i zaryglowano. Gorączkowo pracował nad powiększeniem szpary w podłodze. Była już wystarczająco szeroka, by mógł dostrzec pod deskami wążutki skrawek gipsu.

Zjawił się Pat po tacę. Stał w drzwiach. Nie podchodził tak blisko jak Willie. To był prawdziwy profesjonalista.

- Połóż tacę na podłodze. Teraz pchnij. Nogą.

Pat, podnosząc naczynia, był zbyt daleko od Franka.

- Co z nocnikiem? - spytał Frank. - Trzeba go opróżnić.

Utkwione w niego oczy płonęły nienawiścią.

- Mogę ci go wsadzić na łeb - brzmiała odpowiedź.

Potem Pat wyszedł.

Przez jakiś czas Frank siedział nieruchomo. Zamierzają go zabić. Wiedział, że człowiek, który pociągnie za spust, właśnie wyszedł. Czuł jego zniecierpliwienie. Ale dlaczego zwlekali? Czemu trzymają go tutaj, narażając się na ryzyko odkrycia? Mogli go zastrzelić zaraz po schwyтaniu, a ciało porzucić przy drodze. To byłoby ostrzeżenie dla każdego, komu przyszłoby do głowy myśl o zmianie frontu.

Z dołu usłyszał dźwięki muzyki i ludzkie głosy. Były stłumione, ale i tak wyraźniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Frank zsunął się z łóżka, wyciągnął się, na ile tylko mógł, zbliżył lewe ucho do wydłubanego w podłodze otworu.

Marie siedziała przed telewizorem w pokoju na parterze. To był program religijny, więc ściszyła głos. Wszystkie te gęby jak księżyc w pełni, ryczące kościelne hymny jak stado bawołów! Z góry zszedł Pat. Spojrzała na niego. Wstawił talerz do zlewu.

- Długo jeszcze będziemy go tu trzymać? - zaatakował ją.

Zadawał to pytanie już wcześniej.

- Aż ona przyjedzie - odparła Marie z irytacją. - Mówiłam ci. Sean ci to powiedział. Na rany Chrystusa, przestań co chwilę pytać o to samo. Będziesz miał swoją szansę.

- A co będzie, jeśli ona się nie zjawi? - nalegał.

Marie nie brała pod uwagę takiej możliwości. Żyła tylko dla chwili, w której nadejdzie telefoniczna wiadomość, że Claire Fraser została rozpoznana na lotnisku. Przyleci, to oczywiste, i nie będzie traciła ani chwili. Mieli na lotnisku przyjaciół, którzy jej wyglądali, i kogoś przy dziennym promie, ale to tylko z przeczności.

- Przyjedzie, żeby go szukać - warknęła Marie. - Nie będzie siedzieć wygodnie w Anglii, kiedy on może być w tarapatkach! Są bardzo ze sobą związani. Wiem to najlepiej.

Frank szarpał w bezsilnej złości kajdankami. Próbował przesunąć łóżko w stronę zamalowanego okna, ale uznał, że ci na dole by to usłyszeli. Spociał się jak mysz. Claire. To na nią czekali. Czekali, żeby schwytać ją w potrzask, w którym on był przynętą. Świetnie rozumiał, co się za tym kryło. Jego siostra była główną nagrodą na loterii. Pod względem propagandowym porwanie i zabicie żony brytyjskiego ministra można było porównać do zamordowania Mountbattena. Claire przyjedzie do Irlandii i razem z Frankiem zginie na oczach tej demonicznej kobiety.

Minęła kolejna noc. Frank leżał i cierpiał psychiczne męki. Wreszcie usłyszał z dołu jakieś głosy. Oprawcy obudzili się i poruszali po domu. Znowu zsunął się z łóżka i skulił na podłodze, by słuchać.

- Potem wyjeżdżam - powiedział Pat, przygotowując sobie śniadanie.

„Ta leniwa dziwka - pomyślał - nigdy nie ruszy ręką, jeśli nie musi”. Pat jadł te same świństwa, co tamten na górze.

- Williego jeszcze nie ma - zwróciła mu uwagę Marie.

- Spóźnia się, ale ja nie mogę czekać. Muszę iść do roboty. Masz, daj Williemu klucz od kajdanek i broń. I nie zbliżaj się do tamtego, póki Willie się nie zjawi!

Frank nie ruszał się. Usłyszał, że drzwi na dole się zamykają. Została sama w domu. Willie spóźnia się, powiedział ten drugi. Miała broń i kluczyk od kajdanek. Frank podniósł się wolno. Ma kilka minut, zanim ten z dublińskim akcentem tutaj się znajdzie. Jedna szansa na milion, że uda mu się ściągnąć Marie na górę przed przyjściem kolejnego strażnika. Musi spróbować. Musi podjąć ryzyko bez względu na to, jak nikłą ma szansę, i modlić się do Boga o dosyć czasu i o to, by Marie była nieostrożna. Zdecydował się. Upadł ciężko na podłogę i zaczął krzyczeć pełnym bólu głosem.

Nagły hałas poderwał Marie na równe nogi. Krzyki Franka były przerażające. Słyszała swoje imię: „Marie! Marie!” i jęki bólu. Zawahała się. Wyrzała przez okno i wściekła

zakłęła. Ani śladu samochodu, ani śladu Williego. Znowu usłyszała głos, jeszcze bardziej żaloszny niż przedtem. „Marie”... Podniosła broń, odbezpieczyła i pobiegła na górę.

Leżał na podłodze groteskowo skręcony, a przypięte kajdankami ramię miał wykrzywione pod jakimś nieprawdopodobnym kątem. Kiedy otworzyła drzwi i zrobiła kilka kroków w głąb pokoju, Frank jęknął i krzyknął. Marie trzymała wycelowaną w niego broń.

- Złamałem rękę - stęknął, a potem osunął się, jakby tracił przytomność. - Pomóż mi...

- Jezu Chryste! - wykrzyknęła Marie.

Podeszła do niego, opuszczając bezwiednie broń.

Było za późno, żeby się cofnąć. Frank skoczył na równe nogi i uderzył ją z całej siły lewą pięścią. W tym momencie Marie nacisnęła spust. Silny cios w twarz rzucił ją na ścianę. Straciła przytomność. Broń zastukała po podłodze. Frankowi ten wyczyn niemal wyrwał ramię ze stawu.

Kluczyk od kajdanek. Frank uniósł nieco i pociągnął ciężkie łóżko. Posuwał się cal po calu do miejsca, gdzie leżała dziewczyna. Miała na sobie wełnianą kamizelkę. Jej kieszenie były puste. Marie musiała zostawić kluczyk w torebce. Ten zawód go niemal załamał. W każdej chwili mógł się zjawić ten zbir, Willie, a jedyna nadzieja Franka właśnie przepadła. Nawet gdyby go załatwił z pistoletu Marie, byłby nadal przykuty do łóżka. Przesunął je z powrotem i sięgnął po broń. Musiał wykorzystać ostatnią szansę, jaka mu jeszcze pozostała. Przystawił wylot lufy do mechanizmu zamka obejmującego kajdanki przypiętej do kolumny łóżka i odsuwając jak najdalej nadgarstek, pociągnął za spust.

Kula rozerwała zatrask na kawałki. I niemal w tej samej chwili Frank poczuł ostre uderzenie odbite od ściany pocisk trafił go rykoszetem w bok. Nie czuł bólu w łydce, która krwawiła drażnięta przez Marie. Wiedział jedynie, że jest wolny i być może ma tylko kilka sekund, by wydostać się z domu. Czuł lekkie pieczenie w nodze i wiedział, że pozostawia na podłodze ślady krwi. Zszedł po schodach i zatrzymał się przy frontowych drzwiach. W zasięgu wzroku nikogo nie było. Na zewnątrz stał zaparkowany samochód. Sportowe bmw, które dał Marie na gwiazdkę. Kluczyki. Musiał mieć kluczyki. Powinny być w jej torebce. Nigdy nie zostawiała ich w stacyjce. Torebkę znalazł na kuchennym stole, a w niej kluczyki. Także te od kajdanek. Miał jej broń i szybki samochód. Jeśli tylko dostanie się za kierownicę i zorientuje się, gdzie jest, może się za chwilę znaleźć na najbliższym posterunku policji. Nie czuł się słaby ani nie był w szoku.

Frank zamknął za sobą drzwi domu i pobiegł do samochodu. Był absolutnie spokojny. Otworzył drzwi, wsunął się na miejsce kierowcy i skrzywił w nagłym przypływie bólu. Potem przekręcił kluczyk i wspaniały silnik ożył. Wycofał wóz, zawrócił i wcisnął gaz do dechy.

Wyjechał z podjazdu na drogę. Nadal nie miał pojęcia, gdzie się znajduje.

W domu zaczął dzwonić telefon. Ponieważ dzwonił i dzwonił, Filey zorientował się, że coś jest nie w porządku. Stary gruchot Williego nie zapalił. Willie zatelefonował do Marie, ale nie odpowiadała. Potem połączył się z Seanem, który już wcześniej próbował się z nią skontaktować. Filey nie tracił więcej czasu.

- Jadę po ciebie. Czekaj przed domem.

Nie miało sensu, by Sean jechał do Santry sam. Był nieuzbrojony i nieprzygotowany do radzenia sobie z tego rodzaju problemami. Żeby zabrać Williego, musiał stracić dziesięć minut, ale nie miał wyjścia.

Frank zwolnił na skrzyżowaniu. Znajdował się obok budynku Smurfit. Wiedział, gdzie jest. Zawahał się, widząc przed sobą jadący w jego kierunku czerwony samochód z Williem za kierownicą. Zostać schwytanym teraz, w ostatnim momencie... Nagle poczuł ostry ból i zawrót głowy. Nie wahał się dłużej. Nie zastanawiał. Musiał mu uciec i dotrzeć w jakieś bezpieczne miejsce. Jeśli go złapią, nie będzie mógł ostrzec Claire. Frank zakręcił kierownicą i pognął przez skrzyżowanie drogą do Kells. Samochód, który widział, skręcił za nim.

*

Marie odzyskała przytomność. Dotknęła twarzy i jęknęła. Podniosła się wolno. Czuła silny ból. Uciekł. Na podłodze leżały potrzaskane kajdanki. Jej broń zniknęła, ale przed łóżkiem widziała plamy krwi. Musiała go postrzelić. Usiłowała się ruszyć, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa i znów znalazła się na podłodze. Twarz bolała ją tak, jakby oberwała kopniaka. Nieźle też rąbnęła głową o ścianę. W ustach czuła słony smak krwi. A potem usłyszała z dołu głos nawołującego ją Seana: „Marie! Marie!”. Słyszała, jak wchodzi po schodach. I głos Williego z zewnątrz. Uciekł. Nabrał ją i zbiegł. Ale zraniła go. Miał w ciele pocisk. To powinno ocalić jej życie.

*

Gdy tylko okazało się to możliwe, zjechał z głównej drogi i pognął na przełaj. Z desperacką prędkością pędził krętymi, wyboistymi drogami. Mijał wioski i puby. Zwalniał w nadziei, że zobaczy zielony szyld policji, ale żadnego nie dostrzegł. Ciągłe widział czerwony samochód z Williem za kierownicą. Prowadzenie nie wymagało od Franka wiele wysiłku, ponieważ układ kierowniczy chodził lekko jak piórko, reagując natychmiast na jego polecenia. Znów przyspieszył i znów ścigający go samochód zmałał we wstecznym lusterku do wielkości kropeczki. Drogi mu nie sprzyjały. Wóz znakomicie wchodził w zakręty, ale Frank nie mógł wykorzystać pełnej mocy silnika. Oddychając, czuł ból i walczył z falami zamroczenia, które go ogarniały. To Marie go postrzeliła. Zapomniał o niewielkiej ranie na

łydce, ponieważ przestała już krwawić. Musi się pozbyć pościgu. Musi uciec Williemu albo znowu zostanie schwytany.

W pobliżu Kells wydostał się z powrotem na główną drogę, a ponieważ panował na niej duży ruch, musiał zwolnić. We wstecznym lusterku wciąż widział jadący za nim samochód. Przed nim znajdował się kolejny drogowskaz. Cloncarrig. Stary dom Reynarda. Ukryte, sekretne miejsce, w którym nikt nie zdoła go znaleźć. Jeżeli tylko się tam dostanie... Skręcił gwałtownie, przecinając jezdnię tak, że groziło to poważnym wypadkiem, a dwaj kierowcy zatrąbili na niego i wygrażali pięściami. Pognał wzdłuż wiejskiej drogi i po chwili zobaczył po prawej stronie ścianę domu starego Reynarda. Frank ciało miał odrętwiałe, ale głowę trzeźwą. Znalazł mało widoczny zjazd z drogi. Od wieży z sekretnym pomieszczeniem dzieliło go jedno pole. Podjechał do zabudowań od przeciwnej strony niż wieś i zatrzymał samochód. Zdawało mu się, że myśli szybko i jasno. Musiał dotrzeć do wieży. Kiedy się tam znajdzie, będzie bezpieczny. Nie znajdą tutaj ani jego, ani Claire. Otworzył drzwiczki, wysiadł, złapał równowagę i zaczął iść.

Czerwony samochód, przed którym Frank uciekał, zatrzymał się przed wjazdem na główną drogę, czekając na możliwość włączenia się do ruchu. Kierowcą nie był Willie, lecz podobny do niego farmer, który jechał do domu. Mamrotał do siebie, że ludzie, którzy jeżdżą tak po wariacku jak ten facet w bmw, w ogóle nie powinni być wpuszczani na drogi.

Idąc przez pole, Frank nie spuszczał oka z szarej kamiennej wieży. Koncentrował na niej uwagę i walczył o utrzymanie się na nogach. Padał dwukrotnie i dwukrotnie się podnosił. Musi się tam dostać. Musi im uciec. Jeśli tego nie zrobi, schwytają jego siostrę. Była tak wyprowadzona z równowagi z powodu martwego lisa... Zaczął znów myśleć o terażniejszości. Jeszcze trochę, jeszcze tylko rów przed nim i będzie na miejscu. Kanał miał strome brzegi. Frank ześlizgnął się na jego dno i leżał, dysząc. Oczy mu się same zamykały. Nie mógł do tego dopuścić. Podniósł się na czworaki. Czołgaj się, póki nie znajdziesz się na górze. Nie zwracaj uwagi na krzaki jeżyn. Uwolnij się od nich. Teraz, jeszcze trochę dalej, to już ściana.

- Och, dzięki Bogu... - wymamrotał na głos.

Jeszcze musisz tylko dostać się do tego malutkiego okienka, tam, wyżej. Dasz radę. Spróbuj. Spróbuj i zrób to. Podciągnął się na wysokość kilku stóp, przywarł do ściany i niemal od niej odpadł. Aż wreszcie znalazł ostatni uchwyt dla palców rąk. Wślizgnął się przez okno do ciemnego azylu i opadł na podłogę. Dotarł tu. Nigdy go nie znajdą. Stracił przytomność.

Dwóch nastolatków znalazło na polnej drodze bmw z kluczykami w stacyjce. Z szybkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę rozbili się na prowadzącej do Dublina autostradzie. Obaj zginęli, a samochód spłonął.

*

Stracił poczucie czasu. Słyszał głos ojca, który coś do niego mówił, ale nie był zły na Philipa. Nie rozumiał słów, bo docierał do niego tylko szmer, jakby słuchał ludzi rozmawiających w innym pokoju. Raz mu się zdawało, że widzi matkę. Młodą i bladą, z pięknymi, rudymi włosami, taką jak na fotografii. Nie odzywała się do niego, ponieważ nie żyła, a on nigdy nie słyszał jej głosu.

Minęła noc. Śnili mu się rodzice. Potem Claudia zniknęła, zastąpił ją obraz wujka Kevina. Chciał zobaczyć Claire. Wędkowali i byli spóźnieni. Zawołał ją, a ona zbliżyła się przez ciemności tanecznym krokiem. Na jej plecach podrygiwały warkoczki. I pogrążony w majaku Frank uśmiechnął się. Nie odczuł bólu. Nie rozumiał, że umiera. Nieruchomy, nie czując zimna i wilgoci, dryfował między snem na jawie a niespokojną drzemką. Bezruch przedłużył mu życie o kolejny dzień i noc.

Kiedy Claire ruszyła przez pola i rowy z przeciwnego krańca posiadłości starego Reynarda, żeby odnaleźć brata, Frank znów podróżował w czasie, żeglując pomiędzy snem a rzeczywistością. Byli właśnie z Claire na polowaniu i pędzili za psami.

- Jedźmy tędy! - zawołała. - Znam skrót!

Uśmiechnął się, zawrócił konia i ruszył za nią. Nie od parady była córką Claudii. Jeździła zbyt brawurowo, głupia, więc spadła. Kiedy ją podnosił, była ubłocona i przeklinała. Potem razem pojechali do domu. Życie pełne było szczęśliwych dni.

Za wąskim oknem panował jasny dzień. Frank otworzył oczy i wszystkie majaki zniknęły. Miał wspaniałe wrażenie absolutnego spokoju. Obserwował jasnyniebieskie niebo i mknące po nim puszyste obłoki. „Nie pada” - pomyślał. Cudowny dzień. A potem dobiegł go jej głos. Usłyszał ją i wiedział, że to nie są omamy, które wytwarzał jego mózg. Z dołu dobiegało wyraźne i nagłe wołanie.

- Frank?! Frank, jesteś tam?!

Zebrał siły, żeby odpowiedzieć.

- Jestem tutaj, Clarry. Chodź szybko.

*

Ciężarówka z przyczepą złożyła się jak scyzoryk na Dundalk Road. Rozwalila się w poprzek drogi jak słoń, który nie może się ruszyć. Niemiecki szofer wyklócał się nerwowo z dwoma policjantami z drogówki i grupą rozzłoszczonych kierowców. Tłumek gapiów

obserwował tę pantomimę z chodnika. Spektakl ich bawił, więc śmiali się serdecznie.

Harvey nie tracił czasu. Podjechał bliżej, wyskoczył z samochodu i podbiegł do jednego z mundurowych.

- Jaka jest najkrótsza droga do Kells? Stracę robotę, jeśli utknę tu na pół godziny przez tego gościa.

- To potrwa dobrą godzinę - powiedział gliniarz. - Złapał gumę i w ogóle. Niech pan zawróci i skręci w drugą przecznicę w prawo. Potem, zgodnie ze znakami, do Clonkelty. Trochę nadłoży pan drogi, ale i tak będzie szybciej, niżby pan czekał na odblokowanie jezdni.

Michael mruknął słowa podziękowania i pognał z powrotem do samochodu. Jechał krętymi bocznymi drogami. Z nawyku patrzył we wsteczne lusterko i klął na opóźnienie. Objazd zajął dobre czterdzieści minut. Cavanagh leżał martwy na podłodze swojej kuchni, a jeśli mordercy ruszyli w drogę przed Michaelem, niewielka była nadzieja, że major na coś się przyda. Dopadną Claire Fraser i kiedy Harvey dotrze na miejsce, już jej nie będzie. Major nauczył się ufać swemu instynktowi, który ostrzegł go już niejednym razem i uratował mu życie. Teraz nie słyszał żadnych dzwonek alarmowych. Jakoś czuł, że szczęście mu sprzyja i że ten wzruszający stary człowiek albo nic nie wiedział, albo wolał umrzeć, niż ujawnić miejsce pobytu Claire.

To było bez wątpienia szaleństwo. Tylko ktoś urodzony i wychowany w tym kraju mógłby brać poważnie pod uwagę tak zwariowany pomysł, że człowiek, który ucieka przed śmiercią chroni się w lisiej norze. Choć nie bardziej obłądny niż to, że ktoś zbudował tę kryjówkę dla siebie, w nadziei, że zamieszka w niej po reinkarnacji. Harvey mógł sobie tylko wyobrazić, jak jego przełożeni zareagowaliby na tę historię, nie mówiąc już o ministrze Fraserze. On sam jednak w to wierzył. Znał ten kraj, tych ludzi i był przekonany, że siostra i brat Arbuthnotowie skorzystaliby w potrzebie z tej kryjówki.

Major znalazł się znowu na głównej drodze. Skręcił na wschód, w stronę starego miasta Kells, którego chlubą był celtycki krzyż w centrum i historia największego irlandzkiego skarbu, spisanej w klasztorze „Księgi z Kells”²³. Ten najwspanialszy celtycki zabytek pochodzi z okresu złotego wieku tej kultury, sprzed przybycia Normanów, którzy palili i pustoszyli przed wiekami kraj.

Jeśli Harvey się mylił i anegdota opowiedziana mu przez Claire przy angielskim basenie, w sercu angielskiego Gloucestershire była tylko zabawną historyjką, to przyjechał

²³ „Book of Kells” - bogato iluminowany manuskrypt z VIII lub IX w., sporządzony prawdopodobnie w Kells (przyp. tłum.).

tutaj na próżno. Jeśli tak, pani Fraser, szukając swego brata-odszczępieńca, mogła być gdziekolwiek. Z wielu lat praktyki Harvey wiedział, że jeśli obrał jakąś linię postępowania, nie powinien poddawać się wątpliwościom. Kiedy znalazł się na pustej drodze, wcisnął gaz do dechy, a potem pokonał ostatni zakręt prowadzący do Kells. Według mapy Cloncarrig znajdowało się o jakieś sześć, siedem mil za posiadłością Headford, ale Michael nie wiedział dokładnie, gdzie stoi dom. Żeby ustalić położenie wieży, którą opisała mu Claire, musiał wcześniej odszukać dom Reynarda. Nie mógł ryzykować przejazdu przez Kells, licząc na to, że sam je znajdzie. Zatrzymał się i wszedł nieśpiesznym krokiem do przydrożnej zaniedbanej knajpy Loughlina. Lokal miał podłogę z desek, był ciemny i panował w nim zastarzały, kwaśny zaduch dymu tytoniowego i rozlanych drinków. Facet w spodniach na szelkach i w koszuli z rękawami czytał za barem „The Sporting Life”. Dwie stare kobiety sączące guinnessa w najdalszym kącie sali podniosły głowy ruchem wylegujących się zółwi, by spojrzeć na przybysza. W innym rogu Harvey zauważył szafę grającą i grę wideo. Postęp dotarł nawet tutaj.

Kupił paczkę papierosów „Carrofls” i pudełko zapalek, po czym zapytał, gdzie się znajduje dom Reynarda. Wkładając sportową gazetę pod pachę, barman popatrzył uważnie na swego klienta.

- To poza Cloncarrig - wyjaśnił. - Jest niezamieszkały.

Wydał Harveyowi resztę.

- Pusty od lat.

- Widać go z drogi? - spytał Michael, patrząc mu prosto w oczy.

- Nie, stoi trochę na uboczu. Nikt tam nie mieszka - powtórzył, zastanawiając się, dlaczego ktokolwiek miałby się interesować tym domem. - Chyba się nawet zawalił.

Harvey przejechał przez wspaniałą bramę posiadłości markizów Headford. Ruszył dalej drogą, sprawdził na liczniku liczbę przebytych mil i niemal minął spłowiały drogowskaz na Cloncarrig. Była to wioska składająca się z grupki szarych kamiennych domów po obu stronach drogi, z wielkiego, brzydkiego kościoła i nędznego sklepiku, ozdobionego zieloną tabliczką poczty. Po obu jego stronach beczelnie tkwiły tablice: „Bar Kelly’ego” i „U Loughlina”. Wielki, brudny pies z wystającymi żebrami, który wyciągał z rynsztoka jakieś resztki, zerknął na przejeżdżający samochód. Dwie małe dziewczynki pchające dziecinne wózki szły obok siebie pogrążone w rozmowie. Zastanawiał się, jak ludzie zarabiają tu na życie. Wioska zniknęła jak sen, a przed Harveyem pojawiła się pusta droga, otoczona polami i wysokimi drzewami, na których gnieździły się gawrony. Ich niezgrabny lot i ochryple nawoływania przypomniały mu zdarzenie sprzed wielu lat, kiedy z ojcem wszedł do lasu ze

swą pierwszą strzelbą.

Michael odjął nieco gazu i zwolnił. Nikt za nim nie jechał i nikogo przed sobą nie widział. „Na uboczu”, powiedział ten facet w barze. To oznaczało jakąś bramę, z pewnością wjazd. Mógł być zarośnięty, ale nadal widoczny. Zobaczył coś po lewej stronie i natychmiast przyhamował. Stała tu niegdyś brama, ale teraz już jej nie było. Pozostały tylko dwa wysokie, kamienne słupy jeden rozkruszony do połowy, a na obu zwycięsko rósł bluszcz. Skręcił tam i zobaczył ślady wyboistego, błotnistego, zarośniętego zielskiem podjazdu. Po obu jego stronach leżały strącone przez wiatr niewielkie, rachityczne gałęzie. Przejechał po nich. Był tu wcześniej inny samochód, stwierdził Harvey, widząc, że są połamane. Dostyc solidną gałąź odsunęto na bok. Kiedy podjechał bliżej, zobaczył wreszcie dom, schowany do tej pory za zakrętem, i przez chwilę mu się zdawało, że ktoś w nim mieszka. Ale tylko przez moment. Brakowało dachu i szyb w oknach. Frontowe drzwi wisiały krzywo na dwóch zawiasach, jak pijany u płota, a schody były zielone od mchu i trawy wyrastającej w pęknięciach kamiennych stopni. Dom stał przed nim ślepy i pozbawiony osłony przed działaniem warunków zewnętrznych. Harvey widział już wiele podobnych posiadłości.

Nie miał powodu, żeby się zatrzymać. Powinien zająć się zadaniem, które miał wykonać, a przede wszystkim musiał ukryć samochód. A gdzie lepiej to zrobić niż w miejscu właśnie do tego przeznaczonym, jeżeli tylko nadal istnieje? Ruszył więc dookoła domu na tyły. Przejechał pod pięknym, kamiennym łukiem, ociekającymi wodą drzewami i splątanymi krzakami, które tworzyły gęstwinę jak w dżungli. Za czymś, co pewnie było kiedyś stajniami, Michael znalazł garaże. Na szkielecie dachu obracał się leniwie wiatrowskaz z chorągiewką i konikiem. Wszystkie dachówki zniknęły, a zegar na wieży rozbito kamieniami. Harvey wjechał do jednego z garaży. Żeby zamknąć jego drzwi, musiał użyć sporo siły.

Wyjął z bagażnika automatyczny karabin, zapasowe naboje włożył do kieszeni kurtki z kapturem, sprawdził broń i wsadził ją za pasek. Po ukryciu samochodu obszedł dom i ruszył w kierunku zachodnim. Chwilę potem stał nad szarozieloną wodą, która niegdyś była eleganckim stawem. Za nim, w odległości dwóch pól, Harvey zobaczył pierwszą z wież, która wyglądała jak czubek piszącego po niebie ołówka. Truchtem, w zaskakująco szybkim tempie, pokonywał odległość.

Ptaki gnieźdzące się wewnątrz zrujnowanego domu widziały przez okna, jak postać mężczyzny stale się zmniejsza, malało więc niebezpieczeństwo, jakie dla nich przedstawiał.

*

Marie Dempster tkwiła w oknie domu przy drodze na lotnisko. Pat, zawodowiec z Cork, i Willie, który prowadził samochód, odjechali w stronę Kells. Za nimi w innym wozie,

jako wsparcie, podążył Macbride.

- Szpicel - powiedziała cierpko do Seana. Jedzie szpiegować i złoży raport, gdyby coś źle poszło.

Filey wzruszył ramionami.

- Nikomu z nas nie może nic zrobić - rzekł. - Mamy tutaj własną Radę. Oni na Północy mają swoją.

- Może mi narobić kłopotów - odparła, dotykając delikatnie palcem swojej posiniaczonej twarzy. - Jeśli jej nie złapią, Macbride znajdzie sposób, żeby mnie obwinić.

Sean widział, że Marie się boi.

- Wiemy, gdzie stoi jej samochód. Dom jest opuszczony. Claire Fraser zna Arbuthnota lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. Jeżeli tam pojechała, to z całą pewnością liczy, że go tam znajdzie. Dostaniemy ich oboje.

Odwrócił się od okna i spojrział na zegarek. Marie miała ochotę krzyknąć.

- Muszę rzucić okiem na pacjenta w Rotundzie - oznajmił Sean. - Jeśli cokolwiek się zdarzy, zadzwoń do mnie. Jeśli nie, pojedę prosto do domu.

- A co ze mną? - spytała Marie.

- Czekał tutaj - odparł. - Nie chcesz być komitetem powitalnym?

Puściła zasłonę i odwróciła się od okna. Filey nie mógł się powstrzymać od obracania noża w żywej ranie. Być może odreagowywał w ten sposób cierpliwość i uprzejmość, których wymagało uprawianie jego zawodu. Marie z trudem przychodziło wyobrażanie go sobie jako człowieka współczującego, ale znała reputację Seana. Wiedziała, że więcej czasu poświęcał biedakom w państwowym szpitalu dla umysłowo chorych niż bogatym neurotykom, którzy mu słono płacili za psychoterapię. Miał serce, ale Marie nigdy nie widziała na to dowodu. Chociaż mówiło się, że Irlandczycy są gorącej krwi i porywczy, to zdarzali się i zimni jak instytucjonalna dobroczynność. Filey wyszedł i usłyszała, że jego samochód odjeżdża.

Została sama i nie wiedziała, jak długo to potrwa. Zanim tamci wrócą, może minąć wiele godzin. Ale też mogą się tu znaleźć bardzo szybko. Dręczyła ją niepewność. Marie nie mogła usiedzieć spokojnie. Chodziła po pomieszczeniach na parterze, a potem wspięła się po schodach do wąskiego korytarzyka na górze. Tam był pokój, w którym go trzymali. Otworzyła drzwi i zatrzymała się na progu. Wyciągnęła rękę i włączyła światło. Zachłapanie wapnem okno. Łóżko, do którego był przykuty. I kilka kropli jego krwi na gołych deskach podłogi.

- O Boże - powiedziała głośno. Boże, jak ja go nienawidzę! Gdyby mnie kochał, nie doszłoby do tego. Ale to ją kochałeś, ty draniu. Ona była tą jedyną.

Marie oparła się o framugę drzwi i zaczęła płakać. Z jej oczu nie popłynęła ani jedna łza, tylko słychać było szloch cierpiącej kobiety, która już dawno przekroczyła granice psychicznej wytrzymałości. A potem burza minęła. Filey miał rację. Jeśli Arbuthnot nie umrze, Marie nigdy nie odzyska spokoju. Może wtedy przestanie go kochać.

Zeszła po schodach i usiadła, by czekać.

*

Hugh Macbride utrzymywał bezpieczną odległość od jadącego przed nim samochodu. Większość życia spędził na ukrywaniu się i unikaniu blokad drogowych. Wiedział, jak wygląda prawdziwe życie podczas okrutnej wojny domowej. Ważniacy z Dublina i faceci z Cork, którzy uważali się za twardzieli, nie robili na nim wrażenia. Jeden już zabił tego starego w Riverstown, choć niczego się nie dowiedział. Hugh pojedzie za nimi, a kiedy zacznie się akcja, będzie się trzymał wystarczająco blisko, by przejąć dowodzenie, gdyby zaszła taka potrzeba. Miał własną broń ukrytą pod siedzeniem samochodu i wiedział, że nie zawaha się jej użyć przeciwko pani Fraser, jeśli ministrowa będzie stawiała opór. Znał sposoby unieszkodliwiania człowieka bez uciekania się do zabójstwa. Zabijanie to łatwizna. Zostawiał to ludziom Fileya.

Na drodze było zaskakująco tłoczno jak na tak wczesne popołudnie. Macbride zachmurzył się, ponieważ posuwał się od czasu do czasu o kilka zaledwie jardów. Szara cortina Williego pełzła wolno przed nim. Przyczyną była wielka, przewrócona ciężarówka, którą na Dundalk Road usuwano z drogi. Ruch, którym kierował policjant, odbywał się po jednym pasie jezdni. Zaraz za przeszkodą kierowcy ostro przyśpieszali i jechali zbyt szybko, rozładowując frustrację.

Skręcając w główną drogę do Kells, Macbride zobaczył migający w samochodzie Williego kierunkowskaz. Cortina zjechała na pobocze. Wysiadł z niej Pat i podszedł do wozu Hugh'a, który wysunął głowę przez okienko.

- Willie chce spytać o drogę.

Willie wszedł do knajpy Loughlina. Człowiek spacerujący z psami widział samochód osobowy z tablicami rejestracyjnymi furgonetki Cavanagha pod drzewami na starej posiadłości Reynarda. Było to jednak w bok od głównej drogi. W przeciwieństwie do majora Harveya Willie nie kupił papierosów. Za barem stał ten sam mężczyzna. Teraz wycierał wilgotną ścierką blat.

- Szukam pewnego miejsca przy Cloncarrig Road. Mount Reynard. Wiesz, gdzie to?

Barman skinął głową.

- Tak - powiedział. - Już ktoś o to pytał.

Willie zeszywniał.

- Kobieta?

- Bynajmniej - sprostował barman. - Młody gość. Powiedziałem mu, jak jechać.

- Ciemnowłoso?

Barman wrzucił szmatę pod kontuar. Nie lubił takich facetów z dublińskim, nosowym sposobem mówienia i złym spojrzeniem.

- Bynajmniej - powtórzył. - Różawy. Podać coś?

- Tylko odpowiedz na pytanie - odparł Willie. - O najkrótszą drogę do domu przy Cloncarrig Road.

Przez moment Loughlin, który był właścicielem baru i mógłby sprawcę kłopotów wyrzucić za drzwi, gdyby musiał, miał ochotę wprowadzić swego rozmówcę w błąd, ale potem się rozmyślił. Coś było w tym facecie. Jego wygląd wcale mu się nie podobał. Pewnie by tu wrócił. Udzielił mu więc wskazówek i patrzył, jak wybiega.

Willie podszedł do samochodu Macbride'a.

- Ktoś jest przed nami - powiedział. - Pytał o drogę. Nie ten - dodał, przewidując pytanie. - Rudawy, jak twierdził barman.

Macbride zmrużył na chwilę oczy.

- Ostrzeżenie to ostrzeżenie - warknął. - Jedźmy.

Tamci ruszyli, a Macbride wyjął spod siedzenia pasażera pistolet i wsunął go do kieszeni. Inny mężczyzna pytający tego samego dnia o drogę do opuszczonego domu. Zbieg okoliczności? Możliwe. Ale Macbride nie lubił przypadków. Zwykle oznaczały, że sprawy nie toczą się tak, jak powinny.

13.

Za kwadrans trzecia Neil Fraser wrócił z rozmowy z premierem. Była krótka, ale pełna życzliwości. Służba bezpieczeństwa informowała o wszystkim szefa rządu, który trzymał rękę na pulsie. Major Harvey to wybitny specjalista, miał na swoim koncie uwolnienie w podobnych okolicznościach zakładnika w Irlandii Północnej. Neil podziękował premierowi za troskę. Udawał, że jest optymistycznie nastawiony, ale wyszedł z budynku ze spuszczoną głową i zaledwie śladem nadziei w sercu. Wrócił do biura, gdzie mógł być sam.

Pozostały tylko najważniejsze sprawy, ponieważ część spotkań została odwołana.

To pomagało mu pracować. Ale to było rano. Kiedy jednak w ciągu dnia nadal nie nadchodziły żadne wieści, a Harvey powinien już dotrzeć na miejsce, Neil zaczął się bać. Nie znał wcześniej tego uczucia, ponieważ nigdy w życiu nie był tak bardzo przerażony.

To nie był zwykły strach, lecz wkradający się podstępnie jak paraliż, aż w końcu Neil nie mógł logicznie myśleć. Ścisnęło go w żołądku i zbierało mu się na wymioty. Od dawna stanowił cel dla zamachowców. Groźba podłożenia bomby, która rozerwałaby go na kawałki lub okaleczyła, stawała się bardzo realna. Przerażała go wizja zabójcy przyczajonego na ulicy albo w piwnicy jego domu. Neil bywał zaniepokojony, a nawet zdenerwowany, ale nigdy nie dręczył go tak chorobliwy lęk. Oczami duszy widział swoją żonę uwięzioną, bezradną, w kapturze na głowie. Pamięć ofiar terroryzmu z całego świata dręczyła go wyobrażeniami Claire przerażonej i brutalnie traktowanej. Lub martwej. Nie mógł znieść ciszy.

- Były jakieś telefony? - zawołał do sekretarki.

Wiedziała, o co mu chodzi.

- Przykro mi, sir. Nadal nic. Życzy pan sobie czegoś? Kawy? Herbaty?

- Nie, dzięki. Chociaż wydaje mi się, że w biurze Bertiego jest gdzieś odrobina whisky. Trzyma butelkę dla ważnych gości. Mogłabyś mi przynieść, jeśli coś tam zostało?

Nigdy w pracy nie pił alkoholu. Nigdy nie przyznałby się do takiej słabości, ale nagle przestało go to obchodzić. Chciał się napić. Chciał czegoś, co pomogłoby mu przetrwać do chwili, kiedy się dowie, że jego żona jest bezpieczna.

Kiedy sekretarka włączyła brzęczyk, nacisnął guzik interkomu. Ręka trzęsła mu się tak bardzo, że wylał trochę whisky ze szklaneczki na blat biurka.

- Słucham, Jean?

- Przyszedł pan Brownlow, sir. Pyta, czy jest pan zajęty, czy też może mu pan poświęcić kilka chwil? To nic pilnego, mówi. Po prostu był w pobliżu.

Nie miał żadnych informacji. Żadnych. Ani dobrych, ani złych.

- Poproś, żeby wszedł - powiedział Neil.

Podali sobie dłonie.

- Jest pan pewien, panie ministrze, że nie przeszkadzam? Jechałem do biura i pomyślałem, że wpadnę na moment.

„Ludzki wrak” - pomyślał inspektor. W ciągu ostatnich godzin Fraser postarzał się o dwadzieścia lat. Brownlow po raz pierwszy poczuł, że jest mu go żal. Usiadł, ale nie przyjął drinka. Był zaskoczony widokiem whisky na biurku ministra. To świadczy, że nie można ufać pierwszemu wrażeniu.

- Jak dotąd, nie ma żadnych nowych wiadomości - powiedział. - To nie jest zły znak. Kłopot w tym, że wiemy zbyt mało, żeby rozszerzyć nasze działania.

Brownlow przerwał. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mu się, że wpadł niezapowiedzianie do kogoś na takim stanowisku jak Fraser. Miał nadzieję, że dzięki temu wyciągnie z ministra więcej informacji.

- Tak - odparł Neil, ponieważ nie był w stanie niczego wymyślić. - Naprawdę nie chce pan drinka? Ze względu na okoliczności to chyba dopuszczalne.

Podniósł szklaneczkę i upił mały łyk alkoholu. Brownlow uznał, że jeśli się zgodzi, może Fraser się rozluźni.

- No cóż, czemu by nie. Odrobinę, dzięki.

Jean przyniosła szklaneczkę. Neil uśmiechnął się, nie zdając sobie sprawy, że bardziej to wyglądało na grymas.

- Pracuje tutaj młody człowiek, który ma w swoim gabinecie barek. Częstuje wszystkich ważnych gości... - powtórzył na użytek gościa. - Muszę przyznać, że się dzisiaj przydał. Brownlow, kiedy będziemy mieli jakieś wiadomości?

- Chciałbym być prorokiem brzmiała odpowiedź. - Gdybyśmy znali choćby w przybliżeniu miejsce pobytu pańskiego szwagra, wiedzielibyśmy też, gdzie przepadł major Harvey. On robi wrażenie, jakby miał jakiś trop, ale nie podał żadnych szczegółów. A pan nie ma jakiegoś pomysłu?

Patrzył uważnie, czy na twarzy ministra nie pojawiają się oznaki zamknięcia się w sobie. Politycy są mistrzami uników.

- Dziękowałbym Bogu, gdybym miał - odparł Neil.

Inspektor odchrząknął, dając do zrozumienia, że chciałby zadać drażliwe pytanie.

- Czy to możliwe, żeby pańska żona zwierzała się majorowi Harveyowi? Byli sobie, hm... bliscy w jakikolwiek sposób?

Neil Fraser zrozumiał aluzję.

- Odpowiedź brzmi: nie. Michael był bardziej moim przyjacielem i powiernikiem niż żony. Istotnie, rozmawiali wiele o Irlandii, ale w tym nie uczestniczyłem, bo szczerze mówiąc, nie znoszę tego kraju.

Dopił drinka i nalał sobie następnego. Pochylił się do przodu i Brownlow pomyślał: „Teraz się otworzy. Rozpaczliwie potrzebuje rozmowy. Wystarczy, żebym siedział tutaj, słuchał i udawał, że mu współczuję”.

- Cholerny klimat - ciągnął Neil. - Wiecznie pada. To takie przygnębiające. Latem muchy przypominały mi o odludnych terenach Australii. No cóż... - wzruszył ramionami, jakby przyznawał, że przesadził. - Może nie jest aż tak źle, ale nie można sobie posiedzieć nad rzeką albo pójść na spacer. To z powodu bydła i koni. A wydaje się, że tubylcy tych much w ogóle nie zauważają! Tempo życia jest tam bardzo powolne. Nikt się do niczego nie śpieszy. Niektórzy Anglicy kochają ten kraj właśnie dlatego. A ja go nie znoszę.

Westchnął.

- Kłopot w tym, Brownlow, że lubię nasz wyścig szczurów. On mnie mobilizuje.

- Jak większość z nas - padła odpowiedź.

Neil nawet nie zauważył, że inspektor mu przerwał.

Tempo życia tutaj działa mojej żonie na nerwy - ciągnął Neil. - „Wyrosłam w kraju, gdzie jest czas na chwilę oddechu”, mawia, „Nic dziwnego, że wszyscy biorą proszki nasenne, potem dopingujące i uprawiają jogę”. Irytuje mnie to bardzo, ale z początku nie była tak krytyczna.

- Była bardzo młoda - podsunął Brownlow szybko. - Miała dwadzieścia trzy lata, prawda? Poślubienie pana musiało w jej życiu wiele zmienić, sir. Nagle stała się żoną posła brytyjskiego parlamentu.

Neil nie zgodził się z tą oceną.

- Och, wcale jej to nie przeszkadzało. Wspaniale się czuła wśród ludzi i chciała, żebym odniósł sukces. Było nam ze sobą bardzo dobrze.

Zamilkł nagle, a inspektor nie przerwał ciszy.

- Myślałem, że mogę dać jej szczęście - powiedział Neil powoli. - Wszystko to zapowiadało. Urodził się nam syn i zacząłem awansować z tylnych ławek. Mieliśmy wspaniały dom i dałem Claire wolną rękę. Nie ma pan nic przeciwko temu, że to mówię, mam nadzieję? Uważam naszą rozmowę za poufną.

- Może pan być zupełnie spokojny - odparł inspektor. - Proszę mówić wszystko, co może panu pomóc. Absolutnie wszystko.

- Właściwie nie można jakiegoś konkretnego wydarzenia uznać za przyczynę tego, że wszystko poszło źle - ciągnął Neil. - Dwa razy do roku jeździliśmy do Irlandii. Robiłem to, żeby sprawić żonie przyjemność. Ale kamień spadł mi z serca, kiedy po nominacji na wiceministra doradzono mi, żebym zaprzestał tych podróży. Claire chyba wiedziała, że całe to irlandzkie towarzystwo uważałem za nudziarzy. Kiedy umarł Philip Arbuthnot, pomyślałem, że może jej matka przeprowadzi się tutaj... W końcu urodziła się w Anglii. Ale Claudia nie chciała o tym słyszeć. Mniej więcej w tym samym czasie mój szwagier odkrył karty, że tak powiem. I to zaczęło gmatwać sprawy między mną a żoną.

- Co pan ma na myśli, mówiąc, że „odkrył karty”?

Neil zmarszczył brwi. Wyglądało na to, że to wspomnienie go złości.

- Zaczął jawnie popierać IRA. Po „krwawej niedzieli”²⁴.

- Ten incydent zrobił spore wrażenie na Irlandczykach - powiedział inspektor.

- Wszyscy tak uważali - potwierdził Neil - ale ja nigdy w to nie wierzyłem. Mój teść wydziedziczył Franka. To ostatecznie przeważało szalę. Arbuthnot pojechał do Stanów i przemawiał na wiecach Noraid. W tym momencie mojej kariery to była dla mnie wspaniała reklama! Właśnie w chwili, gdy zostałem wiceministrem rolnictwa. To mnie mogło zniszczyć.

- Ale nie zniszczyło - odparł Brownlow - skoro ma pan dzisiaj takie stanowisko.

- Moja żona, jak się zdaje, nie rozumiała, co to dla mnie znaczy - ciągnął Fraser. - Myślałem, że wyleczyła się z uczuć do brata i porzuciła jego zwariowane idee. Na miłość boską, mieliśmy przecież dwoje cudownych dzieci, a o mnie mówiło się, że za kilka lat mogę zostać premierem. Claire nie chciała słyszeć złego słowa przeciwko bratu. Frank przyjeżdżał do Londynu, żeby się z nią widywać. W tym czasie byłem już dla IRA potencjalnym celem zamachu i żona nie mogła jeździć do Irlandii. Może pan sobie wyobrazić, jak prasa rozdmuchałaby sprawę tych spotkań, gdyby kiedykolwiek wyszły na jaw?

- Nie mógł pan jej powstrzymać? - spytał inspektor.

- On zawsze zajmował pierwsze miejsce w jej sercu - powiedział Neil z goryczą. - Byłem drugi w kolejce, jeśli chce pan znać prawdę. Czasami nawet zastanawiałem się, na której pozycji są dzieci.

²⁴ Krwawa niedziela - 30 stycznia 1972 r. w Deery żołnierze brytyjscy zabili 13 cywilnych uczestników nielegalnego marszu obywatelskiego (przyp. tłum.).

- Rozumiem - rzekł Brownlow. - Wszystko, co pan mówi, utwierdza mnie w przekonaniu, że od początku miałem rację, uważając, że zniknięcie Arbuthnota jest częścią intrygi IRA, która ma na celu pochwylenie pańskiej żony. Jeśli brat i siostra są sobie tak bliscy, jak pan mówi, to wszyscy muszą o tym wiedzieć. Myślę, że on nadal żyje i jest przetrzymywany gdzieś, gdzie według porywaczy pańska żona będzie go szukać.

„A ten małomówny major bardzo dobrze wie, gdzie to może być - pomyślał Brownlow. - Wyglądał na zbyt pewnego siebie jak na człowieka, który zdaje się na ślepy los”.

- Proszę mi coś powiedzieć - odezwał się Neil Fraser. - Co się stanie, jeśli Harvey znajdzie Arbuthnota i moją żonę razem?

Wyraz twarzy Brownlowa nie zmienił się.

- Ma polecenie przywieźć tylko panią Fraser.

Kiedy wstał, rozległ się brzęczyk interkomu. Ktoś telefonował do inspektora Brownlowa.

- Łączyć natychmiast - polecił Neil.

Nie sposób było zgadnąć, jaką wiadomość inspektor otrzymał przez telefon. Fraser obserwował twarz policjanta, ale nic z niej nie wyczytał, kiedy tamten mówił:

- Tak... dobrze... powiem mu... dobrze...

Brownlow odwrócił się i Neil zobaczył w jego oku błysk, który znaczył więcej niż słowa.

- Znalazł ją? Żyje?

- Nie, nic z tych rzeczy - odparł inspektor. - O pani Fraser nie ma żadnych wiadomości. Ale znaleziono starego ogrodnika Arbuthnotów. Został zamordowany w swoim domu. W garażu obok ukryte były angielskie tablice rejestracyjne, zniknęły natomiast tablice z jego samochodu. Zastrzelono psy Cavanagha, a on sam, biedak, był bity, zanim zastrzelono i jego. Zdaniem miejscowej policji to egzekucja wykonana przez IRA. Orodnika znalazła pańska teściowa. Telefonowała do pańskiego domu w Gloucestershire, pytając o panią Fraser. Rozmawiała z jednym z naszych ludzi, którzy tam są. Pani Arbuthnot nie miała najmniejszego pojęcia, że jej córka przepadła, i nikt jej tego nie powiedział. Najwyraźniej jest bardzo zmartwiona i trochę histeryzuje. Myślę, że byłoby dobrze, gdyby zatelefonował pan do niej i uspokoił ją. Proszę jej powiedzieć, że pańska żona zadzwoni później.

- Co to wszystko znaczy? - Neil domagał się wyjaśnień. - Dlaczego zabili starego Cavanagha?

- Prawdopodobnie dlatego, że osłaniał pańską żonę - odparł inspektor. - Numery znalezionych tablic odpowiadają numerom samochodu, który wynajęła w Anglii.

Najwyraźniej bili ogrodnika, żeby im powiedział, dokąd pojechała pani Fraser. Albo nie wiedział, albo im nie powiedział i dlatego go zamordowali. Z tego punktu widzenia to dobra wiadomość. Są szanse, że nie trafili na jej ślad, i to dobrze także dla majora Harveya. Wracam teraz do biura.

- Ile czasu daje pan Michaelowi? - spytał Fraser.

- Do dziewiątej wieczorem - odparł Brownlow. - Powiedział, że jeśli nie wróci do tej pory, to będzie znaczyło, że ma kłopoty.

- Jeszcze chwileczkę - Neil zatrzymał inspektora. - Sprawa staje się jawna wskutek tego morderstwa. Dlaczego więc nie wciągnąć do niej służb specjalnych z Dublina? W jaki sposób jeden człowiek może sobie poradzić w takiej sytuacji?

- Major już sobie dawał radę. Jeśli pan nalega, zwolnię tę informację do publicznej wiadomości i poproszę o pomoc. Ale coś panu powiem, panie ministrze. To będzie wyrok śmierci na Harveya i pańską żonę. Proszę posłuchać mojej rady. Dajmy mu czas do dziewiątej wieczorem - Brownlow postanowił być brutalny. - Jeśli do tego czasu nie wydostaną się stamtąd, nie będzie już miało żadnego znaczenia, co wówczas zrobimy.

*

Przysłano lekarza, który siedział przy pani Arbuthnot w małym saloniku. Zatelefonowano do Sallins po jej pokojówkę, Sheenę, która pognęła na rowerze do domu pani, bardzo podniecona przerażającymi nowinami. Billy Cavanagh został zamordowany, a Claudia Arbuthnot przyjeżdża niespodziewanie do Riverstown, idzie do domu ogrodnika i znajduje go martwego jak amen w pacierzu w kałuży własnej krwi.

Molly, z przyciężkiej na umyśle pokojówki, stała się dziś pulchną wdową w średnim wieku, kucharką pani Arbuthnot. Teraz popędzała Sheenę. Rozpaliły ogień w saloniku i przygotowały herbatę, a potem zatelefonowały po doktora Simonsa zgodnie z sugestią policjanta. Pani była blada jak prześcieradło i dygotała. Molly nalęła jej do herbaty whisky. Obie z Sheeną kręciły się wciąż koło niej, starając się podsłuchiwać, kiedy Claudia składała zeznania przed policjantami. Syn starego Joego Burnsa wyglądał w swoim mundurze jak z obrazka. Przynajmniej w oczach Sheeny. Siedział w kuchni, kiedy starsi oficerowie rozmawiali z panią. Joe nie przestawał mówić. Jakże to musiało być straszne dla biednego Billy'ego zostać w ten sposób zabitym. Biedny stary, nigdy nikomu nie zrobił nic złego. Kobiety stwierdziły, że Joe ma poszarzałą twarz. Ale w końcu to jeszcze prawie dziecko. Pierwszy raz zobaczył zamordowanego człowieka.

- Ani słowa o pannie Claire? - spytał Burns. - Chybaby padła trupem, gdyby się o tym dowiedziała.

- Nie, ani słowa, ale pani telefonowała do Anglii i teraz czeka na odpowiedź - odparła Molly.

Młody Burns dopił herbatę i wyjął papierosy. Stara na pewno jej nie widziała, tego był pewny. Nic nie wie. Mógł to przekazać dalej. Kiedy zostawił tamtych w domu przy drodze na lotnisko, poszedł na posterunek. Nie mógł dotrzeć do telefonu, więc nie miał jak się dowiedzieć, czy jego kumple mają jakiegokolwiek wiadomości. Spytał Molly, czy mogłaby zadzwonić do domu, żeby powiedzieć matce, że spóźni się na podwieczorek. Jeśli w ogóle wróci na herbatę! Telefon stał w głównym holu. Wślizgnął się tam i przystanął, nasłuchując głosów dobiegających zza drzwi saloniku. Wybrał numer do domu w Santry. Zgłosiła się Dempster. Nie lubił sposobu, w jaki z nim rozmawiała. Chłodno i energicznie, jakby Joe był pyłem u jej stóp. Zbyt długo mieszkała z Arbuthnotem, w tym problem. Pozwala sobie na humory. Burns mówił cicho i szybko.

- Znalezione Cavanagha. Stara wróciła wcześniej do domu. Usiłuje skontaktować się z córką w Anglii. Nie, nie wie. Powiedz doktorowi. Mają ją? Jezu...

Przerwała połączenie, nie bawiąc się w żadne uprzejmości, i zostawiła go z nieaktualnymi już wiadomościami. Samochód Claire widziano w Cloncarrig i chłopcy byli w drodze. Poczul dumę. Kiedy dostaną tę kobietę, uderzą w samo serce wroga. Myślał o Cavanaghu bez cienia żalu. „Brudny stary śmieć”, powiedział Joe do siebie. Żebrzący do ostatniej chwili o swoje nędzne życie, a przywoici Irlandczycy walczyli i umierali za wolność po obu stronach granicy. Burns zrobiłby to znowu, gdyby musiał. Wrócił do kuchni i usiadł, by wypić kolejną filiżankę herbaty i wypalić następnego papierosa. Bładość ustąpiła, a jego dłonie uspokoiły się. Nie ma się czego bać. Nigdy nie dojdą prawdy.

- A teraz, pani Arbuthnot, proszę, żeby była pani rozsądna - połknęła te dwie pigułki i popiła filiżanką gorącej herbaty. Proszę zostać w łóżku. Niech pani pamięta, że przeżyła pani ogromny wstrząs.

Claudia niechętnie wyciągnęła dłoń po żółto-czerwone środki uspokajające. Simons był kochany i opiekował się ich rodziną od dwudziestu lat, ale nie miała najmniejszego zamiaru czegokolwiek łykać. Uważała, że zażycie czegoś więcej niż dwie aspiryny przy bólu głowy prowadzi do lekomanii. Oczywiście, doktor miał rację, że przeżyła szok. Nie mogła przestać dygotać. To były bezustanne drgawki, jakby coś wewnątrz niej grzechotało. Herbata z dodatkiem whisky pomogła jej i dała wrażenie ciepła. Jednak Claudia, po tylu obrażeniach odniesionych na polowaniach, wiedziała, że to tylko złudzenie. Przestało ją mdlić, co już było wielką łaską. Prawdę mówiąc, po znalezieniu ciała Billy'ego zwymiotowała obok jego domku, trzymając się drzwi. A widok tych biednych, starych psów z rozbryzganymi

mózgami!

Policjanci byli bardzo delikatni. Oczywiście wszystkich ich znała. Zachowywali się wobec niej bardzo uprzejmie i opiekuńczo. Wydawali się oburzeni i wściekli z powodu tego, co zaszło. W oczach starego gliniarza, który przed chwilą ją opuścił, widziała łzy. Potrząsał jej dłonią i powtarzał bez przerwy:

- Proszę się nie martwić, madam, znajdziemy tych wstrętnych drani, którzy to zrobili. Dostaniemy ich.

- Wierzę panu.

- Niech ich Bóg przeklnie - mruknął.

Mimo wszystkich spędzonych tutaj lat nadal wyczuwała w tym starym irlandzkim przekleństwie coś, co mroziło jej krew w żyłach.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Claudia. - Nie mogę zrozumieć, jak ktoś mógł skrzywdzić Billy'ego.

Po jej twarzy popłynęły łzy. Doktor Simons pokiwał głową.

- Żyjemy w strasznych czasach - odezwał się. - Najpierw ten nieszczęśnik, stary Donny, a teraz to. Bóg jeden wie, co dzieje się z Irlandią.

Simons został wezwany na miejsce zbrodni, ponieważ jego gabinet znajdował się tylko o pięćdziesiąt metrów od mostu kolejowego, z którego głupek z Sallins obserwował pociągi. U Donny'ego stwierdził osiem ran kłutych klatki piersiowej. Lekarz długi czas nie mógł zapomnieć wyrazu twarzy zmarłego, który w ustach miał nadal na wpół rozpuszczony cukierek. Różowy, lepki, w rodzaju tych, jakie sprzedawano miejscowej dzieciarni, po pensie sztuka.

- Nigdy nie złapią tego, kto załatwił Billy'ego, kimkolwiek jest - stwierdziła Claudia. - Bito go, powiedział mi policjant. Nie mogę tego pojąć. Nie mogę uwierzyć, że był w cokolwiek zamieszany. Ale znaleziono te angielskie tablice rejestracyjne, ukryte w jego garażu. To wszystko nie ma najmniejszego sensu. Jedyne, czego chciał, to mieć te swoje psy i jakieś zajęcie tutaj. Próbowалаm dodzwonić się do Claire, ale jej nie zastałam. Serce jej pęknie.

Doktor Simons wstał.

- Zawołam Sheenę. Proszę się teraz położyć do łóżka i zażyć te pigułki. Kolejne dwie w nocy, gdyby się pani obudziła. I proszę się nie krępować i dzwonić do mnie w razie potrzeby o każdej porze. To nie ma znaczenia. Zjawię się natychmiast, jeśli pani się źle poczuje.

Wyszedł, a Sheena pomogła swojej pani wejść na górę po schodach. Środki

uspokajające Claudia wrzuciła w ogień natychmiast, jak tylko Simons się od niej odwrócił, ale nie stała pewnie na nogach i nie przestawała drżeć. „Termofor z gorącą wodą - powiedziała Sheenie - i mocny, gorący grog. To czyni cuda”.

Kiedy dziewczyna poprawiła jej poduszki i okryła ją, Claudia pomyślała nagle: „Są najlepszymi ludźmi na świecie. Sheena nie byłaby delikatniejsza, gdyby zajmowała się własną matką, a potrafią być tacy okrutni, tacy dzicy. W obu wioskach leżących tuż obok naszej posiadłości mieszkają ludzie, którzy wiedzą, kto zabił Billy’ego Cavanagha. Wiedzą, kto zamordował tego biedaka, Donny’ego. I dlaczego tak się stało. Ale nigdy nie puszczą pary z gęby. Jeśli Sheena wie, kto pobił starego, a potem zastrzelił, też nie piśnie słowa. To spadek po naszym wielowiekowym panowaniu nad nimi”. Claudia obróciła głowę, obserwując wychodzącą Sheenę, która delikatnie zamykała za sobą drzwi.

- Będę na dole, madam. Proszę na mnie zadzwonić w razie potrzeby.

*

Po dotarciu do Cloncarrig Macbride polecił im się rozdzielić. Wysłał Williego, by rozejrzał się po polach. Milczący Pat został przy ukrytym samochodzie żony Frasera, sam Macbride zaś wybrał się na przeszukanie zrujnowanego domu i zabudowań gospodarczych.

Wszedł na parter budynku, trzymając broń w ręku i stąpał ostrożnie po gruzie zaścielającym pokoje. Przeklinał ptaki, które odleciały spłoszone, krzyząc z niepokoju wniebogłosy. Schody na piętro były zwalone. Miejscowe władze przymocowały do balustrady wielką tablicę ostrzegawczą: „Budynek grozi zawaleniem”. Tablica była stara, zniszczona przez czas, warunki atmosferyczne i graffiti autorstwa miejscowej dzieciarni. Nie można się było dostać na górę, ponieważ klatka schodowa oberwała się poniżej pierwszego podestu. Po przejściu salonów na dole Macbride powoli i starannie przeszukał pomieszczenia kuchenne. Nie znalazł śladu czyjejkolwiek obecności. Na kurzu pokrywającym podłogę nie było żadnych odcisków butów oprócz jego własnych.

Potem skierował się na dół, do cuchnących piwnic, gdzie brodził w deszczówce i śmieciach. Hugh miał nosa do odnajdywania ludzi, którzy się ukrywali. Czuł, że ani jej, ani Arbuthnota tu nie ma. Przeszukując przyległe budynki, otworzył przy okazji jedyne zamknięte drzwi i dostrzegł w mroku zarys samochodu Harveya. Zbiegów nie było ani w domu, ani w garażach, ani w stajniach. Willie szukał ich na otwartej przestrzeni. Pat tkwił przy samochodzie Claire w zagajniku na wypadek, gdyby tamci chcieli do niego wrócić. Macbride zaś mógłby zaczekać przy swoim znalezisku na mężczyznę, który był przed nimi w barze Loughlina i pytał o drogę do opuszczonego domu Reynarda. Hugh miał całkiem jasny pogląd na to, jakiego pokroju jest to człowiek i co go tutaj sprowadziło. Nie oni jedni szukają

żony ministra angielskiego rządu.

To Willie ją zobaczył. Zatrzymał się i patrzył na niewielką postać, która wspinała się na kolejne wzniesienie. Odległość była zbyt duża, by mógł ją zidentyfikować, ale z pewnością nie był to mężczyzna. Willie chrząknął z podniecenia, zarepetował broń i ruszył za nią. Niezbyt szybko, bo był ciężki, miał wielki brzuch piwosza. W zwarcu walczył jak byk, ale nie był stworzony do biegu. Pokonał wzniesienie i gramolił się przez błotnisty, zarośnięty rów w samą porę, by znów zobaczyć tę kobietę. Teraz wisiała jak mucha na ścianie wieży, potem zniknęła. Wystarczy, by poszedł za nią, a będzie miał oboje.

Było tak ciemno, że Claire ledwie widziała twarz brata - bladą plamę na swojej piersi. Bezwiednie pogłaskała go po włosach. Ciało Franka ciążyło jej w ramionach.

- Wiedziałem, że przyjedziesz powiedział. - Oni nie mogą cię znaleźć, Claire.

- Nie znajdą - zapewniła. Sprowadzę pomoc, wydostanę cię stąd, kochany.

- Nie bądź niemądra uśmiechnął się do niej. - Nigdzie się nie wybieram. Wiedziałem, że przyjdiesz - powtórzył, zamykając oczy.

Powiedział jej, że został postrzelony, a potem opadł z sił i przez kilka minut nie mógł mówić. Płakała, a jej łzy spadały na niego. Z wielkim wysiłkiem wrócił z niebytu. Tak bardzo chciał zasnąć w jej ramionach, ale nie wolno mu było się poddać i stracić świadomość. Miał jej tyle do powiedzenia, a tak niewiele czasu. Całą siłą woli odegnał mroczące umysł cienie. Claire była w niebezpieczeństwie. Będzie zagrożona, dopóki nie opuści Irlandii.

- To ciebie chcę dopaść - wymamrotał. - Ja byłem tylko przynętą... Nie próbuj dostać się na prom albo na lotnisko... Idź na policję... Ochronią cię... obiecaj mi...

- Obiecuję - powiedziała. - Boli cię, prawda?

Poczuł na sobie jej łzy.

- Nie, nic nie czuję. Tylko zmęczenie. To dziwne... Śniłem o nas, kiedy byliśmy dziećmi. Byliśmy tacy szczęśliwi, prawda?

- Zawsze. To najlepszy okres w moim życiu.

Oparła policzek na jego głowie. Frank nie był zasmucony ani nie miał złych wspomnień. Ani goryczy, dzięki Bogu. Uniósł rękę i chwycił jej dłoń. Ich palce splotły się i poczuła, że jest zimny.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś - wyszeptał. - Teraz wszystko jest łatwe. Wszystko w porządku. Mieliśmy pecha, od samego początku...

- Tak - przyznała Claire, wiedząc, że Frank ma na myśli łączące ich więzy krwi. - Mieliśmy pecha, kochany bracie.

Nie miał więcej sił. Teraz mógł zasnąć w jej ramionach.

Wciąż go obejmowała, chociaż już nie żył. Głaskała go po głowie i ścisnęła martwą rękę. Zdawało się jej, że w kącie kryjówki widzi kupkę bielejących kości i przypomniała sobie lisa sprzed lat. A potem usłyszała z dołu głośny okrzyk:

- Wyłaźcie stamtąd! Wyłaźcie albo tam wejść i załatwię oboje!

Zamarła z przerażenia. Wstrzymała oddech. Znaleźli ją. Odsunęła się od ciała brata i spojrzała na ciężki rewolwer z magazynkiem, który zabrała z Riverstown. Podniosła broń i załadowała ją.

- Wyłazicie? - zapytał ten z dołu.

Claire przykleiła się plecami do ściany, trzymając rewolwer w obu rękach. Kiedy byli dziećmi, Frank nauczył ją strzelać. „Nie będę się trzęsła - pomyślała - tylko nacisnę spust”.

Usłyszała odgłosy wspinania się i zwierzęce pochrząkiwania mężczyzny, który podciągał się do otworu wejściowego. Na pewno też ma broń, więc jeśli ona się zawaha, nie będzie miała drugiej szansy. To oni zabili Franka. Strzeliła, gdy głowa tamtego ukazała się nad poziomem wąskiego okna.

Harvey spostrzegł Williego w chwili, kiedy Willie zobaczył Claire. Major widział poruszającą się ociężałą niezgrabną postać i z równego truchtu przeszedł w bieg. Błyskawicznie odrabiał dystans dzielący go od celu. Zdjął z ramienia automatyczny karabin. Przed nim były ostatnie trzy wieże skąpane w jaskrawym słońcu, a przy jednej z nich na dole znajdował się mężczyzna, którego ścigał. Jego krzyki doleciały i do uszu Harveya. Wewnątrz wieży była Claire Fraser. Harvey zatrzymał się. Mężczyzna zaczął się wspinać. Michael podniósł do ramienia karabin i wziął go na cel, ale zanim zdążył nacisnąć spust, ciszę rozdarł odgłos wystrzału. Mężczyzna odpadł od ściany wieży. „Jest i brat - pomyślał Harvey. - Uzbrojony, dzięki Bogu”.

Michael ruszył biegiem, a kiedy się zbliżył, zobaczył mężczyznę leżącego twarzą do góry. Jego głowa była krwawa miazgą. Claire Fraser ześlizgnęła się na ziemię z ciężkim, starym, wojskowym rewolwerem w ręku. Na widok Harveya podniosła broń.

- Claire! - krzyknął. - To ja, Michael!

Opuściła rewolwer, a kiedy zaczęła się przewracać na martwe ciało u jej stóp, złapał ją i podtrzymał.

Pat usłyszał z daleka dźwięk strzału. Zadarł głowę i węszył jak pies w poszukiwaniu tropu zwierzyny. Ukrył się za stojącym pod bukami samochodem. Tym wynajętym, z irlandzkimi tablicami rejestracyjnymi, które zamiast angielskich przykręcił ten brudny staruch. Zapłacił za to. Tak mu powiedział Willie. Rozkazy, które otrzymał Pat, były tak ścisłe, że nie śmiał ich złamać i ruszyć się stąd, żeby sprawdzić, co się dzieje. Nie chciałby się

znaleźć na wojennej ścieżce z kimś takim jak Macbride. Odgłos strzału ucieszył go. Może kula była przeznaczona dla Arbuthnota? Nie zaprzętał sobie głowy mężczyzną, który pytał w Kells o drogę. Tylko Macbride się nim martwił. Pat był za głupi, żeby cokolwiek wymyślić. Żył nienawiścią i wyrażał ją, zabijając wrogów. Zdaniem Seana Fileya był klasycznym przykładem psychopaty obciążonego przymusem mordowania. Pat pozostał na swoim stanowisku, ukryty wśród drzew.

To nie był odpowiedni moment, by Claire mdlała albo miała mdłości na widok mężczyzny, którego zastrzeliła. Harvey poprowadził ją na kraniec pola, starając się trzymać żywopłotu, który ich osłaniał. Zadał tylko jedno pytanie:

- Znalazłaś brata?

Claire stale przez niego ponaglana potykała się. Odpowiedziała, kiedy nisko pochyleni biegli przed siebie:

- Tak. Był tam. Nie żyje.

Na twarzy Claire zobaczył łzy. Nie pozwolił jej przystanąć ani odpocząć.

- On nie był sam - postraszył ją. - Słyszeli strzał. Nie zatrzymuj się. Dalej!

Popychał ją brutalnie, ciągnął i przeklinał, gdy się chwiała. Ich życie zależało od tempa biegu. Jeśli pozwoli się jej załamać, nigdy się stąd nie wydostaną. Wiedział, jak wykorzystać osłonę. Droga była dłuższa niż przez otwarte pole, ale za to nikt ich nie widział. Zadał kolejne pytanie: gdzie zostawiła samochód? Jej odpowiedź sprawiła, że postanowił dostać się do garażu, gdzie ukrył swój wóz.

Auto Claire stało daleko od nich, w kępie drzew, po lewej stronie, tuż obok drogi. Bez wątpienia dostrzeżono je i powiadomiono o tym kogo trzeba. To właśnie ono sprowadziło tutaj prześladowców. Jeśli Harvey znał się na swojej robocie, nie mógł mieć wątpliwości, że ktoś będzie czekał przy samochodzie na wypadek, gdyby Claire miała do niego wrócić.

Dotarli do posiadłości. Harvey prowadził Claire blisko zewnętrznego muru. Syczał na nią, żeby szła przyklejona płasko do tej osłony. Automatyczny karabin miał gotowy do strzału. Podkradli się pod budynek. Było bardzo cicho. Słońce skryło się za ciężkimi chmurami i kilka kropel deszczu spadło na nich. Michael szedł wytrwale przed siebie, cicho jak kot. Gdy Claire nadepnęła na luźne kamienie, odwrócił się do niej z wściekłością na twarzy. Potem ruszył dalej i obszedł stary dom od tyłu. Do budynku mieszczącego stajnie i garaże musieli przejść drogą, która prowadziła pod kamiennym łukiem. Złapał Claire za ramię.

- Tędy - szepnął Harvey. - Jak dotąd wszystko dobrze. Patrz pod nogi. Żadnego hałasu, pamiętaj!

Było ciemno. Macbride spojrział na zegarek. Widział świecące cyfry. Czekał przy samochodzie już blisko godzinę. Obejrzał go. W bagażniku angielskie ubranie na zmianę. Tak jak Macbride przypuszczał, wysłali kogoś, żeby znalazł Claire Fraser. Kiedy otworzyły się drzwi garażu i zamajaczyła w nich męska sylwetka, czekał z bronią w ręku gotowy do strzału. Jeśli ta kobieta jest z nim, tym gorzej dla niej. Macbride znał ten typ. Hugh nie pozostawiał nic przypadkowi.

- Zaczekaj tutaj - polecił Harvey cicho. - Nie ruszaj się. W środku jest mój samochód.

Claire przycupnęła, kryjąc się za kamiennym łukiem. Oblepiał ją kurz i bluszcz. Obserwowała Michaela skradającego się w kierunku na wpół otwartych drzwi, jednych z wielu, luźno wiszących na wyrwanych zawiasach. Potem Harvey zatrzymał się. Nie odwracając głowy, podniósł lewą dłoń, ostrzegając Claire, by się nie ruszała. Pociągnął drzwi, za którymi był ukryty samochód. Ktoś je przesuwiał i w błocie widać było głębokie ślady. Na nich odcisnęły się inne ślady, widoczne było jeszcze dobrą stopę dalej. W czasie, kiedy Harveya tu nie było, ktoś jeszcze otwierał te ciężkie drzwi.

Wiedział, jak zawsze w podobnych sytuacjach, że w środku ktoś się ukrywa i czeka tylko, by Michael się pokazał. W jednej chwili podjął decyzję. Chwycił drzwi i pociągnął. Źle zamocowane przechyliły się i stracił równowagę pod własnym ciężarem. Kiedy urwały się z zawiasów, Harvey padł na nie na płask. Zobaczył przyczajoną w kącie sylwetkę Macbride'a, trzymającego w obu dłoniach pistolet. Harvey wygarnął do niego z karabinu, zanim Hugh zdążył oddać strzał. Macbride padł martwy.

*

Nie pojechali na lotnisko, tylko do centrum Dublina, gdzie Harvey wymienił samochód na auto innej marki. Zostawił Claire nad filiżanką herbaty w biurze wypożyczalni, w towarzystwie mężczyzny, który nie odezwał się do niej ani słowem. Michael wrócił ubrany we własne sztruksowe spodnie i marynarkę, w których opuścił Anglię.

- Wszystko załatwione - odezwał się do mężczyzny za biurkiem.

- Dzięki, Bob.

Wstał, skinął na Claire i wyszli. Harvey postępował zdecydowanie. Nie zamierzał okazywać Claire współczucia. Musiała być w ciągłym ruchu.

- Pojedziemy teraz prosto na lotnisko - powiedział. - Wynająłem prywatny samolot. Nie jest duży. Mam nadzieję, że nie cierpisz na chorobę lokomocyjną. W prawo, chodź.

Claire miała drętwy umysł i odrętwiałe ciało. Czuła się jak żeton, który ktoś przesuwa w trakcie jakiejś koszmarniej gry. Robiła, co jej kazał, ponieważ pytanie o cokolwiek wymagałoby od niej myślenia. Nie zastanawiała się nad niczym i nic nie czuła. Przyjechali na

lotnisko, a ona poszła posłusznie za nim, weszła na pokład piper'a comanche, przypięła się pasami do fotela i podczas startu zamknęła oczy. Harvey, który siedział obok, uznał, że powinna dobrze znieść tę podróż.

- Kiedy będziemy w Londynie? - spytała.

- Nie lecimy do Londynu odparł tylko do Belfastu. Tam czeka na nas przyzwoity transport.

Harvey ścisnął lekko jej rękę, przeraźliwie zimną i drżącą, jakby Claire miała wysoką gorączkę.

- Już po wszystkim - powiedział. - Byłaś cholernie dobra. Niedługo znajdziesz się w domu, bezpieczna. Neil z dziećmi czeka na ciebie. Masz, wypij porządny łyk.

Podał jej butelkę wypełnioną do połowy brandy. Musiał zdjąć nakrętkę, bo Claire nie mogła opanować dygotu rąk.

- Cieszę się, że go zabiłam - powiedziała. - Bardzo się cieszę.

„Nie będzie tak zadowolona - pomyślał Michael - kiedy minie szok”.

- Wolałabym nie widzieć jego twarzy - ciągnęła.

Nie, jednak nie powinna była przez to przechodzić.

- Nie zastrzeżeliś go - rzekł Harvey. - Trafiłem go wcześniej. Widziałem, jak wspina się po ścianie wieży. Wiesz, te pociski robią z człowieka miazgę. Zapomnij o tym. Nic nie zrobiłaś.

Do biura Neila Frasera za pośrednictwem wojska połączono rozmowę z Belfastu. Jego sekretarka nawet nie zapukała, tylko jak bomba wpadła do gabinetu ministra. Pani Fraser jest w drodze do domu i wylądować o szóstej wieczorem na lotnisku Highmore, które należy do RAF-u. Badał ją lekarz wojskowy. Nie jest ranna. W drodze towarzyszy jej major Harvey.

Jean nie mogła się powstrzymać.

- Och, panie ministrze, dzięki Bogu!

Mruganiem powstrzymywała napływające do oczu łzy.

Kiedy wybiegała z gabinetu, zdawało się jej, że ministrowi również zbiera się na płacz.

*

Claire dano środek uspokajający. Lekarz zapewnił ją, że bardzo łagodny, zmniejszy tylko skutki stresu wywołane przez to, co przeszła. Zaproponowano jej kanapki, których nie mogła przelknąć, i kawę.

Dla spragnionej Claire kawa była wybawieniem. Czuła ssącą pustkę i dlatego miała trudności w mówieniu.

Ponieważ była żoną Neila Fräsera, krzątano się wokół niej i traktowano nad wyraz uprzejmie i opiekuńczo. Brat umarł na jej rękach i widziała dwóch zastrzelonych mężczyzn. Nadskakiwano jej. Lekarz i kobieta, starszy rangą oficer z Kobiecych Oddziałów Armii Królewskiej, mieli ją na oku na wypadek, gdyby załamała się psychicznie. Claire chciała, żeby sobie poszli i zostawili ją samą. Ileż to irlandzkich kobiet w ciągu lat konfliktu stawało oko w oko z gwałtem zadawaną śmiercią bliskich, zastanawiała się Claire, ale nikt nie traktował ich z należną VIP-om atencją. W końcu powiedziała:

- Czuję się całkiem dobrze. Proszę się o mnie nie martwić.

- Oczywiście - dziewczyna w eleganckim mundurze pośpieszyła ze słowami otuchy, mówiąc to samo co Harvey. - Niedługo znajdzie się pani w domu, z rodziną, pani Fraser.

Siedzieli obok siebie w wojskowym samolocie transportowym. Teraz już Michael mógł być wobec niej miły.

- Claire - zwrócił się do niej. - Byłaś naprawdę wspaniała. Powinnaś zapomnieć o tym wszystkim i zająć się swoim życiem.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Nie chcę wracać do domu - powiedziała.

Samolot leciał spokojnie ponad chmurami. Harvey wziął głęboki oddech. Polubił ją. Podziwiał jej odwagę i lojalność. Była energiczna, prawa i inteligentna. Ale nagle się wściekł.

- A co z Neilem? - spytał ostrym tonem. - Będzie na ciebie czekał na lotnisku. Co zamierzasz zrobić? Odejść od niego?

- Nie wiem - odparła. - Nie mam pojęcia, dokąd mam iść ani co ze sobą zrobić.

Samotna łza spłynęła wolno po jej policzku.

- A więc to ja ci powiem, co masz zrobić i dokąd iść - rzekł Harvey cicho. - Wrócisz do swojego cholernie nieszczęśliwego męża, który cię kocha, i do dwójki małych dzieci. Twój brat nie żyje. Jeśli odejdziesz teraz, spędzisz resztę życia, szukając go, ale nigdy nie znajdziesz. Spotkasz innego mężczyznę, ale też ci się nie ułoży, bo to nigdy nie będzie Frank. Gdyby żył, nic by ci się nie powiodło. I ty dobrze o tym wiesz.

Claire zasłoniła rękami twarz. Michael nie oszczędzał jej. Walczył o ocalenie małżeństwa Fräserów z większym uporem niż o własne.

- Tamten rozdział jest zamknięty. Neil cię kocha. Zawsze cię kochał. Dzieci cię potrzebują, szczególnie Peter. Zrób to dla nich wszystkich, Claire, i wróć. To jedyny sposób, żebyś była wreszcie szczęśliwa.

Nie odpowiedziała. Przestała bezgłośnie płakać i siedziała z odwróconą od niego głową. „Zrób to dla nich”. Nie pytała, co Harvey przez to rozumie, bo doskonale wiedziała.

Kiedy podchodzili do lądowania, odezwała się:

- Nie chcę ruszać ciała Franka. Chcę, żeby tam zostało, żeby nikt mu nie przeszkadzał. Harvey skinął głową.

- Napisałem w raporcie tylko tyle, że twój brat nie żyje. Nie podałem, gdzie jest jego ciało. To zależy od ciebie.

- Dziękuję, Michael - powiedziała po prostu. - Dziękuję za wszystko. Nie tylko za ocalenie mi życia.

Samolot wyhamował na pasie i zatrzymał się. Harvey wstał i wyciągnął rękę, pomagając Claire podnieść się z miejsca.

- Jeśli naprawdę chcesz mi podziękować - odezwał się - to wyjdź na spotkanie męża.

Pozwolił, by pierwsza wyszła z samolotu. Neil czekał na nią na płycie lotniska. Claire zatrzymała się na chwilę. Widziała go także. Michaelowi wydawało się, że trwa to bardzo długo. Potem Claire ruszyła w kierunku Neila. Chwilę później trzymali się w objęciach.

Harvey zaczął iść po płycie lotniska. Nie śpieszył się. Kiedy się do nich zbliżył, nadal mocno się obejmowali.

- Jak dotąd, wszystko w porządku - mruknął do siebie pod nosem.

*

Ciała Williego i Hugh'a Macbride'a znalazł Pat. Zostały zabrane przez ludzi z IRA i pochowane z wojskowymi honorami na samotnym cmentarzu daleko na północy, w hrabstwie Tyrone, gdzieś w dziczy. Nad trumnami bojowników, owiniętymi w trójkolorowe flagi Irlandii, oddano salwę honorową. Byli bohaterami, którzy polegli na służbie.

Fileya ostrzeżono poufnie, że jest obserwowany przez dublińskie służby specjalne. Nie było wystarczających dowodów, żeby można mu wytoczyć proces o współdziałanie w porwaniu Franka Arbuthnota, a Claire nie mogła być w niego zamieszana. Rządowi irlandzkiemu przekazano, że Sean Filey i Marie Dempster są niebezpiecznymi wywrotowcami. Filey złożył podanie o wizę do Stanów Zjednoczonych, a jako powód podał chęć uczestniczenia w zjeździe psychiatrów w Cincinnati. Tu zdecydował się przyjąć dwuletni angaż na stanowisku wykładowcy i zamknął praktykę w Dublinie. Pacjenci, i biedni, i bogaci, nie mogli odzalaować tej straty. Był zręcznym uzdrowicielem chorych umysłów.

Marie Dempster została zastrzelona, gdy wracała z przyjęcia do swego mieszkania w Howth. Wpadka, która kosztowała życie Hugh'a Macbride'a, nie mogła ująć bezkarnie. Wyrok na nią wydano na Północy, gdzie uważano, że musiała współdziałać w ucieczce Arbuthnota. Gdyby nie uwierzyli w alibi, które mu dała, i Fileyowi, który go wcześniej bronił, nie doszłoby do takiej katastrofy. Przecież Macbride ją podejrzewał i głośno o tym mówił. Policja

uznała, że zabójstwa Marie dokonano na tle rabunkowym, ponieważ zniknęła jej biżuteria. Podzielono ją i sprzedano, a pieniądze przekazano na fundusz wdów i sierot po zabitych w walkach na Pólmocy.

Joe Burns poprosił o przeniesienie na posterunek policji w Trim. Jego rodzina nie mogła zrozumieć tej decyzji. Powiedział, że będzie miał lepsze widoki na awans. Nie był człowiekiem nerwowym i nie miał wyrzutów sumienia, ale nie lubił przejeżdżać wieczorami obok pustego domu Billy'ego Cavanagha. Raz czy dwa zdawało mu się, że w ciemności słyszy warczenie jego psów.

Epilog

- Mamusiu - powiedział chłopiec - nie mogę się doczekać gwiazdki.

Claire uśmiechnęła się do niego. Kiedy wracał ze szkoły do domu, lubił siadywać obok niej na sofie przed wielkim kominkiem.

- Ja też, Peter. Będzie miło, kiedy przyjedzie do nas babcia, prawda?

- Tak - pokiwał głową uradowany.

Trzeźwy sposób postępowania Claudii z dziećmi kłuł w oczy rodziców kierujących się nowoczesnymi zasadami wychowania. Była nieustępliwa, ale i uczuciowa. Dzieci ją uwielbiały i czuły się z nią absolutnie bezpieczne.

- Czy przyjedzie na długo? - spytał mały.

- Owszem - odparła Claire. - Chce rozejrzeć się za jakimś domem w sąsiedztwie.

Jeszcze rok temu niecierpliwiłyby ją te pytania i pominęłyby je milczeniem. Ciemne oczy Petera zawsze szukały w jej twarzy wsparcia. Nigdy nie wyobrażała sobie, że dziecko może być dla niej towarzystwem. Od kiedy tamtej wiosny w Irlandii życie Claire się skończyło, a po kilku miesiącach zaczęło na nowo, bardzo wiele się zmieniło. Powoli, czasami boleśnie, pośród dojmującego smutku. Nie było to łatwe ani dla niej, ani dla Neila, ale wytworzył się między nimi nowy rodzaj miłości, która zaczęła się wtedy, kiedy mąż obejmował ją na płycie wojskowego lotniska.

- Kochanie, dzięki Bogu, dzięki Bogu... - tylko tyle był w stanie wówczas powiedzieć.

- Tak mi przykro, Neil - powiedziała po prostu.

- Mamusiu, czy babcia wróci jeszcze kiedyś do Irlandii?

- Nie wiem, kochanie. Myślę, że nie.

Claudii nie trzeba było namawiać.

- Nie mogę tu zostać - Powiedziała im. - Ile razy wyjrzę przez okno, zawsze widzę tego biedaka, Billy'ego, spacerującego z psami. Jeżeli nie chcecie Riverstown dla siebie, sprzedam posiadłość jak się da najszybciej.

Claire też była zdecydowana. Neil, który czekał na jej odpowiedź, usłyszał, jak mówi:

- Nie, mamó, wystaw ją na sprzedaż.

Peter przysunął się nieco bliżej do matki.

- Czy babcia będzie u nas, kiedy pojawi się nowe dziecko?

- Jestem pewna, że tak - odparła Claire. - Fajnie będzie z nowym dziadziusem, prawda? Lucy rośnie tak szybko.

Przez chwilę Peter się nie odzywał. Claire łagodnie pogłaskała go po ciemnych włosach.

- Nie będziesz go kochać bardziej niż mnie i Lucy, prawda?

Odwróciła jego głowę, tak by na nią spojrzeć. Peter popatrzył w dół, a potem gdzieś w dal. I serce jej drgnęło w nagłym błysku rozpoznania. „Nigdy go nie znajdziesz” - ostrzegął ją Michael Harvey. Co do wszystkiego innego miał rację, ale w tej jednej sprawie się pomylił. Geny Arbuthnotów ujawniły się w jej synu.

- Nie - zapewniła Claire stanowczo. - Nigdy nikogo nie będę kochać bardziej niż ciebie i Lucy. Zdaje mi się, że słyszę samochód tatusia. Chodźmy mu na spotkanie, dobrze?

*

Tej zimy w Irlandii spadł śnieg. Lisy nie biegały już po posiadłości w Cloncarrig. Nie było polowań, ponieważ Flanaganowie cofnęli na wiele lat zgodę na przejazd przez ich pola.

Śnieg zasypał Riverstown i było tak zimno, że rzeka częściowo zamarzła.

Taka zima była tutaj czymś niezwykłym. Wszyscy mówili tylko o pogodzie. Dla dzieci obrzucających się śnieżkami to była wielka frajda.

Na drodze do Naas ustawiono nowy przystanek autobusowy, na którym schroniły się przed przenikliwym wiatrem dwie kobiety. Jedna z nich była stara, a druga młoda. Obie pracowały o jakąś milę dalej wzdłuż drogi w wielkiej stadninie koni, gdzie zajmowały się gotowaniem i sprzątaniami dla mieszkającej tam rodziny. Przy bramie Riverstown umieszczono wielką tablicę z napisem: „Na sprzedaż”. Młodsza z kobiet spojrzała na dom i zebrała ciaśniej kołnierz płaszcza dookoła szyi. - Słyszałam, jak nasza pani mówiła, że Claudia Arbuthnot wyjechała do Anglii - powiedziała.

- Tak - potwierdziła druga. - Te wszystkie przejścia to było dla niej zbyt wiele.

- Arbuthnotowie mieszkali tutaj od bardzo dawna - ciągnęła dziewczyna. - Mój ojciec mówi, że osiedli tu w czasach Wolfe’a Tone’a²⁵.

- Może i tak - mruknęła starsza. - Przyszli, ale w końcu poszli sobie. Dzięki Bogu, jedzie autobus.

²⁵ Theobald (Tone) Wolfe (1763-1798) - irlandzki bojownik o niepodległość, zwolennik zrównania w prawach wszystkich Irlandczyków niezależnie od wyznania (przyp. tłum.).

Od Autorki

Powieściowy dom w Cloncarrig z kryjówką lisa nie jest zmyśleniem. Jego pierwowzór istnieje, ma właściciela, chociaż nie nazywa się on Tom Reynard, i stoi w zupełnie innej części Irlandii. Chodziłam po tych polach i widziałam te wieże na własne oczy. Przyjaciele mówili mi, że polując w tamtych okolicach, widzieli lisa znikającego w jednej z nich. A ponieważ to Irlandia właśnie, nie podążyli za nim. Tak na wszelki wypadek.

Evelyn Anthony

Październik 1986